

zwierciadło

AŁBENA GRABOWSKA

Lady M.

Fascynująca
podróż po mrocznych
zakamarkach
kobiecej duszy

zwierciadło

AŁBENA
GRABOWSKA

Lady M.

Spis treści

Karta redakcyjna

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Jesień 2011

Jesień 2012

Zima 2011

Zima 2012

Zima 2011

Zima 2011

Zima 2012

Zima 2011/2012

Wiosna 2012

Zima 2012

Wiosna 2012

Zima 2012

Wiosna 2012

Wiosna 2012

Zima 2012

Wiosna 2012

Zima 2012

Lato 2012

Zima 2012

Lato 2012

Zima 2012

Jesień 2011

Motyle w brzuchu bywają nie na miejscu, kiedy obok leży mąż, którego chrapanie nie pozwala zasnąć. A jednak pojawiały się za każdym razem, gdy Małgorzata myślała o nim. O nowym dyrektorze szkoły, w której uczyła nauczania początkowego klasy I–III, aktualnie klasę II B. Dyrektor zastąpił na stanowisku kobietę, która miała sześćdziesiąt pięć lat i już się dostatecznie wysłużyła w opinii ministerstwa. Mimo że szkoła miała opinię jednej z najlepszych podstawówek w Warszawie oraz świetnego gimnazjum, była dotowana i wspomagana we wszelki sposób przez wpływowych rodziców, nie było zmiłuj i pracy Jadwigi Baranowskiej nadszedł kres. Sama zainteresowana wyrażała żal, że jej wieloletnia kariera dobiega końca, i dawała do zrozumienia, że chętnie by pozostała na dotychczasowym stanowisku. Rodzice poczuli lęk przed nieznanym i organizowali przeróżne pikiety w myśl, że lepsze jest wrogiem dobrego. Niestety „na górze” Adam Zalewski już przebierał nogami w oczekiwaniu na nową posadę i znajomości rodziców nie na wiele się zdały. Istniała też możliwość, że kandydat miał również znajomości, i to w bardziej wpływowych kręgach, co wydawało się bardzo prawdopodobne, zważywszy, że nie miał wielkiego doświadczenia na stanowisku pedagoga szkolnego i zupełny brak takowego na stanowisku dyrektora. Sama Małgorzata wolałaby, żeby dyrektor Baranowska pozostała na swoim stanowisku, ponieważ nauczyła się wyczuwać jej zmienne nastroje oraz manipulować jej sympatią w taki sposób, żeby ona, Małgorzata, mogła pracować tak, jak sama tego chciała. Za starej dyrekcji miała decydujący głos w wyborze podręczników, lektur uzupełniających, dogodnie godziny oraz wszelkie przywileje. Nieznane wiązało się z tym, że być może trzeba będzie od początku budować swoją pozycję i udowadniać, że należy się z nią liczyć. Przewracając się na drugi bok, Małgorzata przypomniała sobie pierwsze wrażenie, jakie na niej wywarł nowy szef.

– Oczekuję wszelkiej współpracy ze strony państwa – oznajmił na radzie pedagogicznej, tej, która rozpoczyna rok szkolny, jeszcze w czasie wakacji.

– A konkretnie? – zapytała Ania Wajnert, nauczycielka plastyki, kolorowo ubrana istota z czerwonymi dreadami. Była znaną artystką i performerką, miała bogatego męża i nie musiała pracować, ale bardzo lubiła uczyć dzieci plastyki. Zależało jej zatem na współpracy z nowym dyrektorem w sposób zupełnie zdrowy i odpowiedzialny.

– Tego, co powiedziałem – zapewnił. – Współpracy z państwa strony, inicjatywy oraz wspólnoty. – Małgorzata westchnęła wtedy odrobinę za głośno, co nie uszło uwagi nowego dyrektora. Współpraca, wspólnota... Co to miało do rzeczy? Trzeba realizować program, i już.

– Pani, pani... – dyrektor popatrzył na nią uważnie – czy pani chciałaby jakoś skomentować moje słowa?

– Małgorzata Daniszewska, nauczanie początkowe. – Kiwnęła lekko głową. – Nie uważam, że jest co komentować.

– Dlaczego? – zainteresował się dyrektor. – Zgadza się pani ze wszystkim, co powiedziałem, czy nie zechce pani współpracować?

„Co za dupek” – pomyślała.

– Panie dyrektorze – powiedziała spokojnie – odpowiem przecząco na każde z postawionych przez pana tez, bo nie były to pytania. – Lubiała, zwłaszcza wobec mężczyzn, używać zagmatwanego stylu i wprowadzać chaos do ogólnej dyskusji.

– To nie jest prawda, że nie chcę współpracować. Taki zarzut, jeśli to zarzut, wprowadza pejoratywny wydźwięk do naszej dyskusji – kontynuowała. – Ja tylko nie chciałabym kiwać głową w myśl: „Idźmy już do domu”. Rozumiem, że poznaliśmy podczas tego zebrania pana, a nie sposób, w jaki zechce pan zarządzać naszą szkołą. Z pana słów wynika, że dopiero zdecyduje pan, czy zechce kontynuować politykę dyrektor Baranowskiej czy też wprowadzi własny program oparty na strategii rozwoju ogólnego i osobistego.

– Ja niczego pani nie zarzucam, pani Małgorzato – powiedział z naciskiem dyrektor. – Chciałem poznać tylko opinię koleżanek, z którymi mam nadzieję blisko współpracować.

Małgorzata przez chwilę zastanawiała się, czy zasypać go nową porcją pozornie sensownych zdań wyrzucanych z ust z prędkością karabinu maszynowego, ale dała spokój. Na to będzie czas później. On najwyraźniej nie rozumiał, co miała na myśli. Zresztą może i dobrze, że nie zorientował się, że Małgorzata przejrzała go od samego początku. Zwyczajny karierowicz, który dostał stanowisko od „mogących” – oto kim był. Niespecjalnie inteligentny, ale pewny siebie. Najgorsze połączenie. „Najrozsądniej byłoby, żeby kontynuował to, co robiła Baranowska” – myślała. Jeśli zechce wprowadzać swoje porządki, może się w tym pogubić. Trzeba będzie nim pokierować, a to może być ryzykowne. Trzeba będzie umówić się na rozmowę i od początku zaznaczyć swoją pozycję.

– Bardzo wszystkim kolegom i koleżankom dziękuję – oświadczył tymczasem zadowolony z siebie Adam Zalewski. – Jestem niezmiernie szczęśliwy, że los rzucił mnie w te strony.

W ogólnym pomruku podziękowań i pożegnań uczestnicy zbierali programy i notatki do teczek, patrząc tęsknie na sierpniowe słońce atakujące okna sali, w której odbywały się rady pedagogiczne. Dyrektor pierwszy opuścił salę, a za nim pojedynczo nauczyciele.

– Los go rzucił w te strony... – Polonistka Zuzanna wykrzywiła się, kiedy z Małgorzatą wyszły z budynku szkolnego.

– Czepiasz się jego słownictwa? – Małgorzata przechyliła przekornie głowę.

– Czepiać tobym się mogła twojego wystąpienia. – Zuzanna głośno się roześmiała. – „Wydźwięk pejoratywny”... Że też ty nie możesz się powstrzymać i wygadujesz takie bzdury.

– Wkurzył mnie. – Małgorzata zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wystawiła twarz do słońca. Przed wyjściem na radę pedagogiczną nie posmarowała twarzy kremem z wysokim filtrem i teraz obawiała się, że zostaną jej ślady po okularach. – Dupek ze znajomościami. Myślisz, że ma jakieś chody na górze?

– Zapytam mojego Marka, on może będzie wiedział.

– Koniecznie zapytaj...

– Zapytam – westchnęła Zuzanna. – On na pewno się dowie. Ale po co ci to?

– To w dzisiejszych czasach ważne – wyjaśniła. – Może w ten sposób dowiem się, jakie on ma zamiary wobec nas.

– A jakie może mieć zamiary? – Zuzanna straciła z ramienia biedronkę.

Szły chwilę w milczeniu. Małgorzata analizowała, czy może podzielić się z Zuzanną swoją teorią na temat zaznaczania pozycji. Zuzanna była miłą, poczciwą kobietą, dobrą polonistką, ale uważała, że wykonywanie obowiązków wobec uczniów jest jej jedynym zadaniem w pracy.

– Co z tymi biedronkami? – zirytowała się koleżanka. – Dlaczego po mnie łążą?

– Wyglądasz jak gigantyczna mszyca – rozległ się schrypnięty głos tuż za nimi. – Dlatego.

– O tym nie pomyślałam. – Zuzanna zrobiła miejsce Malwinie.

– Ale ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie.

– Nie mam mianowania – powiedziała nieoczekiwanie Malwina. – Jadźka nie miała z tym problemu. Zarabiałam trochę mniej, i tyle. Teraz nie wiem, jak ten tam... to przyjmie.

– Może się nie zorientuje. – Małgorzata postanowiła ukryć zdumienie i zapamiętać zasłyszana informację.

– Może nie... – Malwina nie była przekonana. – Według mnie, to pierwsze, co sprawdzi. Kto ma mianowanie, a kto nie.

– Nie denerwuj się – pocieszyła ją Zuzanna. – Dzieciaki cię lubią. Co roku ktoś zajmuje wysokie miejsce w konkursie wiedzy o przyrodzie czy tam „O otaczającym świecie...”.

– Rodzice staną za tobą murem, jakby on coś chciał ci zrobić – podsunęła Małgorzata bez przekonania. Los koleżanek z pracy obchodził ją tylko w wymiarze własnych potencjalnych korzyści lub strat.

– Rodzice... co oni mogą? – Malwina szarpała nietwarzowy szary żakiet, który nosiła podczas rad pedagogicznych.

– Przy Jadźce stali na straconej pozycji, bo miała lata, ale z tobą byłoby inaczej. Zresztą przecież nie musisz martwić się na zapas – zdenerwowała się Zuzanna.

– Na razie nie ma czym... – Malwina zostawiła żakiet w spokoju i otworzyła torebkę. Wyjęła z niej chusteczkę i wytarła głośno nos.

– Cześć, dziewczyny, ja idę tu do autobusu.

– Nie martw się na zapas! – krzyknęła za nią Zuzanna. Chwilę szły w milczeniu.

– Myślisz, że on coś będzie zmieniał? – rzuciła Zuzanna w stronę Małgorzaty. – Na przykład zacnie nas zwalniać?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Ty jesteś polonistką, bliżej ci do psychologa... Ja się nie znam na ludziach.

– Ja się też nie znam – odpowiedziała Zuzanna. – Dawno u nas nie byliście z Krzysztofem. Może jakiś wspólny grill? Chłopcy pewnie nie zechcą przyjść...

– Na pewno nie. Jasiak się przecież wyprowadził, Stasia nie widziałam tydzień. Pomieszkuje z kolegą... Ale nic z tych rzeczy...

– Przecież tego nie sugeruję. U nas też podobnie. Maciek na swoim. Synowa taka sobie... A Paweł skacze z kwiatka na kwiatek...

Znów szły w milczeniu. Przyjaźnili się. Ona wraz z Krzysztofem i Zuzanna z Markiem. Mieli po dwóch synów mniej więcej w tym samym wieku, którzy wprawdzie nie kolegowali się specjalnie, ale tolerowali przy okazji wzajemnych wizyt rodziców. Spotykali się dość regularnie. U nich albo u Małgorzaty.

Częściej u nich, ponieważ tamci mieli dom, a Małgorzata tylko mieszkanie w bloku i działkę rodziców męża, której serdecznie nienawidziła. Czasami zazdrościła Zuzannie męża. Ambitny, na kierowniczym stanowisku, mieli wpływowych przyjaciół. Bardzo dbał o żonę. Wprawdzie niewiele czytał i mieli z Zuzanną rozbieżne zainteresowania, ale który facet interesuje się dramatem elżbietańskim? Faceci interesują się władzą, ekonomią, polityką. Właśnie tak jak Marek.

– Ostatnio nudzimy się ze sobą... – powiedziała Zuzanna. – Rutyna, nuda, za chwilę będzie miał kochankę, a mnie to zupełnie nie zainteresuje... – Kolejna biedronka, tym razem z dekoltu, poleciała w trawę. – Dobrze udajemy...

– Co ty mówisz?! Ale rozwodźcie się? – nie ustępowała Małgorzata, zastanawiając się, jak mogła nie zauważyć, że bądź co bądź najbliżsi jej ludzie mieli jakieś problemy. Koniecznie musi o tym powiedzieć Krzysztofowi. On musi porozmawiać z Markiem. Opowiedzieć mu o tym, jak należy dbać o żonę.

– Nie rozwodzimy się – zaprzeczyła Zuzanna. – Nie ma powodu. On nie zdradza mnie, ja nie zdradzam jego. Mogę robić, co chcę, on wraca do domu po pracy. Jest miły, dobry, pamięta o moich urodzinach. Dbą o chłopców.

– To o co chodzi? Nie sypiacie ze sobą?

– Sypiamy, nawet dość regularnie... tylko...

– No tylko co?

– Ja już chyba nic do niego nie czuję...

– A ty myślisz, moja droga, że w naszym wieku, z naszym doświadczeniem życiowym to coś nas ekscytującego czeka? – Małgorzata aż przystanęła. – Uczucie w końcu ewoluuje w kierunku przyjaźni. Po latach. Tak piszą wszystkie poradniki. Chyba u was jest właśnie idealnie. Przyjaźnicie się.

– On nawet nie próbuje zrozumieć Szekspira...

– A ty nawet nie próbujesz zrozumieć tej jego ekonomii... – ripostowała Małgorzata.

– A ty próbujesz zrozumieć Krzysztofa? – Zuzanna uśmiechnęła się samymi wargami.

– Naturalnie – Małgorzata przytaknęła z wielką pewnością siebie.

– U nas właśnie tak jest. Wielka namiętność ustąpiła miejsca przyjaźni i zrozumieniu. Chociaż właściwie nie tak całkiem ustąpiła...

– Chcesz powiedzieć, że dyskutujecie o jego pracy?

– Uchowaj Boże, żebym pytała go o trupy, które kroi ze swoimi studentami. Pytam o kwestie związane z jego pracą. Głównie naukową, bo to mnie interesuje. A on też nie pyta mnie o to, czy mały Kowalski radzi sobie z tabliczką mnożenia...

– Więc sypiacie ze sobą?

Małgorzata zastanowiła się, na ile szczerze odpowiedzieć. Wprawdzie były z Zuzanną blisko, ale do tej pory nie zwierzały się sobie z kwestii sypialnianych. Chociaż dlaczego miałyby ukrywać, jak bardzo zadowolona jest ze związku z Krzysztofem?

– Sypiamy i mogę ci powiedzieć, że odczuwam satysfakcję... – Zdecydowała się na szczerłość, zabarwiając ją nutą triumfu.

– Ale motyli w brzuchu nie czujesz?

– Motyle w brzuchu nie są dla nas. W naszym wieku mogłyby nas zabić... – Pożałowała szczerości, ponieważ nie chciała kontynuować tak osobistej rozmowy.

Nie była z nikim tak blisko jak z Zuzanną, chociaż nie nazwałaby jej nigdy swoją przyjaciółką. Ot, bardzo dobra koleżanka z dobrymi warunkami rodzinnymi, z którą znajomość była bezpieczna i wygodna. Co ona wymyśla? Motyle w brzuchu...

Niecałe dwa miesiące później czuła te motyle na każde wspomnienie o Adamie Zalewskim.

Jesień 2012

– Widzi pani, ona była jak... jak...

Mężczyzna schował twarz w dłoniach. Ręce miał duże, palce długie i szczupłe, paznokcie nierówno obcięte, ale czyste. Zza dłoni wystawały szpakowate włosy, pokrywające gęsto foremną głowę.

– Jak kto? – zapytała profesjonalnym tonem psycholożka.

Przestał zasłaniać rękoma twarz i patrzył prosto na siedzącą naprzeciwko niego kobietę. „Jest taka młoda – pomyślał – co ona może wiedzieć o życiu, o motywach postępowania, miłości, nienawiści?”

– Jak kwiat, jak wiosna, jak... cały ogród na wiosnę... – odpowiedział.

– To znaczy? – Psycholożka poprawiła się na krześle. Patrzył, jak dotyka dłonią skroni i odgarnia niewidoczny kosmyk włosów. „Uczesana jest za bardzo profesjonalnie, w ciasny, nietwarzowy kok. O wiele lepiej by wyglądała z rozpuszczonymi włosami” – pomyślał Krzysztof.

– To znaczy to, co powiedziałem. – Kiwnął głową.

– Pytałam tylko o to, dlaczego Diana wydawała się panu taka atrakcyjna. – Nie wychodziła z roli.

– Już samo jej imię było niezwykle. – Krzysztof się uśmiechnął.

– Dostała je na cześć księżnej Diany. Urodziła się w dniu, kiedy był ten królewski ślub. Jej matka w szpitalu oglądała transmisję. I nazwała ją właśnie tak... Diana.

– A pan jak do niej mówił?

– A to ważne dla mojej sprawy? – zapytał.

Nie miał nic przeciwko temu, żeby rozmawiać o Dianie, podobnie o wszystkim, co się stało, chciał wyrzucić z siebie zdarzenia po kolei, od początku do końca. Ale te psycholożki, zwłaszcza młode... Skąd mógł wiedzieć, czy ona chce mu pomóc czy tylko jest spragniona jakiejś prawdziwej historii o miłości z sensacją w tle. A może pyta wyłącznie z ciekawości?

– Panie Krzysztofie – kobieta pochyliła się lekko – przed nami długa droga. Wszystko, co pan powie, może być ważne. Wszystko może mieć znaczenie.

– Ma pani na myśli to, że wszystko jest po coś?

– Właśnie.

– A ja uważam, że nic nie jest po nic. – Uśmiechnął się.

– Jeśli nic nie jest po nic, to może wszystko jest po coś. Lepiej, niż żeby wszystko było po nic... – Mały gest palcami, ale świadczący o zdenerwowaniu.

„Wkurzyłem ją” – pomyślał Krzysztof. Westchnął, głównie, żeby zyskać na czasie. Nie miał pojęcia, czy chce współpracować, czy ta „terapia” jest mu potrzebna. Może w ogóle się nie bronić? „A jeśli jestem bardzo ważnym i ciekawym przypadkiem dla tej małej?”. Postanowił mimo wszystko jej się poddać, może na jakiś czas. „Ona napisze na mnie pracę albo zrobi doktorat... Nada temu sens właśnie w taki przewrotny sposób”.

– Mówiłem do niej Di. Albo lady Di. Lubiła to bardzo.

– Miał pan wrażenie, że pana lubiła?

– Kochała mnie. Czułem to od samego początku.

– Bardzo panu jej brakuje? – Profesjonalny wzrok zatrzymał się na nim ponownie.

– Nie ma pani pojęcia, jak bardzo...

– Proszę mi to zatem wyjaśnić.

– Nie wiem, jak będę w stanie dalej bez niej żyć... Kiedy dowiedziałem się, że umarła...

– Diana nie umarła, tylko została zamordowana.

– Kiedy dowiedziałem się, że... – głos mu się załamał – ...ktoś skrzywdził moją dziewczynkę, myślałem, że serce przestanie mi bić i umrę. Dziwiłem się, że nie przestaję oddychać, że jestem w stanie ruszyć ręką i nogą... Nie wiem, jak mam to pani wytłumaczyć.

– Chciał pan skończyć ze sobą od razu?

– Nie chciałem zrobić tego czynnie. Sądziłem, że to stanie się samo.

– Ale się nie stało samo... – powiedziała spokojnym tonem, jakby pytała, czy smakuje mu szpitalne jedzenie.

– Przecież jest tu pani dlatego, że próbowałem.

– Ale nie udało się panu dokonać udanej próby. Dlaczego?

– Przecież wie pani dlaczego.

Westchnął ponownie, bardziej na pokaz niż ze zmęczenia. Wydawało mu się, że powinien wzdychać, wyglądać na zrozpaczonego. Nie wszyscy samobójcy są zrezygnowani, przynajmniej ci, którym się nie udało.

– No, panu prawie się udało – przypomniła mu. – Miesiąc na oddziale intensywnej terapii, śpiączka... Potem oddział ogólny... Trochę czasu minęło...

– Teraz jestem tutaj, a pani wypytuje mnie o szczegóły mojej próby samobójczej, które świetnie pani zna...

– Wiem, ale chcę poznać pana wersję – przerwała jego myśli.

– Moja wersja jest bardzo prosta. Kobieta, którą kochałem, została przez kogoś zabita. Wydawało mi się, że to moja wina. Nie chciałem już żyć. Czekałem kilka godzin, aż umrę sam, ale tak się nie stało, więc wreszcie zażyłem tabletki.

– Skąd pan miał leki?

– Proszę pani... – Mężczyzna roześmiał się gorzko. – Teraz można kupić wszystko przez internet. Miałem je już wcześniej. Usypialiśmy naszego starego i śmiertelnie chorego psa. Zrobiłem to sam, zostało trochę leku. Dawka wydawała się wystarczająca na siedemdziesięciokilogramowego faceta... Cóż, medycyna ze mnie zakpiła...

– Nie dał ich panu znajomy? – zapytała.

– Nie. Zostały po Kajtku... – Krzysztof stanowczo pokręcił głową. – Mógłbym poprosić kogoś z kolegów, oczywiście, że mógłbym, ale nie chciałem. Pytaliby, po co mi tyle luminalu, i co bym powiedział... Że dla psa, bo mi zależało, żeby skończył w domu, a nie u weterynarza?

– Zostawmy psa... Przyjmijmy, że przez internet nie musiał się pan tłumaczyć. – Machnęła ręką.

– Właśnie. – Kiwnął głową, notując w pamięci, że psycholożka nie lubi zwierząt. – To tylko kwestia ceny.

– Nie żał panu było pieniędzy?

– To niedrogi lek, a bardzo skuteczny... – Krzysztof oglądał swoje ręce. – To był nasz pies... Czy to ważne?

– Ważne, bo pan jest lekarzem, a ja muszę się dowiedzieć, czy zaplanował pan swoją śmierć czy tylko pozorował...

– Po co miałbym pozorować? Żona dowiedziała się, że mam kochankę, a kochanka została zamordowana. Nie zniosłem tego. Co miałbym pozorować? – może powiedział to odrobinę zbyt szybko.

– Ma pan wciąż dzieci...

– Proszę pani – Krzysztof podniósł na kobietę zmęczony wzrok – nie sędzę, żeby po tym, co się stało, żona jeszcze chciała ze mną rozmawiać. Zresztą ja bym chyba nie chciał... A dzieci, proszę pani, odchodzą z domów. Mają swoje sprawy, swoje życie... Moi synowie to dorośli mężczyźni. Właściwie od ponad roku z nami nie mieszkali. Nocowali czasami, raczej okazjonalnie...

– Ale musieliby żyć z piętnem ojca samobójcy...

– Jestem pewien, że żona urządziłaby to tak, żeby myśleli, że miałem zawał. W moim wieku to się zdarza. Także z tej przyczyny połknąłem tabletki, a nie wybrałem na przykład sznura.

– Czyli planował pan jednak bardzo starannie – kobieta triumfowała. „To jednak kretyńka” – poddał się Krzysztof. „Nie pomogę jej zrobić doktoratu”.

– Można tak powiedzieć – zgodził się. – Zaplanowałem to bardzo starannie. Wprawdzie miałem tabletki po psie kupione przez internet, ale wcześniej popłaciłem rachunki...

– W takim momencie myślał pan o rachunkach? Uśmiechnął się lekko.

– Płacenie rachunków należało do moich obowiązków... Gdybym nie zapłacił, żona też by nie zapłaciła i odłączyliby nam na przykład prąd. Żona bardzo źle znosiła, kiedy odłączali nam telefon czy prąd, bo ja zapomniałem zapłacić.

– Żartuje pan sobie ze mnie. – Psycholożka zdjęła okulary i popatrzyła przenikliwie.

– A u pani w domu kto płaci rachunki? – Zainteresował się Krzysztof.

– To nie ma znaczenia. – Kobieta znów włożyła okulary.

– Przeciwnie. – Ożywił się Krzysztof. – Widać, że pani płaci. Jeśli pani zapomni, to może mieć pretensje tylko do siebie.

– Odłóżmy na bok kwestię rachunków...

– Odłóżmy – zgodził się. – Chociaż jestem tu dlatego, że chciałem zapłacić rachunek...

– Wróćmy do Diany...

– Wróćmy – znów się zgodził. Teraz znowu nie miał ochoty rozmawiać o miłości swojego życia z osobą, której było to zupełnie obojętne, a która w idiotyczny sposób uparła się, żeby pytać o wszelkie związane z tym szczegóły. Uśmiechnął się lekko. Zdał sobie sprawę, że właściwie z nikim nie rozmawiał do tej pory o niej. Przecież nie dlatego, że nie chciał o niej powiedzieć całemu światu. Może dlatego, że

faceci nie opowiadają sobie o miłości. Opowiadają raczej o kasie, którą zarobili i niechętnie wydali, o planach, głównie dzieci i żon. Ale o kochankach? O kochankach pewnie też rozmawiają, jeśli chcą się nimi pochwalić. Tyle że on nie chciał. Ta dziewczyna była tylko jego. Od początku do końca. Przynajmniej na początku była jego. Bo na końcu...

– To dlaczego pan ją tak nazwał?

– Już mówiłem, że to chodziło o księżną Dianę. Chciałem podkreślić, że jest dla mnie jak księżniczka.

– Nie pomaga mi pan. – Westchnienie.

– Nie wiem, jak pani pomóc – odpowiedział jej niechętnie. – Pani pyta o intymne sprawy, a ja staram się pani odpowiedzieć. Najlepiej jak potrafię. Może gdybym wiedział, po co te pytania...

– To intymne sprawy? – Zdziwiła się. – Imię, które znają wszyscy? „Czy to jest naprawdę kretyńka, czy tylko mnie prowokuje?” – znów nie umiał tego rozstrzygnąć.

– Proszę nie udawać. – Uśmiechnął się. – Jak się do pani zwraca chłopak? Mąż? Z plakietki wynikało, że ma na imię Aleksandra.

– Już mówiłam, że nie jestem tu po to, żeby rozmawiać o mnie. Proszę nie zadawać mi osobistych pytań i w żaden sposób nie prowokować.

– A więc widzi pani – Krzysztof zatriumfował. – Sama myśl, że miałaby mi pani powiedzieć, czy ma męża, czy jest, jak to się teraz mówi, singielką, nie jest pani miła. To osobiste, prawda?

– Powiedzmy to sobie raz jeszcze i zupełnie wprost. – Psycholożka włożyła okulary. – Jest pan po próbie samobójczej, w szpitalu psychiatrycznym. Ja jestem psychologiem, który ma ustalić, czy miał pan coś wspólnego ze śmiercią Diany Iwanickiej.

– Ooo. – Zdziwił się. – Nikt mnie nie oskarżył...

Oskarżenie było dość absurdalne. Bardzo go zaskoczyło. Przecież nie zabija się osoby, którą się kocha.

– Formalnie nie zostało wniesione oskarżenie. – Kiwnęła głową.

– Ale zlecono mi tę sprawę. Dlatego poświęcam panu tyle czasu. Myślał pan, że zajmujemy się tak wnikliwie każdym niedoszłym samobójcą?

– Nic nie myślałem – odpowiedział cicho. – Zastanawiałem się nawet dlaczego...

– Dlatego – ucięła psycholożka. – Czyli co z tym imieniem?

– Di. – Krzysztof podniósł obie ręce do góry w geście „poddaję się”. – Jak księżna, moja królowa. Każdy mężczyzna powinien nadać ukochanej imię. Najlepiej byłoby, żeby tylko on tak do niej mówił. Do pani chyba wszyscy mówią „Ola”, a ukochany na pewno jakoś specjalnie... Oleńka, Olutka...

– Panie Krzysztofie... – Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

„A więc trafiłem” – pomyślał. „Ktoś tak do niej mówił, były albo obecny...”

– Przepraszam. – Pochylił głowę. – Mówiłem „Di”. Do żony zwracałem się „Małgosiu”. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

– Wystarczy na dziś. – Kobieta zebrała notatki. – Chodziło mi o to, żebyśmy się mogli poznać. I mam wrażenie, że nawiązaliśmy dobry kontakt.

– Bardzo dobry. Dziękuję pani. – Krzysztof pochylił głowę. – Do widzenia pani...

– ...Olu – dodał, kiedy kobieta już wyszła.

Nie wiedział, czy psycholodzy reagują na poddańcze gesty. Pochylenie głowy powiedziałoby zwierzęciu, że ten pochylający poddaje się, że będzie współpracował albo ustąpi. Prędeż, że ustąpi, jedzenia, terytorium. Co mogła pomyśleć taka Ola? Jeśli była dobra, na pewno zrozumiała, że Krzysztof chce współpracować, że poddał się i powie jej wszystko, co chce wiedzieć, byleby tylko znaleźli tego drania, który skrzywdził Dianę.

Doskonale pamiętał, kiedy pierwszy raz nazwał ją Di. Już wiedział, jak ma na imię, ale mimo wszystko zapytał. Powiedziała: „Diana”. On natychmiast odpowiedział: „Pewnie wszyscy mówią do pani Di”. „Nikt tak do mnie nie mówi” – odparła. A potem dodała: „Skąd pan wie?”. „O czym niby miałbym wiedzieć?”. „Urodziłam się tego samego dnia, kiedy był jej ślub. Lady Di. Mama tak mnie nazwała na jej cześć. A potem nikt do mnie tak nie mówił. Dopiero pan...”. „Tylko ja będę tak do pani mówił: Di. Zgoda?”. „Zgoda”. – Roześmiała się.

Od tego czasu tak do niej mówił i tak o niej myślał. Jak o księżniczce, istocie szczególnie delikatnej, stworzonej do specjalnego traktowania i wspaniałej przyszłości. Sam myślał, że taką przyszłość mógłby jej zapewnić. Prawdziwa lady Di zginęła. Jego Di także już nie ma. A on może zostać oskarżony o to, że zrobił jej krzywdę.

„Los bywa zupełnie niepojęty” – myślał, kiedy pielęgniarz odprowadzał go do jego pokoju szpitalnego i zamykał drzwi na klucz. „Dlaczego zamykają mnie tutaj w pojedynczym pokoju? Czyżby już mnie oskarżyli o jej śmierć?”.

Jesień 2011

Małgosia się niepokoiła. Ogarniało ją jakieś niejasne poczucie lokalizujące się to w brzuchu, to w głowie. Siedziała w pustym pokoju nauczycielskim, mieszała powoli kawę w ulubionym kubku i zastanawiała się, co też to może takiego być. „Może okres będę miała ze dwa dni wcześniej – zastanowiła się – albo przeciwnie – pomyślała z przerażeniem – może to klimakterium”. Rany boskie, to by dopiero było. Miała przecież tylko czterdzieści pięć lat. Chociaż czy na pewno tylko? Mogła zostać babcią. Synowie byli dostatecznie dorośli, żeby poczęstować ją taką wiadomością. Oczywiście nijak miało się to do odpowiedzialności, ale na tej wartości biologia zwykle nie bazuje. Z drugiej strony mogła także zajść w ciążę. Na przykład po ostatnich harcach. Miała wkładkę, ale wiadomo, jak to jest – żadne zabezpieczenie nie jest stuprocentowe. Monica Bellucci urodziła córkę dokładnie w jej wieku. „O czym ja myślę – skarciła się w duchu – co mi przychodzi do głowy...”.

– Sama jesteś? – Anna Wajnert cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Też się dziwię – powiedziała Małgorzata, wstając, żeby umyć kubek. – Sama jestem i myślę o tym, że mogę zostać babcią...

– Co ty mówisz? – Anna z wrażenia wzięła kubek Małgorzaty i upiła z niego łyk.

– Nie – uspokoiła koleżankę. – Tylko teoretycznie...

– Teoretycznie, to wiesz, cegła może...

– Wiem – ucięła dyskusję. – Nie jestem w nastroju. Nie wiem czemu.

– Jak nie wiadomo czemu, to u facetów kasa, a u nas na mur hormony...

– Dokładnie tak. – Małgorzata odebrała Annie swój kubek. – Poszłam dokładnie tym tropem. I właśnie zastanawiałam się, czy to może wcześniej okres, kiedy pomyślałam, że może wręcz przeciwnie...

– Wiesz co – Anna wyciągnęła rękę po kubek, który Małgosia przykryła jedną dłonią, a drugą jej pogroziła – jesteś jedyną znaną mi osobą, która jest tak kobieca, że mogłaby urodzić nawet koło pięćdziesiątki... Co ci przychodzi do głowy?

Małgorzata wzruszyła ramionami. Sama nie wiedziała, co się z nią działo. Jakby nagle miała za mało siły. Do tej pory wystarczało jej na codzienne życie wypełnione dbaniem o Krzysztofa, chłopców, jeśli oczywiście tego potrzebowali... Wystarczyło na zakupy, kawę z koleżanką, organizowanie weekendów i świąt, ale coś się wyczerpało. I to raczej nieodwracalnie.

– Wiesz, gdzie jest reszta? – spytała, chcąc ukrócić dyskusję o kobiecości i hormonach.

– Wszyscy podziwiają nowe boisko, a dyrektor je otwiera... Ksiądz święci... – wymamrotała plastyczka, trzęsąc czerwonymi dreadami. Miała na sobie cieniutką fioletową sukienkę i zielony sweter. Wyglądała jak szczególnie piękny okaz motyla.

– Przecież to nie on wybudował boisko – powiedziała Małgorzata. – Czy ci ludzie kompletnie zwariowali?

– Nie on wybudował, ale on oczywiście otwiera. – Czerwone dredy zatrzęsły się ponownie. – Wiesz,

jak to jest...

– Mnie to w ogóle nie interesuje – przyznała się. – Nie zamierzam mu się przypodobać. Nie będę stała na boisku. Jest zimno, a ja zbyt lekko się ubrałam.

Dyrektor na razie był jej zupełnie obojętny. Nie poświęcała mu specjalnych myśli, raczej krótkie chwile uwagi, zastanawiała się, jak przyjdzie jej z nim współpracować, co to może dla niej oznaczać i czy przypadkiem nie będzie trzeba o coś walczyć. Walka wprawdzie nie była Małgorzacie obca, ale nie lubiła uczucia zaskoczenia, wolała starannie się przygotować, poznać przeciwnika i przemyśleć najodpowiedniejszą strategię. To, że dyrektor otwierał boisko, które wybudowała jego poprzedniczka, nie musiało wcale oznaczać, że przypisuje sobie cudze zasługi. Mogło oznaczać tylko to, co oznaczało, mianowicie że nowy dyrektor otwiera nowe boisko szkolne. Tylko tyle. Przyszłość pokaże, czy rzeczywiście.

– Bo nie boisz się, co z tobą dalej – stwierdziła Anna.

– Dlatego też. – Uśmiechnęła się do koleżanki. – A poza tym nie mam ochoty brać udziału w wyścigu o sympatię dyrektora. Śliczna sukienka.

– Dziękuję. A co do wyścigu, to nie musisz się ścigać, bo prześcignęłaś go już na starcie swoim wystąpieniem.. A poza tym nie musisz patrzeć, jak on próbuje coś powiedzieć, przekrzykując dzieci, bo nie wpadł na to, żeby wziąć mikrofon...

– Coś ty?

– Tak. – Anna zachichotała. – I ksiądz tak wywinął kropidłem, że zamiast na boisko, poszło na jego garnitur. I to jak dziwnie, zagarnął połowę wody z tej wielkiej kropielnicy. Dyrektor wygląda teraz jak zmokły kogut. Pieje w każdym razie na mokro...

Małgosia się roześmiała. Lubiła Annę, ponieważ ta potrafiła każdego rozśmieszyć. Myśli o starości i braku sił nagle z niej wyparowały.

– To może jeszcze się załapię na coś śmiesznego...

– Raczej już nie. Kiedy wychodziłam, to kończyli... Chyba że będzie chciał zagrać mecz... Obie zachichotały.

– Gosia, ja właściwie to przyszedłam zaprosić cię na sobotę, wiesz, do tego mojego domu kultury, otwieram wystawę... – Anna sięgnęła w głąb kolorowej torebki i wyjęła zaproszenie. – Przepraszam, że dopiero dziś, tak w ostatniej chwili, a nie na radzie, ale wtedy nie wiadomo dokładnie było, czy się odbędzie, wiesz, jak to jest...

– Daj spokój. – Małgorzata sięgnęła po zaproszenie. – Przyjdę z największą przyjemnością. Wiesz, że uwielbiam twoje obrazy.

– Weź, kogo chcesz. Męża koniecznie... Będzie fajnie. Tomuś wszystko koniec końców super załatwił. Będzie wino, fajoskie rzeczy do jedzenia...

– Przede wszystkim twoje obrazy...

– Właśnie! – Energicznie kiwnęła głową, wybiegając z pokoju.

– Lecę resztę zaprosić, zanim się rozejdą.

– Leć, leć – krzyknęła za nią Małgorzata. – W sekretariacie też zostaw. Nie wypada go pominąć... Chociaż nie wygląda mi na wielbiciela sztuki – dodała już do siebie.

Rozejrzała się z westchnieniem wokół i wypięła ostatni łyk kawy. Przeplukała kubek ze swoim imieniem wplecionym w gotycki wzór, odstawiała na suszarkę i starannie wytarła ręce. Potem otrzepała nieskazitelne szare spodnie z jedwabiu, włożyła o ton ciemniejszy żakiet, wzięła torebkę, wyprostowała się i wyszła z pokoju. Przeszła kilka kroków i z westchnieniem zawróciła. Zwykle nie przejmowała się tym, że zostawia pokój otwarty. Zasada, że ostatni zamyka drzwi na klucz, który odnosi do sekretariatu, była zbyt często łamana przez innych, żeby Małgorzata czuła się w obowiązku jej przestrzegać. Tyle że przed wakacjami ginęły drobiazgi z niezamkniętego pokoju nauczycielskiego, raz nawet jedna z koleżanek straciła buty... Po co narażać się na oskarżenia, że swoim zaniedbaniem przyczyniła się do kradzieży. Przekręciła klucz w zamku i poszła w stronę sekretariatu. Energicznie zapukała i natychmiast nacisnęła mosiężną klamkę. Była przekonana, że w środku znajduje się tylko pani Jola, która nawet nie uniesie tępego wzroku znad czasopism, z lubością przeglądanych w czasie pracy. Miejsce sekretarki było jednak puste.

– No nic – powiedziała półgłosem – wieszam klucz w gablotce...

– Tak, słucham? – Młody mężczyzna wyszedł z głębi swojego gabinetu. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Klucz wieszalam. – Małgorzata była bardzo zaskoczona. – Klucz powiesiłam – dodała.

– Jaki klucz? – Dyrektor stał i patrzył na swoją podwładną z wyraźnym zaciekawieniem.

– Co się panu stało? – zapytała.

Chrząknął.

– Nie mam wprawy w otwieraniu boisk – odpowiedział.

– Wygląda pan, jakby otwierał basen – powiedziała, patrząc na niego uważnie. Zaczął się śmiać.

– Coś takiego, wie pani, widziałem na filmie. – Nie przestawał się śmiać. – Ten ksiądz...

– Sebastian – podpowiedziała Małgorzata.

– Właśnie – podchwycił. – Ksiądz Sebastian. Niechący wylał na mnie wodę święconą. I dlatego tak wyglądam.

– Jest pan cały mokry – stwierdziła.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza. – Uśmiechnął się do niej.

– I co pan z tym robi? – zapytała, krzyżując ręce na piersiach. Wpatrywała się w niego, jakby dyrektor był rzadkim okazem przyrodniczym.

– Nic – wyznał. – Czekam, aż wyschnę.

Czyli było tak, jak myślała. Stał mokry we własnym gabinecie i nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– A gdzie jest pani Jola? – dociekała, nie myśląc, że może mężczyzna chciałby zostać sam i wreszcie zdjąć przemoczone rzeczy.

– Ma urlop w dniu dzisiejszym – powiedział, jakby się tłumaczył. – Nie myślałem, że będzie potrzebna. Nie przewidziałem, że będę potrzebował...

– Nie jest potrzebna tu do niczego – Małgosia odzyskała mowę.

– Niech pan zdejmie marynarkę.

Postawiła torebkę na krześle dla interesantów i zdjęła żakiet. Adam Zalewski zdjął marynarkę i podał Małgorzacie, która wzięła ją i powiesiła na drugim krześle. Potem podeszła do bocznej szafy i otworzyła

jedną z szuflad. Wyjęła z niej dwa ręczniki. Jeden podała dyrektorowi, a drugim zaczęła osuszać marynarkę.

– Niech pan wytrze sobie głowę – zasugerowała, widząc, że mężczyzna stoi zaskoczony.

– Ręcznik się pobrudzi – powiedział.

– A pan ma włosy pomalowane plakatówką? – zapytała, nie przerywając pracy. – Niechże pan nie będzie dzieckiem. Jeśli się pobrudzi, to się upierze, a pan nie powinien wychodzić mokry. Jest dość chłodno i wieje wiatr.

– Nie wiedziałem, że jest tu ręcznik. – Zaczął wreszcie wycierać czarne włosy.

– Przecież ma pan umywalkę w gabinecie, bo takie są przepisy, a koło niej na wieszaczku ręcznik i ściereczkę.

– Tak, tylko nie wiedziałem, że te ręczniki są tutaj. – Pokazał palcem. – Marzyłem o czymś do wysuszenia. Próbowałem papierem toaletowym... – Małgorzata nic nie powiedziała, tylko wzniosła oczy ku niebu.

– Proszę bardzo. – Podała marynarkę. – Na tyle sucha, żeby dotarł pan jakoś do domu.

– Dziękuję pani... Małgorzato. – Kiwnął głową. – Bardzo pani dziękuję. Już nie czuję się tak... śmiesznie.

– Nie ma powodu. – Małgorzata zwinęła oba ręczniki w rulonik i włożyła do reklamówki leżącej pod zlewem. – Zresztą bez przesady...

– Trochę autorytetu straciłem...

„Jeszcze go nie zbudowałeś, kolego” – powiedziała do niego w myślach.

– Przesadza pan – powiedziała zamiast tego. – Do widzenia.

– Proszę poczekać. – Postąpił krok do przodu. – Wychodzi pani?

– Już skończyłam pracę – potwierdziła.

– Może mógłbym panią odwiedzić do domu? Albo we wskazane miejsce... – zapytał. – Straciła pani przeze mnie trochę czasu...

– Przesadza pan – powtórzyła. – Zajęło mi to kilka minut.

– Mimo wszystko...

– Naprawdę dziękuję – powiedziała. – Bardzo blisko mieszkam. Spacerem kilka minut.

– W takim razie bardzo pani dziękuję za pomoc. – Ukłonił się.

– Proszę – powiedziała, odwracając się. – Do widzenia.

Prawie zderzyła się z gwałtownie otwierającymi się drzwiami do sekretariatu. Do pokoju wpadła Anka z rozwianymi dreadami i stanęła jak wryta.

– Bardzo przepraszam – stropiła się plastyczka, widząc dyrektora z ręcznikiem w rękę.

– Do widzenia – Małgorzata powiedziała to po raz trzeci, czując, że za chwilę eksploduje.

Wychodząc, słyszała, jak Anka przeprosza za wtargnięcie bez pukania i tłumaczy się, że chciała tylko zostawić zaproszenie na swoją wystawę, a dyrektor zapewniał, że na pewno pofatyguje się osobiście na to doniosłe wydarzenie.

„Gdybym jej nie obiecała, to na pewno nie poszłabym w takim układzie” – pomyślała niezadowolona.

„Po co ja mówiłam Ance, żeby zostawiła to durne zaproszenie w sekretariacie? Co we mnie wstąpiło?”.

Po chwili jej irytacja sięgnęła zenitu, kiedy poczuła, że to jednak okres był przyczyną jej gorszego samopoczucia. W dodatku była już na ulicy, w torebce nie miała nic na tę okazję poza chusteczkami higienicznymi, a na domiar wszystkiego cieniutkie majtki i jedwabne spodnie, które na pewno zostaną poplamione.

– Tyle krwi jest we mnie – mruknęła do siebie. – Tyle wypływa i tyle jeszcze zostaje. Jakiś absurd...

Jesień 2012

– Witam serdecznie. – Psycholożka zdjęła zakiet i zawiesiła go na poręczy sfatygowanego krzesła. „Jest dziś jakaś swobodniejsza, bardziej wyluzowana, jakby powiedzieli moi studenci. Może to kwestia uczesania” – zastanawiał się.

Zmiana w jej zachowaniu ucieszyła go. Aleksandra ciasny kok zamieniła na bardziej twarzowy koński ogon, ale Krzysztof i tak był zdania, że przy jej owalu twarzy korzystne byłoby wyłącznie rozpuszczenie luźno włosów. Pewne jej gesty świadczyły o zmianie nastroju. Podczas ich pierwszego spotkania była bardzo zasadnicza, sztywna i profesjonalna. Od razu przeszła do rzeczy, chociaż nie chciała się poruszać zbyt długo w kwestii dlaczego, czy i tak dalej... Spotkanie zakończyła nagle, może to też było charakterystyczne dla psychologów. Może dla pierwszych spotkań... Nie wiedział tego. Zaliczył wprawdzie semestr psychologii, ale uczyli głównie tego, jak rozmawiać z pacjentem, jak przekazywać złe wiadomości o nieuleczalnej chorobie, nieuchronnej śmierci. Prawdziwej psychologii, teorii i praktyki, na tych studiach nie było. Teraz pomyślał, że przydałoby mu się takie przygotowanie.

– Również witam, chociaż ja powinienem raczej powiedzieć „dzień dobry” – odpowiedział.

– A to dlaczego? – Aleksandra wykonała gest, jakby chciała z powrotem włożyć zakiet. Powstrzymała się jednak. Zamiast tego czujnie popatrzyła na Krzysztofa.

– Nie słyszała pani o ostatniej fali dyskusji, jaka przetoczyła się w internecie? Na temat tego „witam”?

– Coś tam słyszałam... – odpowiedziała wymijająco.

– Tylko pani może powiedzieć „witam”, bo jest niejako „u siebie”. Ja mogę co najwyżej odpowiedzieć „dzień dobry” – próbował nie popsuć jej dobrego nastroju.

Kobieta zawahała się chwilę. Wyczuł to doskonale i zły był na siebie, że zepsuł dzisiejszy seans. Wyglądało na to, że chciała mu okazać sympatię, a on zachował się jak idiota. No cóż, może naprawi to w trakcie rozmowy.

– Zapamiętam – mruknęła. – Jak pan się dzisiaj czuje?

– Dziękuję, bardzo dobrze – powiedział szybko.

Bzdura, wcale nie czuł się dobrze. Był tu już czwarty dzień, w zamkniętym pokoju. Leki, te, które przyjął, żeby skończyć ze sobą, przestawały działać. Nie czuł już przyjemnego otumanienia, wrażenia nierealności, nie umiał zasnąć na zawołanie. Ze snem zawsze miał kłopoty. Źle sypiał w nowym miejscu, byle hałas go budził, a potem długo przewracał się w łóżku, rozmyślając o minionym dniu, swojej sytuacji, licząc barany albo gwiazdy, w zależności od pogody i nastroju. Wczorajszej nocy nie spał ani minuty. Za ścianą jęczał jakiś nieszczęśnik i Krzysztof zastanawiał się, co tamten zrobił, że znalazł się w tym samym miejscu – na oddziale zamkniętym. Też chciał skończyć ze sobą? Jeśli tak, to najwyraźniej żałował, że mu się nie udało.

– Na pewno dobrze? – zapytała psycholożka. – Oczy podkrążone. Spał pan w nocy?

– Nie mogłem zasnąć – przyznał się. – Sąsiad za ścianą cierpiął i jęczał... Niestety, zdrzemnąłem się

tylko trochę.

– Ale powiedział pan, że bardzo dobrze się czuje. Dlaczego pan kłamie?

Atak był tak niespodziewany, że Krzysztof zaniemówił zaskoczony.

– Chciałem być miły – powiedział słabo.

– Chcę, żeby pan odpowiadał szczerze na moje pytania. – Aleksandra włożyła zakiet i poprawiła okulary. – Kłamstwa mnie nie interesują. Ani na temat sprawy, ani nawet pana samopoczucia.

Na wszelki wypadek nie odpowiedział. Wyglądało na to, że dobry nastrój psycholożki ulotnił się bezpowrotnie.

– Jak się poznaliście? – przeszła do konkretów.

Krzysztof odetchnął głęboko. Nie było powodu, żeby o tym nie mówić. Przez cały rok wspominał to pierwsze spotkanie. Przyrównywał do sposobu, w jaki poznawały się pary filmowe, pytał kolegów, jak poznali swoje partnerki, żony... Zastanawiał się nad przypadkiem, jaki rządzi życiem człowieka. Tamtego dnia postanowił wrócić do domu okrężną drogą, żeby uniknąć korków. Pracował na Chałubińskiego, mieszkał na Bielanach. Zwykle jeździł do pracy tramwajem, albo lepiej metrem, ale tego dnia odbierał samochód od kolegi, któremu pożyczył auto na weekend. Kolega powiedział, że przyjedzie nim do pracy, a Krzysztof się zgodził, nie chcąc wizyt tego ostatniego w domu i opowieści o rodzinnym wyjeździe, którym przysłuchiwałaby się Małgosia, wiecznie zrzedząca, że oni nigdzie się nie ruszają, od czasu do czasu tylko na działkę teściów, gdzie nie mogą być przez minutę sami. Wracał więc przez Ochotę. To było spore nadłożenie drogi, ale przejazd przez rozkopane Śródmieście nie wydawał mu się w żaden sposób atrakcyjny. Na rondzie Zawiszy stanął na prawym, najbardziej skrajnym pasie. Kiedy światła zmieniły się, ruszył sprawnie, chcąc uniknąć trąbienia z tyłu. Przed maską nieoczekiwanie coś zamigotało, rozległ się stuk i Krzysztofa oblał zimny pot. Mozart sączący się z głośników zamilkł i Krzysztof jak w zwolnionym tempie spojrzał na przechodniów stłoczonych przed przejściem, patrzących to na niego, to pod maskę jego samochodu. Na ułamek sekundy zastygł, a następnie wybiegł z samochodu, żeby zobaczyć, co się stało. Pod maską zobaczył rower, a raczej to, co z niego zostało. Obok leżała na betonie młoda blondynka, skulona w pozycji embrionalnej, trzymając się za nogę i cicho jęcząc. „Boże drogi – powiedział wtedy, widząc krew na jej nodze i na nawierzchni jezdni – co ja zrobiłem?”.

– Potrafiłem ją samochodem na przejściu dla pieszych – powiedział grzecznie jak uczeń do nauczycielki.

Aleksandra pytająco uniosła brwi. „Spodziewałaś się pewnie czegoś innego, co?” – pomyślał. „Na przykład, że uwiodłem studentkę albo to była przyjaciółka żony...”.

– Stałem na czerwonym i ruszyłem, kiedy tylko zmieniło się światło. Ona jechała rowerem i w ostatniej chwili, na żółtym, próbowała przejechać przez pasy. Nie miałem szans właściwie i tak naprawdę to była jej wina.

– Stało jej się coś wtedy? – Obojętność w tonie Aleksandry ponownie go zaskoczyła.

Szprycha wbiła jej się w łydkę. Sterczała na wylot jak w jakimś filmie grozy. Bardzo ją bolało. Krzysztof pamiętał, że była tak przerażona i cierpiąca, że chciał wziąć ją na ręce i zanieść do szpitala. Ludzie zgromadzili się wokół. Jedni pokrzykiwali coś w obronie kierowcy, który jechał prawidłowo, inni patrzyli na krew ciekącą z nogi dziewczyny i kiwali głowami, z dezaprobatą komentując całe zajście. Mało kto poszedł dalej swoją drogą.

– Tak, szprycha wbiła jej się w łydkę – odpowiedział. – Udzieliłem jej pierwszej pomocy i poprosiłem, żeby ktoś wezwał pogotowie.

– Strasznie panią przepraszam – powiedział wtedy. – Boże drogi, strasznie panią przepraszam.

– To moja wina – odpowiedziała – ja wjechałam pod koła.

Łzy leciały jej ciurkiem z błękitnych oczu i cała się trzęsła z bólu i strachu.

– Zaraz przyjedzie pogotowie. – Głaskał ją po ręce. – Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Jestem lekarzem, wszystko będzie dobrze – powtarzał.

– Stracę nogę, stracę nogę – upierała się.

– Ależ skąd – zaproponował, mimo że sam zaczynał się trząść.

– Wyjmą tylko tę szprychę, ale to musi zrobić chirurg. Mógłbym, ale... nie będę sprawiał pani bólu. Na chirurgii znieczulą. Zostanie mała blizna. Do wesela się zagoi.

– Dziękuję panu, bardzo dziękuję i przepraszam, że zniszczyłam panu samochód – powtarzała jak mantrę do przyjazdu policji i karetki pogotowia, przyciskając do piersi mały plecak, w którym, jak zgadł, miała dokumenty. Krzysztof z trudem pozwolił pielęgniarzowi na odebranie sobie tej dziewczyny. Z żalem patrzył, jak silny, młody mężczyzna unosi ją jak piórko i kładzie na nosze, które znikają w karetce.

– Chce pan złożyć skargę na tę panią? – zapytał go policjant po tym, jak Krzysztof oderwał w końcu wzrok od dziewczyny znikającej za drzwiami karetki pogotowia.

– Skąd znowu. – Pokręcił głową przecząco, patrząc, jak policjanci po spisaniu jego danych chowają się do radiowozu. – Biorę rower.

– I co było dalej? – zapytała Aleksandra.

– Przyjechało pogotowie i zabrało ją do szpitala. Potem była policja. Policjant zapytał mnie, czy chciałbym złożyć na nią skargę. Nie miałem takiego zamiaru, naturalnie.

– Ale chciał pan się z nią jeszcze zobaczyć?

– Od razu – przyznał się. – Ten piorun, chemia, czy co to tam jest, zadziałał natychmiast. Przynajmniej na mnie.

– Co pan czuł?

– Byłem w szoku. – Zastanowił się, jak dokładnie opisać swoje odczucia. – To nie była moja wina, ale potrafiłem człowieka. Nigdy wcześniej nie miałem wypadku samochodowego, nawet stłuczki. A tu coś takiego...

– Ale zareagował pan profesjonalnie, jak lekarz...

– Tak – zgodził się. – Mimo że nie jestem lekarzem.

– Z karty informacyjnej wynika, że pan skończył medycynę i pracuje jako lekarz... – Nerwowo przerzuciła kartki z teczki, którą wyjęła z torby.

– Skończyłem medycynę – zgodził się. – Ale pracuję jako kierownik w Zakładzie Anatomii Prawidłowej na Chałubińskiego. Mam zajęcia ze studentami. Nie praktykuję jako lekarz, nie lecę, nie

mam już prawa wykonywania zawodu. Innymi słowy, gdyby pani chciała receptę, to niestety, nie do mnie...

– Wiem, gdzie pan pracuje, ale odniosłam wrażenie, że raczej tam pracują prawdziwi lekarze.

– Praktykujący – poprawił.

– To chyba wszystko jedno... – odpowiedziała dość niechętnie.

Pominał milczeniem tę kwestię. Nie czuł się jak lekarz, więc nie było sensu się upierać przy swoim.

– Często tak – ponownie się zgodził. – Chirurdzy głównie. Zajęcia ze studentami traktują jako dodatkowe szkolenie. Ja pracowałem jako asystent w pełnym wymiarze godzin. Nie mam praktyki lekarskiej ani specjalizacji.

– A kiedy został pan kierownikiem?

– Widzi pani, właśnie tego dnia się o tym dowiedziałem..

– Naprawdę? – Pierwszy raz zobaczył w jej oczach autentyczne zainteresowanie.

– Właśnie. – Energicznie kiwnął głową. Ucieszył się, widząc jej zaangażowanie. – Nie wierzyłem, że są dni, które całkowicie odmieniają nasze losy... A to był właśnie taki dzień.

– Może miało to wpływ na pana koncentrację? – zasugerowała.

– Raczej nie – zaprzeczył. – Wiedziałem, że tak może się stać. Mówię o nominacji – sprostował. – Miałem tylko dwóch konkurentów w konkursie i byłem już wcześniej typowany na kierownika. Poprzedni profesor lubił mnie i wyraźnie wyróżniał. On mnie zresztą rekomendował. Byłem etatowym pracownikiem. Po doktoracie, w trakcie habilitacji. Pewnie za dwa lata zostałbym profesorem nadzwyczajnym..

– Nie świętował pan? Z kolegami?

– Proszę pani, moją trzeźwość sprawdzała policja... – pozwolił sobie na zmęczony ton.

– Chodzi mi o to, czy coś mogło z pana strony przyczynić się do tego wypadku?

Tyle razy zadawał sobie to pytanie. Czy to mogło być przez ten konkurs? Od tego wszystko się zaczęło. Nie zależało mu na objęciu kierowniczego stanowiska. Złożył jednak papiery. Tak było łatwiej. Małgosia bardzo nalegała. Dla niej to był problem, że mąż, który skończył medycynę, nie może wypisać recepty ani zbadać znajomego dziecka. Wstydziła się chyba. O jego pracy mówiła: krojenie trupów. Doktorat przyjęła jednak z wyraźną dumą i radością. Na obronę sprowadziła pół szkoły, w której pracowała, i dopilnowała, żeby przyszła cała bliższa i dalsza rodzina. Bardzo zachęcała go do badań habilitacyjnych i była gotowa zwolnić go z wszelkich obowiązków domowych, byleby tylko publikował prace czy występował publicznie. Kiedy dowiedziała się o możliwości objęcia przez niego kierownictwa katedry, tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż złożył wszystkie stosowne papiery na długo przed końcem terminu nadsyłania zgłoszeń. Nie o to chodziło, że sam tego nie chciał. Tylko o to, że żona nie pozwoliła mu pomyśleć o tym spokojnie. Czy to wszystko miało wpływ na spowodowanie wypadku? Nie, absolutnie. Od początku do końca była to wina Diany, która wjechała w jego życie na białym rowerze i wszystko zmieniła.

– Na pewno nie – powiedział stanowczo. – To była jej wina od początku do końca.

– Wydaje się, że tak rzeczywiście było. Muszę jednak potwierdzić te fakty w raportach policyjnych... – Aleksandra zdjęła okulary i rozłożyła bezradnie ręce, jakby była rozczarowana faktem, że nie może na

razie udowodnić Krzysztofowi potencjalnej winy. – Pomyślałam, że powinien pan się przespać. Rozmawiałam z lekarzem prowadzącym i zostanie pan przeniesiony w bardziej ustronne miejsce. Doktor zaproponuje coś panu na sen. Radziłabym się zgodzić na przyjęcie leków.

– A mam jakiś wybór? – Był ciekawy, co ona na to odpowie. Właściwie powinna zawołać lekarza, żeby mu wytłumaczył, dlaczego ma przyjmować leki nasenne.

– Nie może pan na razie wyjść ze szpitala. Ciągłe stanowi pan zagrożenie dla siebie. Poza tym prokuratura jeszcze nie podjęła decyzji, czy wprowadzi pana w stan oskarżenia. Niech pan odpoczywa i się wyśpi. I proszę niczego nie analizować. Od tego jestem ja.

– Nie będę analizował. – Pokiwał głową, zapominając o tym, że miał jej nie okłamywać. – Do widzenia pani.

– Do jutra. – Poważnie skinęła mu głową. – Będziemy dłużej ze sobą rozmawiać i spróbujemy wszystko wyjaśnić...

– Oczywiście – zgodził się z nią. – Czy mógłbym spotkać się z żoną?

– Na razie jest to wykluczone – powiedziała Aleksandra, nie patrząc na niego. – Mógłby pan zacząć analizować.

Kiedy wyszła, roześmiał się krótko, nerwowo. Nic z tego nie rozumiał. Oni wszyscy też nie rozumieli. Nie udało mu się odejść, umrzeć, zasnąć na wieki. Może to uwolniłoby go od dręczącego poczucia winy.

Jesień 2011

Małgorzata raz po raz zerknęła na zegar kuchenny, którego wskazówki nieubłaganie posuwały się do przodu. Mąż powinien być w domu już dwie godziny temu i teraz właśnie, siedząc przy pięknym dębowym stole, jedząc obiad, miał w skupieniu słuchać jej szczegółowej relacji z rady pedagogicznej, która wprawdzie odbyła się kilka dni wcześniej, ale Małgorzata nie zdążyła o niej opowiedzieć. Następnie mąż miał wysłuchać sprawozdania ze święcenia boiska i pierwszych dni szkolnych. Tak to właśnie zaplanowała, bo nie zdążyła mu o tym nawet wspomnieć, gdyż jej mama miała przez kilka dni badania kardiologiczne i Małgorzata po pracy udawała się do domu rodzinnego, żeby wszystko zorganizować, skoordynować oraz przygotować konieczne rzeczy na następny dzień. Wreszcie badania się skończyły. Odbiór wszystkich wyników oraz konsultację lekarską zaplanowano dopiero po niedzieli. Dlatego dziś umówiła się z mężem, że zjedzą razem obiad i opowiedzą sobie, co się działo przez kilka ostatnich dni, kiedy praktycznie się nie widzieli. Naturalnie głównie miała mówić ona, przytaczając wszystkie zaistniałe szczegóły i wtrącając od czasu do czasu uwagi, które miały na celu sprawdzenie, czy mąż należycie skupia się na jej opowieści. Zazwyczaj skupiał się, ponieważ wiedział doskonale, jak ważna jest dla niej kwestia pracy. Istniał też inny powód. Gdyby Krzysztof pokazał, że nie przywiązuje należytej wagi do jej słów, musiałby wysłuchać relacji trzy razy dłuższej i bardzo zawilej, a potem znosić jeszcze pełne urazy komentarze. Mogłaby też odsunąć go od łóżka na kilka dni. Taką „karę” stosowała z umiarem, bo nie należy w życiu przesadzać z niczym, a mężczyznę należy sterować umiejętnie i z taktem. Westchnęła i ponownie wybrała numer jego komórki, z irytacją odsłuchiwała automatyczną wiadomość i nagrała uprzejmą prośbę, żeby się odezwał, a najlepiej osobiście zjawił w domu. Włożyła miskę z sałatą do lodówki, co robiła w ostateczności, ponieważ zimne liście i rozwodniona śmietana wydawały jej się szczególnie niezjadliwe. Spojrzała na talerz – przygotowała dla męża dwa kotlety mielone i ziemniaki do odgrzania w mikrofali – i już miała zostawić mu kartkę pełną złości i po prostu wyjść z domu, kiedy szcęknął zamek i na korytarzu dały się słyszeć znajome kroki. Westchnęła i podeszła do przestronnego hallu. Krzysztof stał i uśmiechał się uśmiechem bynajmniej nie przeproszającym, tylko bardzo z siebie zadowolonym i wyciągał w jej kierunku bukiet czerwonych róż.

– Spóźniłeś się dwie godziny i przychodzisz do domu z różami – stwierdziła fakt. – Masz kochankę?

– Właśnie. – Pokiwał głową jej mąż i podał jej róże. – Na tę właśnie okoliczność chciałem ci wręczyć twoje ulubione kwiatki...

Małgorzata wzięła bukiet z rąk męża, sprawnie przeliczyła, że róż było trzynaście, i poszła z nimi do witryny w salonie, żeby wybrać odpowiedni wazon, zastanawiając się, co też ta liczba i te kwiaty mają znaczyć.

– Czekałam z obiadem – oznajmiła z wyrzutem.

– Nie czekałaś, kochanie, bo tylko ja mam, jak widzę, jeść.

Krzysztof już myszkował po kuchni, co stwierdziła z irytacją.

– Jeśli zaczniesz jeść nieodgrzane jedzenie, w dodatku na stojąco, to dostanę szału – uprzedziła

lojalnie, stawiając róże na stole.

– Nie zacznę, nie dostaniesz więc szału – uspokoił ją. – Ale może zostawimy te pyszne kotleciki na jutro, a my na przykład pójdziemy coś zjeść na osiedle, na przykład sushi. Co ty na to, kochanie?

Spojrzała na niego uważnie. Przepadała za sushi.

– Nie pójdę, jeśli nie powiesz, o co ci chodzi... – postanowiła.

– Oczywiście, mogę ci ustąpić i powiedzieć teraz, dlaczego spóźniłem się dwie godziny, wyłączyłem komórkę i kupiłem róże. Ale mogę to zrobić za pół godziny przy twoim ulubionym daniu i będziesz miała niespodziankę. To jak?

Z nadętą miną wyjęła zakiet z szafy przy drzwiach i włożyła stojące na słomiance szpilki. Przeczesała włosy grzebieniem z toaletki.

– Śliczności moje... – Krzysztof przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję.

– Ty naprawdę masz kochankę... – Roześmiała się i wyszła przed nim, stukając obcasami.

W osiedlowej restauracji zamówili zestaw numer pięć oraz siedem i obserwując młodego Japończyka przy pracy, zaczęli się rozluźniać. Przynajmniej ona przestała zaciskać usta i patrzeć z ukosa.

– To czekam na tę niespodziankę... – powiedziała pojednawczo.

– Patrzysz na kierownika Zakładu Anatomii Prawidłowej – powiedział wolno. Otworzyła usta i aż uniosła się na krześle, po czym złapała go za rękę i pocałowała we wnętrze dłoni.

– Wiedziałam, wiedziałam! – krzyknęła głośno i klasnęła w ręce, aż Japończyk uniósł głowę i uśmiechnął się do nich. – Opowiadaj ze szczegółami, chcę wiedzieć wszystko, wszystko...

Szczegółów żadnych nie było. Profesor przyszedł do niego rano i powiedział to, co już od dawna było wiadome. Krzysztofowi nieco zwarzył się humor, bo jego zastępcą został kolega, który nie życzył mu dobrze. Sam miał chęć na jego stanowisko, ale stażem mu ustępował, no i miał doktorat zrobiony u innego promotora niż profesor Sujecki, co przy wszystkich rekomendacjach było nie bez znaczenia. Został jednak zastępcą, profesor całkowicie zrezygnował z pełnienia stanowisk, zachowując prawo do dalszej pracy, czyli prowadzenia grupy studenckiej oraz wykładów. Nie było żadnej imprezy, chociaż na początku roku akademickiego pewnie trzeba będzie zaprosić wszystkich na wino. Słowem, Krzysztof nie miał o czym opowiadać, a do rzeczywistej przyczyny spóźnienia nie chciał się przyznać. Mimo to zaczął mówić. Relacjonował tak, jak Małgorzata lubiła, ze szczegółami. Ja powiedziałem to, on mi odpowiedział tamto, stanął, usiadł i tak dalej... Wszystko, tylko żeby ją zadowolić, żeby nie nabrała podejrzeń, że coś jest nie tak, nie po jej myśli.

Kiedy już zjedli sushi i wypili herbatę jaśminową, trzymając go ciągle za rękę, opowiedziała o swojej radzie pedagogicznej, święceniu boiska i tych kilku dniach w szkole, podczas których zdążyła zrobić dzieciom sprawdzian z trudnych słówek. Słuchał uważnie, patrząc jej w oczy, śledząc ruch warg i gestykulację. Wprawdzie miał tu i teraz taką pozycję, że mógł zaryzykować rozproszenie, spojrzenie w bok, a ona pewnie darowałaby mu tę niesubordynację i udała, że nie zauważyła. Może nawet skróciłaby swoją opowieść. Ale nie zrobił tego.

– Lepiej byłoby, żeby ten gość robił to, co Baranowska do tej pory, i nie kombinował – podsumowała.

– Ale nie wyczułaś, czy tak będzie? – zapytał.

– Nie wyczułam. – Pokręciła głową z niezadowoleniem. – Czas pokaże.

– Masz niezachwianą pozycję – przypomniał jej.

– Nikt nie ma pewności, że będzie pracował – prychnęła. – Owszem, jestem dobra, ale jeśli on ma jakieś plany względem mojego etatu, to wiesz... Co ja mogę?

– A Zuzanna jak go ocenia?

Krzysztof lubił tę spokojną, elegancką kobietę, może nie tak atrakcyjną jak jego żona, ale z klasą, o dużej wiedzy ze swojej dziedziny i potrafiącą z pasją opowiadać o dramatach Szekspira. Uważał, że ma na Małgosię dobry wpływ, wprowadza harmonię do jej życia szkolnego i tłumi porywczy charakter. Wiedział, że Zuzanna także go lubiła, zwyczajnie, po ludzku, kiedy sypał żartami i naśladował głosy i gestykulację znanych aktorów.

– Wiesz, jaka ona jest. Musi poczekać, zobaczyć... Potem zorganizuje kilka spotkań u nich na działce, podczas których będziemy obgadywały tego nadętego gnoja, a jemu uszy będą czerwieniały, tylko nic z tego nie wyniknie.

– A zawsze coś musi z czegoś wynikać? – zapytał, znając odpowiedź.

– Zawsze – powiedziała swoją prawdę. – Jedno wynika z drugiego, a wszystko jest po coś. Co dalej?

– Z tak mile rozpoczętym dniem? – Uśmiechnął się tak, jak najbardziej lubiła.

– Z tobą... – Mimo wszystko zaskoczyła go.

– Ze mną? Wszystko jest załatwione...

– Nie o to mi chodzi... – zniecierpliwiła się lekko. – Teraz możesz już planować swoją karierę. Skończ habilitację. Niepotrzebnie się z tym ślimaczysz tak długo... Postaraj się wykorzystać swoje stanowisko.

– A co mam zrobić? – Starał się patrzeć na nią uwodzicielsko, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Odbić się od tego i wejść do dziekanatu...

A więc o to chodziło. Ona nigdy nie da mu spokoju. Zawsze będzie chciała dla niego i siebie coraz więcej. Sądził, że z chwilą objęcia prestiżowego stanowiska da mu chociaż odetchnąć przez jedną kadencję, niestety...

– Taki mam właśnie plan – zapewnił. – Tyle że chciałbym być więcej w domu, a ta habilitacja...

– Nie, nie, nie. – Pokręciła głową. – Ja biorę na siebie dom, a ty rób karierę, skoro się wybiłeś. Ja ci zapewnię wszelkie możliwości, pomogę...

Przynajmniej to uzyskał, że nie będzie musiał stawiać się w domu o żądanej godzinie i tłumaczyć ze wszystkiego, co robi. Zawsze będzie mógł powiedzieć, że jest zajęty badaniami, sprawami związanymi z „robieniem kariery”.

– Może pojedziemy zrobić większe zakupy? – zapytała, kiedy zostawili solidny napiwek miłemu Japończykowi i wyszli na zalany słońcem skwerek.

– Zostawiłem Makulskiemu forda na jeszcze jeden dzień – przyznał się.

– A mnie zapytać nie mogłeś? – Zaskoczona rozłożyła ręce.

– Mogłem, tylko że on przywiózł samochód i bardzo grzecznie spytał, czy może zabrać go na jeszcze jeden dzień, bo jutro wiezie dziecko do lekarza. Głupio było mi powiedzieć: „Poczekaj, zadzwonię do żony, bo samodzielnie nie mogę o tym zdecydować, i powiem ci za dziesięć minut”. W końcu nie mieliśmy jakichś specjalnych planów. Większe zakupy możemy zrobić jutro razem albo ja sam pojedę po

pracy do sklepu.

– Niech będzie – zgodziła się niechętnie.

– Może chcesz iść do kina? – zapytał. – Wieki nie byliśmy w kinie, chłopców chyba znowu nie ma w domu.

– Nawet gdyby byli, to nie musimy się z nimi liczyć. To już nie są dzieci...

– Zapominam o tym. – Uśmiechnął się. – Nie zauważyłem, kiedy się wyprowadzili... To co z tym kinem?

– Wiesz co, ja mam lepszą propozycję...

Wzięła go za rękę i pociągnęła szybko w stronę domu. Wiedział, co miała na myśli. W końcu była samicą, i to alfa. Przekręciła zamek w drzwiach i zaciągnęła go prosto do sypialni. Zamknął oczy i pozwolił jej nagrodzić się za stanowisko, które właśnie objął, za ten wprawdzie oczekiwany, ale niepewny do końca awans, za obietnicę tego, że będzie miała męża ambitnego i robiącego karierę. Nagroda była długa i najlepsza z możliwych. Małgorzata zrzuciła najpierw szpilki, potem powoli zdjęła spódnice, jedwabną bluzkę i koronkowy biustonosz. Zawsze tak się ubierała na lekcje, niezwykle starannie i elegancko, jak bizneswoman, jakby nie mogła pójść do dzieci w dżinsach i swetrze. Usiadła na nim, napierając sobą na jego rosnące krocze, i całowała go, wysysając z niego całe powietrze. Uwielbiał jej język i usta, którymi potrafiła doprowadzić go do szału, odkrywając wszystkie miejsca erogenne, jakie tylko gruboskórny samiec mógł mieć. Zwykle całowała go długo i namiętnie. Tym razem gra wstępna została skrócona. Chciała, żeby w nią wszedł natychmiast. Tak zrobił, poprosił tylko, żeby się położyła. Nie chciał, żeby go dzisiaj ujeżdżała. Chociaż ten jeden raz chciał ją zdominować, nawet sprawić jej ból mocnymi pchnięciami. Ścisnął ją świadomie za mocno za pośladki, ale ona nie tylko nie syknęła z bólu, ale była tak podniecona, że zbyt wcześnie skończyła. Zatrzęsa się cała i przestała kontrolować. Uwielbiał te kilka sekund, kiedy była bezwolna, dygotała jak w febrze i zamykała oczy. Czuł się wtedy jak facet, normalny mężczyzna, który może pokazać żonie, gdzie jej miejsce. Te sekundy jednak szybko mijały i Małgorzata jak feniks z popiołów odradzała się i decydowała, czy zrobią to jeszcze raz czy też odwróci się do niego plecami i zaśnie. Teraz też znieruchomiła, potem przeciągnęła się i wysunęła spod niego.

– Jesteś naprawdę bardzo sexy – szepnęła mu wprost do ucha i poprawiła komunikat językiem. – Mój George Clooney...

Wiedział, że jej się podoba. Podobał się też innym kobietom. Podobieństwo do znanego aktora było wręcz uderzające. Wiedział o tym, a także o fakcie, że pochlebiało jej to. Taka kobieta jak Małgosia nie mogła mieć męża byle jakiego. Musiał być przystojny, seksowny i działać na nią przez cały czas. Mimo dwudziestodwuletniego stażu małżeńskiego byli sobie bardzo oddani w łóżku. Robili to regularnie, kilka razy w tygodniu. Krzysztof zawsze stawał na wysokości zadania, nie bolała go głowa, a ona także zwykle go chciała, poza tymi rzadkimi momentami, kiedy była obrażona i następowały ciche dni, to znaczy w dzień mruzczała coś do niego ironicznie, a w nocy odwracała się do niego plecami i zasypiała.

– Służy ci ta pływalnia. – Głaskała go otwartą dłonią po podbrzuszu, co oznaczało, że będzie jeszcze co najmniej drugi raz. – Nie widać po tobie lat. Zresztą pięćdziesiąt pięć lat dla mężczyzny to nie jest żaden wiek. Z nami, kobietami, to co innego... – Popatrzyła w oczekiwaniu na prawidłową odpowiedź.

– Jesteś dziesięć lat młodsza i też nie wyglądasz na swój wiek – przypomniał jej to, co wszyscy

mówili.

– Wiem, ale... – skrzywiła się – ...koło pięćdziesiątki pewnie się posypię.

– Trudno w to uwierzyć, kiedy się spojrzy na twoją matkę i babcię. – Ponownie się nad nią nachylił, chcąc jeszcze raz w nią wejść.

– O nie. – Roześmiała się. – Teraz ja...

Poruszała się rytmicznie, jęcząc cichutko, co zwykle nazywał „szemrzeniem”. Wpatrywał się w jej szczupłe, ale mocne ciało, oliwkową skórę pokrytą na ramionach drobnymi pieprzykami. Podziwiał jej gładkie, duże piersi, łagodnie kołyszące się razem z nią. Karmiła obu chłopców i nie zniszczyło to tej pięknej skóry. Przeciwnie, piersi wydawały się pełniejsze, cięższe, a mimo to bardziej zwarte. Podobnie cięższe nie zwiotczyły skóry brzucha. Wcierała pracowicie kremy w powiększający się brzuch, ale ta gładkość skóry była chyba kwestią genów. Jej mama urodziła wprawdzie tylko ją, ale była szczupła i prawie pozbawiona zmarszczek mimo nadciągającej siedemdziesiątki. Babcia, która urodziła czwórkę dzieci i dobiegała dziewięćdziesiątki, nie miała śladu sklerozy, ciało, co prawda, przygarbione czasem, ale również szczupłe i zwarte. Złapał żonę za talię. Ta sfera była dla niego bardzo ważna, kobieta pozbawiona wcięcia w pasie nie była dla niego atrakcyjna. Rękoma nadał jej własny rytm, któremu poddała się po chwili wahania. Kazał jej tym samym poruszać się szybciej, mocniej pracować pośladkami, odchylić się nieco, tak aby drażniła go jeszcze bardziej. Jej się to też podobało. Złapała go od tyłu rękoma za biodra i odchyliła głowę. Włosy uciekły jej do tyłu, był wdzięczny, że ich nie związała. Tym razem jęknęła głośniej, bardziej przeciągle i ostrożnie zesza z niego, nie odwracając się tyłem, tylko przyciskając do jego boku. Musnęła go po policzku płatką ucha. Kolczyk miał ostre krawędzie i Krzysztof wzdrygnął się nieco. Popatrzył jej w oczy i pocałował krótko i mocno, a potem odwrócił się do niej tyłem. Objęła go nogą i przycisnęła piersi do jego pleców. Zasnął, mając w pamięci jej czarne, czujne oczy, tak różne od błękitnych oczu Di okolonych jasnymi rzęsami i delikatnymi brwiami.

Jesień 2012

Aleksandra dotrzymała słowa. Przeniesiono go do innego pokoju, gdzieś w głębi budynku, z dala od innych pacjentów. Pokoik był prawie taki sam, przypominał celę ze starych filmów. Przez zakratowane okienko przebijało się jesienne słońce. Położył się na wąskim łóżku przykrytym białą, pocerowaną mocno pościelą. Uśmiechnął się lekko. Był bardzo zmęczony. Kręciło mu się w głowie i cały organizm, a najbardziej głowa, domagał się snu. Może uda mu się w końcu zasnąć bez koszmarów, bez wrzasków żony i kochanki w głowie. A jeśli mu się nie uda? Czy mogą zmusić go do przyjmowania leków? Zabawne, ale tego nie wiedział. Na razie lekarz rozmawiał z nim, zwracał się do niego z szacunkiem, mówił „panie doktorze” i sugerował przyjmowanie leków przeciwdepresyjnych. Przemawiał spokojnie jak do dziecka, kiedy Krzysztof upierał się, że nie ma depresji. Na pytanie, po co w takim razie targnął się na swoje życie, Krzysztof odpowiedział szczerze i jasno, że sytuacja go przerosła. Wszystko runęło, wszelkie jego plany życiowe, dotyczące jego i rodziny, a przede wszystkim te związane z Dianą, tą cudowną istotą, darem losu, który mógł wszystko odmienić. Popatrzył na pościel. Spokojnie mógł podrzeć prześcieradło na kawałki i spróbować powiesić się na wystającym pręcie okna. Na upartego i na okratowanej żarówce dałoby się zawisnąć, pomyślał nie bez satysfakcji. Nikt go nie zapytał, czy spróbuje znów zrobić sobie krzywdę. Ani psycholog, ani lekarz prowadzący. Może byli pewni, że to koniec prób, dlatego konsekwentnie, ale nie bardzo stanowczo namawiali go na przyjmowanie specyfików podnoszących nastrój. Mieli zresztą rację. Nie miałyby siły niczego zaplanować. Nie chciałoby mu się nawet drzeć tego prześcieradła. Musi spytać lekarza o swoją żonę. Przez kilka dni unikał tego tematu przed sobą i tutejszym personelem. Tamten jeden raz zapytał o nią Aleksandrę, ale odpowiedziała wymijająco i uciekła. Był pewien, że Małgosia odreagowuje całą sytuację, myśli tylko o sobie i synach, co im powiedzieć, co zrobić, jak z tej sytuacji wyjść z twarzą i ewentualnym zyskiem dla siebie. Kiedy będzie na to gotowa, sama do niego przyjdzie, omijając wszelkie zasieki, zamknięcia, kraty i drzwi bez klamek. Oznajmi mu wtedy, co postanowiła względem niego, co on ma ze sobą zrobić, czy ponownie spróbować się zabić, tym razem skutecznie, czy też wrócić na łono rodziny i pokutować, wyjechać za granicę do pracy, a może zmienić zawód. Mogła oczywiście zażądać rozstania z orzeczeniem jego winy, odebrać mu mieszkanie, wszystkie oszczędności, szacunek, spokój i miłość synów. Był więcej niż przekonany, że właśnie starannie obmyśla, co jest najlepsze dla niej, a jemu nie pozostanie nic innego, jak poddać się jej werdyktowi i wierzyć, że to, co nieuchronne, jest jednocześnie najlepsze.

Usłyszał charakterystyczny zgrzyt klamki wkładanej do zamka i pisk nieoliwionych, starych zawiasów.

– Lek na sen – oznajmił lekarz dyżurny.

– A co to jest, jeśli można spytać? – Krzysztof podniósł głowę, spoglądając na lekarza, któremu w obchodzie towarzyszyli drobna pielęgniarka oraz rosły pielęgniarz pełniący raczej funkcje ochroniarskie niż pielęgnacyjne.

– To nie jest luminal. – Lekarz uśmiechnął się krzywo. Musiał wiedzieć, że Krzysztof wybrał ten lek, żeby odebrać sobie życie.

– Krótko działająca benzodiazepina.

– Jak krótko?

– Humor panu wraca, jak widzę. – Poważnie pokiwał głową lekarz. – Chodzi o to, żeby pan zasnął.

Potem nie będzie panu nikt przeszkadzał, więc mamy nadzieję, że pan się wyśpi.

– Dobranoc zatem. – Krzysztof przyjął lekarstwo z rąk lekarza.

– Powinien pan je zażyć przy nas. – Doktor nie poruszył się ani na centymetr. – Ale nie jest to lek przeciwpsychotyczny, żebyśmy pana zmuszali do jego przyjęcia. Niech pan sam zdecyduje. Naturalnie może pan próbować zasnąć bez tego, ale po co się męczyć...

– Wezmę, oczywiście. Wiem, że to mi pomoże się wyspać – odpowiedział znużonym głosem.

Lekarz odwrócił się na pięcie i wyszedł z wąskiego pokoiku, podobnie pielęgniarka. Tylko pielęgniarz wycofał się tyłem, nie spuszczając z pacjenta czujnego wzroku.

Położył się do łóżka i połknął tabletkę, popijając małą ilością wody z papierowego kubka. „Tym też mógłbym się zabić” – pomyślał. „Wystarczy spróbować połknąć twardy papier. Zacznę się dusić, a nie ma tu żadnego monitorowania. Rano mnie znajdą albo przed północą, kiedy mają zwyczaj chodzić i zaglądać w te szybki”.

Sen przyszedł bardzo szybko, ale trwał krótko. Po dwóch godzinach Krzysztof zbudził się gwałtownie i usiadł na łóżku. Wrzaski w głowie były nie do zniesienia. Wytarł spocone czoło w sztywną pościel. Pod powiekami miał piekące ziarna piasku. Był jeszcze bardziej zmęczony. Zastanawiał się, co go w końcu pokona. Bezsenność czy ogłuszający krzyk, który zjawiał się już w płytkim śnie. Krzyk zrozpaczonych, zdradzonych przez niego kobiet. Do rana leżał spokojnie z zamkniętymi oczami. Nie ryzykował powrotu krzyku. Wolał Dianę zapamiętać mówiącą cicho, łagodnym tonem, a nie krzyczącą z żalu i bezsilności.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi tamtej karetki, wziął zgnieciony rower i włożył go do bagażnika. Ludzie powoli zaczęli rozchodzić się swoimi drogami, na czerwonym świetle stawali już inni, śpieszący do zupełnie innych spraw, zerkający tylko przelotnie na samochód z oderwanym błotnikiem i podrapaną maską. On sam dokładnie obejrzał przód kilkuletniego granatowego forda, który jeszcze kilkanaście minut wcześniej nie miał ani jednego zadrapania i był świeżo umyty przez kolegę Krzysztofa. Szkody były niewielkie, ale wymagały warsztatu, jak też i kogoś, kto wejdzie pod samochód i zobaczy, czy rower dziewczyny nie uczynił żadnych szkód. Przyczepił prowizorycznie naderwany błotnik i ruszył w kierunku salonu Forda i zaprzyjaźnionego pana Zenka, który dokonywał regularnych przeglądów taurusa.

„Zabrali ją na Banacha, na chirurgię, zgodnie z rejonem zatrzymania, albo na Barską, na ortopedię” – analizował, mijając Aleje Jerozolimskie i skręcając w stronę Żoliborza, gdzie mieścił się warsztat. Była też inna możliwość, mianowicie taka, że dziewczyna pojechała zgodnie z miejscem zamieszkania na Szaserów albo Czerniakowską. To nie stanowiło wielkiego problemu.

Miał na pogotowiu kolegów, którzy znajdą dla niego tę nieszczęsną rowerzystkę i on pod pretekstem zapytania o jej stan pójdzie ją odwiedzić.

Pan Zenek pokręcił głową z niedowierzaniem, kiedy zobaczył Krzysztofa i zapytał, co się stało. Krzysztof cicho relacjonował, co i jak, a mężczyzna dotykał maski palcami, oceniając straty.

– Jeżdżą, panie, ze słuchawkami w uszach, okularami na oczach, nic nie widzą, nic nie słyszą... – utyskiwał. – Moja córka też rower i rower, chociaż takiego zgrabnego Ka jej wyczałem, ale nie... samochód nieekologiczny...

– Samochód bezpieczniejszy – zgodził się Krzysztof.

– A pewnie, że bezpieczniejszy – gderał pan Zenek, który po oględzinach zewnętrznych wsunął się sprawnie pod spód. – U nas w mieście to na palcach jednej ręki można policzyć bezpieczne ścieżki rowerowe. Albo ludzie na nich chodzą, z wózkami... – prychnął – albo tak blisko jezdni, że ręce opadają.

– Kierowcy nie zwracają na nich za bardzo uwagi – zastanawiał się głośno Krzysztof. – Sam nie zauważyłem tej dziewczyny.

– Pewnie, że nie zwracają – zgodził się pan Zenek. – Korci, wszyscy się wpychają, spieszą, piesi na czerwonym świetle przechodzą, a te jeżdżące kozy nie mogą się zdecydować, czy na jezdni z samochodami czy na pasach z pieszymi... i kombinują, panie, trochę tu, trochę tu i nieszczęście gotowe.

– Właśnie... Panie Zenku, wszystko tam na dole całe?

– Całe, panie doktorze. – Pan Zenek wynurzył się spod samochodu i ponownie zajął oglądaniem porysowanego przodu. – Błotnik – głupstwo, a zadrapania niewielkie, do jutra zamaluję i po kłopotcie – zawyrokował.

– A to świetnie – ucieszył się Krzysztof. – Panie Zenku, ja mam prośbę... Nie chcę żony denerwować. Powiem, że kolega jeszcze na jeden dzień wóz zatrzymał. Czy może pan nie wspominać przy niej o wypadku? Na przyszłość, gdy znów u pana będziemy?

– Mogę, nie ma sprawy. – Kiwnął głową. – Kobiet nie należy denerwować. Chociaż pana żona to nie należy do nerwowych, spokojna taka, wie, czego chce. Nie dostaje pewnie hysterii jak moja, kiedy godzinę się spóźnię, co?

– Nie dostaje – przytaknął Krzysztof. – Ale zada mi co najmniej pięćdziesiąt pytań, każe sobie godzinami opowiadać, gdzie stałem, a czego wtedy słuchałem. Wie pan...

– A, jasne. – Roześmiał się pan Zenek, pokazując przerwy w uzębieniu. – To pan chce spokoju, było tak od razu. Ja to rozumiem jak mało kto. Nie puszcze pary z ust.

– I jeszcze jedno – zawahał się Krzysztof. – W bagażniku mam rower tej osoby, co spowodowała wypadek. Czy on może tam zostać?

– Pewnie, że może. – Mężczyzna i tym razem nie okazał zdziwienia. – Zabrał pan rower? Jako zapłatę za szkody? Chce pan sprzedać?

– Nie, nie, skąd – zaprotestował Krzysztof. – Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Chyba byłem w szoku i tak jakoś... Odwiozę na policję, tylko nie chcę go brać do domu.

– Coś pan, doktorze, kręcisz. – Roześmiał się mężczyzna jeszcze szerzej. – Niech tam będzie. Mnie nie przeszkadza... Jutro niech pan wpadnie pod wieczór, to już będzie gotowy.

– Dziękuję raz jeszcze – powiedział, odchodząc, wdzięczny, że szkody są niewielkie, a znajomy był na miejscu i podjął się szybko je usunąć.

Przywoływanie tamtych sytuacji, obrazów i dialogów pomagało mu przetrwać bezsenność. Oczywiście, wspomnienie Di za każdym razem wywoływało w Krzysztofie falę bólu rozchodzącą się od

serca po końce palców u rąk i nóg, dławiającą w gardle wcale nie w sposób, w jaki powinien cierpieć mężczyzna. Już dawno zauważył, że ma więcej kobiecych cech niż męskich, nie jest typem zdobywcy ani samca alfa. Nauczył się jednak radzić sobie z tym w najlepszy możliwy sposób, mianowicie związał się z kobietą, która myślała jak mężczyzna, postępowała jak mężczyzna i łączyła w sobie cechy samicy oraz samca alfa. Małgorzata zawsze wiedziała, co należy zrobić, podejmowała decyzje śmiało, nie bojąc się ryzyka. Krzysztof musiał przyznać, że rzadko się myliła, a ile razy jej nie posłuchał, zawsze wychodziło na jej, a on sam bywał strofowany i przywoływany do porządku jak dziecko. Tak było, kiedy piętnaście lat temu oznajmiła, że należy sprzedać mieszkanie i kupić dom na Bielanach, na nowym osiedlu. Sprzeciwił się wtedy stanowczo. Nie miał głowy do kredytów, wtedy to była jeszcze nowość. Nie słuchał argumentów, że przecież wszyscy... Postanowił skupić się na pracy, na doktoracie, wtedy świeżo otwartym, a nie krążyć po bankach. Małgorzata łatwo się nie poddawała. Sama chodziła na rozmowy, rozpatrywała korzystne oferty i stawiała prawie przed faktem dokonanym. Gdyby nie to, że konieczny był jego podpis, sama wzięłaby ten kredyt, sprzedała mieszkanie, zanim się obejrzał, i kupiła domek, o którym tak bardzo marzyła. On w sposób typowo kobiecy reagował biernym oporem, brakiem czasu, możliwości. Wreszcie odpuściła. Oczywiście nie całkiem, to byłoby do niej niepodobne. Odepchnęła tylko na bok myśl o domu i załatwiła w bankach wszystko tak, że przeprowadzili się z dwupokojowego mieszkania z ciemną kuchnią i łazienką do czteropokojowego, przestronnego lokum z widną kuchnią, dwiema (!) łazienkami i kawałkiem przydomowego ogródka, który szybko zarósł zielskiem, ponieważ żona nie miała serca do sadzenia roślin. Ale chwilowo była zadowolona, on też zniósł to mężnie. Kredyt nie był duży i odsetki dało radę płacić, zwłaszcza że szalejąca inflacja tylko na początku utrudniła sprawę. Małgosia nie musiała się już wstydić małego mieszkania przed koleżankami ze szkoły i znajomymi rodziców. Czasami tylko napomykała, że tak czy inaczej mieszkają „w blokach”, i krzywiła się znacząco. On odpowiadał, że chłopcy – Jaś i Staś – mają stołeczną podstawówkę na miejscu i wszelkie zajęcia dodatkowe w zasięgu kilometra, a ona sama dwa kroki do szkoły, w której pracuje. Dojazdy do pracy i dobrych placówek edukacyjnych zamęczyłyby zarówno ich, jak i dzieci. W głębi duszy zgadzała się z nim, ale zdarzało jej się w złości wypomnieć mu, że nie zgodził się na nieco większy kredyt, który zapewniłby im pożądaną przez nią standard życia.

– Wstajemy, wstajemy – z rozmyślań wyrwał go głos lekarza, który najwyraźniej spał na dyżurze, nieniepokoiony przez rezydujących pacjentów i tych nowo przyjętych, co Krzysztof wywnioskował z odcisku poduszki na twarzy mężczyzny i śpiochach w kątach oczu. – Wyspał się pan?

– Oczywiście, naprawdę dziękuję – skłamał po raz kolejny. Stało się to regułą, odkąd znalazł się w szpitalu.

– No, widzi pan. – Lekarz przetarł oczy. – Czasem warto się nas posłuchać, bo nie chcemy dla pacjenta źle, tylko dobrze. O!

– Ja się słucham – ponownie skłamał Krzysztof. – Pewnie znów poproszę o tę tabletkę wieczorem...

– Zaznaczyłem w karcie, żeby panu podawać do odwołania. Nie musi pan prosić.

– A psycholog będzie o której godzinie? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział lekarz. – Jeszcze przyjdzie do pana ktoś na obchód poranny, to powie. Ola ma dzisiaj jakieś zajęcia ze studentami, nie wiem, czy przyjdzie przed czy po.

„Jakie ona może mieć zajęcia ze studentami”? – zastanowił się. Studentów powinien uczyć ktoś

kompetentny, a nie kretyńka, która udaje, że bada niedoszłych samobójców. Naturalnie postanowił o to nie pytać.

Jesień 2011

– Czy ty wiesz, co to dla nas oznacza? – Małgorzata zadała to pytanie z wielkim zaangażowaniem. Czekala na niego z obiadem mimo telefonu, że się spóźni. Nie mógł powiedzieć jej, że pojechał do szpitala z nadzieją, że zdoła poznać dziewczynę, która wpadła pod ich wspólny samochód. Nie mógł powiedzieć także, że ten samochód musiał odebrać z warsztatu, że prosił pana Zenka o dyskrecję i będzie musiał przy najbliższej okazji powiedzieć koledze, któremu to rzekomo miał pojazd pożyczyć, żeby nie okazał zdziwienia, gdyby Małgorzata zadzwoniła i zapytała go o zdrowie dziecka. Tak, ona była do tego zdolna. Nie podejrzewała go o kłamstwa. Chciała mieć jednak kontrolę. Znała Makulskiego i informacja, że musiał zawieźć pięcioletniego Pawełka do lekarza, mogła sprowokować jej telefon i pytania o zdrowie synka. Nie bez znaczenia byłaby też chęć podkreślenia, że gdyby nie ich uprzejmość, młody kolega musiałby się tłuc z chorym dzieckiem autobusem albo wzywać taksówkę. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że ludzie mogą reagować nie najlepiej na takie przypominanie o wyświadczonej przysłudze. Małgorzata nie miała jednak specjalnych skrupułów, takie rozmowy przeprowadzała w białych rękawiczkach, była przy tym asertywna aż do bólu. Tak, stanowczo musi pamiętać, żeby powiedzieć coś Makulskiemu. Najlepiej, że rozbił samochód i nie chciał się przyznać, a na poczekaniu wymyślił taki właśnie pretekst. Makulski był młodziutkim asystentem, na tak zwanym dorobku naukowym i finansowym, miał żonę z bardzo bogatego domu i teścia despotę, więc hasło „Nie chciałem powiedzieć o tym żonie, ponieważ nie wiedziałem, jak zareaguje” powinno być dla niego zupełnie czytelne i jak najbardziej zrozumiałe.

– Wiem, co to dla nas oznacza – powiedział poważnie. – Kochanie, postaram się być dobrym kierownikiem katedry...

Udawanie idioty nie miało żadnego sensu. Małgorzata była kobietą, która nie odpuszczała. Jego awans był poza tym ich wspólnym sukcesem. Gdyby to zależało tylko od niego, nie składałby pewnie papierów i nie starał się o kierownicze stanowisko. Skupiłby się raczej na satysfakcji z uczenia, może jeszcze na pracy naukowej. Siedziałby sobie spokojnie w asystenckim pokoju i cieszył się, że omijają go trapiące lekarzy problemy. Przypominał sobie, że niektórzy z jego kolegów pracowali na trzech etatach, żeby zarobić na życie, jeździli w pogotowiu i pracowali na oddziałach, a po niekończących się dyżurach nie mieli siły porozmawiać z dziećmi. On często wiedział o swoich synach może nie wszystko, ale dużo i zwykle był w domu razem z Małgosią, zdążając na wspólny obiad. Święta miał wolne, soboty i niedziele także oraz praktycznie całe wakacje dla rodziny. W połączeniu z pracą Małgosi, która również miała wolne dwa miesiące wakacji i ferie, uważał się za szczęściarza, który ma czas dla siebie i bliskich. Był z tego zadowolony i wcale nie odczuwał potrzeby zmian.

– Mnie chodzi o walkę – powiedziała poważnie.

– Walczyłem i odniosłem zwycięstwo – przypominał jej. – Oczywiście, gdyby nie twoje wsparcie...

– Dla mnie ważne jest to, co robisz – przerwała mu i chwyciła go za rękę. – Tym bardziej że sprawia ci to wielką frajdę.

„Owszem – dokończył w myślach – uczenie, pokazywanie studentom, jak skomplikowanym tworem jest ludzkie ciało. Na pewno nie wypełnianie stosów papierów i uczestniczenie we wszystkich egzaminach, w tym komisyjnych. A już na pewno nie udawanie na radzie wydziału człowieka dziekana czy uśmiechanie się do rektora”.

– Pewnie – powiedział. – Dziękuję ci, kochanie, gdyby nie ty...

– E tam! – Machnęła ręką. – Chcę cię wspierać. Bardzo chcę.

Popatrzył na talerz. Nie dostał wczorajszych kotletów mielonych ani sałaty z lodówki. Obiad, mimo zwykłego dnia, był prawie królewski. Roladki z polędwicy faszerowane liśćmi szpinaku i cieniutkim omletem. Do tego Małgorzata zrobiła ryż z warzywami i sałatkę jarzynową, której sama nie lubiła. Zwłaszcza ta sałatka przemówiła do wyobraźni Krzysztofa. Sam przepadał za majonezem. Gdyby nie troska o cholesterol, jadłby go codziennie. Małgorzata wręcz przeciwnie, nie znosiła jego smaku, nawet widok słoika przyprawiał ją o mdłości. Sałatkę jarzynową robiła raz w roku na święta, podkreślając, jakie to jest dla niej poświęcenie, i dodając za każdym razem, że robi to tylko na prośbę męża i synów, którzy nie wiedzieć czemu przepadają za tym okropnym daniem.

– Sałatka jarzynowa... – Uśmiechnął się. – Dziękuję.

– Należała ci się. – Ona też się uśmiechnęła, a w kącikach oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. – Jeśli to pozwoli ci dokończyć habilitację i zostać dziekanem, mogę codziennie robić ci wszelkie dania z majonezem.

– Raczej nie – zaprotestował, ale uśmiech nie schodził z jego ust. – Walczę z cholesterolem i majonez nie jest najbardziej wskazany. Raz w roku albo przy specjalnej okazji tak, ale nie codziennie... Za to polędwiczki bardzo chętnie. Uwielbiam zwłaszcza ten omlet w środku. Tylko ty taki robisz. Nie widziałem tego w żadnej restauracji...

– Mama mnie nauczyła, a ją z kolei babcia... – powiedziała, chociaż wiedział o tym doskonale.

– I ten ryż... – Uniósł oczy znad talerza.

– Dziękuję ci bardzo, ale nie zmieniaj tematu... – Ponownie się uśmiechnęła. – Jaki masz plan?

– Najpierw muszę się zorientować w nowych obowiązkach – zaczął. – Wiesz, to nie jest takie znów proste...

– Wiem, że kierownicze stanowisko nie jest proste. – Z jej tonu zaczynało przebijać zniecierpliwienie.

– Małgosiu – powiedział, jedząc sałatkę małymi kęsami i zastanawiając się, czy nie zrobiła przypadkiem nieco więcej, tak żeby starczyło jeszcze na następny dzień – obiecuję ci, że wszystko poukładam. Wiem, że to szansa. Nie tylko dla mnie, ale też dla nas. Wiem, ile dla mnie poświęciłaś.

– Tak trzeba w związku.

„Właśnie” – pomyślał. „Na tym polega związek. Ludzie się wspierają i pomagają sobie. Nie wymagają jedno od drugiego, nie stawiają sobie warunków, nie walczą i nie negocjują”. Nie odważył się także i o tym powiedzieć głośno.

– Też mogłam zostać na uczelni... – przypomniała mu.

– Możesz spróbować... – Chwycił się jej zdania z nadzieją, że może zechce zająć się sobą i swoimi sprawami.

– O nie. – Machnęła ręką, wstała i zabrała pusty talerz. – Ja jestem zadowolona z tego, co mam. Teraz

będę wspierała ciebie.

Uśmiechnął się do niej z oddaniem, promiennie. Okłamał ją, kiedy mówił o docenianiu jej poświęcenia. Nie uważał, żeby w grę wchodziło jakieś poświęcenie. Nie było zresztą takiej potrzeby. Oboje skończyli studia przy wsparciu rodziców. Ona dodatkowo przy jego pomocy. Krzysztof pochodził z lekarskiej rodziny. Ojciec był chirurgiem, mama internistą. To, że wybierze medycynę, było jasne od początku. Nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Przeszedł bez problemu przez egzaminy i zaczął studia. Już na pierwszym roku zachwyił się budową ciała ludzkiego. Z cząstkowych kolokwiów miał same najlepsze oceny. Godzinami z niekłamaną przyjemnością zgłębiał niezliczone nerwy, mięśnie i tętnice. Na drugim roku dowiedział się, jak to wszystko funkcjonuje. Ponownie był najlepszym studentem w swojej grupie i czołowym na roku. Rodzice byli z niego dumni. „Poczekaj, aż zaczną się kliniki, zobaczysz, jak się pracuje z pacjentem, jak ciekawe są operacje. Może zostaniesz internistą jak matka – dywagował ojciec – masz taką pamięć jak ona, będziesz wspaniały. Ale może zechcesz operować. My, chirurdzy, jesteśmy prawdziwymi lekarzami”. Ale nie mieli racji. Przedmioty praktyczne nigdy go dostatecznie nie zainteresowały. Choroby wewnętrzne pasjonowały go na tyle, że jeszcze bardziej chciał poświęcić się anatomii. Neurologia tylko pogłębiła fascynację budową ludzkiego mózgu. Już na piątym roku powiedział im, że kiedy tylko skończy studia, wraca do Zakładu Anatomii Prawidłowej. Ojciec był nieco rozczarowany. Mama wcale nie. „Bardzo dobrze, Sławek – tłumaczyła ojcu – nie będzie miał dyżurów, pracy z chorymi ludźmi...”. „Nie chciałem, żebyś trupy kroił, synu – mówił ojciec. – Mogę załatwić ci miejsce w każdej klinice w akademii. A u mnie miałbyś wszystko”. „Nie chcę – upierał się – chcę być anatomem”.

– Dobrze – powiedział, dojadając resztki sałatki. – Tylko pozwól mi się zorientować, jak będę funkcjonował na swoim nowym stanowisku.

– Oczywiście. – Kiwnęła głową. – Tylko nie pozwól staremu przychodzić i rządzić. Teraz ty jesteś kierownikiem.

– Przecież nie mogę mu zabronić... Będzie nadal miał godziny ze studentami. Kocha to.

– Niech ci pomoże w habilitacji, a nie w zarządzaniu – powiedziała podniesionym tonem. – Wyjdzie na to, że wybrał sobie ciebie, żeby mieć swojego człowieka, którym może manipulować.

– Co ty mówisz, Małgosiu... – Obserwował, jak sięgała do lodówki po słoik, w którym było sporo sałatki. – Nie będzie rządził. Nie po to szedł na emeryturę.

– Na emeryturę poszedł, bo musiał. – Wysunęła brodę do przodu. – Sznurem by go nie wywlekli, gdyby nie obowiązkowy wiek emerytalny...

– Nie będzie rządził – powtórzył, nakładając sobie sałatki. – To nie ten typ człowieka.

– Mówiłeś, że był ostry jako szef...

– Był, bo ma charyzmę, kocha swoją pracę i ten zakład... Ale to mądry człowiek.

– Niech ci pomoże badać twoje naczynia – upierała się.

Najbardziej interesowały go właśnie naczynia. Zamierzał poświęcić się studiowaniu ich odmienności. Dlaczego u jednych ludzi tętnica mózgu łącząca przednia ma jeden centymetr, u innych dwa centymetry, dlaczego są na różnych wysokościach, prawe i lewe mają inną długość albo odchodzą w innych miejscach. Początkowo chciał zrobić z tego doktorat, ale profesor kazał zająć mu się naczyniami limfatycznymi. „Wiem, że chcesz badać koło tętnicze mózgu, ale to lepsze na habilitację. Doktorat zrób

z węzłów chłonnych. Szybko pójdzie i otworzymy przewód”. Profesor od początku go wyróżniał i nie krył, że Krzysztof jest jego ulubionym asystentem. Miał wtedy rację. Doktorat skończył błyskawicznie, potem Krzysztof się zakochał w dziesięć lat młodszej Małgorzacie i poświęcił kilka lat na przekonanie jej, że będzie z nim bardzo szczęśliwa. Dopiero potem otworzył przewód habilitacyjny. Nie spieszył się z badaniami, bo i nie było takiej potrzeby. Obecnie materiał miał właściwie zebrany i większość pracy napisanej. Musiał się tylko sprężyć z zakończeniem badań i analizy materiału, szybką obroną, a wtedy już nikt nie zagroziłby jego pozycji.

– Mam zamiar z nim o tym porozmawiać, kiedy tylko jutro znajdę się w zakładzie. On też będzie, już mi mówił.

– Po co? – Wydęła lekceważąco wargi.

Zastanawiał się, skąd w niej tyle wrogości. W końcu gdyby nie profesor, on, który nie ma habilitacji, nie zostałby szefem. Wiedział doskonale, że „stary” użył wszystkich swoich wpływów, żeby przekonać całą radę wydziału, wszystkie te stare pierniki w garniturach, że Krzysztof ma habilitację prawie zakończoną, jest w przededniu jej obrony i nie powinno to być żadnym argumentem w dyskusji, że nie ma wystarczających kwalifikacji. Tłumaczył to Małgorzacie wielokrotnie, zanim jeszcze nominacja miała miejsce, ale ona wydawała się tego nie rozumieć. Mówiła, że nikt inny nie ma skończonej habilitacji, a Krzysztof bezradnie tłumaczył, że oznacza to tylko tyle, że na kierownicze stanowisko może przyjść ktoś z zewnątrz.

– Udostępni mi swój gabinet – wyjaśnił. – Teraz chce sobie w spokoju przejrzeć i przenieść papiery... Nie zamierzam mu tego utrudniać.

– To co innego. – Wydawała się udobruchana. – Chyba nie proponowałeś mu, żeby tam został.

– Proponowałem – przyznał się. – Ale profesor powiedział, że nie byłoby to właściwe. A tak w ogóle pozdrawia cię serdecznie.

– Przekaż mu ode mnie wyrazy najszczerzego szacunku – powiedziała, wstając od stołu. – Na deser jest sernik z czekoladą. Chcesz?

Sernik z czekoladą był jego ulubionym deserem. Robiła go jednak rzadko, ponieważ uważała, że przy codziennym jedzeniu ulubione potrawy przestają kojarzyć się z najlepszymi smakami na świecie. Przełknął ślinę. Sernik prezentował się imponująco. Na kruchym czekoladowym spodzie leżała lekka jak puch poduszka sera o waniliowym smaku, a wszystko to zwieńczyły roztopiona czekolada i konfitury wiśniowe.

Małgorzata wybrała pozę kusicielską, pozornie nonszalancką. Mianowicie oparła się biodrem opiętym ciasną spódnicą o drewniane drzwi, a na wyprostowanej dłoni trzymała talerz z kulinarnym cudem świata. Satisfakcję sprawiało jej, kiedy mąż patrzył na nią tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy najpierw skosztować ją czy cudo na talerzu. Pomyślała przez chwilę, że może ona zdecyduje. Odłożyła talerz i zaciągnie go do łóżka. Po namyśle ruszyła jednak w stronę stołu, zastanawiając się, czy w jego oczach dostrzegła błysk protestu. Stawiając sernik na stole, pocałowała go w głowę krótko i szybko, przyjmując do wiadomości, że teraz, po obiedzie, nie będzie miał ochoty na seks. Szczerze mówiąc, ona też nie miała.

Jesień 2012

Tym razem czekał cały dzień na psycholożkę, która przysłała dopiero późnym wieczorem, wyraźnie zmęczona jakimiś tajemniczymi zajęciami, o których wspominał lekarz. Na jego uprzejme „dzień dobry” burknęła coś i oświadczyła, że nie będzie go długo męczyła. Od razu też przeszła do rzeczy.

– Skontaktował się z nami prokurator... – Uniósł pytająco brwi, ale się nie odezwał.

– Śledztwo się toczy – kontynuowała. – I są poważne przesłanki ku temu, żeby pana zatrzymać do wyjaśnienia.

– Czy zostałem oskarżony? – W zasadzie było mu to obojętne.

– Będę z panem szczerą. – Nachyliła się ku niemu. – Jeszcze nikt pana nie oskarżył, ale poproszono nas o bardziej szczegółową opinię na pana temat. Teraz nie chodzi tylko o to, czy pan jest zdolny do samobójstwa...

– Tylko o odpowiedź na pytanie, czy jestem zdolny do morderstwa... – Skrzywił się. – A pani wierzy w to, że to ja skrzywdziłem Di?

– Na tym etapie niczego nie zakładam – odpowiedziała takim tonem, jakby nie chodziło o jego przyszłość, tylko o analizę sprzedaży produktu czy opłacalność inwestycji. – Mam sporządzić pana profil, określić poczytalność...

– Standard, jednym słowem...

– Panie Krzysztofie – pogroziła palcem – nikt pana nie oskarża bez powodu. Każdy z nas wykonuje swoją pracę.

– Dobrze – zgodził się. – Niech pani wykonuje swoją.

Ona mu nie pomoże, wiedział to na pewno. Nie zrozumie, że on próbował się zabić z tęsknoty za Di, z żalu za tym, co nigdy się nie wydarzy. Z poczucia winy wobec Małgorzaty, może nawet ze strachu przed nią. Zdradził Małgorzatę, to oznaczało wyrok śmierci. Takie kobiety jak ona nie wybaczą. Prędzej zabiją niewiernego męża czy rywalkę, ale nie odpuszczą. Mógł o tym pomyśleć wcześniej. Zanim zdecydował, że pozwoli sobie zakochać się w tej dziewczynie.

– Skończyliśmy na tym, że Diana została przez pana potrącona na pasach, ze swojej winy. Nie chciał jej pan zaskarżyć, a na domiar wszystkiego następnego dnia odwiedził w szpitalu. Czy już pan zakładał, że będziecie mieli romans?

– Jak mogłem zakładać coś takiego? – Roześmiał się krótko. – Ona była dwadzieścia pięć lat młodsza, z innego świata...

– Ale poszedł pan do tego szpitala... Dlaczego?

Leżała na chirurgii, na Banacha. Następnego dnia rano zadzwonił do kolegi, który tam pracował, i po prostu zapytał. Prawdopodobieństwo, że trafi, było jak jeden do pięciu. Ale trafił. Urwał się wcześniej z pracy i pojechał tam tramwajem, pragnąc ją zobaczyć. Właściwie czego oczekiwał? Przecież mogło się

tak zdarzyć, że na kołdrze siedziałby chłopak, narzeczony, może nawet mąż i obcy facet, który, bądź co bądź, był przyczyną jej stanu, nie wzbudziłby entuzjazmu. Ewentualnie mogła tam być jakaś zdenerwowana mama z kompotem albo ojciec-prawnik z pozwem w ręku. Wszystko to było możliwe. Jak również fakt, że ona sama byłaby dla niego niemiła i wcale nie ucieszyłaby się z tych odwiedzin. Piękne dziewczyny nie lubią chyba, kiedy odwiedzają je obcy faceci. Popchnął obrotowe drzwi do szpitala i znalazł się w hallu. Machinalnie odpowiedział „dzień dobry” jednemu ze swoich byłych studentów, którego minął w drodze na chirurgię. O ile pamiętał, chłopak był już na piątym roku. Jak ten czas leci, myślał zdenerwowany. Przywołał wspomnienie synów. Nawet nie żony, którą czuł jeszcze w łędzwiach, tylko właśnie chłopców. Myśl o dzieciach uspokajała go. Właściwie nie byli już chłopcami. Jeden już na swoim, czasem tylko nocował w domu. Na co dzień mieszkał z kolegą, wynajmowali małe mieszkanie, żeby mieć swobodę. Myśl o synach tylko trochę tłumiła zdenerwowanie, ale pomagała Krzysztofowi pokonać ten dziwny lęk, jaki odczuwał, jadąc windą na właściwe piętro. Kiedy Jasiek przyszedł do domu z tym pomysłem, Małgorzata początkowo się sprzeciwiła. Nie chciała oddać synka, chociaż już był po studiach i właśnie rozpoczął pracę. „Odetnij pępowinę, przynajmniej jedną” – zażartował wtedy Krzysztof, a Małgorzata po skonsultowaniu tej kwestii z Zuzanną zgodziła się, żeby Jasiek zamieszkał poza domem. Syn nocował w swoim dawnym pokoju przynajmniej dwa razy w miesiącu, najczęściej z niedzieli na poniedziałek, korzystając z dobrodziejstw lodówki i tęsknoty matki. Drugi syn – Staszek – jeszcze studiował. On też coraz częściej sypiał w akademiku albo uczył się do późna z kolegami. Odchodził z domu nie tak spektakularnie jak starszy brat, ale po kryjomu, stopniowo wynosząc książki i niektóre ubrania, pod pozorem coraz to bardziej przedłużających się sesji na uczelni.

Wybrał polonistykę, taki archaiczny kierunek. Marzył o tym, żeby zostać nauczycielem jak Małgorzata i przybliżyć dzieciom literaturę piękną. Krzysztof myślał, że chociaż jeden z synów zostanie lekarzem. Stawiał na Janka, który miał świetną pamięć i predyspozycje do uprawiania tego szlachetnego, ale bardzo obciążającego zawodu, ale Jasiek ani myślał spełniać marzeń matki i ojca i skończył zarządzanie zasobami ludzkimi.

Krzysztof przerwał myślenie o chłopcach, ponieważ stał już naprzeciwko pokoju lekarskiego na chirurgii. Był umówiony z kolegą, tym, który przyjął Dianę do szpitala i wykonał zabieg. Mógł się jeszcze cofnąć, ale pomyślał, że przecież w bagażniku ma te nieszczęsne szczątki roweru, które powinien jej oddać.

– O, cześć, stary – powitał go kolega, który wyszedł właśnie z pokoju. – Właśnie szedłem do twojej kuzynki z wypisem...

– Wypuszczacie ją do domu? – Zdziwił się Krzysztof.

– A po co ma leżeć? – odpowiedział kolega. – Na upartego mogłem wczoraj ją odesłać, ale nikt do niej nie przyszedł, więc została na noc.

– A jak noga?

– Wyjęliśmy szprychę, daliśmy przeciwțężcowy, żadnych problemów, kość cała, nawet szyć nie trzeba było. Śladu pewnie nie będzie... Ślad został mały. Dwie kropki po obu stronach łydki – Krzysztof lubił całować te miejsca. Na jej skórze bez skazy były jedynymi punktami, które czyniły ją istotą z krwi i kości.

– Może chcesz jej to zanieść? – zapytał. – Ja jestem po dyżurze, operowałem pół nocy...

– Pewnie – zgodził się Krzysztof. – Jest tam u niej ktoś z rodziny?

– Nie. – Kolega wycofywał się do pokoju. – Dzwoni do jakiejś koleżanki chyba, bo rodzina przecież spoza Warszawy...

– Ano tak. – Krzysztof uściśnął mu rękę, nie wiedząc, gdzie oczy podziać. Przecież powiedział przez telefon, że to jego kuzynka.

Wypadałoby wiedzieć, że rodzina nie mieszka w Warszawie. – Dzięki za wszystko i trzymaj się.

Spojrzał na nazwisko na karcie informacyjnej. Diana. Diana Iwanicka. To imię oszołomiło go swoją oryginalnością. Było królewskie, dostojne, równie piękne jak jego właścicielka. Zapytał w dyżurce pielęgniarek, gdzie leży owa zjawiskowa dziewczyna, a potem zapukał do pokoju numer dwa. Stała tyłem do drzwi i zbierała swoje rzeczy do plecaka, jednocześnie rozmawiając przez telefon. Słyszał strzępki rozmowy, z której wynikało, że koleżanka nie może po nią przyjechać teraz, ale za jakieś dwie godziny skończy pracę czy projekt i się zjawi. Diana westchnęła i się odwróciła. Usiadła zaskoczona na krawędzi łóżka, widząc Krzysztofa.

– Ja po panią przyjechałem – powiedział.

– Ale ja... – zaprotestowała.

– Zniszczyłem pani rower. – Uśmiechnął się. – Więc niejako w rewanzu...

– To chyba ja zniszczyłam panu samochód – powiedziała, wciąż nie ruszając się z miejsca.

– Kilka zadrapań, dziś go odbieram. Proszę się tym zupełnie nie przejmować. Jak noga? – spytał.

– Dobrze... – Nerwowo załamała ręce. – To znaczy trochę boli, ale dostałam tabletkę. Czy pan ma do mnie żal?

– Ależ skąd...

Mogła pomyśleć, że przyszedł ją oskarżać, żądać pieniędzy za zniszczenia, jakie mogła wywołać. Stała nieco pochylona do przodu, a z całej jej postawy biły lęk i niepewność.

– Ależ skąd – powtórzył. – Nie mam żadnych pretensji.

– Bo ja mogę oddać panu pieniądze za naprawę samochodu...

– Panika w jej oczach sprawiła mu przykrość. – Jak mnie pan tu znalazł?

– Już pani mówiłem, że jestem lekarzem – zaczął wolno wyjaśnienia. – Jeszcze nigdy nie potrąciłem nikogo... Chciałem upewnić się, że wszystko jest z panią w porządku, oddać rower... – Nadal nic nie mówiła, ale nie przyjmowała już takiej obronnej pozycji.

– Założyłem, że pojechała pani na chirurgię do rejonu – tłumaczył się nadal. – Mój kolega panią przyjął wczoraj. Miałem tylko zapytać o to, czy pani dobrze się czuje, ale z rozmowy wynikało, że pani nie ma rodziny w Warszawie... – Uśmiechnęła się lekko, ale trochę niepewnie.

– Chciałem tylko pomóc i oddać rower – dokończył niezręcznie. – Ale jeśli się pani mnie obawia, to pójdę sobie...

– Nie – powiedziała. – Naprawdę przepraszam, że najpierw sprawiłam kłopot, a potem.. pomyślałam, że chce mnie pan podać do sądu...

– Mogę panią odwieźć do domu? – Postąpił krok do przodu.

– Będę bardzo wdzięczna... – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Miała dwa rzędy lśniących białą równiutkich zębów i dołeczki, kiedy się uśmiechała.

– Poczekam na korytarzu. – On także się uśmiechnął.

– Ja zaraz... – Odwróciła się nerwowo. – Postaram się szybko...

– Spokojnie. – Tym razem i on pokazał rząd lśniących zębów i uśmiech upodabniający go do George'a Clooneya. – Jak ma pani na imię?

– Diana...

– Pięknie. – Jeszcze jeden uśmiech. – Pewnie wszyscy mówią do pani Di?

– Nikt tak do mnie nie mówi... – Znow się uśmiechnęła i pokazała dołeczki. – Nikt tak nie mówi...

Otrząsnął się na chwilę ze wspomnień. Sam mógłby tysiąc razy przywoływać jej obraz i każde wypowiedziane przez nią słowo. Analizować spojrzenie po spojrzeniu, ale psycholożki chyba to nie interesowało. Starał się trzymać faktów.

– Zawiózł ją pan wtedy do domu, tak? – podsumowała.

– Tak – potwierdził. – Poczekalem, aż się ubierze, i zeszliśmy na dół. Trochę kuśtykała, ale tak, jak powiedział mój kolega, nic się w sumie nie stało. Miała dużo szczęścia... wtedy... – Westchnął gorzko.

– Nie miał pan przecież swojego samochodu.

– Nie miałem – potwierdził. – Skorzystałem z postojowej taksówki. Mieszkała bardzo blisko, na Ochocie.

– Wszedł pan do niej do mieszkania? – zapytała.

– Tak – ponownie potwierdził. – Sama mnie zaprosiła. Ja się nie narzucałem. Ale nie zostałem wtedy długo. Kilka minut tylko. Zapytałem, czy kupić jej coś do jedzenia...

– A ona panu zaufała? – Aleksandra zdjęła okulary i potarła zmęczone oczy.

– Wylegitymowałem się – powiedział zgodnie z prawdą. Podczas tej rozmowy nie skłamał ani razu. – Chociaż mnie o to nie prosiła. Wyjąłem dowód osobisty, wręczyłem jej i kazałem odczytać imię, nazwisko, adres. Dałem jej swój numer telefonu...

– Wzbudza pan zaufanie – powiedziała z przekąsem.

Pominał tę jej uwagę milczeniem. Zgadzał się jednak z psycholożką. Di była strasznie łatwowierna. Taki miała charakter. Ludzie wydawali jej się dobrzy, życzliwi, nigdy zawistni i głupi.

– A rower kiedy jej pan oddał?

– Po kilku dniach. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Kiedy odwiozłem ją do domu ze szpitala, zapytałem, czy mogę jej dalej pomagać. Miała dwa tygodnie zwolnienia i jak się zorientowałem, jej rodzina mieszkała poza Warszawą. Wtedy nie znałem szczegółów. Nie wiedziałem, czy jakieś koleżanki kupowałyby jej chleb.

– Ale nie o chleb pytam... – przerwała mu Aleksandra.

– Ależ ja nie unikam odpowiedzi na pani pytanie. Chciałem tylko powiedzieć, że gdyby nie chciała mnie już widzieć, powiedziałbym, że rower się zniszczył. Zresztą taka była prawda.

– Czyli ten rower oddał jej pan wtedy, kiedy powiedziała, że chce, żeby pan robił jej zakupy?

– Właśnie – potwierdził. – Przed zajęciami wpadałem do niej z kawą i rogalikami francuskimi, za którymi przepadała. Kupowałem jej jogurty, różne warzywa, sery, bo mięsa nie jadała. Trzeciego dnia powiedziałem, że przyjadę z rowerem.

– Naprawił go pan sam?

– Wyrzuciłem – zaprzeczył. – Nie nadawał się do niczego. Odkupiłem jej identyczny. Tylko po to był mi potrzebny ten potrzaskany, żeby odkupić jej taki sam.

– Myślał pan, że to zrobi na niej wrażenie?

– Rogaliki robiły, a co dopiero rower. To była bardzo skromna dziewczyna – powiedział z goryczą...

– Ale przyjęła taki drogi prezent.

– Powiedziałem, że naprawiłem sam. – Uśmiechnął się. – Początkowo uwierzyła. Nawet koszyk kupiłem identyczny... Kiedy poznała prawdę, byliśmy już... blisko.

Jesień 2011

Krzysztof wszedł do pokoju dziarskim krokiem. Dopiero po zamknięciu drzwi przekonał się, że przyzwyczajenia zaszedł do swojego dawnego miejsca pracy. Wcześniej planował wstąpienie do nowego gabinetu, otwarcie drzwi i pozostawienie ich z kluczem w zamku, tak aby profesor nie musiał klucza szukać. Wcześniej takie sprawy załatwiała sekretarka, ale była to osoba młodzianka i wiedział, że w obecnej sytuacji, kiedy występuje nowy szef, ona nie odważy się otworzyć gabinetu.

– Sujecki już jest – powiedział Paweł Makulski, podnosząc wzrok znad gazety.

Było pięć minut po dziewiątej. Krzysztof był już po wizycie u Di, tradycyjnie z rogalikami i kawą w papierowym kubku, chociaż protestowała, że przecież sama może sobie taką zrobić. Ale nie dlatego się spóźnił. Pocałował ją jedynie przelotnie i uparł się, że wyrzuci jej śmieci. Zapytał, co miałyby ochotę zjeść na obiad, ale powiedziała, żeby się absolutnie nie kłopotał, i zamachała rękoma w obronnym geście. Poprosił, żeby zastanowiła się jednak, ponieważ w przeciwnym wypadku kupi to, co uważa za stosowne, a tak obiecał, że przyniesie rachunek i naturalnie przyjmie od niej należność co do grosza. Spóźnił się dlatego, że pocałowała go wtedy po raz pierwszy. Objęła i pocałowała z wdzięcznością. Był tak oszołomiony, że kartkę z wypisaną dziecinny pismem listą zakupów zostawił na jej stole w kuchni. Przypomniał sobie o tym w połowie drogi, a wtedy wrócił się i ponownie się pocałowali, tym razem dłużej.

– O rany – odpowiedział Makulskiemu.

– Wiem, że chciałeś otworzyć mu pokój – powiedział kolega.

– Sam chciałem, kiedy zobaczyłem, że cię jeszcze nie ma, ale wiesz, on był koło siódmej. Stasia mówiła.

Stasia, sprzątaczką, była bardzo wiarygodna, jeśli szło o takie sprawy.

– To nie będę mu może przeszkadzał. – Usiadł na krześle.

– Kawki? – zapytał kolega.

– Chętnie. – Kiwnął głową. – W domu nie piłem. Słuchaj, Paweł, mam do ciebie prośbę, trochę, hm... nietypową.

– Wał – zainteresował się kolega.

– Wiesz, chodzi o to, że ja... – Zrobił zatroskaną minę.

– Chodzi o to, żeby nie zwracać się do ciebie po imieniu przy ludziach, tak? – Krzysztofa zatkało na chwilę. Nawet nie przyszło mu to do głowy.

– Sujecki już rano urządził przemowę, że już nie jesteś naszym kumplem...

– Paweł – odzyskał mowę. – Chyba nie przestaniemy być kumplami? Jak to nie po imieniu?

– Ma rację. – Kiwnął głową młody chłopak. – Byliśmy sobie równi, a teraz już nie jesteśmy... Taka prawda.

– Mam nadzieję – powiedział z niedowierzaniem – że żartujesz.

– Krzysiek, posłuchaj... – Paweł Makulski spojrział jasnymi oczami. – Nie będę traktował cię inaczej. Przecież ani Anka, Damian, Robert czy Kasia też tego nie zrobią. Chodzi o Kudelskiego. Musisz traktować go z dystansem. I od niego wymagać tego samego, dla swojego dobra. I przyszłości tutaj.

– Jasne... – Pokiwał głową.

– On już dzwonił i zapowiedział, że dziś go nie będzie. Myślę, że to nic innego jak próba dla ciebie. Jak zareagujesz. – Westchnął. Nie miał najmniejszej ochoty na walkę z kolegą, który z nim przegrał. Nie miał chęci na żadne konfrontacje. Wygrał stanowisko dość łatwo, właściwie to profesor za niego wygrał, on tylko miał godnie kontynuować jego dzieło. Chciał, żeby wszyscy to zaakceptowali i byli wdzięczni, że stanowisko objął właśnie on, a nie osoba zupełnie obca, która przyszła z zewnątrz.

– A co ja mogę mu zrobić? Mam zadzwonić do domu i kazać mu przyjść? – spytał.

– Ja mam ci poradzić? – Zaśmiał się Paweł.

– Sądzę, że to przemyślałeś, i to dość gruntownie. – Krzysztof także się roześmiał.

– Oczywiście, nie możesz zadzwonić do niego do domu. W żadnym wypadku. Przecież cztery dni urlopu może wziąć na żądanie. Albo zwolnienie. Kiedy jednak wróci, wezwij go i zapytaj, z jakiego tytułu go dziś nie było. Może urlop, opieka nad dzieckiem, zwolnienie...

Jego dzieci są dorosłe...

– Czyli urlop... – podsumował. – Tyle że musisz to wyegzekwować.

– Jak?

– Boże, człowieku... – Kolega wzniósł oczy ku niebu. – Wzywasz i pytasz, pilnujesz, żeby dotarł do kadr. A jak powie: „Stary, daj spokój”, to powiesz z naciskiem: „Bardzo proszę o uregulowanie tej sprawy”.

– Bardzo proszę o uregulowanie tej sprawy... – powtórzył posłusznie.

Paweł pod pozorem nalania mu kawy z automatu wstał i klepnął go po plecach.

– Nie mogłem się powstrzymać, ostatni raz...

– Jasne. – Krzysztof upił łyk kawy i skrzywił się. – Gdzie cukier?

– Na jednej nóżce... – Uśmiechnął się kolega.

– Paweł, słuchaj... – Krzysztof patrzył, jak kolega z udawaną usłużnością sypie mu do kawy łyżeczkę cukru i miesza energicznie.

– Chciałem cię prosić o coś zupełnie innego.

Co tam?

Może nie będziesz musiał, wiesz... Trochę mi niezręcznie...

– Powiedz, człowieku... To znaczy, panie kierowniku... – Uśmiechnął się szeroko. – Najwyżej się nie zgodzę.

– Chodzi mi o mój samochód...

– Coś mu zrobiłem? – Wyraźnie się zmieszał.

– Skąd, nie, nie... Przeciwnie, że tak powiem... Tego dnia miałem stłuczkę. Ze swojej winy... Zagapiłem się i... nieważne... Chodzi o to, że nie chciałem o tym mówić żonie.

– O stłuczce...

– Właśnie. To było kilka zadrapań, więc zawiozłem samochód do zaprzyjaźnionego warsztatu. Tylko że żonie powiedziałem...

– ...że to ja miałem stłuczkę... – zasugerował kolega.

– Nie, za kogo ty mnie masz? – zachnął się Krzysztof. – Powiedziałem, że pożyczyłem ci samochód na jeszcze jeden dzień.

– Mam cię za podobnego do mnie pantoflarza...

– Dzięki. – Skrzywił się.

– Skoro nie wie o stłuczce, to o co chodzi? Nie mogłeś kumplowi pożyczyć samochodu?

– Nie znasz mojej żony i jej dociekliwości...

– Może zadzwonić i zapytać, czy to prawda? – Zdziwił się. – Narobiłaby ci obciachu...

– To, co byś sobie pomyślał, nie ma dla niej specjalnego znaczenia. – Krzysztof postanowił nie owijać w bawełnę. – Powiedziałem jej, że zostawiłem ci samochód na jeszcze jeden dzień, ponieważ potrzebowałaś dziecko zawieźć do lekarza. Więc ona może zadzwonić i zapytać, jak się czuje mały Pawełek. – Kolega roześmiał się głośno.

– Uuu – powiedział. – To masz tak jak ja. Mnie Magda bez przerwy kontroluje. Gdzie byłem, dlaczego tak długo w sklepie, jakie korki... Sprawdziła w necie i korków nie było... Jak to – ktoś wpadł pod tramwaj, niczego takiego nie ogłaszali... Codziennie to samo...

– U mnie tak nie jest. – Pokręcił głową. – Ona tylko jest... ciekawa wszystkiego.

– Też mógłbym to tak ująć. – Paweł nadal wpatrywał się w Krzysztofa z mieszaniną sympatii i ironii. – Magda jest ciekawa, jak spędzam każdą minutę bez niej.

– Wiem, że koniec końców proszę cię, żebyś kłamał dla mnie...

– Nie prosisz mnie przecież, żebym powiedział, że spędziłeś u mnie noc, będąc tymczasem z kochanką, więc okej.

– Dzięki, stary...

– Jakies szczegóły mi podasz? Do jakiego specjalisty pojechaliśmy?

– O tym nie mówiłem, tylko że zostawiłem ci samochód na jeszcze jeden dzień, bo musiałaś z małym do lekarza.

– Nie muszę zatem rozwijać wyobraźni...

– Nie musisz. – Krzysztof dopił kawę i wstał. – Dzięki jeszcze raz. Może nie zadzwoni.

Dobiegł ich od strony drzwi głuchy łoskot. Jakby ktoś tkwił w pułapce i nie mógł z niej wyjść. Krzysztof otworzył drzwi, przez które weszła, a właściwie wpadła do środka Kasia – koleżanka Krzysztofa, jedna z najmilszych istot, jakie w życiu spotkał, przynajmniej tych płci żeńskiej.

– Cześć, chłopaki. – Kasia Markowska ociekała wodą mimo okazałego parasola w ręku. – Co ty tu robisz z nami, maluczkimi?

– Następna się znalazła, co już ze mną nie będzie rozmawiać po awansie...

– To ty się z nami nie powinieneś spoufalać. – Mrugnęła do niego. – Zaraz się rozbiore i zrobię ci kawki.

– Kawki to ja już mu zrobiłem – powiedział Paweł i dodał konfidencjonalnym tonem: – Ale jestem

przekonany, że wolałby, żebyś to ty się rozebrała. Ja nawet nie miałem śmiałości zaproponować.

– Bardzo śmieszne – powiedzieli jednocześnie Kasia i Krzysztof.

– Dla mnie mogłabyś się rozebrać – zaproponował Paweł. – Oczywiście wyłącznie w celach naukowych.

– Jeszcze żyję – przypomniała mu, zdejmując żółty sztormiak.

– Tym lepiej – zgodził się kolega. – Zrobimy sobie ćwiczenia na osobniku żywym...

– Ależ leje... – Do pokoju weszła Anka Kamińska, zderzając się z koleżanką parasolem. – A co ty tu robisz? – zwróciła się do Krzysztofa.

– Pójdę sobie chyba, bo nikt mnie tu już nie chce. – Krzysztof podniósł się z krzesła i przepłukał kubek po kawie, ignorując egzaltowane krzyki koleżanek, żeby zostawił kubek w zlewie, bo one z ochotą umyją wszystko po ukochanym kierowniku. Postął chwilę za drzwiami, aż usłyszał znajome chichoty i poczuł, że będzie mu jednak czegoś brakowało. Potem poszedł długim korytarzem, patrząc po raz tysięczny na słoje wypełnione preparatami. Na końcu korytarza zawrócił. Szedł przecież do gabinetu profesora, właściwie obecnie swojego. Śmieszne, że znów pomylił drogę. Tym razem skierował się do sal studenckich. Pod drzwiami obitymi brązowym skajem zawahał się chwilę. Już dwa razy się pomylił. Może mu ten gabinet niepisany. Wreszcie zapukał i wszedł, słysząc głucho „proszę”. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Podłogę zaścielały papiery, na biurku piętrzyły się stosy segregatorów. Profesor klęczał na podłodze obok okazałego fotela, który podobno przywiózł ze sobą jego własny ojciec na Ziemię Odzyskaną. Krzysztof nigdy nie widział byłego szefa w takiej sytuacji.

– Panie kolego – starszy człowiek uśmiechnął się do niego z wyraźną sympatią – proszę, proszę...

– Właściwie to ja przyszedłem jeszcze raz zaproponować, żeby pan, profesorze, nie spieszył się tak z tą przeprowadzką... – Krzysztof nie ruszył się z miejsca głównie dlatego, że nie miałby gdzie postawić nogi, nie nadeptując na rozłożone papiery.

Profesor, mimo siedemdziesiątki na karku, wyglądał bardzo dobrze. Wysoki, postawny, z krótko ostrzyżonymi białymi włosami, zachowywał sportową sylwetkę dzięki codziennym spacerom do pracy z Muranowa, gdzie mieszkał.

– A wie pan, że ja naprawdę myślałem, że w godzinę, góra dwie się uwinę z tym wszystkim...

– Wiem, że pan tak myślał, ale wynika to chyba z faktu, że nigdy się pan nie przeprowadzał...

– Po wojnie – odpowiedział z uśmiechem. – Zaraz po zakończeniu i kilka razy potem. Ale rzeczywiście słabo to pamiętam. Tak mało wtedy mieliśmy, że nie wydawało mi się to wielką sprawą.

– Proszę się nie spieszyć i spokojnie przeglądać sobie te wszystkie papiery...

– Część oczywiście dotyczy spraw ogólnych i te panu zostawiam w segregatorach. – Pokazał na przeszkloną półkę. – Zabieram tylko osobiste papierzyska...

– Oczywiście. – Kiwnął głową Krzysztof.

– Pan zwolni swoje biurko i przeniesie sobie tu swoje dokumenty, a ja zajmę pańskie. Przyrzekam, że postaram się zrobić to do jutra.

– Panie profesorze. – Krzysztof był stanowczy. – Absolutnie się nie zgadzam. Musiałby pan zostawać po godzinach...

– Zostanę...

– ...i ktoś musiałby tu panu towarzyszyć, na przykład nasza Stasia... – wszedł mu w słowo. – Do sesji poprawkowej zostało dwa tygodnie, a dopiero przy egzaminach mogę naprawdę potrzebować tego gabinetu. Może pan spokojnie przejrzeć papiery, zostawić, co moje, zabrać, co pańskie, i wtedy się zamienimy. Proszę się nie upierać.

– Właściwie ma pan rację, dziękuję... – Profesor ogarnął nieco bezradnym spojrzeniem bałagan na podłodze. – Co wyjmę jakieś prace, to je zaczynam czytać i dlatego to tak wolno wszystko...

Krzysztof uśmiechnął się i wycofał tyłem z gabinetu, zostawiając profesora pochłoniętego lekturą jakiejś dawno zapomnianej publikacji.

Jesień 2012

– Kiedy pierwszy raz doszło między wami do zbliżenia?

Krzysztof wiedział, że to pytanie padnie, ale nie zamierzał powiedzieć prawdy. Nie dlatego, że miał coś do ukrycia. Tyle że to było coś wyłącznie między nim a Di. Żony nie zdradził nigdy. Przed nią miał kilka kobiet, z których tylko z jedną łączył go poważniejszy związek. Pozostałe to były przelotne znajomości, chociaż zakończone łóżkiem. Pamiętał, że nigdy ten „pierwszy raz” z daną kobietą nie wzbudzał w nim specjalnego dreszczu emocji. Po prostu po kilku spotkaniach przychodził właściwy moment i łądownali w jego kawalerskim mieszkaniu na tyłach hotelu Metropol. Było różnie, lepiej, gorzej, dłużej albo krócej. Niektóre związki gasły automatycznie, inne jeszcze trwały przez jakiś czas. Dopiero Małgorzata była tą właściwą. Pierwszy raz z nią był także ekscytujący, ale w zupełnie inny sposób. Może dlatego, że wtedy był młody.

– Po trzech miesiącach znajomości, u niej w domu oczywiście

– skłamał.

Poszli do łóżka po dwóch tygodniach codziennych spotkań. Kiedy jej noga całkiem się zagoiła. Siedzieli na balkonie jej mieszkania i patrzyli na kasztanowce, które jeszcze nie zostały zaatakowane przez szrotówkę. Ona trzymała długie nogi na jego kolanach. On głaskał białą, piękną skórę. Chodziła zazwyczaj w krótkich spodenkach i sportowych bluzeczkach, mimo to wyglądała bardzo kobieco. Znał prawie każdy milimetr jej skóry od długich palców u stóp aż po uda. Dwie kropki na lewym podudziu były jedyną skazą, jaką zauważył. Nachylił się, żeby je pocałować. Ona w odpowiedzi nie uśmiechnęła się jak zwykle, ale wstała, podeszła do niego i usiadła mu na kolanach przodem do niego.

– Chcesz? – zapytała.

– Jesteś pewna? – odpowiedział, mając nadzieję, że ona się nie zawaha.

– Pragnę cię – powiedziała. – Od pierwszej chwili, tylko nie wiedziałam, kiedy powinno się...

– Teraz powinno się... – Uśmiechnął się i objął ją delikatnie.

Zawsze dotykał jej delikatnie, była taka wiotka i krucha mimo stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Może to ta biała skóra sprawiała takie delikatne wrażenie. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Zdjęła sama bluzkę i rzuciła ją na bok. On patrzył na bladoliliowy koronkowy biustonosz, który ukrywał jej drobne piersi, tak różne od ponętne biustu Małgosi. Sięgnęła rękoma do tyłu, on je przytrzymał i pokręcił głową.

– Pozwól mi – wyszeptał jej do ucha.

Zrobił to najdelikatniej, jak umiał, a potem patrzył długo na delikatne półksiężyce, blade sutki, sterczące do góry, dotykał ich delikatnie i muskał wargami.

– Chodź. – Zaniósł ją do środka, w końcu byli na balkonie, i położył na łóżku. Serce mu waliło w piersi mocno, kiedy zdejmował własne ubranie. Ona leżała nieruchomo, patrząc, jak się rozbierał. Kiedy stanął przed nią całkiem nagi, popatrzyła uważnie i powiedziała:

– Jesteś piękny... Taki podobny do Clooneya...

Zdjął z niej te spodenki, potem krótko się wahał i zsunął koronkowe majtki w kolorze biustonosza. Miała tam mało jaśniutkich włosków. Zasłoniła się ręką jak dziewczica. On po początkowym zachwycie zabrał się do sprawiania jej przyjemności. Ona też nie pozostała mu dłużna. Kochała się w sposób spontaniczny, niewystudiowany, niczego nie przyspieszała, nie zwalniała i, co najważniejsze, nie walczyła z nim. Seks nie był dla niej ani starciem na ringu, ani pokazywaniem swojej pozycji. Był tym, czym powinien być – czystą radością. Podczas orgazmu śmiała się. Potem przytuliła się do niego mocno, całym ciałem, a głowę włożyła między szyję a obojczyk. Chciał zapytać, jak jej było, ale nie musiał tego robić. Była pokryta warstewką potu, śliska, i śmiała się, przyciskając go mocno do siebie.

– Jesteś cudowna – włożył jej te banalne słowa językiem do ucha.

– Ty jesteś cudowny. – Zaśmiała się jeszcze głośniej i próbowała uwolnić się z jego ramion, ale trzymał ją mocno.

– Skoro nie chcesz mnie puścić – chodź ze mną pod prysznic

– powiedziała.

Wtedy ją puścił. Zaprowadził go do swojej małej, kolorowej łazienki i wepchnęła do kabiny. Odkręciła wodę, która spadła im wprost na głowy. Zaczął krzyczeć, ponieważ była zupełnie zimna, dopiero po kilku sekundach, które wydały mu się wiecznością, zaczął spływać strumień ciepłej wody.

– Zawsze tak traktujesz facetów? – zapytał. – Stawiasz ich pod zimny prysznic?

– Prawdę mówiąc tak. – Śmiała się nawet pod strumieniem wody. – Wszyscy reagujecie tak samo. Wrzeszczycie, jakby odrobina zimnej wody miała was zabić...

Rozrabiał żel rękoma, pokrywał jej ciało wcale nie tak delikatnymi ruchami. Potem umył jej głowę. Stała grzecznie i nie otwierała oczu, pozwalając się dotykać, gładzić i masować. Potem, kiedy już ją opłukał, zaciągnęła go jeszcze raz do łóżka i znów się kochali. Prawdę mówiąc, mógłby tydzień z nią być i wstawać wyłącznie po to, żeby zjeść. Nie pamiętał tak spontanicznego seksu. Porównanie z Małgosią nasuwało się samo. Żona była wspaniałą kochanką, znała go lepiej niż Di i wiedziała, co lubi, a czego nie. Z drugiej jednak strony dawkowała sobie bardzo ostrożnie, a w uprawianiu seksu nie widziała niczego spontanicznego. Nie pamiętał także, żeby się śmiała czy cieszyła zwyczajnie ze szczęścia, że są razem. Nigdy nie okazywała radości, jedynie zadowolenie, czystą satysfakcję.

– Co chcesz, żebym zrobił? – zapytał, kiedy już skończyli ten drugi raz i leżeli ciasno przytuleni.

– Nie wstawaj – poprosiła.

– Nie ma mowy, żebyś mnie znów polewała zimną wodą. – Roześmiał się.

– Wiesz, jak bardzo mi się podobasz? – zapytała poważnie.

– Daj spokój. – Był trochę zmieszany. – Ty jesteś taka piękna, młoda, jak wiosna...

– Naprawdę?

Pytała o to wiele razy, a on za każdym razem kiwał głową, że tak, jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek trzymał w ramionach.

Potem wracał do żony, do domu, jadł z apetytem obiad i wysłuchiwał opowieści z życia szkoły. Sam opowiadał drobiazgowo o planowanych badaniach na uczelni, o doktorantach, których musi zdobyć, żeby zakończyć przewód habilitacyjny. W myślach widział tylko tę białą skórę i błękitne oczy. Tęsknił za

każdym razem, także i wtedy, kiedy wchodził w żonę wieczorami, zadowolając ją i sprawiając, że czuła się żoną mężczyzny na stanowisku, który niedługo zostanie dziekanem uczelni, a kto wie, może i rektorem...

– Czy regularnie uprawialiście seks? – Zapomniał o tym, że psychologka siedzi i czeka na jego odpowiedź.

– Tak często, jak to tylko było możliwe – odpowiedział. – Nawet codziennie.

– W soboty i niedziele nie spotykaliście się? – dociekała.

– Czasami – wyznał. – Mówiłem w domu, że mam pracę na uczelni, ale to było tylko kilka razy.

– Czyli kłamał pan – podsumowała rzecz oczywistą. – Dlaczego okłamywał pan żonę?

– Nie sądzi pani, że to pytanie jest trochę...? – Nie wiedział, jak to ująć.

– Nie na miejscu? – Psychologka uniosła brwi. – Już panu mówiłam, że pana życie i zdrady mnie nie interesują w sensie prywatnym..

– Nie, nie – zaprzeczył. – Już się pogodziłem z tym, że wywleka pani bez żadnego skrupowania moje intymne sprawy... Chodzi mi o to, że pani pytanie jest naiwne.

– W jakim sensie naiwne?

– Proszę pani... – mówił tonem protekcjonalnym. – Każdy mąż zdradzający żonę ją okłamuje. Mało znam takich związków, gdzie małżonkowie zdradzają się bez problemu i jeszcze opowiadają sobie detale. Niektórzy przyznają się do tego po jakimś czasie. A niektórzy nigdy...

– Pan nie zdążył czy nie zamierzał powiedzieć żonie o tych spotkaniach?

– Nie zdążyłem, znaliśmy się rok...

– Z panią Iwanicką?

– Tak, z panią Iwanicką. – Kiwnął głową. – Znaliśmy się rok.

– To krótko?

– Myślałem, żeby powiedzieć żonie, ale...

– Ale pan nie powiedział... – stwierdziła fakt.

– Zacząłem podejrzewać, że ona kogoś ma, i zaskoczyło mnie to...

– To był chyba dobry moment, żeby zerwać z kochanką i walczyć o żonę... – zasugerowała.

Machinalnie przytaknął, chociaż znów się nie zgadzał. To był najlepszy moment, żeby być z kochanką. Świadomość, że żona także ma kogoś. Pamięta moment, w którym zauważył, że Małgosia myśli o kimś innym. To był mały sygnał, krótkie wahanie wieczorem, jakby uważała, że należy mu się seks, ale nie miała na to siły. Uświadomił sobie właśnie, że ten wyjazd z klasą, o którym mówiła, wycieczka z nocowaniem, z piątku na sobotę, raczej nie był specjalnie prawdopodobny. Jaki nauczyciel jedzie z małymi dziećmi na wycieczkę do Krakowa tuż przed końcem roku szkolnego? W dodatku wraca w sobotę wieczorem? Małgosia wróciła w sobotę i od progu skarżyła się na zmęczenie, dzieci, pociąg... „Powiedz jeszcze, że głowa cię boli” – zasugerował, a ona stanęła jak słup soli. A potem wyglądało na to, że stara się wieczorem zmusić do bycia z nim. Sam spędził ten dzień i poprzedni wieczór z Di, więc specjalnie nie nalegał.

– To był dobry moment, żeby zerwać z kochanką – przytaknął.

– Bardzo żałuję, że tego wtedy nie zrobiłem.

Gdyby wtedy poczuł, że kocha Małgosię albo że nie kocha Di, zdecydował się na jedną z nich, byłoby inaczej... Gdyby chociaż wiedział, że kochał którąkolwiek...

Jesień 2011

Od rana toczyła ze sobą bój. Z jednej strony miała ochotę iść na otwarcie tej wystawy, z drugiej, myśl, że spędzi sobotnie popołudnie w towarzystwie swojego szefa, napełniała ją niechęcią. „Może on nie przyjdzie” – przekonywała się w duchu. „Ale na miejscu takiego dyrektora nie przepuściłabym wspaniałej okazji, żeby poznać swoich pracowników od tak zwanej kuchni. Ale znowu z kolejnej strony – dyskutowała ze sobą zawzięcie – on przecież nie może myśleć, że to jest prawdziwe, szczere zaproszenie”.

– Krzysztof – zajrzała do pokoju – chcesz iść na wystawę malarstwa Anki z dredami?

Nie doczekała się odpowiedzi. Mąż siedział do niej tyłem i miał w uszach słuchawki, a przed oczami książkę. Sama nie umiała w ten sposób słuchać muzyki. Po pierwsze nie znosiła, kiedy miała coś w uszach. Słuchawki traktowała jak zabrudzone, bardzo zakaźne paskudztwo i po kryjomu przecierała spirytusem. Nawet gdyby miała własny, osobisty sprzęt, również nie wkładałaby go do ucha. Kilka razy próbowała, ale słyszała muzykę na czubku głowy i po kilku minutach zaczynał się ból, który przechodził w wielogodzinną migrenę. Tak więc słuchawki nie były dla niej. Ale za to bardzo, ale to bardzo lubiła słuchać muzyki normalnie, z głośników. Dlaczego Krzysztof, wiedząc o jej niechęci do słuchawek i miłości do muzyki, pozbawiał jej przyjemności słuchania? Dlaczego był takim egoistą? Podeszła do niego od tyłu i wyciągnęła mu jedną ze słuchawek z ucha.

– Dlaczego słuchasz beze mnie? – zapytała.

– Bo to nie słuchanie dla słuchania, tylko dla czytania... – wyjaśnił.

– Ja cię podziwiam – zaczęła po raz setny. – Nie dość, że słuchasz muzyki przez słuchawki, i to tak głośno, że ja prawie słyszę słowa, to jeszcze czytasz w tym samym czasie... Nie wiem, czy to przejaw inteligencji czy wręcz przeciwnie...

– Zdecydowanie wręcz przeciwnie. – Uśmiechnął się do niej Krzysztof. – Co, kochanie?

– Skąd wiesz, że coś chciałam od ciebie?

– Prawdę mówiąc, włożyłem słuchawki, ponieważ chodzisz od rana jak deszczowa chmura i mamrociesz pod nosem. A to zazwyczaj oznacza, że masz jakiś mały problem..

– Mały problem? – Uniosła brwi.

– Mały w sensie takim, że nie potrzebujesz o tym rozmawiać, tylko sama musisz dojść do jakichś wniosków i wtedy mi o tym powiesz...

– Mniejsza z tym. – Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Chciałam cię zapytać, czy masz ochotę iść na otwarcie wystawy Anki. Tej rudej plastyczki z mojej szkoły.

– I tym tak się gryziesz? – Krzysztof wyłączył muzykę i odłożył sprzęt.

– Chcesz iść czy nie? – spytała.

– Nie, żeby mi jakoś szczególnie zależało. – Wzruszył ramionami. – Ale możemy przecież pójść. Trwa

godzinę, ten jej mąż zawsze dba o dobry poczęstunek. Ona sama jest śliczna, miła... Co nam szkodzi? I obcowanie z żywą kulturą będzie w ten weekend polegało nie tylko na otwarciu jogurtu...

– Zaprosiła też nowego dyrektora...

– To o to chodzi? A starą dyrektorkę zapraszała?

– Zapraszała... Tyle że Baranowska nigdy nie przychodziła.

– Ten nowy może też nie przyjdzie, ale zgadzam się, że wypadało zaprosić...

– To pójdziemy – zdecydowała. – Ubieraj się. – Krzysztof westchnął, ale posłusznie wstał z kanapy.

– Nie, usiądź – zakomenderowała żona. – Dopiero za dwie godziny wychodzimy... Krzysztof grzecznie usiadł.

– Och, no co?! – wykrzyknęła. – Nie mogę na ciebie liczyć! Nie możesz się zdecydować! „A zapowiadał się wieczór wypełniony myślami o jasnowłosej właścicielce długich nóg i drobnych piersi” – westchnął.

Pretensje osobiste zwykle były wynikiem hormonów, jakie buzowały w ciele jego żony. Wszystko, co czytał na temat damskiego zachowania i zmiennych nastrojów w okolicy miesiączki, o bólach głowy i innych niedyspozycjach, wyraźnie sprawdzało się w odniesieniu do jego własnej małżonki.

– Dobrze. – Kiwnął głową. – Zdecydowałem się iść na tę wystawę. W dodatku pójdziemy tam piechotą, bo jej bogaty mąż przywiezie całą masę włoskiego wina.

– Żartujesz chyba – zachnęła się. – Zamierzam włożyć szpilki. Nie będę szła. Zresztą jeszcze nie wiem, czy ja bym chciała... – Małgorzata powoli odzyskiwała nastrój.

– Sam nie pójde. – Zrobił minę, która była najbardziej „clooneyowska” ze wszystkich. – To znaczy nie pojedę...

Dwie godziny później czekał na nią w przedpokoju, a ona zmieniała strój po raz trzeci. W pierwszej wersji miała na sobie czerwoną sukienkę i szary żakiet, ale powiedziała, że strój jest zbyt krzykliwy. Potem już prawie wyszli, ale w ostatniej chwili Małgorzata zdecydowała, że dzinsy i biała bluzka to jest strój zbyt szkolny i nieformalny, jednak włoży coś bardziej eleganckiego. Wreszcie wyszła w granatowej sukience w białe jaskółki, bez rękawów, z szeroką spódnicą do ziemi.

– Pięknie – pochwalił. – Idealnie.

Kiwnęła z zadowoleniem głową, ale do samego domu kultury nie odezwała się prawie słowem. Przymykała tylko oczy w taki sposób jak w chwilach, kiedy bała się, że dostanie migreny. Za to w chwili przejścia przez próg rozciągnęła usta w uśmiechu i zachowywała się, jakby ta wystawa była najlepszą rzeczą, jaka jej się od dawna przydarzyła.

– Cześć, kochani – w głosie Anki nie wyczuwało się zdenerwowania.

– Wino białe czy czerwone? – zapytał jej mąż, pochylając się w stronę Małgorzaty.

– Ja białe, mąż czerwone – powiedziała odruchowo, a Krzysztof jedynie pokręcił głową.

– Niestety prowadzę... – Uśmiechnął się przepaszająco.

Rozejrzeli się wokoło. Pozostawało kilka minut do oficjalnej godziny otwarcia, a spora sala domu kultury była prawie wypełniona. Małgorzata rozpoznawała twarze, które już widziała na innych wystawach koleżanki. Część z tych ludzi udało się jej poznać, części nie miała okazji. Mąż Anki

przyniósł Małgosi wino. Sączyła powoli świetny trunek z eleganckiego kieliszka i nawet nie myślała o tym, że pozbawiła Krzysztofa przyjemności napicia się lampki wina. Rozglądali się wokoło.

– Nie ma Zuzanny – stwierdził Krzysztof. – Nie była zaproszona?

– Na pewno była – powiedziała nieuważnie.

Adama Zalewskiego nie było. I bardzo dobrze, odetchnęła z ulgą. Nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie, nie chciała poznawać go ze swoim mężem, a gdyby i on z kimś przyszedł, to nie miała ochoty na towarzyskie pogawędki z jego żoną, narzeczoną czy kim tam ona by była.

– Który to twój nowy dyrektor? – Krzysztof powiedział jej to prosto do ucha, w dodatku pocałował delikatnie koniuszek.

Odskoczyła jak oparzona. Czy on zwariował, żeby publicznie się do niej dobierać? Odstawiła kieliszek z winem, czując nadciągającą falę bólu przy lewej skroni.

– Nie ma go – powiedziała. – I nie czuł się do mnie publicznie...

Odsunął się od niej i zaczął słuchać przemawiającego męża Anki, który witał wszystkich na imprezie żony i życzył dobrej zabawy, zapowiadając „niespodziankę”. Potem Anka dodała jeszcze parę słów, po czym otworzyły się drzwi do bocznej sali i wszyscy zaczęli przechodzić, żeby podziwiać obrazy.

– Nie będziemy się pchać. – Małgorzata złapała męża za łokieć.

Wcale nie zamierzał przeciskać się przez tłumek. „Co ją dzisiaj ugryzło?” – westchnął po raz kolejny tego dnia, ale posłusznie zwolnił i dreptał małymi kroczkami za jakimiś młodymi ludźmi, zastanawiając się, czy para przed nim nie pomyliła czasem imprez. On miał klapki na nogach i podarty T-shirt, a jej wystawały majtki zza ciasnych dżinsów. W dodatku oboje pachnieli nieco za bardzo piżmem. Z miny żony wnioskował, że ten zapach może wywołać migrenę. Kiedy tylko mogli wymknąć się z wąskiego przejścia i stanąć daleko od kłopotliwej pary, Małgosia wreszcie się uśmiechnęła.

– Mam okres, dlatego taka jestem... niespokojna – wyjaśniła niechętnie.

– To się uspokój, kochanie. – Wziął ją delikatnie za rękę. Nie chciał ryzykować jej irytacji, gdyby chciał ją pocałować. – I oglądajmy.

Przechodzili kolejno, oglądając obrazy Anny. Ta wystawa była inna niż dotychczasowe. Anna była portrecistką i dość wziętą malarką, więc takie wystawy urządzała stosunkowo często. Na obecnej także były portrety, ale nie mężczyzn, kobiet i dzieci jak do tej pory, tylko samych kobiet. A właściwie tylko jednej kobiety. Na czterdziestu płótnach przedstawiona była około trzydziestoletnia kobieta z kruczoczarnymi włosami i dużymi oczami, w różnych pozach i strojach.

– Dlaczego wymalowała tyle portretów jednej osoby? – zapytał cicho Krzysztof.

– Nie mam pojęcia... – powiedziała Małgorzata, przechodząc od portretu do portretu.

Trzeba przyznać, że na każdym portrecie kobieta była zupełnie inaczej przedstawiona. I nie chodziło tylko o inne fryzury czy stroje. Na jednym płótnie sprawiała wrażenie zrozpaczonej. Stała, załamując ręce i wpatrując się w przestrzeń. Na innym była przedstawiona zupełnie sama, naga, po pas w wodzie. Na jeszcze innym patrzyła tęsknie na dzieci bawiące się na podwórku, na innym leżała jakby powalona chorobą.

– Rozumiecie coś z tego? – dobiegł ich cichy głos Zuzanny.

– Zuźka. – Ucieszył się Krzysztof. – Jest Marek?

– Sama jestem – odpowiedziała nieuważnie. – Marek ma jakieś ważne sprawy. Czy mi się dobrze wydaje, czy Anka wymalowała czterdzieści takich samych kobitek?

– Może to jej kochanka – zasugerowała Malwina, wyrastając obok nich jak z podziemi.

– Cześć – powiedziały jednocześnie Małgosia i Zuzanna.

– Krzysztof – powiedziała Małgosia scenicznym szeptem – to jest moja koleżanka Malwina.

– Dzień dobry. – Krzysztof uściśnął zimną dłoń. – My poznaliśmy się już wcześniej, mam wrażenie...

– Tak – ucieszyła się Malwina. – Na poprzedniej wystawie...

– Coś ty, ona jest hetero – Zuzanna wróciła do meritum.

– Skąd wiesz? – zapytał równie cicho Krzysztof.

– Ma męża... – odpowiedziała Zuzanna.

– To nie jest... – zaczął Krzysztof.

– ...i nie startowała do twojej żony, co rozstrzyga sprawę... Przynajmniej, o ile mi wiadomo – zakończyła.

– No, wiesz – prychnęła Małgorzata. – Czekaście, Anka chyba coś powie. – Anna weszła w tym czasie na niewielkie podwyższenie i unosząc kieliszek wina, chrząknęła kilka razy.

– Chciałabym gorąco podziękować wszystkim przybyłym – zaczęła nieco niepewnie, ale po chwili nabrała powietrza i następne zdania zabrzmiały już pewniej. – Bardzo się cieszę, że poświęciliście sobotę, żeby przyjechać i zobaczyć moją „Kobietę w czterdziestu odsłonach”. No właśnie, to jest portret jednej kobiety w tylu właśnie różnych nastrojach, sytuacjach życiowych i stanach... Tak sobie w tym roku wymyśliłam. Pokażę, ile w nas, kobietach, jest sprzeczności, możliwości i wielowątkowości...

– I pokazałaś, kochanie, bardzo pięknie... – Jej mąż stanął obok i uniósł kieliszek. – To moja żona, kochani. Bardzo jestem z niej dumny... Naturalnie nie ma potrzeby, żeby jedna osoba zakupiła cały komplet obrazów – dodał. Rozległ się śmiech.

– Właśnie – powiedziała Anna. – Można kupować, chociaż wtedy zawsze czuję się tak, jakbym sprzedawała swoje dzieci...

Zabrzmiało to mało zachęcająco, ale Anna roześmiała się i pozostali także wymienili uśmiechy.

– Może dlatego są takie drogie... – powiedziała cicho Małgorzata, wskazując ceny z trzema zerami. – Żebyśmy nie kupili.

– Ale może, kochanie, chciałabyś któryś? – zapytał Krzysztof.

– Są drogie – zaprotestowała.

– Owszem, ale jeden mógłbym ci kupić. – Nagle pomyślał, że byłoby fantastycznie mieć taki portret w domu. – Tylko sobie wybierz któryś...

– Właściwie... – zaczęła. – To chciałabym obraz. Naprawdę możemy sobie pozwolić...?

– Naprawdę. – Kiwnął głową. – Potraktuj to jako prezent z okazji mojego awansu.

– Chciałabym ten – powiedziała, pokazując palcem na obraz, na którym kobieta stała na łące pełnej czerwonych maków otoczonej przez gęstwinę drzew i cierni.

– Na tym obrazie widać ją najmniej... – powiedział, przyglądając się. – Patrz, na tamtym stoi prosto i też jest ładny.

– Chcę ten – powiedziała tonem dziecka ze swojej klasy, które upiera się przy zabawce.

– Oczywiście. – Kiwnął głową. – Ma się przecież tobie podobać.

– Właśnie. Wybrałam ten.

– Dobrze – powiedział do Małgorzaty, a do jej koleżanek dodał:

– Stójcie tu i pilnujcie tego obrazu, a ja idę zapytać, jak możemy za niego zapłacić.

Zostawił stojącą Małgorzatę, która stała z uniesioną ręką, jakby chciała zagarnąć obraz, szarą Malwinę, która patrzyła z podziwem i zazdrością, jasną, dumną Zuzannę, która miała wypisaną na twarzy niepewność. Czego ona dotyczyła? Czy wyboru przyjaciółki, czy też własnego pragnienia, żeby którąś z tych kobiet powiesić w swoim pięknym i zimnym domu?

Krzysztof przedarł się w stronę sprawców całego zamieszania.

– Pani Anno – powiedział, odciągając ją na bok – chciałbym kupić dla żony jeden z obrazów.

– Och... Jest pan pierwszy. To fantastyczne. Dziękuję bardzo...

– To piękne obrazy. – Uśmiechnął się do niej. – To my dziękujemy za zaproszenie.

– Tomuś – zwróciła się do męża. – Moja koleżanka Małgosia, wiesz, ta piękna... chciałyby jeden kupić. To znaczy, mąż dla niej kupuje.

– Świetnie. – Tomuś błysnął białym garniturem zębów. – Jaka forma płatności?

– Nie mam przy sobie takiej sumy, ale jeśli to musi być gotówka, to skoczę do bankomatu...

– Absolutnie nie – zaprzeczył mężczyzna i wyjął z wewnętrznej kieszeni pasek z szeregiem cyferek. – Może pan zrobić przelew. Zatrzymamy obraz dla państwa.

Anna tymczasem biegła w stronę Małgosi i dotrzymujących jej towarzystwa koleżanek, torując sobie z gracją drogę.

– Który, Małgosiu? – zapytała.

– Ten. – Małgorzata miała pewność wypisaną na twarzy, Malwina tradycyjnie niepewność, Zuzanna wahanie.

– Ten? – Anna szeroko otworzyła oczy. – Dlaczego właśnie ten?

– Bo mi się podoba – wyjaśniła. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że ten nie jest na sprzedaż albo że ci się nie udał czy nie podoba...

– Jest na sprzedaż – uśmiechnęła się. – I nawet bardzo mi się udał, tylko...

– Tylko co? – zapytała Malwina.

– Ma tytuł: „Strata”. Czemu taki właśnie chcesz? Może weź obraz o radości... Zresztą najbardziej do ciebie pasowałby ten, gdzie ona jest taka pewna siebie, spełniona...

– Ania – Małgosia przybrała zacięty wyraz twarzy – ta, jak mówisz, „Strata”, mi się podoba...

– Oczywiście, kochana. – Czerwone dredy przestały się trząść.

– Przepraszam cię. Jest twój, naturalnie. Jeśli się zgodzisz, żeby został do końca wystawy, to będę ci wdzięczna, ale oczywiście nie musisz...

– Naturalnie. – Małgorzata niechętnie zaakceptowała okoliczność, że nie wyjdzie z wystawy z obrazem. – Niech cieszy oczy i niech mi zazdrości.

– Umieszczę pascetek, że jest sprzedany, żeby nikogo nie kusił...

– Anna wyglądała, jakby się miała rozpłakać.

– Zobaczcie, kto idzie... – Malwina pierwsza dostrzegła idącego w ich stronę dyrektora.

– Bardzo przepraszam – powiedział mężczyzna skruszonym tonem. – Pomyliłem galerię i dlatego się spóźniłem.

– To dom kultury – niezbyt grzecznie powiedziała Małgorzata.

– Tak – westchnął. – Tym bardziej mi głupio. Nie wziąłem ze szkoły zaproszenia i...

– Absolutnie nic nie szkodzi... – weszła mu w słowo Anna. – Bardzo proszę ze mną, poczęstuję pana winem i oprowadzę.

Odeszli, Adam Zalewski ciągnięty przez swoją podwładną za rękaw i Anna gromiąca wzrokiem Małgorzatę.

– Co ty się na niego tak rzucasz za każdym razem, kiedy go widzisz? – zapytała Malwina. – Chcesz, żeby cię zwolnił?

– Wkurza mnie – wyjaśniła zwięźle. – Mówić nie umie, nie odróżnia domu kultury od galerii, w ogóle jakiś taki... Ubrał się w czarny garnitur. Wygląda jak stróż w Boże Ciało.

– To nowy dyrektor – przypomniała Zuzanna. – Nie musisz mu się rzucać na szyję, ale i nie „szczyb” go tak... Może nigdy nie był na wystawie i nie wie, że nie musi występować tak elegancko.

Małgorzata otwierała już usta. Miała zamiar opowiedzieć koleżankom o wcześniejszym zdarzeniu w sekretariacie, przekonując je tym samym, że nie tylko nie jest dla nowego dyrektora niemiła, ale nawet była bardzo pomocna, kiedy nie mógł poradzić sobie z mokrą marynarką i włosami.

– Wracają – szepnęła Zuzanna. – Jeśli chcesz, możemy stąd odejść. Przecież nie musisz pilnować tego obrazu... Było jednak za późno. Adam Zalewski z kieliszkiem w ręku szedł w ich stronę, nie spuszczać grupki kobiet z oczu.

– Jeśli panie nie macie nic przeciwko temu, to dotrzymam wam towarzystwa – powiedział nieco zaspany.

– Nie lubi pan wina? – zagadnęła Malwina, wskazując brodą na kieliszek wypełniony wodą.

– Jestem samochodem – powiedział.

– Jest pan człowiekiem – odruchowo poprawiła Zuzanna i zamilkła speszona.

– Rzeczywiście – powiedział Adam Zalewski, odstawiając kieliszek na stół. – Użyłem nieprawidłowego zwrotu przy polonistce...

– Wszyscy tak mówią – powiedziała Malwina, nie wiadomo dlaczego czerwona jak burak.

– To nie powód, żeby to tolerować – skwitowała Małgorzata, nie zamierzając stosować się do wskazówek Zuzanny, żeby nie dokuczać nowemu szefowi.

Adam Zalewski sięgnął po odstawiony kieliszek. Chwilę stał, patrząc prosto w oczy Małgorzacie, a potem w geście „na zdrowie” uniósł go do ust. Chwilę potem rozległ się cichy dźwięk i szkło pękło w rękach nowego dyrektora, a woda wylała się na stół i wypastowane buty.

– Kurwa – zaklął Adam Zalewski, najwyraźniej zapominając, że jest w towarzystwie kobiet, a w dodatku obcuje z dziełami sztuki.

– O Boże – szepnęła Malwina. – Krew...

Rzeczywiście, wokół odłamków szkła, także i tych, które wciąż ścisnął speszony mężczyzna, rozlewała się krew. Małgosia cofnęła się o krok. Nie znosiła widoku krwi. Zuzanna stała zaskoczona, po chwili jednak wyjęła szybko chusteczkę i podała Adamowi.

– Chyba trzeba związać – powiedziała.

– Dajcie mnie. – Rzuciła się Malwina, przypominając sobie, że uczy biologii i to właśnie ona powinna pomóc.

Krew tryskała coraz mocniej, dyrektor robił się blady, a Malwina bezskutecznie szarpała się z dyrektorską ręką i chusteczką koleżanki.

– Lekarz – odzyskała mowę Małgorzata. – Pójdę po lekarza.

Odeszła kilka kroków i trzęsącą się ze zdenerwowania ręką wybrała numer komórki męża.

– Już idę, kochanie, zagadałem się... – odezwał się po pierwszym dzwonku, nie czekając na wyjaśnienia.

– Przyjdź szybko – powiedziała. – Przyszedł nowy dyrektor i krwawi...

Krzysztof nie skomentował przez telefon zdarzenia, tylko natychmiast się pokazał, odsunął na bok Malwinę i wziął się do oglądania ręki nowego zwierzchnika żony, dopytując, jak to się stało. Wokół już zaczęli zbierać się gapie, słychać było damskie westchnienia i uspokajające zapewnienia mężczyzn, że wszystko jest pod kontrolą.

– Przeciął pan tętnicę – powiedział. – Zaraz spróbuję zatamować krew. Przede wszystkim niech pan usiądzie, bo mi pan tu straci przytomność...

– Krzesło! – zarządziła Małgorzata.

Po chwili żądany mebel się znalazł i blady mężczyzna został usadzony.

– Rozepnijcie mu kołnierzyk – powiedział Krzysztof.

Malwina ochoczo postąpiła krok naprzód, ale Małgosia powiedziała:

– Ja to zrobię, ty idź się umyj z tej krwi...

Malwina posłusznie poszła w stronę łazienki, mamrocząc coś pod nosem. Małgorzata pewnie podeszła do bladego jak ściana Zalewskiego. Najpierw poluzowała krawat, po namyśle zdjęła go z szyi mężczyzny i rozpięła guzik koszuli. Potem następny.

– I jak? – zapytała męża.

– Będzie żył – powiedział Krzysztof. – Proszę pana – zwrócił się w stronę nieoczekiwanego pacjenta – zatamowałem krwawienie, ale trzeba zszyć rękę. Musimy pojechać do szpitala.

– Czy to konieczne? – zapytał Adam Zalewski. – Nie dam chyba rady prowadzić...

– Konieczne – zapewnił Krzysztof. – Ja pana zawiozę. Chyba że woli pan, żebyśmy wezwali pogotowie. Byłoby może nawet lepiej... Goście zgromadzili się już jak jeden mąż wokół mężczyzny, ignorując obrazy i zabierając mu powietrze.

– Jest pan bardzo uprzejmy – poddał się Adam Zalewski. – Byłbym wdzięczny, gdyby pan mnie zawiózł. Czuję się jak idiota...

– Dobrze – powiedział Krzysztof. – Niech się pan o mnie oprze.

– Pan tak wędnie, panie koprze... – wyszeptała Zuzanna w ucho Małgorzaty. Małgorzata zgromiła ją wzrokiem. Adam Zalewski wstał powoli wsparty na ramieniu Krzysztofa.

– Kochanie – Krzysztof zwrócił się do żony – czekaj na mnie albo weź taksówkę. Jak wolisz...

– Dam sobie radę – powiedziała Małgorzata, zastanawiając się, czy dyrektor ubrudzi krwią siedzenia w samochodzie, i żałując, że jednak nie zdecydowała się na proponowany przez Krzysztofa spacer.

Kiedy poszli, krew została wytarta przez jakąś starszą kobietę, szkło pozbierane i powoli rozmowy zaczęły znów koncentrować się na sztuce.

– Tyle w nim było krwi – powiedziała Zuzanna do Małgorzaty. – Kto by pomyślał, że w nim było tyle krwi...

– Przestań z tym Szekspirem – skarciła ją ponownie. – Nikt go przecież nie zamordował...

Sama jednak pomyślała, że to dziwne. Ostatnio podczas zdarzenia w sekretariacie ona zakrwawiła. Teraz znów miała okres. Dzisiaj dyrektor się skaleczył. W obu przypadkach wchodziła też w grę woda. Dziwne, bardzo dziwne.

Jesień 2012

Znów coś się zmieniło. Aleksandra rozpuściła włosy, minę miała tajemniczą. Zanim usiadła na krześle, poprawiła spódnicę i zatknęła kosmyk włosów za ucho. Zauważył, że zamiast malutkich kolczyków w kształcie kulek miała długie, piękne zawieszki w formie liści. Chciał jej powiedzieć, że dobrze wygląda, ale się nie odważył.

Przynajmniej nie od razu, zanim nie zorientuje się, co wprowadziło ją w tak świąteczny nastrój. Patrzył na nią wyczekująco, zastanawiając się, czy powodem tych zmian jest mężczyzna czy może sukces zawodowy. Takie kobiety jak Ola, z niską samooceną i wielkimi ambicjami, czerpały jednakową satysfakcję zarówno z seksu, jak i awansu.

– Dawno nie rozmawialiśmy – zaczęła.

– Brakowało mi tego. – Uśmiechnął się lekko.

– Naprawdę? – Jej sceptycyzm był prawdziwy.

– Tak – potwierdził. – Chociaż rozmowy z panią nie zawsze bywają przyjemne, pomagają uporządkować pewne wspomnienia, zrozumieć niektóre motywy postępowania...

– Ma pan na myśli to, że pomagam panu zrozumieć samego siebie?

– Tak – ponownie przytaknął, udając, że nie słyszy sarkazmu w jej głosie. – Niektóre moje wybory były instynktowne, nie zastanawiałem się dlaczego... Dopiero dyskusja z panią...

– Zostanie pan objęty śledztwem – przerwała mu. – Jako podejrzany...

Dlaczego? – Przerazenie odebrało mu dech.

– Znaleziono pana nasienie w... – chwila wahania – w denatce...

– Ale przecież nie zaprzeczałem, że miałem z nią romans, rano byłem z nią, po drodze do pracy... Ja...

– Proszę przestać – przerwała mu. – To jest śledztwo. Mnie nie wolno rozmawiać z panem o tych sprawach, to zadanie policji. Ja mam tylko przeanalizować pana charakter, motywy postępowania...

– Ale czy pani wierzy, że ja mogłem to zrobić? – naciskał, trzęsąc się cały z bezsilnej złości.

– Na temat mojego raportu o panu także nie muszę z panem rozmawiać, ale zdecydowałam, że powiem panu, co napiszę. Stanie się to jednak dopiero, kiedy skończę.

– ...,kiedy skończę z panem”, powinna pani dodać. – Starał się nasycić ton jak największą goryczą.

– Wróćmy zatem do istoty rzeczy... – Potrząsnęła głową i zatknęła kosmyk za drugie ucho.

„Zmiany fryzury nie zawdzięczam żadnemu facetowi, tylko temu, że mnie oskarżono” – pomyślał. „Dla jej kariery sporządzanie profilu samobójcy to nic w porównaniu z profilem potencjalnego zabójcy”.

– O czym zwykle rozmawialiście?

– O wszystkim...

– A konkretniej?

– Naprawdę trudno mi powiedzieć...

– Proszę się postarać – powiedziała łagodnie, ale stanowczo. – Czy to były rozmowy o życiu, o waszej wspólnej przyszłości...?

Przestał jej słuchać. Wolał słuchać niskiego głosu Di. Leżeli w łóżku. Wszystkie rozmowy lekkie, o tak zwanym niczym, prowadzili po seksie, leżąc obok siebie nago. Te znaczące, o nich, o przyszłości, na balkonie albo tapczanie, całkowicie ubrani, niezmiennie przytuleni, wszeptujący sobie w uszy wszystkie ważne słowa, jakby się bali, że mogą im uciec.

– Myślisz, że stonoga ma wiele pięt achillesowych?

– Może, ale nie zależy jej na tym..

– A my mamy dwie czy jedną?

– Niektórzy nie mają wcale, niektórzy jedną, a inni...

– No właśnie, nie wiesz... – powiedziała z satysfakcją.

– Nie wiem wszystkiego...

– Powinieneś, jesteś starszy i mądrzejszy.

– Hej – uniósł się na łokciach – nie wypominaj mi wieku, to nie fair.

– Kiedy mnie się podoba, że jesteś starszy ode mnie.

– Sporo starszy – powiedział ponuro. – Jestem dziesięć lat młodszy od twojego ojca.

– Na szczęście jestem późnym dzieckiem. – Przywołał inną rozmowę z tych lekkich, po seksie.

– Farbujesz włosy? – zapytał.

– Skąd – zaprzeczyła, śmiejąc się. – Mam taki kolor po mamie. W stu procentach naturalny, uwierz mi.

– Nigdy nie lubiłem blondynek...

– Bo były farbowane. – Znów śmiech. – Ja jestem prawdziwa i dlatego ci się podobam.

– Ty jesteś pierwszą blondynką, która mi się podoba. I pierwszą kobietą z krótkimi włosami...

– Czyli jesteś prawdziwym mężczyzną. Podobają ci się długowłose brunetki. W sumie słusznie, wymieszanie naszych genów mogłoby spowodować, że dzieci byłyby rude i wcale nie byłyby to ładny rudy. Mam krótkie włosy, bo to stwarza możliwość częstej zmiany fryzury.

– Zawsze myślałem, że z długich włosów można zrobić więcej, a z krótkich nic.

– Te twoje studentki powinny ci uświadomić, że się mylisz. Najwyraźniej jednak żadnej nie przejechałeś, nie stratowałeś...

– Nie przeleciałem, jeśli o to pytasz.

Zależało mu bardzo na tym, żeby się czuła jedna jedyna na świecie. Żeby wiedziała, że tylko z nią zdradził żonę, że nie skacze z kwiatka na kwiatek, nie podrywa studentek, nie zawiera przypadkowych znajomości.

– Pozwól sobie pomóc finansowo – prosił innym razem.

– Mam pracę i nie mogę niczego od ciebie przyjąć – protestowała.

– Ale nie chcę, żebyś miała jakieś trudności, żebyś musiała się z czymś ograniczać...

– Nic mnie nie ogranicza, nawet konwencje społeczne – powiedziała wtedy, łapiąc go za pośladek. –

Jeśli przyjmę pieniądze, będę jak tysiące innych kochanek, a tak jestem jedyna...

Na wszystko miała odpowiedź i własną filozofię.

– Na początku nie poruszaliśmy poważnych tematów – odpowiedział na pytanie psycholożki. – Rozmawialiśmy o przyzwyczajeniach, ulubionych książkach, filmach, sposobach spędzania czasu.

– Jakie filmy lubiła?

– Romanse i thrillery. – Uśmiechnął się na samo wspomnienie tego, że z równą energią płakała, kiedy zakochana bohaterka umierała na gruźlicę, jak i ekscytowała się policyjnym pościgiem za przestępcami.

– A książki?

– Dużo czytała – powiedział. – Głównie biografie, ale także powieści i wiersze.

– Wiersze? – Aleksandra jakby nie rozumiała.

– Tak – potwierdził. – Wiersze, poezję. Klasyczną i współczesną.

– Była taka romantyczna?

– Można to tak ująć...

– A może po prostu lubiła słowa? – dociekała kobieta.

– Może lubiła słowa... specyficzne zlepki słów niosące jakiś przekaz, zwane wierszami...

– Ostatnio czytała wiersze czy biografie?

– Wiersze czytała zawsze, zaczynała dzień od wierszy... Niektóre wrzucała nawet na profil na Facebooku...

– A powieści i biografie czytała niejako... obok, tak?

– Tak – potwierdził. – Ostatnio czytała biografie Edith Piaf.

– Dlaczego? – Aleksandra najwyraźniej była bardzo zaskoczona.

– Dostała od jakiejś koleżanki... – Krzysztof nie widział w tym nic dziwnego. – I czytała.

– Opowiadała panu o książkach, które czytała?

– Trochę... jakieś wrażenia, ale nie dyskutowaliśmy specjalnie na ten temat. Ja czytam inną literaturę.

To nie była prawda. Czytała mu wiersze i opowiadała o książkach, które wywarły wpływ na jej życie. O biografii Edith także mu opowiadała.

– To dziwne – mówiła. – Jak Bóg rozdaje talenty. Jakby sypał garścią z góry. Bez ładu i składu.

– Nie rozumiem – powiedział. – Miała ciężkie, nieszczęśliwe życie, ale niewątpliwy talent i trochę szczęścia...

– Nie chodzi mi o to – powiedziała.

To było jedno z ostatnich ich spotkań. Kochali się jak zwykle, ale ostatnie rozmowy między nimi nie należały ani do lekkich, ani przyjemnych. Nie spotykali się nawet dłuższy czas, to znaczy przez tydzień, bo tyle mógł bez niej wytrzymać, bez patrzenia jej w oczy, słuchania głosu i dotykania jej ciała. Wyglądało na to, że się jednak pogodzili, wszelkie nieporozumienia i różnice zdań puścili w niepamięć. Kiedy tylko wszedł do jej mieszkania i wręczył bukiet fiołków, przyciągnął ją do siebie i powiedział: „Nie mogę wytrzymać bez ciebie, rozumiesz, nawet chwili. Zrobię, co zechcesz, tylko nie odmawiaj mi patrzenia na ciebie, przebywania z tobą... Będę cieniem twoich rąk, cieniem twego psa...”. Specjalnie

zacytował tę piosenkę Breła, bo wiedział, że ją lubiła, płakała, kiedy byli na koncercie jego piosenek. Uległa i tym razem, wtedy jeszcze był jedyny w jej życiu, jeszcze mu wierzyła, pozwalała znów przez jakiś czas obejmować się i całować. Już nie mówiła nic o zerwaniu, tylko zaczęła rozmowę na temat Edith.

– Mała, brzydka, prostytutująca się, uwielbiająca przemoc... i taki anielski głos...

– Anioły tak nie śpiewają – protestował.

– A jak? Słyszałeś kiedyś śpiewającego anioła?

– Hm... – Zastanowił się zbity z tropu. – Dziewczynki śpiewające cienkimi, ślicznymi głosikami...

Gdybym miał powiedzieć, jak śpiewają anioły, to powiedziałbym, że właśnie tak...

– Inny może wymieniłby Armstronga...

– No, daj spokój. – Wziął jej głowę w swoje dłonie i próbował pocałować, ale umknęła. – Uwielbiam Louisa, ale nie nazwałbym jego głosu anielskim...

– Bo sobie inaczej wyobrażasz taki głos... – naciskała. – A moim zdaniem anielski głos to taki, który wyzwala dużo bardzo dobrych emocji. A wtedy i Louis, i Edith, a przy nich także wszyscy bardowie, spełniają te kryteria.

– To twoje kryteria.

– Moje – potwierdziła. – Dlaczego uważasz, że są gorsze od twoich?

– Nie, wcale tak nie uważam – protestował, usiłując przycisnąć ją swoim ciałem. – Ja tylko wyobrażam sobie anioły jako blond dziewice...

– A ja jako czarnego brzydala albo zgarbioną, zapijaczoną prostytutkę...

– Ależ kochanie, dobrze... jak chcesz...

– Nie słuchasz mnie, bo chcesz się kochać, a ja chciałabym cię przekonać...

– To nie ma znaczenia...

– Dla mnie ma. – Wstała gwałtownie i zaczęła się ubierać. – Tylko tego ode mnie chcesz. Seksu. – Zrezygnowany wstał i także powoli się ubrał, nie spuszczać z niej wzroku. Stała w króciutkiej spódniczce, ręce miała splecione na piersiach, minę wyzywającą...

– Ostatnio zdarza nam się kłócić. O pryncypia – podsumował.

– Ale teraz kłócimy się o Edith? O anioły? Chciałbym wiedzieć, za co obrywam.

– O to, kto ma prawo do swoich racji. – Wyciągnęła palec oskarżycielsko, ale nie zmieniała pozycji ciała. – Bo chyba ty uważasz, że należy się ono wyłącznie tobie...

Miała rację. Do tej pory on zawsze ustępował. Małgorzata odmawiała mu prawa do własnego gustu, poglądów, nawet do emocji. Nie zdawała sobie z tego sprawy, jak bardzo go kontroluje. Dla niej to było naturalne. Ona miała rację, a on się mylił. Ona się poświęcała, on korzystał ze swoich praw. Byli jeden do jednego. Według niej. On się z tym godził. Nawet tego nie zauważył, dopóki to dziewczętko nie stanęło naprzeciw niego i nie wycelowało oskarżycielsko palca. Bo teraz z Di odbijał sobie za te czasy, kiedy czuł się słabszy. Mógł być męski, macho i niewiele sobie robić z tego, o czym mówi kobieta.

– Chcesz, żebym ci przyznał rację? – zapytał. Po wzwodzie nie było nawet wspomnienia.

– Chcę, żebyś mi przyznał prawo do posiadania swoich racji, jak ja przyznaję je tobie. Chcę

dyskutować na sporne tematy, a nie wyłącznie kochać się z tobą. Nie jestem przedmiotem ani zabawką.

– Ależ oczywiście, że nie jesteś...

– To nie traktuj mnie tak... I mam dosyć ukrywania się. – Czyli wiadomo, o co chodziło.

– Ja już postanowiłam, że się rozstaniemy.

– Di, przerabialiśmy to już... – Opuścił głowę. – Proszę cię.

– To ja cię proszę, żebyś wyszedł. I nie wracał.

– Naprawdę tego chcesz?

– Nie chcę, bo cię kocham. Ale właśnie dlatego wyjdź. Zanim zacznę czuć się jak przedmiot.

– Di...

– Wyjdź!

Zerwała z nim. Skręcało go z żalu i bólu. Próbował zapomnieć, ale codziennie przechodził pod jej oknami. Czasem paliło się światło, czasem wydawało mu się, że zobaczył jej cień w oknie. Rano kupował rogaliki i kefir i wieszał je na kłamce, odchodząc bez słowa. Liczył, że któregoś dnia będzie czekała w drzwiach. I czwartego dnia czekała...

– Przestań mnie nękać. – Była ledwie siódma, ale ona była już na nogach, ubrana w długą do ziemi sukienkę, której nie znał. Jej śliczna figura ginęła pod luźnym materiałem. – Przestań mnie nachodzić – dodała szeptem.

– Ja... – Co miał jej powiedzieć, że odejdzie od żony, że będą razem?

– Dianka, skarbie... – rozległ się męski głos z wnętrza pokoju.

– Co jest?

– Zaraz – odkrzyknęła. – To listonosz...

– Kto to jest? – wykrztusił. – To ktoś serio?

– To nie twoja sprawa, ale bardzo serio – nadal szeptała. – Odejdź! Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Jesień 2011

Na wspomnienie upojnego wieczoru w towarzystwie koleżanek żony, a następnie dyrektora z rozciętą ręką, aż się wzdrygnął. Tego weekendu na pewno nie zaliczy do udanych. Ostatnio coraz gorzej znosił wolne soboty i niedziele. Tęsknił za ciszą i spokojem, jaki panował w mieszkaniu Di na Ochocie, za jej ciałem pachnącym konwaliami i lekkimi daniami, które gotowała. Wydarzenie na wernisażu plastyczki z dredami wytrąciło go z równowagi. Początkowo ucieszył się, że sobotni wieczór spędzą wśród ludzi. Do niedawna w weekendy siedzieli w domu albo chodzili na samotne spacer, ewentualnie do kina, jeśli grali coś, co mogło ich zainteresować. Generalnie wolne dni były wypełnione samotnością we dwoje, które to uczucie skrzętnie ukrywali przed sobą nawzajem i synem, który miał swoje sprawy i swoich znajomych. Nie pamiętał już nawet, kiedy byli u Zuzanny i Marka. Odkąd został kierownikiem, wolne dni stawały się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Małgorzata, wcześniej niemówiąca wiele na temat pracy, teraz uważała za stosowne bez przerwy nawiązywać do awansu i napomykać, jaka jest wdzięczna losowi za ten nieoczekiwany przypływ szczęścia. Ciągle pytała o to, jak wykorzysta szansę i czy przypadkiem nie zamierza osiąść na laurach. Nawet jej milczenie było bardzo wymowne. Do tego gotowała bardzo starannie, prawie świątecznie, dając mu tym samym do zrozumienia, że robi wszystko, aby Krzysztof miał w domu ciepłą, rodzinną atmosferę, która pozwoli mu zrelaksować się na tyle, żeby w pracy osiągać wspaniałe wyniki. Próbował uciekać od tych dyskusji, między innymi jeżdżąc na drugi koniec miasta na targ warzywny albo przywożąc hurtem owoce na konfitury. Małgorzata przyjmowała te rajdy ze zrozumieniem, nie skarżyła się, że przydaje jej pracy, i z uśmiechem na ustach smażyła powidła ze śliwek, robiła soki z malin i pytała, czy na pewno nie ma ochoty na jakieś szczególne przetwory, słodkie albo słone. Miał ochotę krzyknąć, że ona nie jest w stanie nakarmić go tak, żeby jego rozleniwiony mózg zaczął pracować trzy razy szybciej, co pozwoliłoby mu dokończyć wreszcie habilitację. Dlatego propozycja Anny Wajnert bardzo go ucieszyła. Wszystko, byle tylko nie zostawać z żoną sam na sam. Wyjście na wystawę wprowadziło go w dobry humor, myślał, że nieco rozładuje napięcie między nimi. Stało się jednak inaczej, a wszystkiemu winien był krwawiący dyrektor. Nie dlatego, że nie umiał pomóc potrzebującemu. Pierwszej pomocy udzielił perfekcyjnie, z zachowaniem wszelkich standardów, szybko i fachowo. Kiedy jechali do szpitala, Krzysztof próbował żartować z zaistniałej sytuacji, przekonywać bladego jak ściana faceta, że to nic, kilka szwów i po krzyku, ale Adam Zalewski patrzył tępo przed siebie, ewentualnie rzucał kilka słów podziękowań i przeprosin, że narobił kłopotu. Krzysztof odniósł niemiłe wrażenie, że zanim przyszedł, coś tam zaszło między mężczyzną a którąś z dziewczyn, może nawet Małgosią. Może to tłumaczyłoby uparte milczenie Adama Zalewskiego w samochodzie i słowa: „Czuję się śmiesznie”. Pojechali na Banacha, Krzysztof liczył, że w tym szpitalu najszybciej uzyskają pomoc, ale już od progu zwątpił w słuszność swojej decyzji. W izbie przyjęć kłębił się tłum ludzi, co Krzysztofowi wydawało się dziwne, zważywszy, że była w końcu sobota wieczorem. Podszedł do miejsca, gdzie lekarze z pogotowia zostawiali skierowania do szpitala, i zapytał grubą pielęgniarkę, gdzie może udać się z pacjentem, któremu trzeba zszyć rękę. Ta niechętnie spojrzała na niego i zapytała, gdzie mają skierowanie. Krzysztof wyjaśnił, że przywiózł pacjenta własnym samochodem z miejsca

zdarzenia i dodał, że jest lekarzem. Pielęgniarka nie wydawała się w najmniejszym stopniu przejęta ani faktem, że ma do czynienia z lekarzem, ani tym, że własnym samochodem przywiózł chorego i twierdzi, że należy założyć mu szwy.

– Trzeba było wezwać pogotowie – powiedziała. – Teraz nie ma pan skierowania.

„Trzeba było” – zaklął w duchu. Trzeba było też przyjechać na wystawę metrem i napić się wina, jak wcześniej zakładał. Tyle że to Małgosia powiedziała, że nie ma zamiaru przechadzać się w eleganckich butach. Krzysztof oczywiście ugiął się i natychmiast zrezygnował z tokańskiego wina.

– To co mam zrobić? – zapytał.

– A to pana rękę trzeba zszyć? – zapytała niegrzecznie.

– Już mówiłem, że nie moją. – Udał, że nie widzi jej niechęci.

– Ale to duża rana i wcześniej ten człowiek bardzo krwawił. A ile będziemy czekać na chirurga?

– Zespół operuje.

– Jeden zespół operuje? – naciskał. – Przecież to duży szpital. Na pewno jest wolny chirurg na dyżurze...

– Niech pan pozwoli mi pracować... – powiedziała gruba pielęgniarka. – Który to jest ten do szycia?

Wychyliła się przez kontuar. Krzysztof bez słowa wskazał Adama Zalewskiego, który siedział wciśnięty w kąt dużej sali i miał zamknięte oczy.

– Niech podejdzie, muszę spisać dane – powiedziała. Krzysztof wrócił do mężczyzny.

– Proszę pana – delikatnie poklepał go po ramieniu – musi pan podejść do tamtej pani i podać swoje dane, ponieważ nie mamy skierowania.

– Tak, tak. – Adam Zalewski otworzył oczy, wstał i nieco chwiejnie powlekł się do kontuaru podtrzymywany przez Krzysztofa. Po kilku minutach wrócił i ponownie zajął to samo miejsce.

– Mam poczekać na lekarza – powiedział. – Nie chciałbym, żeby pan tracił przeze mnie jeszcze więcej czasu...

– Nie ma mowy – zaprotestował Krzysztof wbrew sobie, bo przecież na tym jego rola mogła się skończyć. I tak zrobił więcej, niż musiał dla ratowania reputacji i ręki nowego szefa swojej żony.

– Upewnię się, czy wszystko się odbędzie tak, jak trzeba.

– Naprawdę nie trzeba. – Skrzywił się mężczyzna.

Właściwie mógłby spytać: „Na pewno? Na pewno da pan sobie radę? Tu można wezwać taksówkę...” i po uzyskaniu odpowiedzi, że tak, naturalnie, poradzi sobie – wyjść. Nie zrobił tego jednak. Może Małgosia miałyby pretensję, że nie doprowadził sprawy do końca. Nie chciał miesiącami wysłuchiwać, że nie zachował się jak należy, że czegoś zaniedbał.

– Żona nie darowałaby mi, gdybym pana tak zostawił. Ona... bardzo się wszystkim przejmuje.

– Pana żona jest bardzo miła – powiedział Adam Zalewski.

– O tak... – powiedział Krzysztof.

– Ma pan szczęście – dodał.

– Jasne. – Kiwnął głową Krzysztof, nie chcąc rozwijać tematu.

– Nie jest potulna – dodał nieoczekiwanie Zalewski.

– Co ma pan na myśli? – Krzysztof był nieco zaskoczony.

– Na radzie pedagogicznej ją jedną zapamiętałem – powiedział.

– Wygłosiła jakąś dziwną mowę.

– To znaczy? – zapytał, chociaż wiedział, że musiała w jakiś sposób dać mu do zrozumienia, że nie może liczyć na przytakiwanie z jej strony.

– Nie rozumiałem, szczerze mówiąc, prawie niczego. – Uśmiechnął się. – Tyle tylko, że nie będzie mi łatwo na nowym stanowisku. Potem nie przyszła na otwarcie boiska...

– Słyszałem o tym zdarzeniu... – Krzysztof starał się, żeby jego uśmiech był lekki i krzepiący.

– Czuję się jak krety... wtedy... I teraz też – westchnął. – Zepsułem imprezę.

– Niech pan nie przesadza. – Machnął ręką Krzysztof. – Na pewno nie zepsuł pan imprezy, ponieważ ona już dobiegała końca, kiedy pan przyszedł. Poza tym ludzie łatwiej zapamiętają obrazy dzięki panu...

– No właśnie – uśmiechnął się krzywo – będę się kojarzył ludziom z rozlewaniem wody i krwią...

– Nie tak patetycznie... – Krzysztof roześmiał się, co wydało się prawdopodobnie niestosowne staruszce siedzącej najbliżej nich, ponieważ odwróciła się demonstracyjnie.

– Pan Zalewski! – krzyknęła tymczasem gruba. – Do szycia... Gabinet zabiegowy!

Krzysztof ponownie pomógł Adamowi Zalewskiemu wstać i podejść do zabiegowego.

– O, stary – powitał go w progu kolega, który kilka dni wcześniej wydawał mu wypis Diany. – A co ty tak po szpitalach się ostatnio tłuczesz?

– Tak wyszło – wymamrotał Krzysztof, witając się z lekarzem, który szykował się do szycia.

– Długo czekacie? Trzeba było zadzwonić...

– Daj spokój, przecież nie pijecie tu kawy... – powiedział Krzysztof, plując sobie w brodę, że rzeczywiście nie przyszło mu do głowy przyspieszyć przyjęcie dyrektora. – Poczekam na zewnątrz. – Czekając, rozmyślał o tym, co ostatnio dzieje się w jego życiu. Jakieś dziwaczne sytuacje, analizował. Awans. „Tylko czy ja tego na pewno chcę” – zastanawiał się. Po co teraz potrzebny był mu awans, kiedy on tak bardzo chciał obejmować Di i robić jej zakupy. Teraz chciał tylko tej dziewczyny i spokoju.

– Oddaję pacjenta – powiedział jego kolega, kiedy po kilkunastu minutach ponownie otworzyły się drzwi i wyszli z nich razem z Adamem Zalewskim. – Czternaście szwów...

– Dziękuję – wymamrotał Adam w stronę chirurga. Wzrok miał jeszcze bardziej błędny i chwiały się na nogach.

– Tu ma pan skierowanie do chirurga do rejonu i zalecenia...

– powiedział lekarz. – A jak tam twoja kuzynka? – zapytał Krzysztofa.

– Zupełnie dobrze – odpowiedział, czując uderzenie gorąca do głowy i modląc się, żeby kolega nie podał jakichś szczegółów, które dyrektor mógłby zapamiętać i z czystej uprzejmości powtórzyć Małgosi.

– Dzięki jeszcze raz.

– Wpadnij kiedyś tak sobie, bez okazji i bez pacjenta... – Roześmiany chirurg cofał się w kierunku gabinetu, gdzie już czekał następny nieszczęśnik wymagający interwencji chirurga. Wyszli. Na zewnątrz było bardzo ciemno. Krzysztof zerknął na zegarek. Była już prawie dziesiąta.

– Dziękuję panu bardzo – po raz setny powiedział jego towarzysz. – Teraz chyba już mogę jechać do

domu. Wezmę taksówkę...

– A gdzie pan mieszka? – zapytał Krzysztof.

– Przy placu Starynkiewicza, ale naprawdę nie chciałbym robić kłopotu...

– Teraz to już żaden kłopot – zaprzeczył. – My mieszkamy na Bielanych. To po drodze. Podróż upłynęła im w milczeniu. Mężczyzna najwyraźniej był bardzo zmęczony.

– Pomóc panu dojść do domu? – zapytał, kiedy stanęli przed wskazanym przez dyrektora domem.

– Dam radę. – Uśmiechnął się blado, podając mu lewą rękę. Prawa spowita w bandażu i wata pachniała intensywnie jodyną.

– Bardzo panu dziękuję.

– Dobrej nocy – powiedział. – Niech pan weźmie coś przeciwbólowego na noc. – Tylko nie aspirynę...

Mężczyzna pokiwał głową, ale nawet się nie odwrócił.

„Swoją drogą – analizował Krzysztof, parkując przed własnym domem – rzeczywiście ma nie najlepsze wejście jako dyrektor. Najpierw wylewają na niego wodę w szkole, potem przecina sobie rękę na imprezie zorganizowanej przez jedną z nauczycielek... Facet ma pecha...”. Wyszedł z samochodu i zastanowił się, czy sam będzie miał szczęście i Małgorzata będzie spała. Czy też i jego dopadnie pech, będzie czekała specjalnie, żeby wysłuchać drobiazgowego streszczenia z operacji „interwencja lekarska mojego męża”.

Jesień 2012

– Czy sypiał pan ze swoimi studentkami? – zapytała Aleksandra.

– Nigdy – zachnął się.

– Na pewno?

– Nigdy nie podniecały mnie studentki... – To była absolutna prawda.

Jak mogły na niego działać aseksualne dziewczyny w bezkształtnych fartuchach spowijających ciała i fizelinowych czepkach na głowach?

– Dlaczego? – pytała Aleksandra.

– Dziewczyny z medycyny bywają atrakcyjne, ale rzadko – odpowiedział wymijająco. – Przeważnie te, które nie chcą ratować życia ludzkiego...

– A czego szukają na tych studiach? – zainteresowała się.

– Niektóre odpowiedzi na pytanie, gdzie jest Bóg w człowieku, a niektóre tylko interesują się, jak to wszystko działa... Jeszcze inne chcą wyjść za mąż...

– A te, które mają powołanie, są brzydkie i grube...

Krzysztof się wycofał. Dyskusja prowadziła donikąd. Minęły już ponad trzy tygodnie od czasu, kiedy trafił do szpitala psychiatrycznego. Wiedział, że postawiono go w stan oskarżenia, ale nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie przesłuchuje go policja. Przecież mogliby wreszcie zwolnić go do domu. Chyba byli pewni, że nie targnie się na swoje życie. Lekarz pytany o tę kwestię wykręcał się słabo i Krzysztof nabierał podejrzeń, że uważają go tutaj za większego świra, niż był w rzeczywistości.

– Sama zdawałam na medycynę dwa razy – powiedziała zimno.

– Nie dostałam się.

„Czyli psycholożka z tych gorszych, odrzuconych, którym zabroniono wypełnić misję ratowania istnień ludzkich” – stwierdził w myślach. Pewnie zostałyby psychiatrą.

– Chciałam zostać pediatrą i leczyć dzieci – powiedziała.

– A ma pani własne? – zaryzykował pytanie. W końcu przed chwilą powiedziała coś osobistego.

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Jeszcze nie. – Postanowił nie drążyć dalej tego tematu.

– Rozmawiała pani z moją żoną? – zapytał.

Drgnęły jej mięśnie twarzy. Na szyi po obu stronach pojawiły się dwa grube sznury – mięśnie mostkowo-obojczykowo-sutkowe. Jej głowa wyglądała przez chwilę, jakby była wsparta na dwóch kijkach.

– Nie rozmawiałam – odpowiedziała.

– Żona nie zgłosiła się do pani czy pani uznała, że rozmowa z nią nie jest potrzebna do oceny mojej osobowości?

– Nie rozmawiałam z pana żoną – powiedziała z naciskiem.

A więc go nie odwiedzała. Wykreśliła ze swojego życia. Tak, ona mogła zdradzać go za jego plecami, pieprzyć się z tym dyrektorem, pozał się Boże, chłystkiem w garniturze, a on oczywiście musiał być jej oddany. Suka, jak wszystkie inne.

– Zaprzecza pan, jakoby miał romans z którąkolwiek ze swoich studentek – podsumowała Aleksandra. Miała przy tym minę, jakby jednak coś trzymała w zanadrzu.

– Stanowczo zaprzeczam i nie uda się pani wmówić mi żadnych romansów w pracy – pozwolił sobie na ton wrogości w swojej wypowiedzi.

– Ale jedna ze studentek oskarżyła pana o to...

A więc to chodziło o tamtą starą sprawę. Byleby nie zacząć szybko zaprzeczać, nie zdenerwować się, nie dać wyprowadzić z równowagi.

– Oczyszczono mnie z wszelkich zarzutów – odpowiedział spokojnie. – Zresztą trudno nazwać te pomówienia zarzutami...

– Tamtą dziewczyna złożyła oficjalną skargę najpierw do dziekanatu, następnie do rektora. Kiedy usunięto ją z uczelni, próbowała nawet interweniować w ministerstwie...

– Owszem, próbowała... najpierw próbowała zaliczyć rok bez konieczności uczenia się... Nie zastanowiła się pani, jak to się stało, że nikt jej nie uwierzył?

– Miała złą reputację, mógł pan to wykorzystać...

– Owszem, mogłem. – Był nadal spokojny. – Ale nie wykorzystałem ani jej, ani innej dziewczyny...

– Ale... – Aleksandra zawiesiła na nim wzrok.

– Niech pani posłucha – powiedział. – Ta dziewczyna była dziesięć lat temu w mojej grupie studenckiej. Miała ogromne trudności z zaliczeniem jakiegokolwiek partii materiału na kolokwiah. Wielokrotnie dawałem jej szansę, ale z niej nie korzystała.

– Była niezdolna? A jak w takim razie dostała się na tak trudne studia?

– Ależ na pewno była zdolna, może nawet uczyła się do egzaminów wstępnych, albo miała szczęście, którego pani zabrakło...

– Nie mówimy o mnie – zachnęła się.

– Ona też miała na imię Aleksandra – przypomniał sobie, ignorując psycholożkę. – Nie wiem, dlaczego tak leniwa osoba wybrała sobie bardzo trudne studia. Nie mnie tego dociekać. Może myślała, że jakoś to będzie... Nie wiem. Ja byłem jej asystentem i u mnie musiała zaliczać kolokwia z anatomii. Mimo mojej życzliwości i zrozumienia dla życia studenckiego nie mogłem udawać, że ona cokolwiek umie. Miała jako jedyna z grupy niezdane aż cztery kolokwia. Pozostali mieli lepsze albo gorsze wyniki, ale wszyscy przystąpili do egzaminu końcowego z czystym kontem. Ona musiała stanąć do egzaminów komisyjnych.

– Nie zdała?

– Nie zaliczyła „głowy z szyją”. Nie tylko ja byłem w komisji. Zadawałem jej bardzo proste pytania, mój kolega już nie był tak pobłażliwy.

– Jego też oskarżyła.

– Właśnie... Także, z tego, co wiem, kolegę z Zakładu Biochemii...

– A jaka jest pana wersja?

– Moja wersja jest taka: dzień po tym egzaminie komisyjnym przyszła do mnie do gabinetu. Prosiła o jeszcze jedną szansę. Nie byłem szefem katedry, więc nie mogłem wiele zrobić. Wdałem się z nią nawet w koleżeńską rozmowę na temat różnych naszych wyborów. Pytałem, dlaczego chce skończyć te studia, powtarzać rok. Przecież to nie miało sensu w jej przypadku.

– Jak to nie miało sensu? – znów zadała bezsensowne pytanie.

– Lekarz to bardzo trudny zawód – tłumaczył cierpliwie. – Kiedy student nie umie partii podstawowego materiału, w tym przypadku z anatomii prawidłowej, nie będzie umiał także i innych zagadnień. Jak pójdzie dalej z materiałem? Jak nauczy się fizjologii części ciała, nie znając anatomii? A zakładając, że jakoś tam się uda...

– Pewnie wielu studentom jakoś tam się udaje. Nie tylko tym z medycyny – podsumowała. Ponownie skonstatowała, że ona jest kretynką. „Jakie to szczęście, że jednak nie dostała się na medycynę” – pomyślał.

– Oczywiście, że wielu się udaje – potwierdził, starając się nie mieć na twarzy zniecierpliwienia. – Tyle że potem decydują o zdrowiu i życiu ludzkim. Moim obowiązkiem było niedopuszczenie takich osób jak Aleksandra... nie pamiętam nazwiska... do uprawiania tego zawodu. Ponieważ – podniósł głos – mimo że w znacznym stopniu się zdewaluował, to chciałbym wierzyć, że jest jednym ze szlachetniejszych...

– Dobrze, rozumiem – poddała się. – Czyli nie był pan pobłażliwy dla osób, które nie chciały się uczyć.

– Staralem się zachęcić wszystkich do nauki, ale kiedy ktoś wykazywał tak dalece idącą oporność, nie tolerowałem tego.

– Czy dotykał jej pan?

– Nie dobrowolnie... – zeznawał jak przed sądem. – Rzuciła mi się z płaczem na szyję. Pobrudziła szminką i tuszem koszulę. Odsunąłem ją delikatnie, żeby nie robić jej przykrości.

– Ona zeznała, że sugerował pan...

– Wiem, co ona zeznała... – Już nie krył zniecierpliwienia. – Proszę pani, ona przyszła do mnie ubrana w sukienkę, pod którą nie miała bielizny. Podciągnęła ją i powiedziała, że mogę z nią zrobić, co chcę, w zamian za tamto zaliczenie.

– I pan się po prostu temu oparł...

– Po prostu się temu oparłem. Powiedziałem, że ma pięć sekund na wyjście z gabinetu. Inaczej zagroziłem publiczną kompromitacją.

– Wyszła?

– Od razu. Wydaje mi się, że miałem wypisane na twarzy, że nie żartuję.

– Pan dotrzymał słowa.

– Tak, dotrzymałem. – Z niechęcią przypomniał sobie tę piękną i wulgarną twarz oraz podciągnięte wysoko nogi. Miała skórę opaloną na brązowo, a paznokcie pomalowała na czarno.

– Czy mówił pan o tym żonie?

– Na szczęście powiedziałem... – Aż się wzdrygnął na to wspomnienie.

Początkowo miał Małgosi powiedzieć tylko pierwszą część historii, mianowicie że studentka przyszła prosić o jeszcze jedną szansę i rozplakała się, brudząc mu koszulę. Na szczęście, tknięty jakimś przeczuciem, opowiedział wszystko. Małgosia uwierzyła bez zastrzeżeń w całą historię, jak zwykle zadała wiele pytań, na które on odpowiedział, z wyjątkiem tego jednego, jak nazywała się ta dziewczyna. Bał się, że żona może spróbować ją znaleźć i wypytywać o szczegóły. Dziewczyna została usunięta z uczelni, inaczej mówiąc – nie pozwolono jej powtarzać pierwszego roku, i natychmiast oskarżyła większość asystentów, z którymi miała do czynienia, łącznie z młodziutkim gejem i świeżym żonkosiem o nieposzlakowanej opinii. Jej wysoko postawiony ojciec groził dziekanowi, ale to i tak nic nie dało. Oskarżenie wycofano po tym, jak Krzysztof zabrał tego tatusia na piwo i opowiedział to i owo o ukochanej córeczce, której ekscesy były powszechnie znane. Potem dowiedział się, że pojechała do Stanów i tam skończyła studia. Pracowała ponoć jako okulistka gdzieś w okolicach Seattle. Aż mu się nie chciało w to wierzyć.

– Dlaczego powiedział pan żonie o tamtym przypadku, a o swoim romansie nie?

– Bo między mną a tamtą studentką nic nie było, a jednak przyszedłem do domu z koszulą upapraną damskimi kosmetykami. Może nawet pachniałem perfumami. Moja żona nie jest głupia.

– Ale romans zdołał pan ukryć...

– Proszę pani, te pytania nie prowadzą...

– Według pana – przerwała mu ostro.

– Wypuście mnie stąd – poprosił cicho. – Nic sobie nie zrobię, będę się stawiał na każde żądanie pani czy kogoś ze szpitala. Ja muszę porozmawiać z żoną, muszę jej wyjaśnić...

– Żonie pan nie będzie mógł na razie niczego wyjaśnić – powiedziała twardo. – I radzę panu wyjaśniać wszystko mnie.

– Może chociaż synów możecie do mnie wpuścić? – zapytał słabo.

– Na razie nie jest to możliwe.

– Dlaczego?

– Do widzenia, do jutra.

– Chyba mam jakieś prawa? – krzyknął, kiedy zbierała notatki.

– Chyba mogę porozmawiać z kimś oprócz pani? Z prawnikiem na przykład?

– To nie jest w mojej gestii.

– A w czyjej? – atakował. – Chcę zobaczyć formalne oskarżenie!

– Na dziś wystarczy. – Patrzyła na niego lodowato zza okularów.

– Uspokoi się pan czy mam poprosić lekarza, żeby panu coś podał?

– Jestem w naturalny sposób zdenerwowany. – Starał się oddychać normalnie, wdech, wydech, wdech, wydech... – Jestem tu zbyt długo. To jakiś absurd. Nie mogę porozmawiać z nikim z rodziny. Pani jest moim kontaktem ze światem, a zajmuje się pani grzebaniem w mojej przeszłości. Jest pani przeciwko mnie! Jest pani moim wrogiem!

Nacisnęła jakiś guzik. Natychmiast zmaterializował się pielęgniarz mający prawie dwa metry wzrostu.

– Uspokoisz się? – zapytał krótko.

– Tak. – Uniósł ręce w geście poddania.

Aleksandra odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Do sali wszedł doktor w towarzystwie pielęgniarki z tacą. Krzysztof niechętnie, ale pod czujnym okiem pielęgniarza, dał sobie zrobić zastrzyk dożylny, po którym ponownie zapadł w coś w rodzaju letargu.

Zima 2011

Małgorzata siedziała na ulubionej kanapie. W domu panowała kompletna cisza. Słyszeć było wyłącznie tykający zegar. Przeanalizowała w myślach sytuację. Była czternasta, Staszek napisał jej SMS-a, że wróci późnym wieczorem, a Janek nie dawał znaku życia od kilku dni, co było akurat zupełnie normalnym zjawiskiem. Obiad już zrobiła, zapiekankę ryżową z warzywami i mięsem, więc i w kuchni nie było nic do roboty. Krzysztof wróci około osiemnastej, nie wcześniej. Zwykle pół godziny przed powrotem dzwonił, a ona wtedy odgrzewała wcześniej przyrządzony obiad. Gotowała teraz codziennie, nie robiła kotletów na zapas i nie powtarzała potraw dzień po dniu. Gotowanie było zresztą zawsze jej pasją, nie tylko przyrządzanie potraw, ale wymyślanie coraz to nowych dań, które podawała na pięknych talerzach, stawiając je na wykrochmalonych obrusach w pastelowych kolorach i dopełniając wyszukanej stylizacji serwetkami. Zawsze przywiązywała do tego wagę, ale teraz, rzecz zupełnie zrozumiała, miała w domu męczyzną sukcesu, któremu nie mogła serwować mielonych ani schabowego z ziemniakami, choćby kosztowało ją to codzienne przynoszenie do domu siatek z bazaru i pobliskich sklepów. Nie jeździli już do supermarketów, nie chciała, żeby Krzysztof jadł faszerowane hormonami mięso i warzywa modyfikowane genetycznie. Wierzyła, że na bazarku, w jatce, gdzie wchodziła z największym obrzydzeniem, otrzymuje coś lepszego niż higienicznie zapakowane w folię piersi kurze i oczyszczone mięso na tackach. W końcu jeśli Krzysztof miał pracować naukowo i osiągnąć sukces, to prawidłowa dieta była bardzo ważna. Westchnęła i zmieniła pozycję z siedzącej na leżącą. Wzięła ze stolika pismo kobiece i próbowała czytać, ale nie mogła skupić się na artykule o kobietach pracujących w korporacjach. Odłożyła gazetę i spojrzała na „Stratę” wiszącą dokładnie naprzeciwko niej. Od feralnego wieczoru w domu kultury, kiedy Krzysztof kupił jej ten obraz, upłynął ponad miesiąc. W szkole nie podejmowano tego tematu, chociaż z szeptów na korytarzach wszyscy, którzy nie byli świadkami poniżającego, bądź co bądź, wypadku dyrektora, dowiedzieli się wszelkich szczegółów. Także i tych, których znać nie mogli, ponieważ Małgorzata nie przekazała nikomu, co Krzysztof powiedział jej na temat wizyty w szpitalu i zakładania szwów. Zresztą wiele do opowiadania nie było. Tamtego wieczoru czekała na męża, głównie, żeby mu podziękować. Doceniała jego poświęcenie, wiedziała, że zrobił to dla niej. Mógł przecież zadzwonić po pogotowie, i tak zostałby bohaterem. On jednak postanowił załatwić sprawę do końca i towarzyszyć rannemu do szpitala, potem odwiedzić go do domu. „Nic nadzwyczajnego, powiedział, kiedy wrócił, żal mi go było”. Tak się wyraził, że żal mu było Adama Zalewskiego. Na pytanie: „Dlaczego?” zachnął się zmęczony, ale zaraz przeprosił i powiedział, że rozcięcie wymagające założenia czternastu szwów jest bardzo bolesne, a widok kałuży krwi i tryskającej z przeciętego naczynia czerwonej fontanny może osłabić każdego, nawet młodego mężczyznę. Zwłaszcza młodego mężczyznę. No i świadomość śmieszności na pewno nie była dla dyrektora miła. Z tą śmiesznością Małgorzata się nie zgadzała. Adam Zalewski nie wydawał się jej w żadnym wypadku śmieszny. Owszem, był błąd jak ściana, ale Małgorzata wiedziała, że to z upływu krwi, a nie ze strachu. Zresztą pamiętała, jak sama była tym wypadkiem przerażona. Gdyby nie Krzysztof... Powiedziała tak nawet w pokoju nauczycielskim, kiedy Malwina po raz kolejny nawiązała do tego incydentu, nudząc wszystkich, że należy zorganizować

kursy pierwszej pomocy w szkole.

– Przecież mamy takie kursy – przypomniała jej Zuzanna. – Pracujemy z dziećmi...

– No tak – nie ustępowała Malwina. – Ale to takie podstawowe wiadomości. Co zrobić, jak dzieciak wymiotuje albo rozbije sobie głowę...

– ...albo rozetnie rękę – weszła jej w słowo Zuzanna.

– No właśnie... – Malwina wykrzywiła brzydką twarz. – Czego się dowiedziałas na kursie?

– Że w takim przypadku należy wezwać pogotowie – powiedziała Zuzanna. – Wcześniej założyć opaskę uciskową powyżej rany...

– No właśnie... to bardzo mało... A jeśli dziecko się wykrwawi, zanim oni przyjadą?

– Jezu, Malwina. – Nie wytrzymała Małgorzata. – Chciałabyś nauczyć się szyć? Nawet Krzysztof nie miał takich możliwości... Pojechali do szpitala.

– Nie stracił zimnej krwi – powiedziała Zuzanna z lekkim podziwem.

– Krzysztof nie stracił zimnej krwi, żeby dyrektor nie stracił więcej ciepłej... – Małgorzata wzdrygnęła się na samo wspomnienie czerwonej kałuży.

– „Tron we krwi” – mruknęła Zuzanna. – Krew, wszędzie krew...

– Przestań – skrzywiła się Małgorzata. – Masz jakąś obsesję szekspirowską...

– Pytałaś go o to? – zagadnęła Zuzanna.

– Krzysztofa? Pytałam, ale nic specjalnego nie powiedział...

– Nie. – Pokręciła głową Zuzanna. – Dyrektora...

– Oszalałaś? – Małgorzata była autentycznie zdumiona. – W ogóle do tego nie nawiązałam.

– To do ciebie niepodobne – wtrąciła się Malwina.

– Co niepodobne? – Najeżyła się.

– Żeby nie wspomnieć, ile ktoś ci zawdzięcza...

– Malwina, coś ty! – Odsunęła ją na bok Zuzanna. – Co ty w ogóle mówisz?

– Przecież ona lubi podkreślić, że miała na coś wpływ – z bladych ust kobiety sączył się jad. – Kiedy pojechała ze swoją klasą na zieloną szkołę, wiele razy powiedziała rodzicom, że tylko dzięki jej prywatnym znajomościom dzieci mieszkają w takim pięknym i tanim pensjonacie...

– Chciałam, żeby wiedzieli – głos Małgorzaty był zimny jak lód.

– A kiedy robiłaś ciasta na cele charytatywne, to wszyscy wiedzieli, że twoje poświęcenie...

– Dosyć tego... – przerwała Zuzanna.

Rozległ się dzwonek, Malwina wzięła dziennik z przegródki i wyszła bez słowa.

– Nie słuchaj jej – poradziła Zuzanna. Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Nie słucham – powiedziała. – Nie idziesz na lekcje? Ja mam okienko, bo dzieci mają WF.

– Idę. – Zuzanna ciężko wstała i wyszukała z przegródki dziennik właściwej klasy. – Słuchaj, a może wpadlibyście z Krzyśkiem do nas w niedzielę na obiad? Tak dawno u nas nie byliście...

– Bardzo chętnie – zdecydowała Małgorzata. – Dobrze mu to robi. Pracuje teraz ciężko w tym swoim zakładzie, a w weekendy jest jakiś niespokojny...

– To w ogródku się uspokoi. – Uśmiechnęła się Zuzanna. – Pa, pa.

– Pa...

Przywoływała w myślach tamtą rozmowę. Czemu Malwina tak się na nią rzuciła? Była zazdrosna o to, jaki wpływ na wzajemne stosunki w szkole może wyrzucić tamto zdarzenie? Może czuła się winna? W końcu nie umiała pomóc. Gdyby nie Krzysztof... No właśnie, gdyby nie Krzysztof, Adam Zalewski, zalany własną krwią, zakończyłby swoje młode życie pod świeżo kupionym przez Krzysztofa obrazem pt.: „Strata”. Popatrzyła z sympatią na kobietę namalowaną na obrazie. Nie wiadomo, co straciła namalowana, ale to, że czegoś jej brakuje, nie ulegało wątpliwości. Brak aż wyzierał z jej twarzy. „Może straciła kogoś bliskiego?” – myślała Małgosia. Raczej nie, odpowiadała sobie samej, wiedząc, że praca pt. „Żałoba” wisiała dziesięć obrazów dalej i była w wymowie zupełnie inna. Kobieta w żałobie miała ręce skrzyżowane na piersiach i patrzyła na przydrożne lampki. Najwyraźniej namalowane było miejsce, gdzie ktoś zginął na jezdni. Na jej obrazie kobieta była wyprostowana, chociaż głowę miała pochyloną, zerkając w bok, ale i do góry, jakby chciała dojrzeć kogoś w oddali. Stała w środku lasu, otoczona złamanymi sosenkami i kępkami wypalanej trawy, ale też i gdzieś tam widocznymi makami. Te czerwone maki, prócz identycznej w kolorze bluzki kobiety, były jedynym akcentem kolorystycznym. Pytała Krzysztofa, co według niego przedstawia ten obraz, ale powiedział nieuważnie:

– Chyba stratę...

– Ale jaką stratę? – zapytała go. – Można stracić różne rzeczy...

– Pewnie kogoś bliskiego – powiedział niepewnie. – Ktoś jej umarł?

– Nie – zaprzeczyła. – To było na obrazie „Żałoba”. Takim z lampkami i krzyżem przy drodze...

– Faktycznie, tamten był inny... – powiedział. – Strasznie smutny ten obraz. Może trzeba było kupić jakiś weselszy...

– To zależy, jak rozumieć stratę jako taką – powiedziała wtedy, przyglądając mu się uważnie.

– Strata... to strata. – Wzruszył ramionami.

– Nie zgadzam się z tobą – zaprzeczyła. – Można stracić zaufanie do kogoś i to jest bardzo bolesne...

– O ile sobie przypominam, był tam obraz „Zaufanie”... – Krzysztof odłożył czasopismo i wyjął słuchawki z uszu.

– Utrata zaufania to co innego... – powiedziała, mgliście przypominając sobie tamtą pracę. – Można stracić szansę...

– Można też stracić czas... – westchnął.

– Czy ty tracisz czas, dyskutując ze mną? – zapytała odrobinę za głośno.

– Czy powiedziałem coś nie tak? – zapytał. – Czemu zawdzięczam podobną uwagę?

– Mam wrażenie, że ostatnio jesteś myślami daleko... – powiedziała cicho.

– Daleko od czego? – zapytał.

– Nie chodzimy na spacerki ani nawet razem na zakupy... Siedzisz do późna w pracy... – Popatrzyła na niego uważnie.

– Musiałem zorganizować zajęcia – powiedział. – Dopilnować, żeby były preparaty, rozpiścić grafik dla wszystkich...

– A nie robi tego sekretarka? – zapytała.

Nie znosiła kobiet robiących wymówki mężom, że ci zbyt dużo pracują. Wydawało się jej to takie małe i pozbawiające kobietę godności. Teraz jednak stwierdziła, że powinni porozmawiać na ten temat.

– Nie. – Krzysztof nie patrzył jej w oczy. – Robi to szef, jedynie przy niewielkiej pomocy sekretarki. Mam mało pracowników etatowych, większość kolegów pracuje w szpitalach, więc przychodzą na zajęcia po swojej pracy. Muszę to uwzględnić w grafiku, skoordynować moje zajęcia z kolegami z histologii... Dopiero od niedawna mam gabinet do dyspozycji...

– Jak to? – uczepiła się tego, co powiedział. – Profesor nie zwolnił ci pokoju na czas?

– Małgosiu... – Widziała, jak z trudem powstrzymuje irytację.

– Jemu się wydawało, że wyciągnie kilka prac z segregatora i przeniesie do mojego biurka. A mnie się wydawało, że przeniosę twoje zdjęcie z mojego starego pokoju do nowego... Obaj się myliliśmy. Było mnóstwo papierów do przełożenia, niektóre dokumenty pokazywał mi od razu i mówił, co i jak... To trwało.

– Ale przecież zostawałeś po pracy...

– Zostawałem, bo trzeba było zorganizować na gwałt cztery preparaty. Musiałem dzwonić po domach opieki... Do tej pory nie interesowało mnie to, w jaki sposób stary organizował zwłoki...

– Nie chcę, żebyś o tym mówił! – Małgorzata poczuła falę mdłości.

– Przepraszam. – Schylił głowę. – Ja ci chciałem tylko uświadomić, że moje stanowisko nie polega na siedzeniu w miękkim fotelu i proszeniu sekretarki o zrobienie kawy...

– Dlaczego masz mnie za kretynkę? – zapytała. – Dlaczego tak do mnie mówisz?

– Przepraszam – powtórzył. – Chciałem ci tylko uświadomić, że wcześniej nie miałem żadnych obowiązków poza zajęciami ze studentami. Teraz to się zmieniło.

– Trzeba było wtedy skończyć habilitację, kiedy miałeś więcej czasu...

– Być może... Ale ja chciałem mieć bardzo rzetelnie zrobione badania.

– Przecież powiedziałaś, że skończyłeś już badania...

– Skończyłem i mam dużo napisane... W rok się wyrobię... Zadowolona?

Nie była zadowolona. Nie satysfakcjonował jej ton Krzysztofa ani jego zmienne nastroje. To ona powinna mieć wahania nastroju i narzekać, że nie ma czasu. W końcu to ona się poświęcała.

Ponownie westchnęła i popatrzyła na obraz. Tym razem na czerwone maki wokół. „One mogą oznaczać szansę” – pomyślała. Mimo straty jest ciągle szansa. To te czerwone kwiatki. „Ciekawe, dlaczego Anka nie lubiła tego obrazu” – myślała. Zaczynała zasypiać. Chwilę walczyła ze snem, wreszcie postanowiła się poddać. „Mała drzemka – myślała, zasypiając. – Ciekawe, dlaczego Anka nie chciała mi dać tego obrazu. Może strata dla niej to coś bardzo bolesnego... Czym dla mnie jest strata?”. Miała świadomość, że wchodzi w sen, przed oczami widziała różne obrazy, głównie koleżanki z pracy, wykrzywioną Malwinę, chłodną Zuzannę... „Najgorszą dla mnie stratą byłaby strata szansy... Strata Adama Zalewskiego...”.

Dwie godziny później obudził ją Krzysztof.

– Zaraz odgrzeję ci obiad – powiedziała, wstając.

W ustach miała gorzki smak. Świadomość rozczochranych włosów i wymiętego ubrania. Musiała umyć zęby i się uczesać. Może nawet zmienić wygniecione spodnie, zanim poda obiad. Musi trzymać pion.

– Nie spiesz się, kochanie... – powiedział. Nie chciało jej się jeść, więc odgrzała porcję tylko dla niego.

– Już mamy preparaty – powiedział, łykając zapiekanekę. – Grafik też dopięty.

Poczuła znów mdłości. Przecież wiedział, że nie znosi najmniejszej wzmianki o trupach. Nie chciała wiedzieć, ani skąd je brali, ani jak przygotowywali, ani też w jaki sposób je kroili. Tyle razy mówiła.

– Mam na myśli to, że teraz mogę zająć się swoją pracą...

– Całe szczęście – odzyskała mowę. – W końcu jesteś po to kierownikiem, żeby zrobić coś dla siebie.

– A jak tam twój dyrektor? – zapytał.

– Dlaczego o niego pytasz? – Zdenerwowała się.

– Tak... bez okazji. – Spojrzał zaskoczony. – W końcu go znam, obaj mamy dyrektorskie stanowiska... Ty także, kochanie, jesteś jakby nasza wspólna...

Dała mu do zrozumienia, że żart był niestosowny. Wstała i zaczęła sprzątać, trzaskając talerzami. Wytrzyma tę sytuację. To przejściowe. Kiedy on okrzepnie na nowym stanowisku i będzie kończył habilitację, wszystko się zmieni. Znów będzie taki jak dawniej. Spokojny, dobry dla niej i uległy.

Zima 2012

Jak mogła mu się podobać kobieta z krótkimi włosami? Di miała włosy pszenno blond, zupełnie naturalne, nie farbowała ich, co podkreślała z dumą. Ułożone w krótką fryzurę dodawały jej mnóstwo uroku. Do tej pory nie podobały mu się kobiety z krótkimi włosami. U Małgosi lubił długie, grube, wijące się na końcach pukle spływające luźno na ramiona albo podtrzymane opaską, w ostateczności ułożone w wysoki kok. Do czasów Di tylko na takie włosy zwracał uwagę. Te jej włosy, prawie białe, przesypywał w palcach, dotykał, zachwycał się bez końca. „Jak ty to robisz – pytał – że mimo krótkich włosków masz różne fryzury?”. Miała je zaczesane całkiem gładko albo ze sterczącą grzywką, albo do góry, na prawo, lewo. Najbardziej lubił, kiedy czesała się zupełnie na bok, z przedziałkiem. „Ja lubię do góry” – drażniła się z nim. „Wyglądasz jak kogut, kiedy się rozzłości” – odpowiadała, a ona się śmiała. Ten śmiech słyszał na początku w snach, teraz zamieniał się w krzyk albo wycie. Czy to przez te leki?

– Panie doktorze – zapytał podczas obchodu – dlaczego nikt mi nic nie mówi? Kiedy będę mógł wyjść do domu?

– Jeszcze za wcześnie – odpowiedział wymijająco lekarz.

– Na co za wcześnie? – zapytał.

– Za wcześnie na to, żeby pan opuścił szpital. – Lekarz nie patrzył na niego.

– Ale wie pan doskonale, że nie targnę się ponownie na swoje życie.

– Tego nie mogę jeszcze wykluczyć. – Znow na niego nie patrzył.

– Ależ może pan. – Krzysztof balansował między próbą zachowania cierpliwości a pokazaniem lekarzowi, że nie jest jakimś bezwolnym kretynem, którego mogą traktować jak przedmiot. – Doskonale pan wie, że nie zrobię sobie nic po raz drugi.

– Tłumaczę panu... – lekarz przelotnie spojrział na niego i zaraz odwrócił wzrok – że to nie zależy całkowicie ode mnie.

– Dlaczego? – Wciąż zachowywał spokój. – Jest pan moim lekarzem prowadzącym.

– Tak, ale pana przypadek jest szczególny i właściwie prowadzi pana nasz profesor...

– A to bardzo ciekawe... – Krzysztof nie mógł ukryć zdumienia.

– To fantastyczne być ciekawym przypadkiem... Skoro jestem taki fascynujący, dlaczego pan profesor nie pofatygował się do mnie? Zwłaszcza jako lekarz prowadzący...

– Omawiamy dokładnie pana stan na obchodach...

– I panu profesorowi wystarczają pana, z całym szacunkiem, relacje?

– Panie doktorze – lekarz wreszcie zaczął patrzeć mu w oczy – za chwilę uznam, że jest pan agresywny.

– Naturalnie – powiedział bardzo spokojnym tonem, chociaż w środku wszystko się w nim gotowało. – Wystarczy zadać niewygodne pytanie i można dostać zastrzyk z lekiem uspokajającym... W dodatku nie mam żadnych świadków, że nie dostałem ataku furii, a pan nie działał w wyniku wyższej konieczności...

pana słowo – szanowanego lekarza – przeciwko mojemu – lekarza nie lekarza, który stracił reputację...

- Nie trzeba dostać ataku furii, żeby kwalifikować się do podania leków uspokajających – przypomniał mu psychiatra.
- Nie wątpię – w tonie Krzysztofa zabrzmiał sarkazm. – Wystarczy mieć niewygodne pytania.
- Pana słowa to też agresja.
- Czy to ja powinienem panu uświadomić, że niezadawanie żadnych pytań w moim przypadku byłoby nienormalne albo świadczyło o głębokiej depresji?
- Pan profesor uważa, że nadal ma pan głęboką depresję i wymaga obserwacji.
- Tak uważa, mimo że mnie nie widział na oczy? – zapytał, nie ruszając się z miejsca. Obserwował kątem oka, jak rosły pielęgniarz napina mięśnie przedramienia. – Nie może mnie pan przenieść na normalny oddział?
- W zasadzie tak, ale tu ma pan lepsze warunki – przekonywał lekarz.

Krzysztof parsknął śmiechem. Pielęgniarz przestąpił z nogi na nogę. Lekarz wykonał gest, jakby chciał powstrzymać mężczyznę przed rzuceniem się na niesforne go pacjenta.

- Na zwykłym oddziale nie ma pojedynczych pokoi... – zaczął.
- To nie pokój, tylko cela... – przerwał mu.
- Byłby pan w jednym pokoju – to ostatnie słowo doktor powtórzył z naciskiem – ...z pacjentami ze schizofrenią.
- Nie przeszkadza mi to.
- Zapewniam, że zaczęłoby przeszkadzać... To bardzo trudni współpacjenci, słyszą głosy, krzyczą, mówią bez sensu, mogą nawet zaatakować...
- Wiem, na czym polega ta choroba – Krzysztof znów mu przerwał. – Kończyłem te same studia co pan.
- Ale nie zrobił pan tej samej specjalizacji i nie pracował pan ani jako lekarz, ani tym bardziej jako psychiatra.
- Mimo wszystko chciałbym stąd wyjść – upierał się. – Tu jest jak w więzieniu.
- Jest pan w odosobnieniu nie tylko z powodu targnięcia się na własne życie, ale ciężą na panu poważne oskarżenia... – Lekarz tym razem nie był zniecierpliwiony, przeciwnie, zachowywał się jak wychowawca, który tłumaczy uczniowi, dlaczego nie zda do następnej klasy.
- Dlaczego w takim razie nie zostałem przesłuchany przez policję czy prokuraturę?
- Pana stan na to nie pozwala – odpowiedział. – Chcieli pana przesłuchać, ale wstrzymujemy ich.
- Dlaczego? – Krzysztofowi aż zaparło dech.
- Ze względu na pana dobro. – Doktor pokiwał poważnie głową. – Dostaje pan silne leki, jest wciąż niestabilny psychicznie. W takim stanie mógłby pan powiedzieć policji coś, czego by pan potem żałował.
- A więc nie jesteście przeciwko mnie – ironizował. – Przeciwnie, staracie się mnie ochronić, także przed samym sobą...
- No i wreszcie pan zrozumiał. – Lekarz rozciągnął usta w uśmiechu jak dzoker. – Kiedy będzie pan stabilny, słowem – gotowy, wtedy porozmawia pan, z kim trzeba. Na razie ma pan rozmawiać z naszą

psycholog.

– Tak, ale kiedy...

– I mogę panu powiedzieć, że niedługo pan profesor porozmawia z panem. Od jego opinii także dużo zależy...

– Zapędził mnie pan w kozi róg – odpowiedział zrezygnowany.

– Zupełnie nie – zaprotestował lekarz. – Starałem się panu tylko wyjaśnić wszelkie wątpliwości. I bardzo się cieszę, że odbyło się to spokojnie, a pan wszystko rozumiał. Nie bez znaczenia jest też pana spokój, panie doktorze... Myślę, że pana stan naprawdę znacząco się poprawia.

– Wypada mi tylko podziękować panu. – Nutka sarkazmu była ledwie wyczuwalna.

– Ja również dziękuję. – Doktor z szacunkiem skłonił głowę. – To była dobra rozmowa... Miłego dnia.

– Miłego dnia – wymamrotał zrezygnowany.

Miał poczucie zupełnej jałowości tej rozmowy. Rozmawiali jak politycy. Przerzucali się argumentami, a niewiele w tym było treści, nie mówiąc już o wnioskach. Chociaż Krzysztof zorientował się, że coś jest nie tak, że czegoś mu nie mówią. Lekarz był kretynem, chociaż w uprawianiu swojego zawodu kierował się pewnym sprytem, to było wyczuwalne. Nie umiał jednak ukryć, że nie mówi prawdy. A przynajmniej całej prawdy. „Ten stan oskarżenia to jakiś absurd” – rozmyślał. Te pytania psycholożki, osobiste dociekania niczemu nie służyły. Jaki profil jego osobowości miałyby przygotować? Do tego wystarczyły testy, a nie jakieś niekończące się rozmowy o szczegółach jego zdrady. Na początku myślał, że psycholożka robi doktorat z samobójców, teraz sądził, że eksperymentuje na nim. Dlaczego nie zrobiła żadnego testu psychologicznego, choćby najprostszego, w kierunku depresji? Zapyta ją o to i dopilnuje, żeby odpowiedziała. Nie przyjął także argumentu lekarza, że personel stara się go ochronić. Przecież ci ludzie mieli gdzieś takich pacjentów jak on. Ten szpital to nie była Leśna Góra. Poza tym gdyby policja chciała z nim rozmawiać, zrobiliby to już dawno. Nie był nieprzytomny, odpowiadał na pytania, nie miał katatonii. Dlaczego więc to wszystko?

Zima 2011

Nie mogła się z synem porozumieć. Wydawał się nieobecny, jakiś przygaszony. Przez chwilę żałowała, że uparła się na jego przyjazd do domu. Tak nalegała, żeby przyjechał chociaż na jeden dzień. Tyle pysznego jedzenia zrobiła. Wprawdzie nie tylko z myślą o Jaśku, bo gołąbki zrobiła dla Krzysztofa. Mimo wszystko starała się gotować rzeczy pracochłonne i takie, które lubił. Uważała, że powinien widzieć jej poświęcenie i mieć dodatkowe wyrzuty sumienia. Krzysztof owszem jadł, ale minimalnie, zawsze dziękował, sprawiał wrażenie nasyconego jedną czwartą dotychczasowej porcji. To dlatego miała prawie pełen gar gołąbków. W sam raz dla Jaśka. Dorobiła rosół, jaki lubił, z całymi kawałkami kury. Po kurę poszła specjalnie na targ, żeby chłopiec nie łykał żeńskich hormonów. I teraz jej mały synek, obecnie prawie dwumetrowy, siedział i skubał jednego gołąbka, twierdząc, że nie jest w stanie go dokończyć, a i rosół, owszem, bardzo smaczny, także mu „nie przechodzi”.

– Bardzo dawno cię nie widziałam – zaczęła.

– Zacząłem pracę, więc wiesz... Wykazuję się.

– Rozumiem, ale bardzo trudno sprowadzić cię do domu.

– Przecież jestem...

– Przyszedłeś najedzony – powiedziała z łagodnym wyrzutem.

– Schudłeś strasznie...

– Mamo... – powiedział to zmęczonym tonem. Podniósł się nieco, jakby chciał wstać i wyjść.

– Przecież nic nie mówię... – Uśmiechnęła się. – Opowiadaj, jak ci jest w nowej pracy.

– Jak to w pracy – zaczął, ale najwyraźniej przypomniał sobie, że matka go nie wypuści, zanim nie dowie się wszystkiego. – Zaczynam praktycznie od zera. Moje stanowisko jest odrębne...

– A co to znaczy?

– Siedzę sam i mam taki mały projekt. Od tego, jak go zrobię, zależy, czy awansuję... – Ucieszyła się, że zaczął mówić. Pilnowała się, żeby nie okazać zbytniego entuzjazmu wobec tego potencjalnego awansu. Najlepiej będzie, jak nie zacznie drążyć tematu.

– Jeśli się spodoba, to dostanę normalne stanowisko, etat i pakiet ubezpieczeniowy.

– Bardzo się cieszę – powiedziała szybko. – Pakiet ubezpieczeniowy to jest coś... Chociaż, synku, gdyby coś ci dolegało, to tata...

– Nie chodzi o to – przerwał jej. – Pakiet ubezpieczeniowy to coś... ważnego... Określa status osoby pracującej. Zwykli ludzie są jak szarańcza w takiej pracy, nikt o nich nie dba. Dopiero kiedy dadzą ci wykupiony dostęp do lekarzy, wtedy zaczynasz być kimś. Najlepiej mają ci, którzy mają takie coś nie tylko dla siebie, ale całej rodziny. Dzieci przede wszystkim...

Nie wiedziała, o czym on mówi. Może chciał założyć rodzinę i dlatego mówił o kontaktach do prywatnych specjalistów w ramach firmy? Boże, mogłaby zostać babcią... To dla kobiety takiej jak ona, aktywnej, chyba dość trudny moment. A może będą chcieli, żeby zrezygnowała z pracy i została

z dzieckiem w domu? Może się nie zgodzić, w razie czego. Pomogą im z Krzysztofem finansowo, to powinno wystarczyć. Z drugiej strony, wnuczka, mała, słodka dziewczynka, mogłaby rozjaśnić ich życie, może nawet wyprostować pewne sprawy między nimi. Mężczyzna, kiedy zostaje dziadkiem, robi się bardziej... miękki? Chyba to właściwe słowo.

– Bardzo dobre, mamó, ale ja już nie mogę... – Syn przerwał jej rozmyślenia.

– Nic nie zjadłeś... – zaprotestowała, widząc na talerzu rozgrzebany ryż z gołąbką. – Co się stało? Tak lubiłeś gołąbki...

– Mamó, nie jestem dzieckiem... – powiedział.

Pewnie, że nie był już dzieckiem, chociaż Jasiek nigdy nie był ani specjalnie odpowiedzialny, ani nad wiek dorosły. Do czasów liceum trzeba go było pilnować z lekcjami. Potrafił mieć kilka jedynek za nieodrobione prace domowe, kupowała ciągle nowe kapcie do szkoły, ponieważ w kółko mu ginęły. Bez przerwy słyszała: „...żeby syn nauczycielki był taki niepoważny...”. Miała ogromne opory, kiedy Jasiek postanowił wyprowadzić się z domu. Krzysztof nie widział żadnego problemu. Bredził coś o pępowninie, którą należało odciąć. Małgorzata miała wątpliwości nie dlatego, że syn jej był tak bardzo potrzebny. To raczej ona potrzebna była jemu. Oczyma duszy widziała stos niezapłaconych rachunków, odcięty prąd i gaz, długi w banku i jakieś pożyczki chwilówki, które mogłyby zrujnować nie tylko syna, ale także ich. Nie mówiąc już o komorniku, więzieniu...

– Nie jesteś dzieckiem – przerwała sobie sama. – Chociaż...

– Wiem. – Uśmiechnął się. – Dla was z ojcem zawsze będę dzieciakiem, który nie umie o siebie zadbać.

– Nie to miałam na myśli... – powiedziała. – Tylko widzę cię tutaj mizernego, w nieświeżym dresie i zastanawiam się, czy tak się ubierasz też i do pracy...

– Mamó, prosiłem... – Skrzywił się.

– O nic nie prosiłeś. – Wstała i wzięła jego talerz. Wyrzuciła resztki gołąbka do kosza na śmieci. Prawie nietkniętą zupę wlała z powrotem do garnka. Odgrzeje Krzysztofowi.

– To ja prosiłam, żebyś przyjechał do domu – dodała. – Mieszkaś w tym samym mieście, a widzujemy się, jakbyś mieszkał za oceanem...

– Masz zamiar pytać, czy piorę, zamiast pogadać?

Westchnęła. Krzysztof uprzedzał, żeby nie próbowała siłą ściągać go do domu. Twierdził, że trzeba cierpliwie poczekać, a syn sam zatęskni. Oczywiście dodawał, śmiejąc się szyderczo, że mogą skończyć mu się czyste ubrania.

– To powiedz coś o sobie. – Pominęła milczeniem uwagę o praniu.

– Już mówiłem, że w pracy mam szansę...

– Synku – przerwała – ja nie pytam o pracę, tylko o ciebie. O twoje życie osobiste...

Jasiek wyglądał, jakby się miał zakrzusić herbatą, którą popijał małymi łydkami.

– Nie interesujesz się moją pracą? Ty? – Dziwnie się uśmiechnął.

– To do ciebie niepodobne. – Nie wiedziała, dlaczego on tak się zachowuje. Poczula znużenie.

– Interesuję się, tylko chciałabym wiedzieć, co słyhać w twoim prawdziwym życiu. O pracy już

mówiłeś...

Przechylił się na krześle jak niektórzy z jej niesfornych uczniów. Ledwo powstrzymała się, żeby mu nie zwrócić uwagi.

– Zwykle uważałaś, że najważniejsza jest właśnie praca...

– Nie – zaprotestowała. – Najważniejsza jest rodzina.

– Mamo, dajmy spokój...

„Trzeba zacisnąć zęby i nie reagować na te słowa” – nakazała sobie.

– Jasiek – zaczęła jeszcze raz – przecież ja widzę, że tobie coś jest. Nie przychodzisz do domu, nie dzwonicz, wyglądasz jak z krzyża zdjęty...

– Tak wygląda praca w korporacji w dzisiejszych czasach, mamo. – Uśmiechnął się po dawnemu, uśmiechem Krzysztofa. – Człowiek pracuje po piętnaście godzin, żeby do czegoś dojść. – Pomyślała, że jest przystojny, bardziej podobny do Krzysztofa niż Staś. Ten drugi ma jej rysy, ale bardzo wyostrzone. Nie ma tego szelmowskiego błysku, który podoba się kobietom.

– Ale, powiedz mi, czy ty masz jakieś życie osobiste? – Nie ustępowała. – Dziewczyna?

– Nie mam dziewczyny – odpowiedział.

– Dlaczego nie masz? – zapytała. – Jesteś taki przystojny... Na pewno stoją do ciebie w kolejce...

– Może stoją, nie wiem... – powiedział i znów podniósł się, żeby wyjść. – Nie interesowałem się...

Muszę iść.

– Myślałam, że zostaniesz na noc – powiedziała z wyrzutem.

– Zostań, proszę.

– Nie mogę – powiedział. – Muszę skończyć ważne sprawozdanie. Wkrótce wyjeżdżam też na szkolenie, więc muszę się przygotować.

Znała ten ton. Oznaczał, że Jasiek zaraz ją o coś poprosi. Zastanawiała się, czy ma tyle przy sobie, czy będzie musiała iść do bankomatu. Oby tylko nie była to bardzo duża suma, żeby tylko nie miał prawdziwych kłopotów finansowych.

– Ile ci potrzeba? – zapytała wprost.

– Nie chodzi o pieniądze – zaprotestował, kończąc na stojąco szarlotkę.

– Chcesz drugi kawałek? – zapytała, widząc, jak wyjada okruszki.

– Tak, poproszę. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie chodzi o kasę. Mam inną prośbę. Muszę tam odpowiednio wyglądać...

– Pójdziemy coś kupić? Garnitur, koszule? – Ucieszyła się, że syn ją o to prosi. Przecież dla matki młodego mężczyzny to wyróżnienie, znak, że jest ważna.

– Wszystko mam. Na Gwiazdkę kupiłaś mi przecież koszule i krawaty, na urodziny garnitur... Garnitur dałem do prania, ale koszule...

– Oczywiście – powiedziała, nie dając po sobie poznać, że jest rozczarowana. – Upiorę ci i uprasuję. Na kiedy potrzebujesz?

– Jutro rano wyjeżdżam... Dzięki, mamo... Zostawiłem je na dole w samochodzie, na wypadek, gdybyś nie miała czasu.

– Zawsze mam czas dla ciebie – powiedziała. – Miło byłoby, gdybyś i ty znalazł czas dla mnie... Od czasu do czasu...

– Będę miał więcej czasu dla ciebie, obiecuję... – powiedział gorliwie, najwyraźniej zadowolony, że tak łatwo poszło. Pomyślała, że mimo odmiany słowa „czas” przez wszystkie przypadki wcale go nie przybyło.

– Nie zapytasz, co u nas słychać? – Pomyślała, że da mu zupę w słoiku, może ze dwa gołąbki. Wstała, żeby zapakować. A więc to nie kobieta, nie wpadka ani nic takiego, co wymagałoby narad rodzinnych, wyciągania rezerw finansowych i trudnych decyzji. Zwykła proza życia. Nie ma matki, która uprałaby koszule...

– Co u was słychać? – Stał przy drzwiach.

– Ojciec bardzo dużo pracuje... Ja po staremu.

– Wiem, że dużo pracuje – powiedział to z ironią. Po grzecznym tonie nie pozostał nawet ślad. – Czy ty jesteś zadowolona? – Pytanie było nieoczekiwane.

– U mnie nic się nie zmieniło...

– Pytałem, czy ty jesteś wreszcie z niego zadowolona...

– Co to ma znaczyć? – zapytała ostro. – Co sugerujesz?

– O nic mi nie chodzi... – Patrzył w bok. Rękę trzymał na klamce.

– Ojciec się skarżył? Przecież robię wszystko...

– Nie, mamuś, dajmy spokój... – wycofywał się wyraźnie. – Tak mi się powiedziało, a ty robisz zaraz sceny...

– Nie robię scen – zaprotestowała.

– Nie robisz, przepraszam... – kapitulował. – Zapomnij, dobrze?

– Ale powiesz mi tylko, czy ojciec skarżył się na mnie? – dociekała.

– Skąd, absolutnie – protestował. – Ojciec zawsze jest zadowolony...

– To dlaczego tak powiedziałaś?

– Nic nie powiedziałem... – Nacisnął klamkę. – Nieważne z tym praniem... Dam sobie radę. Ty może odpocznij, czy coś...

Prawie płakała. Było jak wtedy, kiedy chodził do liceum i został posądzony o kradzież roweru. Nie można było się z nim porozumieć. Na każdy zarzut odpowiadał: „Może”, „Nie wiem”. Policja straszyla go karami, a on niezmiennie obojętnie odpowiadał monosylabami. Próbowala sprawę zatuszować. Z zeznań przyjaciela Jaśka wynikało, że chcieli się tylko przejechać, potem odstawić rower na miejsce. Taki dowcip. Damka należała do jednej z nauczycielek, której nie lubili. Ale rower zginął, ktoś go ukradł sprzed sklepu spożywczego, gdzie chłopcy weszli na chwilę, żeby kupić colę. Chciała odkupić pojazd. Nauczycielka nie robiła problemów. Był tylko jeden warunek, żeby Jasiek zaczął mówić i przeprosił. Ale on prawie nic nie mówił. Miała ochotę go stłuc. Krzysztof oczywiście zaangażował się w sprawę. Porozmawiał z synem raz, ale niczego nie uzyskał. Rozłożył bezradnie ręce. Nawet oskarżył ją wtedy, nie wprost, jak to on, ale zawsze, że za bardzo go wyręczała. A życie nie polega przecież na robieniu wszystkiego za dzieci, usuwaniu im pyłu sprzed stóp. Czyli była za dobra. Zawsze to podejrzewała. Dlatego Jasiek mógł sobie pozwolić na ekstrawagancki, bierny opór przeciwko dyrekcji szkoły czy

policji. Bolało ją tylko to, że z nią nie chciał nawet zamienić słowa. Nic nie zmieniło jego nastawienia, nawet noc w areszcie, co było dotkliwą karą za drobne przewinienie. Pamiętała swój żal do niego. Ale okazało się, że to było uzasadnione. Jasiek nie ukradł roweru, nawet nie miał z tym nic wspólnego. Kolega zrobił to sam, a jej syn lojalnie wziął winę na siebie. Nie chciał zostawić przyjaciela. Kombinował, że dwóch ze szkoły nie wyrzucą, a jednego chłopaka z biednej rodziny na pewno. To dlatego nie chciał z nią rozmawiać. Wiedział, że ona tylko spojrzy na niego i wyciągnie prawdę. Ojcu mógł kłamać, zapierać się, że wziął rower. Jej nie umiałby okłamać. Tamten chłopak się przyznał do wszystkiego. Wyleciał z renomowanego liceum. Jasiek został upomniany. Miał żal do rodziców, że oczyścili go z zarzutów, największy właśnie do niej. Ten kolega stoczył się, zaczął się narkotyzować, był kilka razy na odwyku. Pamiętała, że Jasiek prosił ich o pomoc. Krzysztof użył swoich wpływów i załatwił chłopakowi dobry ośrodek. Kiedy jednak tamten naruszył warunki i został usunięty karnie, Małgorzata wysłała syna na obóz językowy. Krzysztofowi powiedziała, że dość już pomogli obcemu chłopakowi. W dodatku takiemu, przez którego ich własne dziecko mogło ucierpieć. Krzysztof próbował mimo wszystko coś zrobić. Skutecznie torpedowała te wysiłki. Tamten przyszedł do nich kiedyś wieczorem do domu. Na szczęście nie było nikogo poza nią. Bała się, ale go wpuściła. Dała pieniądze. Poszedł i kupił czysty narkotyk. Przedawkował w bramie. Złoty strzał, takie proste, naraz zniknął problem i pokusa dla Jaśka. Nikt nie wiedział o pieniądzach, które dała tamtemu żalosnemu narkomanowi. Czy to była jej wina, że taki śmieć umarł? Mógł kupić jedzenie, wybrał narkotyki. Jego wybór. Ocaliła syna. Tego była pewna.

– Przynieś to pranie – poprosiła. – Synku, upiorę ci...

– Dzięki, mamuś. – Wrócił do niej, zostawił te cholerne drzwi i objął ją.

„Wdech, wydech, wdech, wydech” – nakazała sobie. W przeciwnym wypadku rozplakałaby się żalostnie. Jasiek objął ją ramieniem. Tak bardzo tego potrzebowała. Tak zastał ich Krzysztof, który wrócił z pracy, spóźniony, jak zwykle, bez apetytu, jak zwykle.

– O, synek. – Zdziwił się w progę. – Czyste rzeczy ci się skończyły, czy co? Nie odwiedzasz nas ostatnio...

– Nie mam czasu na spacer, tato. – Jasiek puścił Małgorzatę i spojrzał ojcu w oczy. Ten cofnął się, jakby go ktoś uderzył.

– Zejść z tobą do samochodu czy przyniesiesz na górę te koszule? – Małgorzata zignorowała uwagę męża i odpowiedź syna.

– Przyniosę zaraz. – Uśmiechnął się do niej.

Stała jeszcze na korytarzu, czekając na powrót Jaśka. Krzysztof zdjął kurtkę i buty i poszedł do łazienki umyć ręce. Jasiek podał jej pranie, nie zamykając drzwi. Pocałowała go jeszcze raz, zanim zniknął. Obiecał przyjść z samego rana po czyste koszule.

– Nie zatrzymałeś go – powiedziała, odgrzewając Krzysztofowi rosół i gołąbki.

– Nie przyszedł porozmawiać ze mną... – Znów grzebał widelcem w mięsie.

– Ale uwaga o praniu nie była potrzebna...

– Za to była trafna – zauważył. – Przepraszam cię, kochanie, ale nie mogę już więcej. Jem w pracy, a ty tuczysz mnie jak gęś.

– Dlaczego jesz w pracy, skoro ja gotuję?

– Ponieważ potrzebuję około pierwszej zjeść coś ciepłego. Nie umiem zapychać się bułkami. To niezdrowe.

– To po co ja się męczę? – Znow zbierało jej się na płacz. Była zmęczona, a jeszcze czekało ją przepranie koszul, rozwieszenie i prasowanie na mokro.

– Nie męcz się – powiedział obojętnie. – Tyle razy mówiłem, żebyś nie gotowała wieczorami, nie dźwigała zakupów. Wieczorem mogę zjeść kanapki.

– Ale ja bym chciała...

– Wystarczą kanapki i jakaś sałatka. – Westchnął nad resztką dania. Miała ochotę rozbić talerz albo oblać go zupą. Widziała to setki razy na filmach. Wzrok takiego mężczyzny, którego kobieta oblewa winem, piwem czy zupą – bezcenny. Rozbicie naczynia przyniosłoby ulgę pewnie bohaterce filmu. Ona musiałaby myć podłogę, prać zabrudzone ubrania i tłumaczyć się ze swojego postępowania. Usłyszałaby, że to do niej niepodobne. Pewnie, że niepodobne, myślała, opłukując talerze i wstawiając je do zmywarki. Krzysztof tymczasem zniknął z kuchni i zasiadł przed telewizorem. Ostatnio tak się zachowywał. Oglądał programy informacyjne, głośno komentując, jak on by sobie dał radę z tym czy tamtym problemem politycznym albo społecznym. O Jaśku nic nie mówił, nawet kiedy zobaczył, jak Małgosia pierze i prasuje jego koszule, a potem starannie pakuje do toreb foliowych. Pewnie to była milcząca dezaprobata jej opieki nad synem i troski, jaką starała się okazać.

– Może zawiózłbyś mu to do mieszkania? – zapytała, kiedy dwie godziny później skończyła pracę.

– Żartujesz chyba – powiedział. – Ty mu pierzesz i prasujesz, a ja mam jeszcze zawieźć?

– Tak – powiedziała z naciskiem. – Jak też zupę i gołąbki. Miałam mu dać, ale nie zdążyłam. Bardzo cię proszę.

Nie zaprotestował. Wstał z teatralnym westchnieniem, włożył sweter i buty, bez słowa przyjął od niej koszule i paczkę z jedzeniem. Wrócił po trzech godzinach. Miała nadzieję, że porozmawiali jak ojciec z synem. Postanowiła wypytać o to i jednego, i drugiego przy okazji.

Zima 2011

Krzysztof patrzył tępo przed siebie. Bolała go głowa. Miał ochotę wyjść z pracy i pójść prosto do Di, gdzie w jej ramionach odzyskałby chęć do życia. Tyle że dziś nawet nie mógłby jej zobaczyć. Uprzedzała go, że musi pójść do pracy i załatwić coś na miejscu. Zwykle pracowała w domu. Była zatrudniona w jakimś piśmie o modzie i odpowiedzialna za zdjęcia modelek. To się nazywało – producent sesji zdjęciowych. Pokazywała mu zresztą zdjęcia z takich sesji, ale poza tym, że były śliczne i bajecznie kolorowe, nie widział w nich nic specjalnie interesującego. Jej praca polegała na wyborze kilku z setek zdjęć zrobionych chudym jak patyki dziewczynom i androgynicznym chłopcom. Ten wybór kosztował ją wiele godzin pracy przy komputerze, gdzie za pomocą specjalnych programów komputerowych zmieniała światło, czasem nawet kolory i rysy twarzy fotografowanych. Taka praca wydawała mu się niespecjalnie interesująca, oczywiście jeśli nie liczyć dostępu do ubrań i fryzjerów, co pewnie dla dziewczyn miało wielkie znaczenie. Dla niego ważniejsze było to, że ona miała mnóstwo wolnego czasu, który poświęcała przeważnie jemu. Dziś jednak upредиła, że sesja zajmie jej cały dzień i dopiero wieczorem będzie wolna, więc wyglądało na to, że się nie spotkają.

Zadzwoił po swoją sekretarkę o tępej twarzy, poprosił o zrobienie mu kawy i przyniesienie z bufetu butelki gazowanej wody mineralnej. Dając jej pieniądze na ten cel, zapytał, czy nie ma przy sobie jakiegoś leku przeciwbólowego. Pokręciła głową i poruszyła pomalowanymi na czerwono ustami. Krzysztof pomyślał, że z tymi ustami jest coś nie w porządku, za bardzo przypominają karpi pysk.

– Zapytać w pokoju asystentów? – rzuciła, wychodząc.

– O co? – Nie zrozumiał.

– O lek na ból głowy... – wyjaśniła zdziwiona. No tak, przecież przed chwilą sam o tym wspominał.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Sam zapytam. Poproszę tylko o kawę i wodę.

Kiedy dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi, Krzysztof był przekonany, że dostanie wreszcie swoją wodę i kawę. Miał nadzieję, że ucisk w skroniach nieco zelżeje. W drzwiach stanął doktor Rafał Kudelski, jego zastępca i wróg w jednej osobie. Bez zbędnych ceregieli wszedł do pokoju i usiadł naprzeciwko Krzysztofa.

– Chciałem zapytać, w co ty, kurwa, sobie lecisz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie... – Krzysztof poczuł, że fala bólu uderzyła go w skronie. – W co ty sobie lecisz?

– W kulki, kurwa, sobie lecę. O co ci chodzi?

– Słuchaj. – Krzysztofowi zaczęło kręcić się w głowie. – Przychodzisz mi tu i zachowujesz się... niestosownie...

– Że co robię? – Kudelski był czerwony na twarzy. – Że jak?

– Klniesz...

– „Kurwa” jest... niestosowna – skrzywił się – dla kierowniczych uszu? Nie udawaj, że nie wiesz, o co

chodzi!

– Wiem, o co chodzi, o zwłoki. – Krzysztof powstrzymał się przed rozmasowaniem sobie głowy. – Tylko nie wiem, czego ty ode mnie chcesz...

– Poskarżyłeś się na mnie staremu, a ten chuj poleciał do dziekana...

– Dwa z czterech załatwionych przez ciebie preparatów nie nadają się do pracy... – zaczął. – Dobrze o tym wiesz...

– No to co z tego...

– Jak to co z tego? – Krzysztof pochylił się w stronę kolegi. – Są źle zakonserwowane. Wiesz, co to oznacza...

– Że studentki mogą zemdleć? – Kudelski nie krył ironii. – Tak się nimi przejmujesz?

– Przejmuję się, w przeciwieństwie do ciebie – powiedział. – Ale do tego jeszcze dojdziemy... Musiałem wycofać te zwłoki...

– I co?

– W dodatku z jednego z domów opieki wpłynęła skarga... Przekazałem ci ją. Oficjalną drogą.

– Czytałem te bzdury mające ochronić twój tyłek. – Kudelski aż się trząsał ze złości. – To dyrekcja tego domu opieki dała dupy...

– Nie dopełnili formalności i po ciało zgłosił się w końcu ktoś z rodziny... – przypomniał mu Krzysztof. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, w jakim to nas stawia świetle? Gdyby ktoś z gazety...

– I co z tego?

– Jak to co? – Krzysztof nie mógł zrozumieć, że można być aż tak bezczelnym. – Zadzwoił do mnie dyrektor placówki i prawie na kolanach błagał, żebym oddał ciało. Ledwie to zatuszowaliśmy.

– Ale ci się udało z pomocą starego – Kudelski nadal ironizował. – Wydali je rodzinie z USA w zamkniętej trumnie. Nikt się nie dowiedział.

– O tak. – Teraz Krzysztof był ironiczny. – Powiedzieli rodzinie coś w stylu: „Tak długo na państwa czekał, że prosimy o nieotwieranie trumny podczas pogrzebu...”. I nikt się nie dowiedział, że zwłoki leżały w formalinie, a potem służyły w akademii medycznej...

– Właśnie – potwierdził Kudelski. – Tylko ty musiałeś powiadomić o tym Sujeckiego. Chłopczyk na posyłki...

– Lepiej mnie nie obrażaj, bo napiszę na ciebie skargę... – Krzysztof marzył, żeby Kudelski sobie poszedł.

– Tak jakbyś napisał. Dziekan o tym wie. Wspomniał w rozmowie.

– To się na przyszłość pilnuj. – Krzysztof pomyślał, że jeśli nie dostanie za chwilę wody, to da zastępcy w twarz. – Bo cię zwolnię.

– Ty mi, kurwa, grozisz? – w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie. – Ty wiesz, co ja, kurwa, mogę?

– Możesz się postarać nie popełniać więcej błędów – odparował, gratulując sobie w duchu, że ani na chwilę nie stracił zimnej krwi.

– I trzymaj się z łapami z dala od studentek.

– A to, kurwa, co ma znaczyć? – Kudelski był już czerwony nawet na szyi i wściekły, jak tylko można.

– To, co słyszysz – powiedział spokojnie. – Słyszysz z wulgarności. Na kolokwium klniesz jak szewc...

– I te cipy są urażone? Przyleciały na skargę?

– Nie przyleciały. Nawet ta, którą złapałeś za pierś...

– Miała silikonowe cycki, chciałem reszcie pokazać...

– Uspokój się, bo cię wypieprzę z zakładu – powiedział. Ból głowy go oślepił. – Masz dwa poważne ostrzeżenia. Jeśli rzucisz choć jedną „kurwą” na zajęciach albo weźmiesz w łapę od kogoś za zaliczenie... – Kudelski zerwał się z krzesła i ruszył w stronę drzwi.

– Zniszczę cię – powiedział. – Zrobię za chwilę habilitację i ja będę kierownikiem. A wtedy wylecisz stąd z hukiem. Z... pierdolonym hukiem. I nawet stary ci nie pomoże – dodał.

Krzysztof chwilę napawał się ciszą. Ból na chwilę zelżał, ale znów wrócił ze zdwojoną siłą. Dźwignął się z krzesła i poszedł w stronę sekretariatu. Pani Ela, wielce z siebie zadowolona, relacjonowała coś przez telefon. Zakryła ręką słuchawkę.

– To pana woda i kawa – powiedziała, wskazując brodą życiodajne płyny. Krzysztof nie ruszył się z miejsca.

– To służbowa rozmowa? – zapytał.

– Muszę kończyć – powiedziała pani Ela w słuchawkę i odłożyła ją.

– Tak lepiej – powiedział, patrząc na nią z góry. – Koniec pogadanek w godzinach pracy. Szczególnie z telefonu służbowego.

– Tak, oczywiście – powiedziała wystraszona.

– Kawa jest zimna. Niech mi pani zrobi nową – powiedział, wylewając demonstracyjnie czarny płyn do zlewu. – Dziękuję za wodę.

Pięć minut później milcząca sekretarka postawiła przed nim parujący płyn i położyła białą tabletkę.

– Dziękuję – powiedział, popijając lek przeciwbólowy wodą.

– Niech mi pani przyniesie dokumenty ostatnich preparatów...

– Czego? – zapytała.

– Preparatów – powtórzył. – Ciał, na których ćwiczą studenci...

Po niecałej minucie obrażona położyła mu na biurko gruby segregator.

– I jeszcze proszę zawołać do mnie doktor Markowską i doktora Makulskiego.

– Oczywiście – powiedziała mniej urażonym tonem. – Jeszcze jedną kawę?

– Jeśli to dla pani nie jest kłopot. – Czuł, że w głowie nieco mu się przejaśnia.

– Żaden – ucięła.

Kasia Markowska przysłała pierwsza, chwilę po niej Paweł Makulski.

– Chcecie kawy? – zapytał.

– Chciałeś się z nami kawy napić? – Uśmiechnęła się do niego Kasia.

Krzysztof też się uśmiechnął. Ta dziewczyna działała na niego uspokajająco. Prawie jak Di, tyle że bez napięcia i pożądania.

– Mam kłopot i musicie mi pomóc – powiedział.

– A co znowu się stało?

– Kudelski mi się czkawką odbija... – odpowiedział.

– Jak rzadko ciężkostrawny osobnik – skrzywiła się Kasia.

– Jak to cham... – dodał Paweł Makulski. – À propos, twoja żona dzwoniła i zapytała mnie

o Pawełka... Po dość długim czasie...

Nowa fala bólu wymieszała się w głowie Krzysztofa z uczuciem złości.

– Dzięki – uciął, nie chcąc dyskutować na ten temat.

– O czym wy...? – zainteresowała się Kasia.

– Nieważne – z naciskiem powiedział Krzysztof. – Chciałem, żebyście przyszli w dwóch sprawach.

Pierwsza to Kudelski i obmacywanie studentek...

– Rzucanie przy nich „kurwami”, „chujami” i nazywanie żeńskich i męskich organów płciowych nazwami ogólnie uważanymi za wulgarne, typu: „cipa”, „kutas”... – zjadliwie powiedziała Kasia.

– Bezpośrednie pytania, czy mają okres... – dodał Paweł.

– I łapanie dziewczyny za silikonowy biust. Tyle zdążył od początku roku akademickiego... – uzupełnił Krzysztof. – Kazałem mu przestać. Jeśli jeszcze raz to zrobi, chcę, żebyście mi o tym donieśli, a ja go zwolnię.

– Stary to tolerował. – Skrzywiła się Kasia.

– Może nie wiedział...

– Stary wiedział wszystko – zaprzeczył Paweł. – Tylko do pewnych spraw się „nie odnosił”...

– W każdym razie i tak go zwolnię, tylko muszę mieć pretekst. Tymczasem go ostrzegłem...

– Najłatwiej udawać, że się czegoś nie widzi, zwłaszcza w odniesieniu do kobiet... – powiedziała gorzko Kasia.

– Nie przesadzasz? – Skrzywił się Paweł. – Takie jesteście słabiutki... a z człowieka wyciśnięcie cały sok...

– Naprawdę. – Kasia aż uniosła się na krześle. – Było nie żenić się z pieniędzmi, tobyś nie miał żony, co ci westchnąć nie daje...

– Ej, ej! – Paweł zacisnął ręce w pięści. – Wy, tak zwane singielki, macie tylko jedno...

Paweł – przerwał mu Krzysztof – uspokój się! Co to za teksty?

– Przepraszam – mruknął kolega w stronę Krzysztofa.

– Ją przeprosz. – Pokręcił głową Krzysztof. – Mnie nie musisz...

– Ona też by mogła za najazdy osobiste... – mruknął kolega.

– Sorry, Kaśka...

– Ja też przepraszam – półgębkiem odpowiedziała Markowska.

– Chodzi mi o to, że jego żona stara się wpłynąć na mnie, żebym ja... Zaległa cisza.

– Dzwoni i pyta się mnie, czy Paweł otworzył przewód doktorski, czy ja mogłabym coś z tym zrobić...

– Kasia pokazała palcem na kolegę. – Dopytuje, czy rzeczywiście ma nadgodziny...

– To są moje sprawy – mruknął młody lekarz. – Nie twoje...

– Ale dzwoni do mnie, żeby losowi dopomóc...

– Może to nie jest rozmowa na teraz... – pojednawczym tonem powiedział Krzysztof.

Nie miał pojęcia, że żona kolegi podziela poglądy jego własnej kobiety co do tego, że mężowie powinni być „kimś”. Myślał, że tylko Małgosia jest taka, a Magda ogranicza się do pełnych zazdrości kontrolnych telefonów mających na celu ustalenie, gdzie przebywa Paweł, z dokładnością do jednego metra. Zwykle dzwoniła do Kasi, ale bywało, że telefon odzywał się w sekretariacie. Odpowiadał wtedy cierpliwie na pytania żony Pawła, czując się jak jakiś pieprzony GPS.

– A że twój zastępca nie omieszka w stosunku do nas wygłaszać seksistowskich dowcipów, to oczywiście nie ma znaczenia...

– Ma znaczenie – poddał się Krzysztof. – Przecież ostrzegłem go...

– Przed obrazaniem studentek – nie ustępowała Kasia. – Kiedy mnie pyta, czy mam okres, to jest, jak rozumiem, w porządku... Przy starym tego nie robił, ale przy tobie nie miał oporów... A ty udawałeś, że nie słyszysz...

– Kasiu, to przecież zwykły cham... – Głowa prawie nie bolała. Myślał znacznie jaśniej. O co jej chodzi? Jeśli chciała, żeby Kudelskiego zwolnił, to zamiast kłaść uszy po sobie za każdym razem, kiedy ten facet rechotał obrzydliwie w jej obecności, powinna raczej coś mu odpyskować. Ma to załatwić za nią? W porządku, niech znajdzie studentkę, która napisze na niego skargę, a on postara się, żeby Kudelski przestał pracować.

– Zwykły cham... – powiedziała gorzko.

– Dostarcz mi skargę od którejkolwiek ze studentek i dołącz swoją... – powiedział Krzysztof.

– Przecież on mnie zniszczy... – odpowiedziała. – Jest w komisji opiniującej otwieranie przewodów doktorskich. Zemści się.

– To nie pisz własnej skargi, tylko znajdź studentkę... – zaproponował Paweł.

– Ja tyle razy kryłam ci tyłek, kiedy żonka biedronka do ciebie dzwoniła – odparowała Kasia. – Mógłbyś dać chamowi w zęby...

– Dosyć tego! – Ból głowy ponownie wrócił i falował między skrońmi. – Zostawcie to, ja się nim zajmę. Wy zajmijcie się pracą, zamiast się bić. W końcu jesteśmy tu po to, żeby uczyć. I to jest właśnie ta druga sprawa.

– Jaka? – Nawet Paweł nie patrzył na niego, tylko spoglądał w bok. Kasia zacisnęła usta.

– Straciliśmy jeden z preparatów, a drugi jest źle zakonserwowany i także praktycznie się nie nadaje...

– A czyja to wina?

– W zasadzie moja – odpowiedział. – Bo ja jestem kierownikiem.

– Ale preparaty załatwiał nasz ulubiony kolega... – zaczęła Katarzyna.

– ...nie omieszkał mówić każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać, że ja nie byłem w stanie, co zresztą było prawdą... – dokończył Krzysztof.

Jak on to robił? Profesor Sujecki nigdy nie miał takiej wpadki. Wina wprawdzie była Kudelskiego, kombinacje ze zwłokami były karygodne, ale to, że studenci nie mieli na kim ćwiczyć, odbijało się na

jego opinii. Profesor przez tyle lat nie miał podobnych problemów. Westchnął.

– Chodzi o złączenie waszych grup na ćwiczeniach oraz grupy dziesiątej i jedenastej przy stole dziesiątym..

– Ja wezmę dwie pierwsze, ty weź tamte – powiedziała Kasia.

– Mogę przyjść po południu...

– Ja wolę rano – powiedział Paweł. – Nie ma sprawy.

– Dostaniecie nadgodziny. – Krzysztof z ulgą kiwnął głową. – Bardzo wam dziękuję.

– Nie ma sprawy... – Oboje kiwnęli głowami. Podnieśli się z krzeseł jednocześnie i spojrzeli na siebie. Krzysztof mógłby przysiąc, że coś przeszło między nimi, coś jakby prąd, ponieważ oboje wzdrygnęli się jednocześnie. Zaraz jednak odwrócili głowy w stronę Krzysztofa.

– Bardzo wam dziękuję – powtórzył Krzysztof. – Kiedy tylko dokończę habilitację, chciałbym, żebyście oboje u mnie otworzyli przewody doktorskie. Ja będę potrzebował dwóch doktorantów, a wy... dorobku naukowego.

– Mówisz poważnie? – Paweł rozjaśnił się na okrągłej twarzy.

– Ja się jeszcze zastanowię – powiedziała w tym samym czasie Kasia. – Czy tego chcę...

„Chciała pewnie powiedzieć, że zastanowi się nad tym, czy chce to robić pod moim kierunkiem” – pomyślał. Poczul wstyd i złość na koleżankę. Od profesora Sujeckiego nikt nie oczekiwał, że będzie zajmował się tak przyziemnymi sprawami jak molestowanie studentek. To normalne, że udawał, że nie wie. To było poniżej jego godności, żeby upominać pracownika z tytułu używanych wulgaryzmów. Krzysztof nie mógł sobie wyobrazić, że Sujecki wzywa Kudelskiego i grozi mu zwolnieniem. Wolał po prostu odsunąć go daleko od kierowniczego stanowiska. Pewnie myślał, że to wystarczy. Ale Kudelski nie był dzentelmenem... Kiedy profesor dowiedział się, w jaki sposób brakujące preparaty trafiły do zakładu, przez twarz przemknęło mu rozczarowanie. Właśnie takie uczucie miał wypisane na twarzy. Ale był rozczarowany Krzysztofem, nie Kudelskim. „Swoją drogą – myślał Krzysztof – ile taki Kudelski może napsuć ludziom krwi”. Musi się go pozbyć. Za wszelką cenę.

Zima 2012

Od kilku dni nikt go nie odwiedzał. Poza lekarzem dyżurnym. Nie wiedział, co to znaczy. Aleksandra nie przychodziła. Zapytał o nią pielęgniarkę, która przyniosła mu poranne leki, ale wzruszyła ramionami, nie trudząc się, żeby odpowiedzieć na pytanie. Może nie wiedziała. Spojrzał na zakratowane okno. Jak zwykle wspiął się na palce i spojrział przez poszarzałą od starości szybę. W dole było podwórze, puste o tej porze dnia. Pryzmy śniegu leżały na trawniku, gdzieś widział lód na zniszczonych płytach chodnikowych, jakimi wyłożone było przejście z pawilonu do pawilonu. Spojrzał ponad dach budynku. Na górze było szare niebo spowite chmurami. Rok temu o tej samej porze był z Małgorzatą w Toskanii. Uśmiechnął się na myśl o tej wycieczce. Pamiętał każdy szczegół tamtego dnia, kiedy wróciła ze szkoły i powiedziała, że ma cudowną, wprost fantastyczną niespodziankę. Przeszył go wtedy dreszcz strachu. Nie, nie bał się, że odkryła jego związek z Di. Raczej nie zareagowałaby w taki sposób. Bał się raczej, że sprowadziła jakiegoś profesora, znajomego, kuzyna koleżanki, który pomagałby mu w ukończeniu habilitacji albo zostałby jego doktorantem. Ewentualnie znalazła osobę, która zrobiłaby z Krzysztofa dziekana. Okazało się, że był niesprawiedliwy wobec niej. Było mu głupio, kiedy powiedziała, że wykupiła dla nich dwojga wycieczkę do Toskanii. Próbował protestować. To znaczy, odmowa nie miałaby żadnego sensu. Wycieczka była już opłacona z pieniędzy z ich wspólnego konta i mieli wyjechać za niecałe dwa tygodnie. Nie mógł się nie zgodzić. Ona miała w szkole ferie, on podobnie, wolne w pracy. Nawet na sesję poprawkową mógł swobodnie zdążyć, ponieważ wyjazd miał trwać dziesięć dni. Nie miał żadnego argumentu. Mimo to zaniepokoił się i zapytał, co nią kierowało, kiedy decydowała, że w środku zimy wyjadą na południe Włoch.

– Och... – powiedziała wtedy. – Przechodziłam koło biura podróży i zobaczyłam taką atrakcyjną ofertę last minute. Weszłam i... po prostu wpłaciłam pieniądze.

To w żadnym wypadku nie mogła być prawda. Małgorzata nie była osobą, która podejmowałaby działania pod wpływem impulsu. Wakacje planowała z rocznym wyprzedzeniem, zwykle dając mu do wyboru dwie lub trzy opcje. Dla porządku pytała, na co miałyby ochotę, ale potem i tak wybierała sama, chwając się swoim rodzicom, że doskonale wie, jak należy spędzać urlop. Dwa tygodnie nad morzem w porządnym pensjonacie i kolejne dwa w Krakowie, gdzie można chodzić do teatru i na koncerty. Pozostałe tygodnie wakacji były rozdzielane równo między rodziców Krzysztofa, póki oni żyli, a rodziców Małgosi, którzy gościli ich zawsze chętnie na swojej działce, wykorzystując do zbierania owoców i robienia niekończących się przetworów, potem wciskanych im do domu. Słowem, Małgorzata gardziła wycieczkami typu last minute. Co więcej, pogardała osobami, które na takie wycieczki jeździły. Z zazdrością patrzył na zdjęcia z Tunezji, Wysp Kanaryjskich czy Turcji, które jego koledzy pokazywali sobie po wakacjach. Słońce, beztroskie pozy typu „ja i palma”, śmiejące się dzieci. Tyle razy próbował zmienić coroczny zwyczaj wyjazdów do Jastrzębiej Góry. Argumentował, że na południu woda jest ciepła i zawsze świeci słońce. Można pływać w wodzie bez końca, a wieczorem jeść pyszności w małych knajpkach z widokiem na morze. Małgorzata kręciła przecząco głową i upierała się, że taki wyjazd zmęczą ich oboje prędzej czy później. Podawała także argument finansowy.

– W kraju jest taniej – mówiła, chociaż zapewniał ją, że to jedynie pozory.

Skoro nie chciała spędzać czasu w kurortach podczas zorganizowanych wycieczek, próbował zaciągnąć ją do jakiegoś znanego miasta. Choćby na weekend do Pragi czy Wiednia. Nie była zainteresowana zwiedzaniem zabytków innych niż te w Krakowie. Wreszcie kupił jej książki o zamkach nad Loarą i próbował uprzedzić wszelkie pytania i wątpliwości dotyczące wynajmu kwater i wakacji w drodze. Nie zgodziła się na, jak to wyraziła, zwiedzanie z okien samochodu, przenoszenie się z miejsca na miejsce. Kiedy jednak usłyszała, że Krzysztof planuje część noclegów na kempingach i jeszcze na dodatek nazywa je ekskluzywnymi, uznała ten pomysł za absurdalny i ucięła wszelką dyskusję na ten temat. Krzysztof był wtedy wściekły i wypowiedział coś w stylu, że może znajdzie się ktoś, kto z nim pojedzie. Jednym słowem, kobieta, która będzie dzieliła z nim pasję podróży. Małgosia zastygła ze zdumienia i powiedziała, że przecież nikt go nie trzyma i może swobodnie jeździć, gdzie chce i z kim chce. Proszę bardzo. Był wtedy pewien, że nie będzie z nim uprawiać seksu przez co najmniej miesiąc, ale po tygodniu odpuściła. Sypiali więc ze sobą nadal, regularnie, ona była tak samo żarliwa jak dawniej, ale nie dominowała już tak jak kiedyś. Często była nieobecna i miał wrażenie, że się zmusza. Zmieniło się za to zasadniczo jej nastawienie do kuchni. Nadal gotowała, to by było do niej niepodobne, gdyby przestała się starać, tyle że na półce z książkami kucharskimi królowała teraz kuchnia francuska, a Krzysztof zamiast duszonych mięs z warzywami dostawał zupy prowansalskie, kisze i tarty, bardzo wymyślne, o najprzeróżniejszych smakach. Chwalił oczywiście nowe przepisy, ale zastanawiał się, czy ona naprawdę sądzi, że kuchnia francuska zastąpi mu wycieczkę do tego kraju i wypróbowanie prawdziwych dań w lokalnych knajpach.

Kiedy stała przed nim i patrząc w oczy, mówiła, że wykupiła wycieczkę, natychmiast pomyślał, że miała w tym jakiś cel.

– Przecież nigdy nie chciałaś jechać na last minute... – zaczął.

– Bo ty ciągnąłeś mnie w upał na południe – odpowiedziała natychmiast. – Nie znoszę upału. Wolę polskie morze, nawet kiedy pada. Teraz nie będzie gorąco.

– Nie chciałaś jechać na żadną wycieczkę – przypomniał jej.

– To nie jest zwykła wycieczka – odpowiedziała z niezmaconym spokojem. – To jest specjalna wycieczka z okazji dwudziestej trzeciej rocznicy ślubu.

– Ślub braliśmy w marcu – przypomniał jej.

– Bo w styczniu i lutym nie ma „r” – powiedziała to takim tonem, jakby tłumaczyła jednemu ze swoich wychowanków, jak się pisze „róża”.

– Mimo wszystko... – powiedział z wysiłkiem – powinnaś była mnie zapytać.

– O co? – Wydawała się autentycznie zdumiona.

– Czy chcę jechać...

– Przecież zawsze chciałaś i tyle razy mnie prosiłaś...

A więc zauważyła, że na czymś mu zależało. Wydawała się zupełnie obojętnie podchodzić do jego pasji, chyba że były to pasje zawodowe.

– A ty odmawiałaś – przypomniał.

– A teraz się zgadzam – powiedziała.

Zastanawiał się, czy z nią dyskutować i tłumaczyć jej rzeczy oczywiste, których ona nie rozumie. Rozwagał odmowę. Powie, że nie jedzie i nie będzie chciał dyskutować na ten temat. Niech pojedzie z Zuzanną albo młodszym synem.

– Nie wiem, co powiedzieć... – mruknął, patrząc w bok.

– A co tu mówić? – Uśmiechnęła się. – Może byś podziękował za taki fajny prezent... – Wtedy się wściekł. Miał ochotę powiedzieć, że ona niczego nie rozumie, zawsze robi tylko to, co ona chce. I że on, Krzysztof, nie jedzie. Definitywnie. Koniec i kropka.

– Nie chcę jechać – powiedział cicho, spodziewając się trzęsienia ziemi i awantury.

– Dlaczego, kochanie? – zapytała, rozszerzając oczy ze zdumienia.

„Kochanie”. Powiedziała do niego „kochanie”. Ale tonem, który nie miał w sobie nic z wyrachowania. Zawierał tylko i wyłącznie zdumienie, nawet nie żal czy pretensje.

– Zrozum – zaczął. – Najpierw przez lata odmawiasz mi takiego wyjazdu, kiedy cię o to proszę. Upierasz się przy swoim za każdym razem, kiedy mowa o lecie. Nie można cię wyciągnąć ani na weekend do Paryża, ani na wycieczkę do Egiptu... A tu nagle co? W czym jest haczyk?

– Jaki haczyk? – teraz w jej głosie zabrzmiał żal. – Czy ty sugerujesz, że ja od ciebie czegoś chcę? – Właśnie to sugerował, ale nie śmiał powtórzyć.

– Znów decydujesz sama o czymś, co ma być naszym wspólnym udziałem.

– Przecież tego chciałeś – podniosła głos.

– Tak, ale nie w taki sposób! – krzyknął.

– A w jaki? – Znów się zdziwiła. – Moment jest idealny. Oboje nie mamy zobowiązań zawodowych. Chłopcy nie wymagają prowadzenia za rączkę.

Stała tak i podawała argumenty, których on wielokrotnie używał bez skutku. Uniosła wysoko obie ręce i odliczała na palcach jak w szkole. Zapatrzył się w te palce. To była jedyna rzecz, jaka mu się w niej nie podobała. Ręce. Miała brzydkie, żyłaste ręce, krótkie, masywne palce o szpatułkowatych paznokciach. Szpatułkowatych, czyli krótkich, kwadratowych. Przestał słuchać, co do niego mówiła. Di miała przepiękne ręce, jedne z najpiękniejszych, jakie widział. Długie, smukłe palce, wąski, delikatny nadgarstek, półokrągłe paznokcie, zwykle starannie wypielegnowane. Mogłaby robić sobie zdjęcia tych rąk ubranych w pierścionki albo bransoletki. Pamiętał, że stał i patrzył na piękną żonę o brzydkich rękach i myślał o pięknej kochance o smukłych dłoniach. Wreszcie zorientował się, że oboje z Małgosią stoją w przedpokoju i rozmawiają, a ona nie zdjęła nawet płaszcz.

– Może zdejmiesz płaszcz, rozbierzesz się w ogóle i porozmawiamy spokojnie... – powiedział.

– A może zdejmiesz ze mnie wszystko i wtedy porozmawiamy spokojnie... – powiedziała uwodzicielsko.

Przestraszył się nie na żarty. Co w nią mogło wstąpić? Czyżby jednak dowiedziała się, że nie spędza popołudni na pisaniu pracy habilitacyjnej, tylko na spacerach z Di? Rzeczywiście, ktoś ich mógł zobaczyć. Wprawdzie w parku nie trzymali się za ręce i całowali tylko wtedy, kiedy nikt nie patrzył, ale przecież wystarczyło, żeby jakaś koleżanka Małgosi zobaczyła go nie z nią. Mogła jej tylko wspomnieć. Ale czy i w takim wypadku Małgosia wykupiłaby wycieczkę czy raczej zażądała dokładnych wyjaśnień, kto z kim, jak, dlaczego... Jak zwykle.

– Nie będziemy się kochać – powiedział ostro, odsuwając ją od siebie. Jeśli była urażona, to nie okazała tego.

– Ja nie chcę się z tobą kochać – powiedziała. – To ty zawsze chcesz...

– Świetnie – zaczął znów, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. – Kupiłaś wycieczkę, uznałaś, że mi zrobisz niespodziankę... Dlaczego?

– Bo zawsze mnie o to prosiłeś, a teraz postanowiłam się zgodzić...

Nic nie rozumiała albo udawała, że nie rozumie. Co mógł wtedy zrobić? Dwie rzeczy: postawić sprawę na ostrzu noża i nie pojechać albo rozpląnąć się w zachwytach. Walczył z chęcią zostawienia jej takiej głupio szczęśliwej przy tym stole.

– Dlaczego Toskania? – zapytał w końcu.

– Podobno tam jest ślicznie. – Zerwała się z miejsca i rzuciła mu na szyję. – Tak się cieszę! Będzie świetnie, po prostu świetnie!

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Czy było świetnie? Na pewno wycieczka była na swój sposób udana. Biuro podróży nie zbankrutowało, mieli świetny hotel, a w samolocie nie było nawet turbulencji. Małgosia zachowywała się tak, jakby zdawała egzamin i miała ambicję dostać ocenę celującą.

– Czy wiesz, że Toskania to także kraina historyczna, zwana początkowo Etrurią i zamieszkana przez Etrusków? – pytała, czytając mu obszernie fragmenty przewodnika. – Dopiero w 281 r. p.n.e. została podbita przez Rzymian... – Kiwał głową, wędrując po uliczkach małych miasteczek. Było zimno, pochmurno, bo Toskanii nie zwiedza się raczej na początku lutego, ale i tak widoki były lepsze niż warszawskie o tej porze roku. Małgorzata zamieniła się w chodzącą encyklopedię. W kółko coś mu czytała i pokazywała.

– W latach cztery setnych naszej ery... – czytała. – Jak to się czyta: czterysta... cztery setne...? Mniejsza z tym... Więc w tych latach była podbijana przez najeżdżające kolejno na Italię plemiona germańskie. Potem Bizancjum... Dalej... to nieważne... To ciebie już nie zainteresuje.

– Dlaczego sądzisz, że mnie coś tam nie zainteresuje? – pytał, nie starając się nawet ukryć ironii.

– Bo sam nic nie czytasz na ten temat – odpowiedziała, naciągając czapkę na uszy. – Sama więc staram się przekazać ci to, co jest tu ważne. Dalej... pod panowaniem Bizancjum, potem miasta komuny... Ciekawe, myślałam, że to nasza wschodnia domena...

Nie zareagował. Nie chciało mu się niczego tłumaczyć. Jak miał jej wyjaśnić, że to miejsce miało największy urok między majem a październikiem, a w lutym było jedynie pięknym, ale sennym zlepkiem szarych krajobrazów i pozamykanych budynków. Codziennie zaczynała i kończyła dzień na paplaniu, czytaniu i komentowaniu. Uparła się, żeby zwiedzali sami. Sądził, że mógłby to znieść, gdyby byli w grupie i słuchali przewodnika. Potem razem z innymi poszli na obiad. Mogliby poznać jakieś miłe małżeństwo i wymienić uwagi co do urody Toskanii, organizacji wycieczki. Mógł się dowiedzieć, dlaczego inni ludzie zdecydowali się na wyjazd w takim momencie, dlaczego nie są teraz w Egipcie albo na Wyspach Kanaryjskich. Może pomogłoby mu to zrozumieć, dlaczego zwiedza to miejsce bez żadnej radości, nie czując satysfakcji, że wreszcie gdzieś pojechali, że zwiedzają świat...

– Czy ty wiesz, że Toskania od XV wieku podporządkowana była Florencji i władającym w niej

Medyceuszom? Potem władza przeszła w ręce dynastii habsbursko-lotaryńskiej, co związało kraj z Austrią. A potem Napoleon tu był... – czytała. – Ten to był wszędzie. Tylko co wynikło z tych jego podbojów...

– Bo we wszystkim należy zachować umiar – wtrącił, ale nie rozwijał tematu.

– Tak, tak – powiedziała nieuważnie. – To włoska kraina dopiero od 1860 roku.

Zamknęła przewodnik i popatrzyła na niego z ukosa.

– Powinnam cię przepytać z tego, co czytałam – powiedziała, a on przestraszył się, że rzeczywiście zechce to zrobić.

– Lepiej od razu wpisz mi dwóję i uwagę do dzienniczka... – powiedział.

– Teraz dostałbyś jedynkę...

Zatrzymała się na środku ulicy w San Gimignano i pocałowała go mocno. Zaskoczony nie odepchnął jej języka, ale go też nie przyjął. Objął ją na chwilę, przycisnął, ale jednocześnie ustami wypychał ten język, który pęczniał mu w jego własnych ustach i zaczynał dusić. Udało mu się tak wymanewrować, że Małgorzata nie poczuła jego niechęci.

– Mam wrażenie, że nie do końca mnie słuchasz... – powiedziała z lekkim wyrzutem.

– Nie gniewaj się, ale przecież płacąc za wycieczkę, opłaciliśmy jednocześnie przewodnika. Moglibyśmy posłuchać, co ma do powiedzenia...

– Przecież nie chciałeś włączyć się z grupą...

– Małgosiu, to ty nie chciałaś... – Był już zmęczony tym chodzeniem. – Ja chętnie poznałbym ludzi, którzy z nami przyjechali...

– Daj spokój, tak w tłumie się wałęsać... – zaprotestowała.

– Na tym polegają takie wycieczki – mruknął.

– Wiesz co? – Wzięła go za rękę. – Chodźmy do hotelu. Będziemy się kochać...

Wrócił z nią wtedy autobusem do hotelu, mając nadzieję, że ona pozwoli mu się położyć i ogrzać pod pościelą. Może nawet zgodzi się pójść ze wszystkimi na obiad, a potem posłuchać, co pilotka ma do powiedzenia. Miał nadzieję.

Zima 2011/2012

Myślała, że w Toskanii będzie ciepło. Naprawdę była o tym przekonana. Kupiła tę wycieczkę, ponieważ tak bardzo chciała dać Krzysztofowi do zrozumienia, że jej na nim zależy, że zrobi wszystko, żeby on był szczęśliwy. On tymczasem nie wyglądał na uszczęśliwionego i, co gorsza, nawet nie starał się udawać. On, który, odkąd pamiętała, nudził, żeby wyjeżdżać na zagraniczne wycieczki, kiedy to tłumy idiotów, niczym wielkie bobasy, stoją przed zabytkami i udają, że je podziwiają. Tudzież smażą się na plażach w ciepłych krajach, upijając od rana i udając, że smakuje im lokalna kuchnia. Przez tyle lat starała się go uchronić przed takim rozczarowaniem, aż wreszcie uległa. Kupiła tę wycieczkę, bo myślała, że to jest wciąż dla niego ważne. „On właśnie tak wyobraża sobie relaks” – analizowała. „Zrobię wszystko, żeby się zrelaksował, teraz, kiedy ma tyle stresów”. Zobaczyła tę Toskanię w agencji turystycznej wiszącą na przedniej szybie. Cena była więcej niż przystępna. Nic dziwnego, przecież o tej porze roku ludzie jeździli raczej na narty albo gdzieś dalej na południe. To był impuls. Weszła i po prostu opłaciła, co trzeba, ignorując podszepty podświadomości, że w lutym we Włoszech może być zimno i deszczowo. I było. Także ponuro. „Ale to nic” – myślała. „Najważniejsze, że przyjechaliśmy tu razem. Właśnie, razem, razem, chcę tu być z Krzysztofem, tylko z nim, nic mnie nie obchodzi Adam Zalewski i jego uważne spojrzenia”. Nie byli już wcale razem. Małgorzata mogła Krzysztofa zmusić do wszystkiego i wiedziała o tym doskonale. Mogła sprawić, że ulegnie, ustąpi, zrobi to, co ona chce. Ale nie umiała już sprawić, że będzie przekonany, że i on właśnie dokładnie chciał tego samego co ona. Nie byli już jedną duszą, nie byli także jednym ciałem. Myślała, że bliskość wróci, kiedy wreszcie zostaną na trochę tylko we dwoje, z dala od pracy i domu. Dlatego oświadczyła przewodnikowi, że nie mają zamiaru chodzić ze wszystkimi. Będą przytuleni spacerować tymi małymi, uroczymi uliczkami, jadać we dwoje w knajpkach i cieszyć się sobą. Ale Krzysztof się nie cieszył. Już na lotnisku wyglądał, jakby chciał zawrócić. W autobusie wyjął książkę i nawet nie spojrzał przez okno, chociaż specjalnie ustąpiła mu miejsce po zewnętrznej stronie. Wreszcie okazał niemiłe zdziwienie, kiedy powiedziała, że odłączają się od grupy.

– Dlaczego? – zapytał z żalem w głosie.

– Myślałam, że nie lubisz chodzić ze wszystkimi jak ten baran – powiedziała.

– Ależ wręcz przeciwnie, nie mam nic przeciwko ludziom – powiedział z sarkazmem. – Ludzie mnie nie męczą.

– Ale ci są żywi – błysnęła dowcipem, ale umilkła, widząc jego obojętne spojrzenie. – Myślałam, że tak wolisz...

– Wolalbym posłuchać tego, co ma do powiedzenia przewodnik. Nie zdążyłem się przygotować do tego wyjazdu...

– Ale ja się przygotowałam – odpowiedziała z pewnością w głosie. – Przeczytałam dwie książki o Toskanii i kupiłam bardzo dobry przewodnik.

Wzruszył ramionami, ale nie protestował. Chodził z nią kilka dni według jej marszruty i słuchał

uważnie tego, co czytała z przewodnika. Zobaczyli wszystko, co powinni byli zobaczyć i zwiedzić. Nie mogła zatem pojąć, dlaczego chodził naburmuszony. Zmusiła się przez wyjazd do przeczytania dwóch książek o tym regionie. Obie były podobne. Jedna to był bestseller. Najpierw miała zamiar obejrzeć wyłącznie film nakręcony na podstawie książki, ale po namyśle zdecydowała się zapoznać z oryginałem. Książka ją śmieszyła. Źle napisana, naiwna i nudna do granic możliwości. Nic się w niej nie działo. Bohaterka ciągle dawała do zrozumienia, że najlepiej rzucić w życiu wszystko i pojechać do tej Toskanii, gdzie szczęście leży na ulicy. Długie opisy tego, co można zobaczyć w małych miasteczkach, także Małgorzatę nudziły. W przewodniku przynajmniej było wszystko wyszczególnione i opatrzone zdjęciem. Druga książka była podobna, z tym że bohater miał restaurację, więc opisywał różne dania. Na początku naturalnie ciężko mu szło, ale nie wiedzieć czemu ci durni Włosi i tak przychodzili, pouczając go, jakich przypraw ma używać i jak się zachowywać, żeby wtopić się w lokalną społeczność. Skończenie tych, pożałuj Boże, dzieł literackich wydawało jej się heroizmem. Tyle że jej walka i poświęcenie nie zostały docenione.

– Radziłbym ci raczej przeczytać coś z reportażu – powiedział Krzysztof, widząc obie pozycje na jej stoliku nocnym.

– Czyli? – Najeżyła się.

– Herbert tak pięknie napisał o Włoszech... Wojciech Karpiński... To są lektury dla świadomego czytelnika, który wybiera się w tamte strony...

– Czemu ty ich nie przeczytasz i nie opowiesz mi, o czym piszą ci poważni pisarze?

– Czytałem te książki – burknął i bez zbędnych wyjaśnień przewrócił się na drugi bok, a następnie zasnął prawie natychmiast.

Słumiła gniew. Najbardziej na świecie chciała pójść z nim do łóżka. Wyobrażała sobie, że w małym przytulnym hotelu pod koniec udanego, niemniej jednak męczącego dnia on, siedząc na łóżku, zacznie masować jej stopy, a potem palcami będzie na nowo odkrywał może nie zapomniane, ale nieco zblakłe w pamięci rejony jej ciała. Nie chodziło jej tylko o czułość. Mąż zapewniał jej solidne pieprzenie, którego potrzebowała. Wszystkie gry wstępne, jakie uprawiali, służyły według niej opóźnieniu tego momentu, kiedy on w nią wejdzie i niezależnie od tego, czy sam będzie nadawał rytm, czy robi to ona, zapewni jej satysfakcję, raz albo kilka razy. Zaciągnęła go do hotelu w środku nudnego i wietrznego dnia. Widziała, że zawahał się chwilę, ale w końcu z westchnieniem ulgi zawrócił z wycieczki. Zapytała, czy chce zjeść obiad. Odpowiedział, że woli wrócić do pokoju i odpocząć. Dopiero później mogliby dołączyć do grupy i wspólnie coś zjeść. Kiwnęła głową i szybkim krokiem, ciasno objęci wrócili do hotelu. Nie mogła się doczekać, kiedy wejdą do pokoju. Już w progu przycisnęła się do niego i wpiła w jego wargi. Nie zaprotestował, nie odsunął jej. Zdjęła ciepłą kurtkę i zrzuciła buty, ciasno go przytrzymując. Biło mu serce pod cienkim swetrem.

– Chodź pod prysznic – powiedział. – Zimno...

– Nie aż tak. – Postanowiła go nie wypuszczać z objęć. – Zaraz się rozgrzejemy...

Także nie protestował. Popatrzył na nią uważnie i wziął jej twarz w swoje ręce. Były bardzo zimne. Wargi też miał zimne, szyję, nawet pod bluzą był zimny. Całowała go delikatnie, wodząc językiem po wewnętrznej stronie warg, tak jak lubił najbardziej. Krzysztof w ogóle wolał delikatność, nie lubił ściskania, miażdżenia swoich ust wargami. Sam też miał dotyk stanowczy, ale mimo wszystko lekki,

czuły. Oddawał jej pocałunki nie tylko samymi wargami, swoim językiem zaczynał walczyć z jej własnym. Rozpięła jedną ręką guzik dzinsów, drugą ciągle go trzymała, jakby się bała, że jej ucieknie. Ściągnęła mu spodnie, a potem zsunęła bokserki. Już od dawna był podniecony. Pociągnął ją delikatnie na łóżko, ale się oparła. Wiedziała, że nie znosił mieć opuszczonych spodni i majtek. Mówił, że czuje się wtedy idiotycznie. Dlatego rozbierała go całego, zanim zaczynała pieścić i całować jego penisa. Teraz zmieniła strategię. Uklękła i wzięła go do ust.

– Rozbiorę się – wyszeptał. – Położę...

– Nie. – Na chwilę wysunęła usta. – Obciągnę ci...

Rzadko używała wulgarne języka. On kiedyś próbował, ale natychmiast wycofał się, kiedy zauważył, że Małgorzata nie czuje się z tym dobrze. Teraz wydawało się to odpowiednie. Po dłuższym okresie abstynencji taki właśnie początek pieprzenia wydawał się odpowiedni. Trzymała się ściany i brzegu łóżka, kiedy pracowała ustami. Potem dotknęła jego pośladków i masowała, ściskając od czasu do czasu. Spoglądała także w górę na jego twarz. Widziała, że był bliski dojścia. Ścisnęła go u podstawy jąder, delikatnie, ale z wycuciem. Jęknął cicho. Wypluła spermę prosto na dywan. To też była nowość, ponieważ do tej pory odmawiała przyjmowania nasienia do ust. Krztusiła się i miała odruchy wymiotne. Teraz prawie połknęła solidną porcję o cierpkim smaku i zakręciło się jej w głowie. Ponownie spojrzała w górę.

– Chyba jestem lepsza niż dziwki, które pieprzyłeś przede mną – powiedziała.

Nawet nie próbował ukryć zdumienia. Żadne gry dotychczas nie były im potrzebne. Nie wchodziła w żadną rolę, nie potrzebowała sztucznie podniecać ani siebie, ani jego. Nic nie odpowiedział, patrzył tylko uważnie.

– No – kontynuowała – co tak stoisz?

– Naprawdę chcesz się o tym przekonać? – podniósł ją z kolan.

– Jesteś mężczyzną czy nie? – powiedziała, patrząc na opuszczone spodnie i unoszące się ponownie przyrodzenie. – Postaraj się zrobić mi wreszcie dobrze.

– Żebyś nie protestowała. – Wciąż zachowywał się, jakby się czegoś obawiał.

Uśmiechnęła się i ponownie chciała klęknąć, ale chwycił ją mocno i przesunął w stronę stołu, który stał w kącie pokoju. Zanim się zorientowała, położył na brzegu poduszkę, a potem pchnął ją, trzymając ręką za kark. Zmusił, żeby położyła się na brzuchu. Podwinął do góry spódnicę i zsunął rajstopy, a potem majtki.

– Powiedz, że już będziesz grzeczna... – wyszeptał jej w ucho.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, uderzył ją mocno otwartą dłonią kilka razy w wypięte, gołe pośladki. Próbowała wstać, ale nie puszczał.

– No – powiedział – może chcesz jeszcze?

– Nie... – powiedziała, czując upokorzenie. Już nie była podniecona, nawet w najmniejszym stopniu.

Uderzył ją jeszcze kilka razy, nie mocno, ale tak, żeby poczuła, a potem wszedł. Nie pamiętała, żeby robił to tak mocno, brutalnie wręcz. Miała ochotę się rozpłakać.

– To boli – powiedziała raczej prosząco, ale on nie przestawał.

– Ma boleć – odpowiedział. – Chciałaś porządnego rżnięcia.

– Puść chociaż moją szyję – poprosiła. – Proszę.

Rozluźnił nieco uścisk, ale ciągle wchodził i wychodził, jakby chciał pobić rekord świata w czasie uprawiania stosunku. Wreszcie skończył. Położył się na niej i wyszeptał do ucha:

– Zadowolona?

– Tak – powiedziała. – Jesteś cudowny. Uwielbiam cię.

Wstała ostrożnie i odwróciła się do niego. Miała ochotę uderzyć go albo przynajmniej odepchnąć, ale patrzyła szeroko rozwartymi oczami, za wszelką cenę starając się wyglądać na uszczęśliwioną. Nie byłby z nią tak jak dziś, gdyby jej nie pragnął, powtarzała sobie w myślach. Jeśli tak miało być i dało mu to satysfakcję, ona mogła się zgodzić nawet z tym, że to taka gra między nimi, wyznanie, niemające z upokorzeniem nic wspólnego. Położyła mu ręce na ramionach. Ciągle stał ze spodniami wiszącymi gdzieś w okolicach kolan. Wcale nie wyglądał śmiesznie. Miała nadzieję, że z potarganymi włosami i rajstopami oraz majtkami na wysokości kostek wygląda równie kobieco, jak on męsko. Pocałowała go i ugryzła w górną wargę. Ścisnął ją w odpowiedzi za goły pośladek. Nie uderzył jej na szczęście.

– Pójdziemy razem pod prysznic? – zapytała.

– Wolałbym sam – odpowiedział. – Ale idź pierwsza, a ja poczekam.

Poszła posłusznie do łazienki. Rozebrała się szybko, starając się nie patrzeć na siebie w lustrze. Dopiero kiedy była całkiem naga, odważyła się spojrzeć na swoje pośladki. Żenująco czerwone, na jednym widoczne jeszcze odcisnięte palce. Skrzywiła się i weszła pod prysznic. Woda nie była gorąca, letnia tylko, nie mogła się rozgrzać ani nie miała wrażenia, że zmywa z siebie ślady tego dziwnego stosunku, który w założeniu miał ich do siebie zbliżyć, a oddalił bezpowrotnie.

Wiosna 2012

Małgorzata zaciskała ręce na kierownicy. Kluczyła po wąskich uliczkach Saskiej Kępy, starając się nie utrudniać ruchu, ale przy tym znaleźć podany przez Zuzannę adres. Nie znosiła prowadzenia samochodu. Za kierownicą czuła się niepewnie, nieswojo i nic tego nie zmieniło: ani lekcje z profesjonalnym instruktorem, ani jazdy z Krzysztofem, który starał się okazać cierpliwość, ale zupełnie nie rozumiał, jakie można mieć problemy z jeżdżeniem po Warszawie. Zredukowała bieg do dwójki i wolniutko przejechała koło szyldu z nazwą ulicy. Znowu źle skręciła. Miała się już poddać i wrócić na rondo Waszyngtona, skąd już łatwo dostałaby się do domu, kiedy na jednej z bocznych uliczek dostrzegła nazwę ulicy, na której mieszkała Renata Obręcz – astrolog. A więc przeznaczenie jednak chce, żeby trafiła do tej kobiety. Zuzanna powiedziała, że jej samej astrolożka bardzo pomogła, kiedy z Markiem przeżywali milczący kryzys. Małgorzata wypytała Zuzannę o szczegóły i dowiedziała się, że Renata Obręcz po prostu powiedziała jej – Zuzannie, że nie rozstanie się z Markiem, że w gwiazdach zapisane jest, że będą żyli długo i szczęśliwie. Dodała jeszcze, że Marek Zuzannę kocha, nie zdradził i nigdy nie zdradzi.

– To było lepsze – powiedziała jej Zuzanna na jednej z imprez u nich w domu – niż terapia małżeńska.

– Dlaczego lepsze? – Nie mogła nadziwić się Małgorzata.

– Dlatego, moja kochana – wyjaśniła jej szeptem – że terapeuta wymaga od ciebie tak zwanej pracy, każe ci bez końca wałkować każde wypowiedziane słowo, analizować, co czujesz, co może czuć partner...

– I to jest mniej skuteczne? – Małgorzata miała wątpliwości.

– Zdecydowanie mniej – Zuzanna była tego całkowicie pewna.

– Wiesz, co terapeutka powiedziała, kiedy Marek powiedział, że w domu myślę o pracy, co odbija się na przykład na mojej kuchni?

– Gdyby Krzysztof tak powiedział... – Małgorzata z lubością wyobraziła sobie, jak zatrząskuje mężowi drzwi kuchni przed nosem i zmusza go do kupowania obiadu w pracowniczej stołówce.

– Marek tak powiedział i miał rację – kontynuowała Zuzanna ciągle szeptem, ponieważ goście napływali do ogrodu i co chwila przychodzili, żeby przywitać się z gospodynią. – Ale ta dziewczyna skoczyła na niego, że ja też mam prawo do przedkładania pracy nad dom, dzieci dorosłe... Prawie, że go zwymyślała...

– A Marek co? – Zainteresowała się Małgorzata.

– Marek nic oczywiście, ale on nie jest z tych, co łatwo ulegają. Wiedziałam, że już jest po sprawie i więcej ze mną nie pójdzie.

– A ta astrolożka?

– A ona nic nie mówiła o gotowaniu. – Zuzanna uśmiechnęła się do wysokiej kobiety, która męczyła się w butach na obcasach, chodząc po trawniku Marka i Zuzanny. – Wyjaśniła mi to na przykładzie Szekspira.

Małgorzata spojrzała pytająco.

– Właśnie tak. – Zuzanna upiła potężny łyk z pięknego kieliszka.

– Powiedziała, że staram się być typem Kordelii, a powinnam być Jessicą z „Kupca weneckiego”.

– Czyli? – dociekała Małgorzata.

– Czyli swoje zdanie ma, mężowi ratuje życie, kiedy Shylock, wiesz...

Małgorzata nie wiedziała, ale skinęła głową, usiłując przypomnieć sobie film z Alem Pacino i Jeremym Ironsem.

– Podsumowując, stwierdziła, że mam swoje robić, ale chłop będzie zadowolony, kiedy w domu będzie lśniło i dostanie codziennie obiad.

– Tylko tyle? – Małgorzata pomyślała, że Zuzanna to szczęśliwa kobieta.

– Właśnie – potwierdziła. – Tylko i aż tyle.

– I co zrobiłaś? – badała dalej Małgorzata.

– Zająłam się kuchnią, ale do sprzątanía zatrudniłam Lubę. – Zuzanna dołała sobie i Małgorzacie wina z butelki. – Bo ze sprzątaním zawsze miałam problemy.

– I to rozwiązało wasze kłopoty? – Mimo wszystko Małgorzata nie chciała wierzyć w cudowną moc astrolożek.

– Tak. – Zuzanna była zupełnie przekonana. – Strasznie mu na tym żarciu zależało. I dostał swoje. Taki jest wdzięczny, że bez przerwy pyta mnie, czy skończyłam swoją książkę. Ostatnio zaproponował weekend w spa, bylebym się zrelaksowała...

– Nie wiem, czy w naszym przypadku to pomoże... – powątpiewała. – Ja, wiesz, gotuję codziennie, mieszkanie lśni, wszystko ma, co chce, a jakoś się przestało układać... I ta wycieczka... porażka...

– Przecież tak się cieszyłaś, że jedzicie?

– Ja tak, on tak sobie...

– Przecież mówiłaś, że to jego marzenie...

– Bo to było jego marzenie... I postanowiłam je zrealizować w prezencie dla niego.

– Przecież pojechał z tobą, gdyby nie chciał, toby powiedział...

– No właśnie, nie mogę tego zrozumieć. Najpierw latami marudzi, że jeździmy w jedno miejsce, ja tłumaczę, że tam najlepiej odpoczywamy... W końcu ulegam, a on jest tam nieszczęśliwy. Wyszło na moje, tyle że... Tyle że...

– No, ale co się tak naprawdę dzieje? – zapytała Zuzanna.

– Ujęłabym to tak... nie mam nad nim kontroli... – Małgorzata po raz pierwszy uświadomiła sobie, na czym polega zmiana w zachowaniu Krzysztofa. Właśnie na tym, że straciła nad nim kontrolę, mimo że robiła wszystko, żeby utrzymać go przy sobie. Niepostrzeżenie wypić drugi kieliszek wina. Gdyby nie dyskretny szum w głowie, nawet by nie zauważyła.

– A dlaczego musisz go kontrolować? Nie gniewaj się, ale ty masz jakiś problem z kontrolą i wpływaniem na ludzi...

– Zaraz mi powiesz, że jestem Kasią z „Poskromienia złośnicy”.

Małgorzata zaczynała żałować, że powiedziała Zuzannie cokolwiek na temat swojego życia osobistego.

– Absolutnie nie – zaprzeczyła energicznie. – Nie jesteś Kasią, ani sprzed zmiany, ani po poskromieniu. Ty jesteś raczej jak lady Makbet...

– Nikogo nie zamordowałam! – Małgorzata miała ochotę wylać koleżance wino na głowę.

– Nie mam tego na myśli. Uważam, że to była bardzo silna kobieta, która miała słabego męża... Wiedziała, że on sam nie nadaje się do królowania, dlatego wzięła sprawy w swoje ręce... Stąd, wiesz... ta kwestia, żeby „losowi dopomóc”. – Małgorzata przestała słuchać. Nigdy nie rozumiała, jak można podniecać się dramataми Szekspira, chodzić do teatru na wszystkie inscenizacje i czytać je do poduszki.

– Słuchaj – Zuzanna położyła rękę na jej ramieniu – idź do tej kobiety. Nie będziesz żałowała.

Małgorzata wzięła sobie do serca te słowa i teraz wspinała się po schodach, powtarzając w myślach, że nie będzie żałowała. Najwyżej stamtąd wyjdzie, przecież to nic takiego. Kobieta na pewno nie gryzie i nie zna Krzysztofa. Nie może mu powtórzyć, że Małgorzata straciła grunt pod nogami i rozpaczliwie stara się zapanować nad sytuacją, przywrócić w domu dawne stosunki.

– Raz kozie śmierć – mruknęła i stanęła przed drzwiami.

Nie zdążyła zapukać, kiedy astrolog Renata otworzyła jej drzwi. Najwyraźniej umiała obliczyć, ile czasu zajmie człowiekowi wejście na trzecie piętro. Małgorzata weszła za kobietą do małego, ciemnego przedpokoju i dalej w głąb mieszkania.

– Oczekiwała pani mroku i pluszowych obić czy też wręcz przeciwnie, wnętrza stanowiącego zaprzeczenie stereotypu wróżki? – zapytała astrolożka.

Małgorzata nie odpowiedziała. Zamiast tego rozejrzała się po małym mieszkanku. Było raczej zagracone. Wąski korytarzyk prowadził do niewielkiego pokoju, gdzie na środku stał dębowy stół, a wokół niego kilka krzeseł stylizowanych na stare, ale na wprawne oko Małgorzaty – z IKEA. Podobnie wyglądała mała, dwudrzwiowa szafa. Wszędzie były półki, pokryte od góry do dołu książkami o kolorowych okładkach. Małgorzata zerknęła na tytuły. Tylko część z nich dotyczyła wróżb i numerologii, w większości królowała literatura kobieca, głównie Jane Austin, ale także Doris Lessing.

– Chyba pani powinna wiedzieć lepiej, czego ja oczekiwałam – odpowiedziała. Zabrzmiało to niezbyt grzecznie, ale Renata się roześmiała.

– Nie jestem wróżką, tylko astrologiem. Posługuję się komputerem. Oczywiście także kartami. Ale pewnie to pani wie, ponieważ ktoś mnie polecił, prawda?

– Tak, koleżanka, której pani pomogła.

– Pomagam wielu osobom, mężczyznom i kobietom. – Renata patrzyła cały czas w oczy Małgorzacie. – Wie pani, kim jestem z zawodu?

– Skąd mam wiedzieć... – Małgorzata już żałowała, że przyszła. Miała ochotę przeprosić, pożegnać się i wyjść. Ta kobieta stanowczo jej się nie podobała.

– Psychologiem – powiedziała Renata, nie spuszczać z niej wzroku. – Pomagam sobie tym, oczywiście. – Uśmiechnęła się. Wtedy jej okrągła twarz zrobiła się całkiem ładna. Małgorzata na chwilę powściągnęła ogarniającą ją niechęć i pomyślała, że astrolożka mogłaby ubrać się nieco nowocześniej, rzucić spowijające ją kolorowe tiule i jedwabie, włożyć jakiś jasny kostium. Od razu zrobiłaby lepsze wrażenie.

– Nie trzeba być psychologiem, żeby odczytać z pani zachowania żal, że do mnie przyszła. Ma pani

ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść...

– Rzeczywiście, przemknęła mi taka myśl...

– Jak powiedziałam, nie potrzebowałam rozwijać swojej intuicji, żeby to stwierdzić... Ale może jednak pani usiądzie. Czy mogę zaproponować pani coś do picia? Woda, kawa, herbata?

– Zielona herbata, jeśli pani ma... – powiedziała Małgorzata, siadając na jednym z bocznych krzeseł.

– Oczywiście – powiedziała Renata. – Mam naturalnie. Pani powinna jednak pić herbatę czerwoną. Będzie dla pani lepsza. Zielona odwadnia. Zapewne dlatego często czuje pani pragnienie i ma niskie ciśnienie. Mrowienie w łydkach?

– Tak – powiedziała niechętnie Małgorzata. – W pracy piję czarną.

– Albo kawę. – Uśmiechnęła się kobieta.

– Nie – powiedziała z satysfakcją Małgorzata. – Kawy nie piję prawie w ogóle. Nie lubię.

– Słusznie. – Renata postawiła przed Małgorzatą filiżankę jasnego, pachnącego specyficznym napoju i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Mam coś powiedzieć o sobie? Nie wiem, jak zacząć – powiedziała Małgorzata, pijąc małymi łykami swój ulubiony napój. Czowała się idiotycznie.

– Nie spieszmy się. – Renata poprawiła szal zsuwający się jej z ramion. – Za dwie godziny mam odebrać wnuki z przedszkola, więc mamy czas. – Małgorzata skrzywiła się nieznacznie. Komentarz wróżki wydał jej się idiotyczny. Więc ta kobieta miała dzieci, wnuki? Dlaczego trudniła się wrózeniem z kart, zamiast w eleganckim gabinecie prowadzić poradnię psychologiczną?

– Byłam aktywnym psychologiem – powiedziała Renata, jakby czytała Małgorzacie w myślach. – Ale wtedy ujawnił się mój dar.

– Dar?

– Babcia była jasnowidząca – wyjaśniła. – Matka pewnie też, ale nie dane mi było ją poznać. Umarła przy moim urodzeniu. Ja odziedziczyłam ten dar. Początkowo wypierałam różne wrażenia, intuicję. Wiedzę o ludziach kładłam na karb wykształcenia...

– Ale teraz pani wróży?

– Można to tak ująć – odpowiedziała. – W ten sposób bardziej pomagam. Ale dość o mnie. Czy chciała pani ogólnej wróżby, czy odpowiedzi na jakieś konkretne pytanie?

– Właściwie to nie zastanawiałam się nad tym – odpowiedziała. – Koleżanka powiedziała, że udzieliła jej pani porady... wróżby małżeńskiej...

– Możliwe. – Astrolożka ciągle nie spuszczała z Małgorzaty wzroku.

– Przepraszam, ale dlaczego pani tak na mnie patrzy... – Nie wytrzymała. – Jakby mnie pani chciała przenicować spojrzeniem... Renata się roześmiała.

– Przepraszam – powiedziała. – Większość ludzi lubi, kiedy patrzę im prosto w oczy. Ale odkąd panią zobaczyłam, wiedziałam, że pani do nich nie należy. Czuję się pani atakowana.

– Może niezbyt zręcznie zareagowałam... – Westchnęła, zastanawiając się, kiedy kobieta zacznie jej wreszcie wróżyć. – Ale pierwszy raz jestem w takiej sytuacji... Czuję się trochę niekomfortowo...

Renata wyjęła talię zniszczonych kart spod obrusa i pogładziła je pieszczotliwie.

– Nie odpowiedziała mi pani na pytanie – powiedziała, tasując je.

– Czy chodzi pani o ogólną wróżbę, czy też o jakiś konkretny problem?

Małgorzata właśnie miała powiedzieć, że straciła kontrolę nad mężem. Opowiedzieć o tym, że Krzysztof się oddalił i ma chyba o coś do niej żal. A tak nie powinno być, ponieważ ona właśnie poświęciła dla niego wszystko, absolutnie wszystko. Zamiast tego wymamrotała, że chodzi jej jednak o wróżbę ogólną. Poczuli się znów śmiesznie. Kobieta kazała jej przetasować, podzielić karty na kupki i zaczęła je po kolei odwracać.

– Nadchodzący czas będzie dla pani kluczowy w sferze uczuć – zaczęła. – To zresztą jest dla pani najważniejsze i po to właśnie pani przyszła, prawda? Małgorzata niechętnie kiwnęła głową.

– Pierwsza karta symbolizuje przeszkody i przeciwne wpływy... – kontynuowała, nie czekając na odpowiedź. – Hmm... Giermek, w tej pozycji to osoba młoda, kierująca się wyobraźnią, często uciekająca do świata wyobraźni. Powinna się pani jej wystrzegać. To trochę dziwne...

– Co jest dziwne? – zapytała.

– To osoba z otoczenia męża, ale to pani powinna się jej wystrzegać...

– Co to znaczy?

– Nie wiem dokładnie. To raczej kobieta.

– Studentka? Koleżanka? – pytała natarczywie.

– Nie wiem. Mogę powtórzyć jeszcze raz. Jeśli dowie się pani o jej istnieniu, proszę się wystrzegać z nią kontaktu. Mogę kontynuować? – Kobieta najwyraźniej była czymś przejęta, czy nawet zalekciona.

– Proszę kontynuować – odpowiedziała Małgorzata, chociaż miała ochotę poprosić o imię, nazwisko i PESEL tej kobiety, która jest taka ważna dla jej męża.

– Dwójka Denarów – mamrotała dalej astrolożka. – Trudności z samorealizacją...

– Z moją czy męża? – spytała zdziwiona.

– Pani realizuje się przez sukcesy męża – powiedziała Renata, a Małgorzata nie była pewna, czy widzi to w kartach, czy odgadła jako psycholog. – Powinna pani myśleć o swojej realizacji...

– Nieprawda – zaprzeczyła.

Renata nie zwróciła na Małgorzatę uwagi, wpatrując się w rozłożone karty.

– Teraz wpływy i zdarzenia, które pojawią się obecnie, a które mają znaczenie dla ostatecznego wyniku... Ósemka... pochopne decyzje, zbyt szybkie działanie...

– W jakiej sferze? – przerwała jej Małgorzata. – Uczuciowej?

– W każdej... – wyjaśniła. – Nie analizuje pani i nie wyciąga wniosków, tylko działa pod wpływem impulsu. To hamuje pani rozwój i utrudnia codzienne życie. – W jaki sposób może mi to utrudniać życie... – zachnęła się. – Poza tym od kilku miesięcy nic nie robię, tylko analizuję i analizuję...

– Z kart wynika, że tylko się pani tak wydaje – odpowiedziała cicho kobieta. – Pani ma jasno wytyczony cel i nie zmienia pani zdania. Jest pani gotowa zrobić wszystko, żeby go osiągnąć.

– Ale to nie jest prawda, co pani mówi... – Małgorzata wstała zdenerwowana. – Jest pani pewna, że wyciąga właściwe karty?

– Proszę pani, to tylko karty. – Renata znów przeszła ją spojrzeniem. – Ale właśnie w taki sposób się

układają. Karty to tajemnica, ale one... nie kłamią – dokończyła trochę niezręcznie.

Małgorzata usiadła, chociaż miała nieodparte wrażenie, że kobieta dużo by dała, żeby zakończyć rozmowę z nią. Tak jakby traciła energię. „Śmieszne – pomyślała – wygląda, jakby się mnie bała...”.

– Niech pani kontynuuje – powiedziała. – Przepraszam...

– Nie chciałam pani urazić. – Pochyliła się nad kartami. – Na pewno pani chce, żebym mówiła dalej?

– Tak – powiedziała, chociaż narastający niepokój wskazywał na co innego.

– Teraz niedaleka przyszłość. Ósemka Denarów. To wysiłek, praca, zaangażowanie, pani i najbliższej osoby. Nauka... To ma związek z nauką...

„Wreszcie – pomyślała – wreszcie ta czarownica zaczyna mówić o Krzysztofie”.

– Wielkie możliwości, ale mogą zostać zaprzepaszczone niecierpliwością, pochopnym postępowaniem... Musi pani być cierpliwa...

– W jakim sensie?

– To znów o pochopnych decyzjach i złych założeniach... Trzeba wystrzegać się pychy, która może się manifestować jako chęć kontroli, wpływania na otoczenie...

– Jestem niewierząca – powiedziała.

Kobieta zignorowała jej uwagę, ale z uniesienia brwi wynikało, że jest zdziwiona taką właśnie reakcją.

– Wieża, mówi o pani obawach, nadziei i oczekiwaniach...

– Czy dostanę to, czego chcę? – zapytała niecierpliwie. – Co mam zrobić, żeby to dostać? Niech mi pani powie...

– A jest pani pewna, że wie, czego chce i do czego dąży?

– Jestem – powiedziała, starając się, żeby nie zabrzmiało to niegrzecznie.

– Ma pani miłość na wyciągnięcie ręki... Coś dobrego, ale opartego na kruchym fundamencie... Obawia się pani końca miłości i ją niszczy...

– To nie jest miłość – mruknęła do siebie, odpędzając obraz Adama Zalewskiego. – To trening...

– Efekt końcowy to Cesarz, czyli zwycięstwo, ale w tej konfiguracji może oznaczać postawienie na swoim, ale niekoniecznie w dobrym tego słowa znaczeniu. To zwycięstwo, którego należy się obawiać... pyrrusowe...

Jednym ruchem zebrała karty i schowała pod obrus. Następnie spojrzała w bok.

– Chyba nie wróży mi pani szczęścia – powiedziała Małgorzata.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zadowolona.

– Może mi pani nie płacić. – Renata wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Nie o to chodzi – powiedziała gniewnie. – Oczywiście, że pani zapłacę... Tylko moja koleżanka mówiła, że udzieliła jej pani rady, ona się do niej zastosowała i teraz żyją z mężem długo i szczęśliwie...

– Ależ ja pani udzieliłam rady – powiedziała cicho kobieta. – Proszę nie starać się wpływać na niczyj los, szczególnie bliskich.

– Co to znaczy? – Nie ustępowała.

– To rada dosłowna, tak wynika z kart – wyjaśniała Renata.

– Rzadko karty są tak jednoznaczne. Zwykle pokazują jedynie możliwości. U pani z każdej konfiguracji aż krzyczy...

– Żeby nie próbowała wpływać na męża? – Małgorzata próbowała się uspokoić.

– Nie tylko na męża... na wszystkich, którzy są wokół pani. Bo może sprowadzić to na panią nieszczęście... – ostatnie słowa wróżka powiedziała z mocą, bardzo dobitnie.

– A teraz muszę przeprosić panią, ponieważ muszę wyjść po wnuki...

– Nie ruszę się stąd, zanim nie powie mi pani, co to za nieszczęście – powiedziała dobitnie Małgorzata. – A wnuki odbiera pani dopiero za półtorej godziny, sama pani tak powiedziała...

– Tak, ale...

– Jak to nieszczęście? – atakowała. Głos miała zdławiony, ale starała się zachować względny spokój.

– Jak można komuś powiedzieć coś takiego? Powiedziała pani mojej koleżance, że ma lepiej gotować. Ona tak zrobiła i teraz między nią a mężem panuje miłość i harmonia. Zuzanna była bardzo zadowolona...

– Już sobie przypominam... – Astrolożka skrzyżowała ręce na piersi w geście obronnym. – Ale u pani koleżanki nie było tak skomplikowanego układu kart. Ona po prostu obawiała się, że ich uczucie przyschło trochę...

– A moje uczucie? Czego mi pani nie mówi? – atakowała.

W głowie kłębiło się jej tysiąc myśli. Czuła, że nie powinna tu przychodzić i korzystać z jakichś diabelskich podszeptów kobiety, która nie umiała utrzymać się w porządnym zawodzie. „Mamy XXI wiek, na litość boską – chciała krzyknąć – jak mam pani wierzyć, skoro nawet mnie pani nie zna! Nie zna, a mimo to powiedziała, że moje wybory są niewłaściwe! Bezczelna...”.

– Powiedziałam pani wszystko, co widziałam – broniła się Renata. – Mogę powtórzyć...

– Niech pani powie, co to za nieszczęście!

– Proszę się uspokoić – stanowczym głosem powiedziała kobieta. – Nie mówiłam o nieszczęściu. Nie w sensie dosłownym.

„Oddychaj spokojnie – nakazała sobie Małgorzata – wdech, wydech, wdech, wydech... Cholerna zielona herbata, cuchnie zdechłą rybą... Wszyscy mnie wykorzystują i krytykują... Nie myśl o tym, wdech, wydech, wdech, wydech...”.

– Już się uspokoiłam – powiedziała. – Jeszcze tylko poproszę wody.

– Naturalnie. – Kobieta z ulgą zerwała się z krzesła i poszła do małej kuchni, skąd wróciła z butelką wody mineralnej i szklanką.

– Proszę wypić.

Małgorzata naląła sobie pełną szklankę i wypija duszkiem. Będzie musiała skorzystać z toalety, zanim wyjdzie. Cholerna fizjologia... Cholerne ciało, które powoli i w sposób nieunikniony się starzało.

– Pytała pani o karty i swoją przyszłość... – zaczęła Renata. – A one wskazują, że stara się pani wpływać na los. Rada jest taka, żeby pani tego nie robiła. Przepraszam, ale nie umiem lepiej wyjaśnić...

Już od dawna astrolożka nie patrzyła jej w oczy.

– Ale mąż mnie nie zostawi? – zapytała.

– Relacje między panią a mężem są chyba bardziej skomplikowane? – zaryzykowała pytanie. – Ale z kart nie wynika, że on chce panią zostawić...

– To najważniejsze... – powiedziała. – Poświęciłam dla niego absolutnie wszystko. On o tym dobrze wie. – Nalała sobie kolejną szklanę wody i wypła duszkiem.

– Mimo wszystko bardzo pani dziękuję – powiedziała. – Za wodę i herbatę.

Astrolog Renata kiwnęła głową. Małgorzata wyjęła z portmonetki przygotowane pieniądze i podała kobiecie. Potem skorzystała z małej toalety umieszczonej w korytarzu. Wyszła z ciasnego mieszkania, zbiegła po schodach. Pchnęła drzwi prowadzące na ulicę i odetchnęła mroźnym, wiosennym powietrzem. Rozejrzała się wokół. Oślepiło ją słońce. Sięgnęła do torebki po okulary, ale przypomniała sobie, że dawno wyjęła je i zostawiła w domu. W końcu w marcu, w Polsce, rzadko zdarzało się, żeby z nieba spływał taki blask. Prawie po omacku doszła do samochodu. Usiadła i starała się skupić. Stanowczo nie może w takim stanie wrócić do siebie, musi gdzieś pójść i spokojnie pomyśleć. Nie musi spieszyć się do domu. Nie dziś, kiedy Krzysztof zapowiedział, że ma jakieś bardzo ważne spotkanie. W lodówce jest wczorajsza zupa krem i duszone mięso. Dorobi do tego kuskus z warzywami z mrożonki. Krzysztof się nie zorientuje, zwłaszcza jeśli przesmaży to wszystko na patelni. Kupi kawałek ciasta drożdżowego w jakiejś cukierni. Będzie to wyglądało tak, jakby poświęciła popołudnie gotowaniu. Teraz musi gdzieś usiąść i pomyśleć. Tak, musi pomyśleć, postanowiła, nie zauważając, że myśli już galopowały jej przez głowę jedna po drugiej.

Renata tymczasem z ulgą zamknęła drzwi po swoim gościu. „Tak bywa – pomyślała – ludzie są różni”. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła tę kobietę, czuła, że to będzie trudna godzina. Nie było między nimi przepływu energii. W ogóle nie czuła od niej dobrej energii. Renata miała intuicję, którą zwykle wykorzystywała. Wiedziała, co powiedzieć, co ukryć. Umiała wróżbę z kart przedstawić tak, żeby rozmówca zrozumiał i wyciągnął z niej jak najlepsze dla siebie wnioski. Teraz to nie zdało egzaminu.

– Ciekawe, po co przyszła... – mruknęła do kota, który nieoczekiwanie wylał spod szafy, gdzie tkwił przez całą wizytę. – Takie jak ona nie chodzą do astrologa... Kituchna mój kochany... – Pogłaskała puchate futro zwierzaka. Kot mruknął i demonstracyjnie odwrócił się tyłem, a Renata wzdrygnęła się na wspomnienie spojrzenia, które kobieta rzuciła jej, wychodząc.

– Mam nadzieję, że ta harpia tu nie wróci – powiedziała do siebie. – I pomyśleć, że chciałam ją uprzedzić o nieszczęściu, które sama wywoła. Kot miauknął.

– Pewnie, pewnie. – Renata wzięła zwierzaka na kolana. – Zaraz pójdziemy po Kubusia i Helenkę, tylko pańcia się trochę uspokoi.

Małgorzata weszła do jednego z tych modnych, sieciowych lokali i zamówiła kawę. Nie lubiła kawy i bardzo rzadko ją pijała, ale teraz potrzebowała tego gorzkiego i orzeźwiającego napoju. Potrzebowała nawet kołatania serca, które zwykle u niej wywoływał. Obojętnie spojrzała na kanapki rozmrażające się w witrynie, nieco cieplejsze spojrzenie powędrowało ku ciastkom. Postanowiła nawet, że kupi dwa muffiny na wynos, dla siebie i Krzysztofa. Pryszczata dziewczyna, która robiła jej kawę, zapytała grzecznie, czy Małgorzata życzy sobie wypić napój na miejscu. Machinalnie odpowiedziała, że tak. Nie zamierzała iść z tekturowym kubkiem ulicą, popijając w biegu. Pod tym względem nie poddała się modzie. Wielokrotnie widziała Zuzannę biegnącą z takim paskudstwem w rękę. Przyjaciółka zbywała wzruszeniem ramion jej uwagi o rozmiękczonej papierze i szarej, wodnistej pianie. Dostała kawę

w kubku, na szczęście normalnym, ohydny, w burych kolorach, ale przynajmniej nie był to papier. Czując się jak na dworcu, wsypała cukier z torebki i zakręciła plastikową łyżeczką. Z obrzydzeniem jadła pianę, wkładając do ust biały plastik. Kawa okazała się jednak zaskakująco smaczna. Chwilę walczyła z pokusą zjedzenia swojego muffina, wreszcie się poddała. Potrzebowała cukru, czekolady, poczucia, że zjada coś kalorycznego, zakazanego na co dzień. Trzęsa się cała. Przeklęta Zuzanna i jej pomysły, żeby posyłać ją do wróżki. Jej własna głupota, że poddała się tej propozycji, jak zakochana nastolatka, która chce uzyskać odpowiedź na pytanie, czy obecny ukochany zostanie jej mężem na wieki. „Jak mogłam być taka głupia? – miała ochotę popukać się w czoło. – Kretynka kompletna...”. Nie pamiętała szczegółów tych wróżb, tylko że stanie się coś złego i ona do tego doprowadzi. Ta nawiedzona baba mówiła jeszcze o jakiejś kobiecie ważnej dla Krzysztofa. Co to było? Żeby nie próbowała się z nią spotykać... Jak miałyby nie spróbować poznać osoby, która jest dla jej męża taka ważna. Zresztą to przecież bzdury, od początku do końca... Karty, wróżby... Jak mogła się na to zgodzić? Żeby jakiś prymityw w nylonowym ubraniu mówił jej, jak ma żyć i postępować z własnym mężem.

Zostawiła pusty talerz i kubek na stoliku, mimo że zauważyła, że inne osoby odnoszą brudne naczynia do specjalnego okienka. Postanowiła zignorować ten fakt i bez pożegnania wyszła z lokalu. Dotarcie do samochodu zajęło jej dłuższą chwilę. Kiedy już siedziała w środku, uświadomiła sobie, że nie wzięła ze sobą drugiego muffina. „Może zostawić ciastko i odjechać?” – pomyślała. Po chwili wyszła jednak i powoli wróciła do kawiarni. Nie zwykła była rezygnować. To nie była kwestia ceny. Ciastko oczywiście czekało na nią, podane z uśmiechem przez pryszczatą. Ponownie usłyszała „Miłego dnia” i burknęła coś nieokreślonego.

Zuzanna tylko raz zapytała, jak się udała wizyta u wróżki, ale Małgorzata zbyła ją dość ostro i przyjaciółka odpuściła. Potem kilka razy próbowała porozmawiać na ten temat, ale do pokoju nauczycielskiego zawsze ktoś wchodził i z konieczności nie podejmowały rozmowy. Wreszcie Zuzanna przestała cokolwiek wspominać o tym, że Małgorzata odwiedziła astrolożkę. Znała ją dość dobrze i wiedziała, że jeśli ona będzie chciała zwierzyć się z czegoś, to znajdzie sposób i czas, żeby na ten temat porozmawiać. Przeciwnie, jeśli nie miała ochoty o czymś mówić, to nawet na torturach nie pisnęłaby na ten temat jednego słowa.

Małgorzata uznała, że zły nastrój po wizycie u tej dziwnej kobiety zawdzięcza właśnie Zuzannie. Zły omen nie opuszczał jej ani obsesyjna myśl, że ktoś jest ważniejszy dla Krzysztofa niż ona. Usiłowała zgadnąć, kto to jest. Może ta blada dziewczyna od niego z pracy? Małgorzata nie wierzyła, że Krzysztof mógłby się w kimś takim zakochać, ale może to kwestia wagi zawodowej. Tak, na pewno o to chodzi. Chociaż musi dowiedzieć się, co w tej pracy się dzieje. Musi wiedzieć, co on robi, jak sobie radzi i czy nie grozi mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo utraty tej posady.

Zima 2012

Aleksandra była tego dnia roztargniona. Wywnioskował to ze sposobu, w jaki usiadła, przyklepywała nieporządnie uczesane włosy. Przywitała się z nim także dwa razy. Zastanawiał się, czy ma to związek z przełomem w śledztwie czy czymś w tym stylu.

– Dziś chciałabym porozmawiać o pana pracy. Wydaje mi się, że to ma znaczenie dla... naszej sprawy. Szczególnie interesuje mnie czas od objęcia kierowniczego stanowiska.

– A co konkretnie? – Nie chciał jeszcze raz przez to przechodzić, a jednocześnie czekał, aż psycholożka poruszy wreszcie ten temat.

– Co się wydaje panu ważne w kwestii pracy? – zapytała. – Co powinnam według pana poruszyć?

– Bardzo przeżyłem śmierć swojego mentora – powiedział w nadziei, że nie będzie chciała o tym dłużej rozmawiać. Wciąż czuł ból, kiedy myślał o Sujeckim.

– No cóż, ludzie umierają w tak zwanym pewnym wieku. – Aleksandra wykonała w powietrzu cudzysłów.

– Owszem – zgodził się. – Ale jego śmierć to było coś więcej.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Sugeruje pan działanie osób trzecich?

– Nie, nie – zaprzeczył. – W każdym razie nie bezpośrednio. Ale ja obwinałem się za to, co się stało...

– Umilkł. Analizował zdarzenia, które pamiętał, starając się nadać im chronologię i sens.

– Objąłem kierownictwo, ale natychmiast wyszło, że sobie nie poradziłem... Zrobiłem coś nie tyle nielegalnego, co... niewłaściwego...

– To znaczy?

Wyjaśnił pokrótce, jak zlecił organizację zwłok do ćwiczeń z anatomii swojemu zastępcy, a ten zdobył je w nie całkiem legalny sposób.

– Ale co z tym wspólnego miał pan profesor?

– Był rozczarowany. O mało nie podano nas do sądu i nie opisano w gazetach... Jemu coś takiego nigdy się nie zdarzyło...

– Nie widzę w tym pana winy – powiedziała Aleksandra.

– Powtarzam pani, że był mną rozczarowany. – Krzysztof pokręcił głową. – Zrobił wszystko, żeby mi pomóc, zrzucił winę na tego asystenta, rozmawiał z dziekanem... ale czułem, że to ja go zawiodłem.

– Mam inne zdanie – powiedziała. – Przeglądałam dokumenty z pana pracy. Nie ma tam żadnych uchybień. Te zwłoki wycofano, i tyle. Jako przyczynę podano nieprawidłowe przygotowanie.

– Mniejsza z tym... – powiedział. – Po tej aferze mój zastępca otwarcie mi groził. A ja wykorzystałem fakt, że był wulgarnym chamem, żeby się go pozbyć. I w tym też pan profesor...

– A co w tym z kolei złego? – Uniosła brwi ze zdumienia. – Muszę przyznać, że czytałam i o tej sprawie. Osobiście moja sympatia do pana jest jak najbardziej związana właśnie z tym wydarzeniem. Nie

znoszę, jak ktoś tuszuje takie sprawy. To wyjątkowo obrzydliwe. – Popatrz na nią uważnie. Na twarzy odbiła jej się wyraźna odraza, ale jeszcze coś więcej. Jakieś wspomnienie błysnęło jej w oczach, odległe, ale na tyle silne, że się wzdrygnęła.

– Zetknęła się pani z takim człowiekiem? – zapytał, nie licząc specjalnie na odpowiedź.

– Tak – odpowiedziała natychmiast. – Nauczyciel WF-u w podstawówce. Zupełnie bezkarny. Lubił patrzeć, jak się przebieramy...

Przerwała, jak tylko zorientowała się, że powiedziała za dużo. Siedział cicho, żeby nie zauważyła zamiany ich ról. Nie przyjął postawy terapeuty, nie powiedział nic pocieszającego, zachęcającego do dalszych zwierzeń. Zachowywał się, jakby takie intymne wyznanie nie było czymś niezwykłym.

– Dlatego – powiedziała po chwili – wyjątkowo cenię tych, którzy nie przymykają oczu na tego rodzaju zachowania ludzi, którzy pracują jako nauczyciele.

„Ciekawe, czy przestała we mnie widzieć mordercę” – pomyślał.

– Ale do dziekana zadzwoniła matka jednej ze studentek – dziennikarka jakiegoś wpływowego pisma. Groziła ujawnieniem zachowań mojego zastępcy, jeśli dziekan nie zwolni jego oraz profesora. Wtedy profesor po raz kolejny się poświęcił i odszedł, żebym ja nie został zwolniony.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego musiał odejść?

– Podobno ta dziennikarska matka groziła, że ujawni jego przebyłą gruźlicę... – Aż się uniosła na krześle.

– Profesor pracował, chorując na gruźlicę? Uczył studentów?!

– Nie, nie. – Krzysztof zamachał rękoma. – On przebył tę chorobę. Zachorował, zaraził się od żony, która była ftyzjatrą, zresztą wiele lat wcześniej... Został wyleczony... Opowiadał o tym bardzo często studentom, nie mam pojęcia, dlaczego ta kobieta postanowiła to wykorzystać...

– Może ktoś chciał, żeby i on odszedł... – powiedziała, marszcząc czoło.

– Próbowałem go bronić, byłem u dziekana, wystąpiłem na radzie wydziału z manifestem. Tam siedzieli sami lekarze, nie mogli nie wiedzieć, że to absurd, ale... Kierownictwo bało się artykułów w gazetach, jakichś wywiadów ze studentami. Mogłaby wtedy wyjść na jaw afera ze zwłokami i molestowaniem. Profesor sam odszedł...

– A potem zmarł... – dokończyła.

– Właśnie – powiedział.

– Ale z tego właśnie powodu?

– Pani Aleksandro – ponownie przybrał ton nauczyciela akademickiego – profesor miał siedemdziesiąt lat, od dwudziestu chorował na nadciśnienie. Wiem, ponieważ mówił o tym bez najmniejszego problemu. W ostatnich latach miał też łagodną cukrzycę. Mógł mieć zawał, oczywiście... Stres też ma znaczenie...

– Ale? – Uśmiechnęła się.

– Ale... – odwzajemnił uśmiech, starając się nadać swojej twarzy wygląd najbardziej przypominający Clooneya – ...sumienia nie uniewinnisz, jak to mówią... Obwinałem się, że mogłem unieść się honorem i odejść albo w jakiś sposób szantażować radę, żeby nie musiał odchodzić na emeryturę... Wiedziałem, że ta praca była dla niego wszystkim... To był naukowiec, z tych, co przedkładają pracę ponad wszystko...

– To... ładne, co pan mówi – powiedziała. – A pana rodzina wiedziała o tych problemach?

– Synowie praktycznie już byli poza domem... Wie pani, wtedy był taki moment, kiedy zdałem sobie z tego sprawę. Chciałem porozmawiać ze Staszkiem, bo Janek od dawna już z nami nie mieszkał, i... zdałem sobie sprawę, że nie widziałem go praktycznie od dwóch miesięcy...

– No, ale wtedy pan miał kochankę i to jej poświęcał większość wolnego czasu... – głos psycholożki ponownie był zimny jak lód.

– To prawda – przyznał pokornie. – Ale Staszek praktycznie przeprowadził się do jakiegoś kolegi ze swojego roku...

– Nie niepokoiło to pana?

– Że kolega? – Roześmiał się. – Mój syn nie jest gejem, jeśli o to pani pyta. Pytałem go o to, miał wtedy dziewczynę... – Ona także się uśmiechnęła.

– A pytał pan, dlaczego nie bywa w domu?

– Pytałem Jana, kiedyś, kiedy odnosiłem mu uprane przez żonę koszule... – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Rozmawialiśmy wtedy kilka godzin.

– I co powiedział?

– Jeśli chodzi o starszego, to Janek miał swoje życie i sprawy. O nas przypominał sobie z okazji prania albo prasowania koszul. Czasami przyjeżdżał na sobotę i niedzielę. Żona wtedy gotowała, dawała jedzenie na wynos, pieniądze...

– A młodszy?

– Teoretycznie z nami mieszkał. Coraz częściej jednak nocował u kolegi. Pytałem Janka, czy zna przyczynę. Powiedział, że chodzi o atmosferę w domu.

– W jakim sensie? – Zainteresowała się.

– Żona zaczęła trochę dziwnie się zachowywać...

– Może dowiedziała się o pana związku? – zapytała, poprawiając okulary.

– Nie – powiedział stanowczo. – Ona o tym nie wiedziała. Jestem absolutnie pewien.

– To o co mogło chodzić?

– Chodziło o mnie... Małgosia zawsze chciała, żebym dostał ważne stanowisko. W końcu to się stało. Wtedy zaczęła żądać jeszcze więcej. Chciała, żebym skończył habilitację, może został dziekanem. W każdym razie potraktowała ten mój awans jak początek wielkiej kariery.

– A pan?

– Ja sądziłem, że będę miał wreszcie spokój, kiedy spełnię jej oczekiwania...

– A tak się nie stało... – bardziej stwierdziła fakt, niż zapytała.

– Próbował pan rozmawiać z żoną na ten temat? – Pokręcił głową. Oczywiście, że próbował. Jak miał tej kobiecie wyjaśnić, jaka była Małgosia i czego chciała od życia.

– Próbowałem – powiedział w końcu. – Tłumaczyłem, że nic nie dzieje się nagle... Że dopiero zaczynam, muszę okrzepnąć na stanowisku... Ona zachowywała się jak na jakiejś... misji czy wojnie... Gotowała wymyślne potrawy, stwarzała mi cieplarniane warunki w domu, a jednocześnie...

– Tak?

– Nigdy nie byliśmy dalej od siebie... Niby robiła wszystko dla mnie, a nie miałem żadnego wsparcia... Kiedy umarł profesor...

Zakręciła się na krześle. Krzysztof pomyślał, że jest w bardzo ważnym punkcie tej rozmowy. Od odpowiedzi, od stopnia jej szczerości dużo zależało.

– Nie pamiętam, co wtedy dokładnie powiedziała, ale zabrzmiało to tak, jakby się cieszyła, że on odszedł...

– Chyba pan przesadza... – Aleksandra zmarszczyła brwi.

– Ona już wcześniej uważała, że profesor powinien całkiem odejść z zakładu, nie powinien nawet uczyć... Uważała, że „nie oddaje” mi kierownictwa. Tyle razy tłumaczyłem, że ja chcę, żeby on pracował, że go potrzebuję... Próbowałem nawet sugerować, że to dla kariery...

– Ale co dokładnie żona powiedziała, kiedy powiedział pan, że profesor umarł?

– Powiedziała, że dostałem to w prezencie... Sugerowała, że to nie był przypadek, tylko ktoś „dopomógł losowi”...

– Wiedziała o tej dziennikarce?

– Tak. – Westchnął. – Wiedziała. Chyba to miała na myśli. Nikt nie daje ci niczego za darmo... Tak powiedziała...

Wiosna 2012

„To nie jest moja wina!” – krzychała jej w głowie. Przecież on miał siedemdziesiąt lat! W tym wieku można dostać zawału, udaru, wszystkiego, na co tylko chorują staruszkowie. Kto powiedział, że to po jej interwencji pan profesor umarł. Nikt jej nie oskarżył. Nikt się nie ośmielił. Mały podszept za uchem przypomniał jej, że owszem, nikt nie powiedział, że ma krew na rękach, czy coś podobnie absurdalnego, ponieważ nikt nie wiedział o jej telefonie do dziekanatu. Wyobrażała sobie, że to taki świetny pomysł. Zadzwoiła, przedstawiając się jako matka jednej ze studentek i zarazem dziennikarka. Zażądała rozmowy z dziekanem. Oczywiście, że sekretarka nie chciała jej połączyć, powiedziała, że dziekan nie rozmawia z prasą. Dzwoniła tak długo i mówiła do słuchawki, że to nie ma związku z polityką, medycyną i tak dalej, że w końcu sekretarka, najwyraźniej po porozumieniu z dziekanem, przełączyła ją.

– Kim pani jest i o co pani chodzi? – niegrzecznym tonem zapytał męski głos w słuchawce.

Nigdy nie poznała szefa Krzysztofa osobiście. Jeden raz była na imprezie firmowej z udziałem dziekana, ale Krzysztof nie przedstawił jej, o co miała wielkie pretensje. Teraz pomyślała, że to dobrze. Nie ma szans, żeby poznał ją po głosie.

– Nazywam się Dorota Zalewska, jestem dziennikarką „Gazety Wyborczej” – wyrecytowała. – I jednocześnie matką jednej ze studentek pierwszego roku. Chciałabym, żeby odniósł się pan do tego, że jeden z asystentów jest chory na gruźlicę.

W słuchawce zapadła cisza.

– Żaden z asystentów nie choruje na gruźlicę – padło. – Pani córka jest bezpieczna. Zapewniam i żegnam panią.

– Mam zupełnie inne informacje – wtrąciła szybko. – Napiszę o tym, jeśli będzie mnie pan zbywał.

– Może pani pisać, co chce – głos był pozbawiony już takiej pewności, ale nadal niegrzeczny.

– Czyli mogę napisać o swoich podejrzeniach, przedstawiając naturalnie dokumentację lekarską? – spytała. – Czy mogę pana zacytować?

– Nie może pani, żegnam – odpowiedział.

– Jeszcze jedno – rzuciła szybko. – Czy na temat niewybrednych, wulgarnych żartów innego asystenta anatomii też nie ma pan nic do powiedzenia? – Napawała się ciszą, która ponownie zaległa w słuchawce.

– Jak się nazywa pani córka? Proszę także powtórzyć swoje nazwisko...

– Moje nazwisko zobaczy pan pod artykułem. Córka nosi nazwisko swojego ojca. A asystent nazywa się Kudelski. Podejrzewam, że świetnie pan wie, kto molestuje studentki – odpowiedziała, tym razem wolno ważąc słowa.

– Chciałbym porozmawiać z pani córką – powiedział dziekan.

– I z panią, ale osobiście...

– Czyli jednak wierzy mi pan – powiedziała to pewnym siebie głosem. – Żądam w imieniu rodziców, żeby wymienione osoby opuściły mury tej szacownej uczelni – powiedziała twardo. – Ma pan na to

tydzień. W przeciwnym wypadku będzie miał pan problemy...

– Proszę mi nie grozić – głos był tym razem znużony. – Spotkajmy się. Udzielę pani wywiadu. Wszystko wyjaśnię.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie potrzebuję wywiadu – powiedziała. – Opiszę to, jeśli tych dwóch będzie nadal pracowało na uczelni.

– Niech pani posłucha – tym razem dziekan szybko mówił.

– Profesor Sujecki nie ma gruźlicy. Nie ma aktywnej gruźlicy, słowem, nikogo nie może zarazić.

– To pana zdanie, a ja mam inne informacje i nie będę się wahała ani chwili... – Zaczerpnęła powietrza. – Skontaktuję się z panem za tydzień i radzę mieć dla mnie dobre informacje. Za dużo u was skandali, tyle że nieumiejętnie tuszowanych...

Odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko. Była świetna, pewna siebie, błyskotliwa. Uratowała męża. Teraz nie będzie miał konkurentów. Nie zadzwoniła więcej do dziekana. Od Krzysztofa dowiedziała się, że profesor Sujecki nie będzie już prowadził grup studenckich. Uznał, że jest zbyt stary i zmęczony. Tak powiedział Krzysztof. Nie patrzył przy tym w bok ani nie nabierał powietrza, marszcząc charakterystycznie swój nos, słowem, chyba nie miał żadnych podejrzeń, że za odejściem jego mentora kryło się coś więcej niż zmęczenie. Sama nie miała żadnych wyrzutów sumienia, nieokreślone klucie pojawiło się po tym, jak dowiedziała się, że Sujecki zmarł. Pytała Krzysztofa o to, czy zawał może zrobić się pod wpływem stresu. Tłumaczył jej, że naczynia wieńcowe nie zamykają się w jednej chwili, a proces miażdżycowy trwa lata. Uznała, że chorował od dawna. To zwykły przypadek, że dostał zawału i prawdziwy pech, że zmarł. Zresztą kto wie, czy udziału w tej śmierci nie miała gruźlica, analizowała. Z tą gruźlicą o mało się nie wygadała. Przecież Krzysztof nie powiedział jej tego wprost, tylko słyszała, jak rozmawiał z tą chudą koleżanką, bladą lekarką, która się w nim podkochiwała. Gdyby zapytała o tę gruźlicę, żeby ostatecznie oczyścić swoje sumienie, mógłby coś podejrzewać. A tak nie miał pojęcia, że to ona stała za zwolnieniem Sujeckiego i, co ważniejsze, Kudelskiego. W tym drugim przypadku bardzo żałowała, że Krzysztof nie wie o jej interwencji. O tym, jak się zachowywał adwersarz jej męża, także dowiedziała się przypadkiem. Od Krzysztofa, który tylko napomknął kiedyś przy obiedzie, że zastępca ostrzy sobie zęby na jego stanowisko. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo ją to zmartwiło. Myślała, że tylko profesor opóźniał rozwój Krzysztofa. Teraz okazywało się, że jest jeszcze zastępca, który chce mu zaszkodzić. Próbowала Krzysztofa wypytać o jakieś szczegóły, kluczyła, chciała wiedzieć, jakim tamten był człowiekiem. Ale on zbywał te pytania machnięciem ręki. Wreszcie wydusił, że to obrzydliwy typ. Lubił ponoć dotykanie studentek, wulgarność, żarty z kobiet. Krzysztof całkiem poważnie powiedział, że nie można mu nic zrobić, ponieważ nikt nie złapał go na prawdziwym molestowaniu.

– Prawdziwym molestowaniu? – nie mogła uwierzyć. – W sensie gwałtu?

– No tak – przytaknął. – Przynajmniej na czymś... znaczącym.

– Czy ty wiesz, o czym mówisz? – zapytała.

– Małgosiu – znów usłyszała ten ton pełen zniecierpliwienia.

– To mój podwładny i wiem, że muszę rozwiązać ten problem. Nie zajmuj się tym.

Nawet nie rozważała czegoś takiego. Ci mężczyźni... jak można powiedzieć, że obmacywanie kobiety to coś, owszem, niezbyt przyjemnego, ale przecież nie jest to gwałt? Jak się czuje kobieta, która zaczyna wymarzone studia i narażona jest na obleśnego, podstarzałego palanta, który wykorzystuje swoje

stanowisko, żeby mówić do niej wulgaryzmy? Na jej przykładzie pokazywać mięśnie, nerwy czy co tam jeszcze? Aż się trzęsła z oburzenia, ale oczywiście pokiwała pokornie głową, nalewając kompot domowej roboty. Zapytała wtedy, czy ten człowiek pracował od dawna. Usłyszała, że dziesięć lat. To znaczy, że Sujecki, ten wzór cnót, mentor, wspaniały lekarz, dobroczyńca Krzysztofa, tolerował u siebie tego capa tyle czasu i nie zrobił z tym nic. Już dla samego honoru napastowanych przez niego dziewczyn warto było coś z nim zrobić. Nie wiedziała, jak dziekan załatwił tę sprawę. Krzysztof najwyraźniej także tego nie wiedział, bo o zmianach personalnych powiedział jej przy kolacji i winie bez najmniejszych podejrzeń.

– O – powiedziała wtedy. – To chyba dobrze...

– Dobrze – potwierdził. – Ale dlaczego tak mówisz?

– Nie lubiłeś go przecież...

– Owszem, nie znosiłem tego człowieka. Miałem przez niego mnóstwo kłopotów. – Popatrzył w bok.

– Może było coś jeszcze, pomyślała wtedy. Coś związanego ze stanowiskiem, ale to nieważne. Ten człowiek nie będzie już krzywdził ani kobiet, ani też zagrażał Krzysztofowi. Tyle że on nie mógł być jej wdzięczny, nie wiedząc, co dla niego zrobiła.

– Kto będzie twoim zastępcą? – zapytała.

– Kasia Markowska, wiesz, ta...

– Wiem – przerwała. – Chuda, blada, źle ostrzyżone włosy, kocha się w tobie...

– Co ty mówisz, Małgosiu? – spytał ze zdumieniem. – Bardzo ją lubię. Tylko tyle. Zapewniam cię.

– Powiedziała, że ona się kocha w tobie, a nie ty w niej. – Wstała od stołu. – Nie musisz mnie zapewniać, że nic cię z nią nie łączy. Takie topielice nie są w twoim typie.

Kątem oka widziała, jak pokręcił głową z dezaprobatą. Może myślał, że jest zazdrosna. Pewnie, że była. Jego rozkojarzenie, nerwowość, ciągłe zmęczenie. Zasypiał przy oglądaniu filmów, potem ledwie włókł się do łóżka. Czasem miała wyrzuty sumienia. Może to wszystko przez nowe stanowisko i tę nieszczęsną habilitację. Może powinna mu poradzić, żeby się nie przemęczał, dał sobie spokój, zdrowie najważniejsze przecież i ich rodzina, ale niczego takiego nie mówiła. Bo to był tylko stan przejściowy. Na wszystko trzeba sobie zapracować. Kto nie maszeruje, ten ginie, kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana... Nie mogła sobie przypomnieć, kto to powiedział, jak i autora innych cytatów. To nic, że Krzysztof nie dowie się o jej roli w całej sprawie. Idealem byłoby, żeby był jej wdzięczny, wreszcie zechciał przyznać, że ona ma zasadniczy wpływ na jego życie. Zresztą nieważne. Kiedy już będzie po wszystkim, zaczną żyć spokojnie i odcinać kupony od sukcesu, od jego sukcesu. Na razie musi pomóc mu przejść przez smutek po śmierci profesora. W końcu był jego wieloletnim szefem. Mimo wszystko coś mu zawdzięczał.

– Był ci bardzo bliski, prawda?

– Tak – powiedział.

Chwilę poczekała. Nie chciał o tym rozmawiać. Może też powinna pominąć ten temat. Zdecydowała, że chcąc być blisko niego, musi wiedzieć, co on przeżywa.

– Ja rozumiem. – Podeszła od tyłu i dotknęła go lekko ręką na wysokości łopatek. – Pamiętasz, kiedy umarła moja pani Wiesia?

– Kto? – zapytał.

– Polonistka... – wyjaśniła. – Tyle razy ci opowiadałam o tym. I chłopcom..

– Oczywiście, polonistka – powiedział szybko. – W pierwszej chwili nie skojarzyłem...

– Nie mogłam jeść ani spać...

– Tak, opowiadałaś mi o tym. Pewnie pierwszy raz zetknęłaś się ze śmiercią kogoś, kogo znałaś.

– Nie, rok wcześniej umarł dziadek – powiedziała, zastanawiając się, w jakim właściwie kierunku idzie ta rozmowa.

– Naturalnie, Małgosiu, przeżywałaś to na pewno bardzo...

– Właśnie. – Nie ustępowała. – Dlatego tak świetnie cię rozumiem. Bo ja to właśnie przeżyłam. Śmierć mentora. Kobiety, której zawdzięczam wybór życiowy, która mnie ukształtowała.

Odpowiedziało jej jego milczenie. Przypomniała sobie seks, jaki uprawiali w Toskanii. Krzysztof nie wspomniał nawet słowem o tym, że odbiegało to od ich wieloletnich harców w łóżku. Ona także zachowywała się, jakby nic się nie stało. Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Odsunął się o milimetr, ledwie drgnął, ale jednak. Popatrzył na nią i powiedział, wstając:

– Jestem bardzo zmęczony, położę się wcześniej.

Nie odpowiedziała. Zdusiła w sobie gorycz i chęć pójścia za nim. Chciała się kochać, ale delikatnie, czule. Chciała, żeby ją dotykał, pieścił. Na samą myśl o bólu, jaki doświadczyła, wzdrygnęła się. Nawet upokorzenie jej tak nie dotknęło jak ból, jaki jej sprawił mocnymi pchnięciami. Poszła w stronę sypialni. „Chyba znów nie zechce się kochać” – pomyślała. Zacisnęła pięści, odwróciła się na pięcie i wróciła do kuchni. Do sypialni poszła po północy. Niech on też ma świadomość, że wyrósł między nimi mur.

Zima 2012

Aleksandra przyszła po kilku dniach nieobecności. Naturalnie nikt mu nie mówił, dlaczego ma przerwę w terapii, analizie czy czym tam były te spotkania. Nie chciał dostać znów leków uspokajających, więc się nie buntował i nie pytał zbyt dociekliwie. Był tu prawie trzy miesiące, a jeszcze nikt go nie odwiedził, ani synowie, ani Małgosia. Wielokrotnie pytał dlaczego. Zadowoliliby się każdą odpowiedzią w stylu: żona się pana wyrzekła i założyła sprawę rozwodową, synowie nie chcą mieć z panem nic wspólnego. Naturalnie najbardziej chciał usłyszeć, że oni chcą go widzieć, tylko z jakichś nieznanych powodów lekarze zabraniają mu kontaktu z rodziną.

– Dzień dobry – powiedziała, jakby widzieli się wczoraj. – Jak pan się czuje?

– Nie wiem, co mam pani powiedzieć. – Popatrzył w bok. – Jeśli mam powiedzieć prawdę, może pani wyjść i nie wracać przez miesiąc. A jeśli skłamię...

– Proszę zaryzykować i powiedzieć prawdę. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Dobrze – powiedział i popatrzył jej prosto w oczy. – Tęsknię za żoną i synami. Nie rozumiem, dlaczego nie mogę uzyskać żadnej informacji na ich temat. Frustruje mnie to i złości.

– A co by pan chciał wiedzieć? – zapytała. Opanował się, żeby nie wykrzyknąć jej, że jest kretynką, idiotką do kwadratu. Albo taką udaje, co na jedno wychodzi.

– Chciałbym wiedzieć, czy żona i moi synowie dobrze się czują. Czy są zdrowi.

– Tak, są zdrowi – powiedziała natychmiast.

– Czy może pani coś więcej mi powiedzieć?

– O ich stanie zdrowia?

– O ich stanie zdrowia. – Znów musiał się opanować, żeby na nią nie krzyknąć albo nie szarpnąć jej za sterczące włosy. Wciąż nie umiała się uczesać.

– Ich stan zdrowia nie budzi żadnego niepokoju.

– Dlaczego synowie mnie nie odwiedzili?

– Tego nie wiem. Nie mam żadnych informacji na ten temat.

– Czy ktoś im zabronił? – pytał. – Przecież tak nie można.

– Z tego, co wiem – był taki zakaz.

A więc jednak. Ktoś zabrania jego rodzinie odwiedzin. Nie mogą przyjść i wysłuchać jego wersji. Czy to dlatego, że został oskarżony? O spowodowanie czyjejś śmierci? To bardzo poważne oskarżenie. Dlaczego w takim razie nie przyszła policja?

– Dlaczego nie przesłuchiwał mnie nikt z policji? – zapytał.

– Skoro zostałem oskarżony...

– Panie Krzysztofie – powiedziała konfidencjonalnym tonem.

– Powiem coś panu między nami, bo trochę mi pana szkoda.

– Bardzo proszę. – Starał się wzbudzić w niej współczucie. Może w ten sposób miał jakieś szanse zburzyć ten mur głupoty i uporu.

– Pan profesor chroni pana przed policją. Jesteśmy zdania, że nie powinien pan się spotykać z policjantami.

– Ale w ten sposób jestem tu nie wiadomo po co i końca terapii nie widać. Powinienem móc wyjść, naprawić stosunki z rodziną, wynająć adwokata...

– To, co robimy, to nie terapia, ale analiza pana osobowości. Mam ustalić, czy może pan rozmawiać z policją oraz to, czy pan jest zdolny do przemocy.

– Gdybym był zdolny do przemocy, nie siedziałaby pani tutaj tak spokojnie, pani Aleksandro... Dobrze pani o tym wie.

Odchyliła się na krześle, kołysząc w tę i w tę kilka razy. Zdumiał go ten gest. Był zupełnie nieadekwatny do sytuacji, niepodobny do tej surowej i pozbawionej wyobraźni młodej kobiety. Nagle zachciało jej się zabawić? Może się zakochała?

– Pan również wie, że można być w pracy łagodnym barankiem, a w domu katem...

– To też nie jest mój przypadek – odpowiedział szybko. – Czy mogę mieć prośbę?

– Oczywiście. – Kiwnęła poważnie głową. Krzesło znów stało czterema nogami na wytartym linoleum.

– Proszę pozwolić policji, żeby mnie przesłuchała. Uważam, że jestem na to gotowy.

– Prawie gotowy – powiedziała i kichnęła. – A prawie, jak pan wie, czyni różnicę.

– A prośba? – zapytał słabo.

– A prośba ma to do siebie, że można jej odmówić. – To akurat wiedział bardzo dobrze. Wielokrotnie prosił Małgosię o różne rzeczy, a ona bez problemu odmawiała. Opuścił głowę, dając jej znak, że znów wygrała.

– Ale... – potarła nos i ponownie kichnęła... – jeśli to pana pocieszy, to powiem, że niedługo pozwolę na takie spotkanie. Zostanie pan przesłuchany przez policję tutaj, ale zaraz potem prawdopodobnie zwolniony do domu. Będzie pan mógł szukać adwokata i wrócić do życia. Moim zadaniem jest przygotować pana do tego powrotu. I do przesłuchania.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł żal, że tabletki nie zadziałały. Jakże żałosna była jego egzystencja w tym szpitalu, po śmierci Diany, gdzie nie miał na nic wpływu, był nic nieznaczącym pionkiem, pacjentem, któremu niczego się nie wyjaśnia.

– A żona chciała mnie odwiedzić i jej zabroniono czy też nie chciała? – zapytał niezręcznie.

– Mogę potwierdzić. – Aleksandra kichnęła trzy razy. – Chciała z panem rozmawiać. Coś pyli...

Co może pylić w takim miejscu? Chyba kurz z wiekowych tapicerek, pomyślał, ale był jej wdzięczny. Po raz pierwszy zobaczył światło w tunelu. Małgosia chciała go odwiedzić, tylko nie mogła. Może po to, żeby mu napluć w twarz, wręczyć pozew albo popatrzeć z pogardą. To nie miało znaczenia. Chciała przyjść. Zawsze miał szansę, jeśli mógł stanąć z nią twarzą w twarz. Mógł się wytłumaczyć, poprosić o wybaczenie. Może by nie wybaczyła, ale przynajmniej przemyślałaby to, co mógł jej powiedzieć.

– Chciałam dziś porozmawiać właśnie o pana żonie – powiedziała Aleksandra, wycierając nos chusteczką higieniczną. – Kiedy się poznaliście? I w jakich okolicznościach.

Nie pytał, po co jej takie informacje. Może to przyspieszy wyjście ze szpitala? Zaczął opowiadać o tym, kiedy zobaczył Małgosię po raz pierwszy.

Pierwsze wrażenie było czysto fizyczne. Brunetka o wyrazistej urodzie i miłym, niskim głosie. Badawcze spojrzenie czarnych oczu, jakim go obrzuciła przy prezentacji. To było na imprezie, na którą przyszedł ze swoją dziewczyną. Gdyby nie to, że ta Magda poznała go z Małgosią, dziś nawet by jej nie pamiętał. To był krótki związek, z tych, co nawet nie powinny się zacząć, a po kilku miesiącach rozpadały się ku uldze obydwu stron. Magda była niespełnioną malarką, która obracała się w tak zwanym artystycznym świecie. Chodził z nią w kółko na jakieś wystawy, imprezy zakrapiane alkoholem, gdzie wśród papierosowego dymu wysłuchiwał pseudofilozoficznych wywodów sprowadzających się do jednego zagadnienia – jak zarobić na sztuce. Nigdy nie powiedział jej, że niektóre prace jej znajomych są tak słabe, że można je nazwać sztuką wyłącznie definicyjną, absolutnie nie na podstawie ich rzeczywistej wartości. Początkowo wziął Małgosię za jedną z tych artystek. Może zmyliła go kolorowa, zwiewna sukienka i kolczyki, jakich niewątpliwie nie można było dostać w osiedlowych sklepach, w czasach wszechobecnej szarości, jaka wtedy panowała.

– Kto to jest? – zapytał Magdę.

– Nie znam jej – odpowiedziała, przyglądając mu się uważnie.

– Pewnie czyjaś dziewczyna. – W tym właśnie momencie Krzysztof się odkochał. Co poczuła czy też pomyślała wtedy Magda, trudno powiedzieć, ale pociągnęła go za rękę ku grupce dziewczyn, wśród których stała jego przyszła żona.

– To jest Krzysztof – powiedziała, wisząc mu na ramieniu i uśmiechając się idiotycznie.

– Anula – powiedziała wysoka blondynka zrobiona na Marylę Rodowicz.

– Kaśka – przedstawiła się druga. Miała czarne włosy, które po bokach zebrała w kitki. Wyglądała jak dziecko, które nie chce dorosnąć.

– Małgorzata. – Wreszcie i ona wyciągnęła rękę. Uścisk dłoni miała mocny, ręce suche, ciepłe.

– Jesteś tym plakacista? – zapytała Anula.

– Nie – powiedział. – Jestem lekarzem.

– Naprawdę? – Kaśka zaczęła mu się przyglądać, jakby był rzadkim okazem artysty.

– Naprawdę – potwierdził. – Nie jestem artystą. Chociaż medycyna nazywana jest sztuką.

– Właśnie. – Magda przytuliła się ciaśniej do jego boku. – On robi artystyczne sekcje zwłok.

Na twarzy Małgorzaty pokazały się odraza i zdziwienie. Anula wykrzywiła się i wykonała gest świadczący o tym, że zaraz zacznie wymiotować. Kaśka zatrzęsa kucykami.

– Nie wyglądasz na zboka – powiedziała.

– Bo nim nie jestem – odpowiedział, z trudem powstrzymując się, żeby powiedzieć tej kretynce, co o niej myśli. – Nie robię także sekcji zwłok. Zajmuję się preparowaniem ciał na potrzeby studentów. Uczę ich anatomii.

Te wyjaśnienia były skierowane do Małgorzaty, która w dalszym ciągu stała w milczeniu. Wyraz twarzy jej się zmienił. Już nie widział obrzydzenia, a niewielkie zaniepokojenie.

– Pani jest malarką? – pytanie skierował wprost do niej.

– O nie. – Uśmiechnęła się, pokazując rząd równiutkich, białych zębów. – Ja nie jestem w ogóle artystką.

– Ja maluję – powiedziała Kaśka. – Mam wystawę w Kordegardzie. Za jakieś dwa tygodnie. Musicie koniecznie z Magduchą wpaść.

– Ja zajmuję się modą – powiedziała Anula. – Ale w tym kraju nie mam żadnych szans się wybić.

Prawdę mówiąc, te informacje zupełnie go nie interesowały. Również perspektywa pójścia dokądkolwiek z „Magduchą”. Przecież już nie był w niej zakochany. O ile w ogóle kiedykolwiek coś do niej czuł poza pożądaniem. Mógłby w tamtej chwili wyjść z Małgorzatą z tego mieszkania i nawet nie zainteresować się losem cycatej Magdy.

– Poznaliśmy się na imprezie, na którą przyszedłem z dziewczyną – powiedział do Aleksandry. – A Małgosia przyszła z kuzynką, która była malarką.

– Była malarką? Nie żyje? – Jak zwykle Aleksandra skupiała się na wątkach pobocznych.

Kaśka rzeczywiście zginęła w wypadku samochodowym dziesięć lat później. Małym fiatem wjechała wprost pod TIR-a. Samochodzik miała wypełniony po brzegi płótnami. Można spekulować, czy powtykane wszędzie obrazy utrudniały jej manewry i oprócz oblodzonej nawierzchni przyczyniły się do tragicznego w skutkach wypadku. Fiat został zgnieciony, a Kaśka wymieszana z obrazami, które przedstawiały, nomen omen, martwą naturę.

– Tak – potwierdził. – Miała wypadek samochodowy i zginęła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Aleksandra, jakby ta śmierć nastąpiła kilka dni wcześniej.

– Dziękuję – odpowiedział. – Żona bardzo przeżyła jej śmierć.

To nie była prawda. Małgorzata rozwodziła się wtedy nad tym, jak można było tak postąpić, przewozić dziesięć płócien małym samochodem, wymuszać pierwszeństwo. Na pogrzebie złożyła wyrazy współczucia zapłakanej ciotce i cichemu wujowi, nie przestając szeptać, że Kaśka zginęła „na własne życzenie”.

– Czyli poznała was ze sobą kuzynka, która potem zginęła, tak? – podsumowała.

– Nie – zaprzeczył. – Dziewczyna, z którą wtedy przyszedłem. To Małgosia przyszła z kuzynką.

– I co się stało, kiedy się poznaliście?

– Powiedziała wtedy, że studiuje pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim. Czekałem na nią po zajęciach. Kilka razy odprowadziłem ją do domu. Potem zostaliśmy parą.

– Czyli porzucił pan dla niej ówczesną swoją dziewczynę?

– Pani Aleksandro – zaczął – rzadko się zdarza, żeby człowiek spotkał swoją drugą połowę w przedszkolu i wcześniej z nikim nie był...

– To znaczy, że trzeba próbować z wieloma? – Zdjęła okulary i kichnęła. Potem wyjęła chusteczkę i wytarła zażawione oczy.

– To znaczy, że przyszedłem na tę imprezę z dziewczyną. To nie był związek z gatunku na całe życie. Nie planowałem z nią ślubu. A w Małgosi zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Przestałem się spotykać z tamtą dziewczyną i zacząłem zdobywać żonę.

– Czy trudno było ją zdobyć?

Na to pytanie nie potrafił udzielić prawidłowej odpowiedzi. Ani trudno, ani łatwo. Małgorzaty w ogóle nie można było zdobyć. Była zupełnie niedostępna. Dwoił się i troił, chodził za nią krok w krok, a ona przyjmowała te zaloty z uprzejmością i dziękowała, że odprowadza ją z zajęć, zaprasza do kina, na koncerty i wystawy. Wszędzie z nim chodziła, nie pozwalając się dotknąć, nawet wziąć za rękę. Grzecznie odwzajemniała uścisk ręki na pożegnanie, stojąc w takiej odległości, żeby nawet nie spróbował jej pocałować. Taki stan trwał dwa miesiące i Krzysztof prawie się poddał, ale nieoczekiwanie coś się zmieniło. Rozmawiali na temat filmu, na którym byli – „Winda na szafot” – Krzysztof chwalił muzykę, a ona powiedziała, że nie słyszała ani jednego dźwięku, tak zafascynował ją dramat bohatera. Krzysztof stanął wtedy jak wryty. „Nie słyszeć trąbki Milesa Davisa? Nie usłyszeć tej niezwyklej, fascynującej muzyki? Jaki dramat bohatera? Kara słusznie mu się należy. Zbrodnia – kara. Tak jej powiedział”. Ona wtedy zbliżyła się do niego i patrząc prosto w oczy, powiedziała:

– Słodki jesteś.

Pocałowała go wtedy. Zamknęła oczy i pocałowała. On tylko odwzajemnił ten pocałunek. Pozwoliła mu ze sobą być. Jeszcze przez miesiąc decydowała, kiedy ją pocałuje, kiedy obejmie, a kiedy tylko będą rozmawiać. Wreszcie nadszedł ten dzień. Pragnął jej. Był ciekaw, jakie ma piersi. Mógł tylko podejrzewać, co kryje się pod biustonoszem, spekulować, że to miseczka C. Ale ciekaw był jej sutków. Czy są blade, czy prawie czarne, czy mają sterczącą brodawkę, czy płaską. Dałby się zabić, żeby zanurzyć język w jej pępku. Nawet gdyby ta znajomość miała się zakończyć na jednym zbliżeniu, marzył o tym, żeby to się wreszcie stało. Wielokrotnie podczas spotkań, kiedy pozwalała mu całować się w szyję, musiał ukrywać erekcję. Bał się, że ona odsunie się i nie pozwoli mu na nic więcej. Próbował tylko dotknąć wargami dekoltu, ale ona odsuwała się, zmieniała temat rozmowy. Może jeszcze nie była gotowa. Czekał cierpliwie, nie mogąc zasnąć po tych spotkaniach. Wreszcie po kinie dała się zaprosić na kolację do niego do domu. Nigdy nie był mocny w gotowaniu, ale jego własna matka dostarczyła mu poprzedniego dnia kurczaka, duszone warzywa. Kupił butelkę wina, chyba bułgarskiego, nie znał się wtedy na winach zupełnie. Wino to wino, byleby czerwone było. Może właśnie to ją rozluźniło. Wypiła alkohol, pochwaliła kurczaka i z zamglonym wzrokiem usiadła obok niego na kanapie. Całował ją po włosach, gładził po szyi, kiedy poczuł jej rękę na piersi. Gładziła go niezręcznie przez koszulę, wreszcie wyszarpnęła ją zza paska spodni, przy okazji obrywając guzik. Zrozumiał wtedy, że doświadczenie ma niewielkie, może była z jednym, dwoma mężczyznami przed nim. Liczył zatem, że ona podda mu się i pozwoli się całować, pieścić do woli. Tu się jednak pomylił. Nie pozwoliła przejąć mu inicjatywy nawet na chwilę. Decydowała, kiedy on będzie sprawiał przyjemność jej, żeby po chwili odwrócić rolę i kazać mu biernie przyjmować jej pieszczoty. Tak było zresztą nie tylko za pierwszym razem. Z czasem trwania ich małżeństwa wywalczył sobie okresowe prawo do dominacji, ona czasami ulegała, ale zawsze niechętnie. Najlepiej się czuła, siedząc na nim i sterując swoimi ruchami, przy pełnej kontroli. Nie zamykała oczu nigdy, nawet przy pocałunkach, patrzyła badawczo na niego, aż czasami odwracał wzrok. Wtedy, przy ich pierwszym razie, nie miał pojęcia, czy pozwoli się rozebrać i zechce uprawiać z nim seks. Ale się zdecydowała. Tyle że sama zdjęła z siebie ubranie i położyła się płasko na kanapie. Patrzyła na niego, kiedy się rozbierał. Czuł się bardzo niezręcznie. Położył się na niej i wszedł bez zbędnych ceregieli, a ona krzyknęła. Wtedy zrozumiał, że ma do czynienia z dziewicą, i prawie stracił impet. Wcześniej nigdy nie miał takiej okazji. Kochanki miał raczej doświadczone. Sądził, że ta jej potrzeba decydowania, choćby o pozycji seksualnej, wynika z niepewności czy nieśmiałości. Liczył, że

ona odda mu w końcu swoje ciało i duszę, że będzie mógł ją naprawdę posiadać, bo w tym właśnie momencie stała się jego obsesją. Inaczej mówiąc – pokochał ją.

– Bardzo trudno było ją zdobyć – powiedział do Aleksandry.

– Ale w końcu się panu udało.

– Tak i po dwóch latach udało mi się ją przekonać, żebyśmy wzięli ślub.

– Pan nalegał na ślub czy przyszła żona?

– Ja nalegałem... – Uśmiechnął się.

– Dlaczego?

– Wiedziałem, że to kobieta, z którą chcę przeżyć całe życie i mieć dzieci.

– Był pan tego pewien od początku?

– Że to ta właściwa? – upewnił się, a psychologka skinęła głową.

– Nie potrafię powiedzieć, kiedy nabrałem pewności. Najpierw się zakochałem, potem ją pokochałem...

– A to nie to samo? – Zdziwiła się.

– Nie to samo. – Nie wiedział, czy pytanie dotyczy jego związku z żoną, czy ogólnie przyjętych definicji miłości i zakochania.

– Zakochanie to stan oderwany od rzeczywistości. Chcemy tylko być z tą drugą osobą, spędzać z nią przyjemnie czas, sypiać, rozmawiać. Przeważnie nie snujemy planów, bo wszystko jest tu i teraz. Są niepokoje, porywy serca, kłótnie i godzenie...

– To oczywiste. Zrywaliście ze sobą? – przerwała mu.

– Małgosia ze mną zerwała po roku – powiedział. – Zrobiłem coś, czego nie akceptowała.

– Co mianowicie?

– Zdecydowałem ostatecznie, że nie zostanę lekarzem, tylko będę pracował w Zakładzie Anatomii.

– Z tego, co zrozumiałam, to pracował pan tam już w chwili, kiedy się poznaliście...

– Tak. – Kiwnął głową. – Ale ona tego nie akceptowała. Uważała, że to tylko „na trochę” i będę chciał być tak zwanym prawdziwym lekarzem.

– A pan nie chciał?

– Nie – odpowiedział. – Od pierwszego roku chciałem wrócić w to miejsce i tam pracować.

– I pana żona nie mogła się z tym pogodzić?

– Czują się oszukana...

Doskonale pamiętał tamto zdziwienie w jej oczach.

– Jak to, przecież to miało być tylko na trochę, na doktorat...

– Przecież od początku mówiłem, że to jest moja pasja.

– Krojenie zwłok?

Kłóciła się z nim zawzięcie. Nigdy nie sugerował, że zrobi specjalizację i zacznie pracować w szpitalu. Powtarzał jej to do znudzenia. Ona używała różnych argumentów, że szkoda wykształcenia, że to zamykanie się na różne możliwości, wreszcie powiedziała, że nie będzie mogła być z niego dumna.

Zabolało go to bardzo.

– Słuchaj – powiedział. – Zrobię wszystko, żebyś była ze mnie dumna. Ale musisz dać mi szansę.

– Oszukałeś mnie – powiedziała wtedy. – Drugiej szansy nie będzie.

Wstała i sięgnęła po płaszcz. Nie prosił, nie przekonywał. Kiedy wychodziła, powiedział:

– Kocham cię i chciałbym spędzić z tobą resztę życia, ale nawet dla ciebie nie będę uprawiał zawodu, który mnie unieszczęśliwi. – Trzasnęła drzwiami.

Aleksandra czekała na odpowiedź.

– Ona założyła wtedy, że ja jednak zastanowię się i zrobię to, czego ona i moi rodzice oczekują.

– Ryzykował pan, że ją straci...

– Wie pani, to nie jest tak jak w melodramacie. Facet powinien być sobą. Jak można mówić, że się kogoś kocha, a jednocześnie wymagać, żeby zrezygnował ze swoich pasji. I to w imię czego? Jakiejś zachcianki?

– A zastanawiał się pan, dlaczego ona wtedy tak postąpiła?

– Proszę pani... moja żona chciała, żebym coś osiągnął. Jej zdaniem miałem na to szansę tylko jako lekarz. Zaakceptowała moje zajęcie dopiero wtedy, kiedy zrobiłem doktorat. Chociaż mam wrażenie, że to na kierowniczym stanowisku zależało jej od początku...

– Sama przecież była wicedyrektorem szkoły... – Aleksandra zerknęła w swoje papiery.

– Owszem, ale to nie miało dla niej takiego znaczenia jak to, żebym ja został dziekanem, a najlepiej rektorem uczelni.

– Ale wtedy, po kłótni wróciła do pana...

– Zdała sobie sprawę z tego, że mnie kocha. Tak powiedziała...

– Co pan wtedy czuł?

– Radość, dumę, smak zwycięstwa...

Znów te idiotyczne pytania. Co może czuć mężczyzna, kiedy stawia na swoim? Spokój, dumę, pewność, że życie wreszcie osiągnęło właściwe proporcje.

– Wierzył pan, że będziecie szczęśliwi?

– Naturalnie, że wierzyłem... Nie jestem cyniczny.

Kochał ją i czuł przepelniające go szczęście. Ona z nim będzie. Zostanie matką jego dzieci, przyjacielem, z którym będzie dzielił życie. Chciał dać jej z siebie wszystko. Najbardziej pragnął zasłużyć na słowa: „Jestem z ciebie dumna”... Nigdy się ich nie doczekał. Mówiła: świetnie, wspaniale, zrobiłeś co trzeba, pokazałeś im... Ale nigdy, że jest dumna.

– Muszę poznać więcej szczegółów z państwa wspólnego życia – powiedziała Aleksandra.

– Oczywiście, tylko po co? – zapytał. – Mam wrażenie, że chce pani wiedzieć, jaka jest moja żona...

– To jest potrzebne – odpowiedziała szybko. – Kontakty z najbliższą osobą mówią wszystko, albo prawie wszystko o człowieku...

– Pewnie tak... – Nie odważył się zasugerować, żeby poznała Małgosię.

– Zdecydowałam jednak, że pozwolę na konfrontację między panem a synami. Naturalnie ja będę uczestniczyć w tym spotkaniu – wyraźnie zmieniła temat. Uniósł brwi ze zdumienia.

– Kiedy? – zapytał.

– Jeszcze dwa seanse i myślę, że będzie pan gotów.

– A moi synowie? – Zaszło mu w gardle.

– Są pod opieką psychologa – powiedziała. – To rutynowe postępowanie. Do widzenia panu.

Zostawiła go z uczuciem wdzięczności wobec niej i wieloma pytaniami. Zobaczy synów, może zdoła powiedzieć im, co się z nim stało, wyjaśnić. Zasnął tego wieczora od razu po kolacji, po raz pierwszy spał nieprzerwanie kilka godzin, a krzyk, który go obudził, był mniej głośny i nie tak ostry.

Wiosna 2012

Brzuch bolał ją coraz bardziej, a za kilka minut miała pójść na połączoną lekcję do swojej klasy i II C, której wychowawczyni złamała prawą rękę i z rozkoszą uciekła na kilkutygodniowe zwolnienie. Małgorzata miała na głowie dwie klasy, ponieważ dyrektor zapytał, czy byłaby taka możliwość, żeby połączyła swoje dzieci z tymi, jak się wyraził, „osieroconymi”. Poczowała kolejny skurcz. Ostatnio miesiączki miała strasznie bolesne. Bolesne i obfite. Jak za czasów młodości, kiedy denerwowała się, że dostępne w aptekach podpaski nie wytrzymają od przerwy do przerwy szkolnej. Pierwszego dnia okresu musiała zmieniać je kilkakrotnie, za każdym razem przeżywając męki, czy przez czterdzieści pięć minut lekcji zabezpieczenie wystarczy, a gdyby nie, to czy na szkolnej spódniczce nie uwidocznia się plamy. Najgorzej było, kiedy w taki dzień były lekcje wychowania fizycznego. Jej klasę uczył mężczyzna. Pan Błęć. Tak się nazywał, ku uciesze wszystkich. Ale był ostry i dużo wymagał. Tak samo trenował dziewczynki, jak i chłopców. Czowała przed nim respekt i za nic na świecie nie podeszłaby i nie poprosiła o zwolnienie z lekcji z powodu „niedyspozycji” czy też „spraw kobiecych”. Prędzej spaliłaby się ze wstydu. Tyle że ćwiczyła w krótkich spodenkach i męki, że coś „wycieknie”, były w takich dniach znacznie większe. Była też słabsza. Przypomniała sobie, jak nie mogła zaliczyć jakiegoś biegu, dotarła ostatnia i ledwo dyszała na mecie, a pan Błęć zacisnął stoper i zapytał z żalem: „Patacka, co się stało?”. Oblała się wtedy purpurą, a wuefista sprawiał wrażenie, że wreszcie zrozumiał przyczynę i patrząc w bok, powiedział pojednawczo: „Nie trzeba było jeść przed bieganiem. Zaliczysz za tydzień, dobrze?”. Kiwnęła głową i bardzo polubiła wtedy pana Błęcia. „Ciekawe, co się z nim teraz dzieje” – pomyślała, uśmiechając się do swoich wspomnień. „Swoją drogą – zastanawiała się, porzucając myśl o jednym z ulubionych nauczycieli – dlaczego znowu mnie tak boli? Tyle lat był spokój”. Rzeczywiście, po urodzeniu Jaśka bóle przestały Małgorzacie dokuczać, a po drugim porodzie prawie zupełnie znikły. Jedyne, co pozostało, to nieznośne napięcie i zdenerwowanie na dwa dni przed „sprawą”. W te dwa dni rodzina od zawsze schodziła jej z oczu, szepcząc po kątach, że kobiety są „drażliwe” (Krzysztof), pytając „Dlaczego mama taka jest?” (Jasiek) czy popłakując „Mama krzyczy za niesprawiedliwość” (Staś). Ale potem wszystko wracało do normy na jakieś dwadzieścia dni, żeby później zacząć się od nowa. Jak to w cyklu. Krzysztof wiedział, że nie może domagać się seksu ani w czasie okresu, co było dla niego zupełnie zrozumiałe, ani w te dwa trudne dni, do czego przyzwyczał się z czasem i nie nalegał. Rzadko zresztą nalegał na seks. Inicjował, owszem, ale kiedy mówiła: „Nie dziś”, „Jestem zmęczona” albo po prostu „Nie”, natychmiast tłumił westchnieniem i przestawał nagabywać. Kiedy ona chciała, zawsze był gotowy. Nigdy jej nie odrzucił, zawsze pragnął. Tak było do niedawna. Wszystko się zmieniło kilka miesięcy temu. Trudno nawet powiedzieć dokładnie kiedy. Nie zauważyła nawet. Na pewno przed tą nieszczęsną Toskanią, długo przedtem. Przecież dlatego tak chciała pojechać na tę wycieczkę. Początkowo zmianę kładła na karb stresu i zmęczenia. W końcu miał wiele obowiązków i był wyraźnie przeciążony. Męczyli go świętej pamięci były szef, koleżanki i koledzy chcący na jego plecach dźwignąć jakieś prace naukowe, wreszcie studenci. Może rzeczywiście czuł się osamotniony po śmierci profesora, co ciągle podkreślał. Ale przecież ona otoczyła go jeszcze większą opieką, gotowała trzy razy lepiej niż

normalnie, usuwała pył sprzed stóp. Zignorowała po raz kolejny jego prośbę, żeby przestała się męczyć i gotować, on może zjeść w pracy. Nie dała za wygraną i pakowała mu jedzenie do pudełek, zupę do słoika. Wiedziała, że mają kuchenkę mikrofalową i on może sobie obiad odgrzać i zjeść w zaciszu gabinetu. Rozumiała, że jest coraz starszy, przecież dużo starszy od niej i u mężczyzn te sprawy mogą się zmieniać. Nie nalegała i czekała. Tyle że w pewnym momencie on się odsunął, przyjął tak chętnie to, że nie musi jej niczego udowadniać, w ogóle niczego nie musi. A ona przecież wszystko rozumie. Kładł się wieczorem i zasypiał, przytulając do niej, mruczając coś niby po dawnemu, ale w tym, co mówił, wyczuwało się wyłącznie przyzwyczajenie, a nawet rutynę. Przedwczoraj za to mogło być inaczej. Mogła przełamać swój opór po tamtym ostrym seksie i jego dziwną niechęć. Zrobiła lekką kolację, otworzyła butelkę wina i zaproponowała wspólne obejrzenie filmu, na który nie poszli do kina z braku czasu. Była sobota, młodszy syn nocował jak zwykle u jakiegoś kolegi, uczyli się do kolokwium, więc nikogo poza nimi w mieszkaniu nie było. Kiedy już siedzieli naprzeciwko ekranu, położyła mu nogi na kolanach, a on zaczął masować jej stopy, co zwykle bywało wstępem do dalszych pieszczot, wreszcie do pójścia do łóżka. Tyle że on zaczął ją dotykać jakby niepewnie, nie tak po dawnemu, kiedy znał jej skórę, ale tak, jakby była delikatniejsza, krucha. Wyczuwała różnicę, chociaż nie umiała jej zdefiniować. W końcu szepnął jej do ucha: „Chcesz?”, a ona nagle okłamała go, że ma okres. Wcześniej nie musiałyby tego mówić, bo on był tak blisko niej, że wiedział, znał jej nastroje, cykle, ciało i potrzeby. Teraz podjęła decyzję. Powiedziała, że ma okres i nie może. Odsunął się zawstydzony. „Jeśli powie »Przepraszam«, to palnę go w łeb” – pomyślała, chociaż tak naprawdę nie czuła złości, a zbierało jej się jedynie na płacz. Powiedział: „Szkoda...”, a ona usiadła mu nagle okrakiem na kolanach i powiedziała:

– Ale tobie mogę sprawić przyjemność...

Miało zabrzmieć zmysłowo, a wypadło jakoś żałośnie. Miała pełną świadomość tego faktu.

– Nie, kochanie. – Odsunął ją łagodnie i uśmiechnął się krzepiąco.

– Dlaczego nie chcesz? – Nie mogła się powstrzymać i dotknęła ręką jego wypukłości, zauważając z żalem, że Krzysztof nie ma erekcji.

– Przecież chcę, tylko ty nie możesz... – powiedział, usiłując na domiar wszystkiego patrzeć w ekran i śledzić losy dwóch starszych bohaterów, które zakochały się w młodym skrzypku.

– Dlaczego mnie odpychasz? – zaryzykowała. Z westchnieniem włączył pauzę i odwrócił się w jej stronę.

– Nie odpycham – powiedział. – Nie robiliśmy tego nigdy podczas twojego okresu. Będziemy się kochać, kiedy... będzie po wszystkim...

– Przecież widzę, że już ci się nie podobam...

– Podobasz, tylko, na litość boską, masz okres! – podniósł głos.

– Wydaje mi się, jakbyś specjalnie zaczął teraz, kiedy ja nie mogę, a jak chciałam zrobić ci to sama, to byłeś zaskoczony...

– Małgosiu, zawsze miałaś dziwne nastroje podczas miesiączki... – Wyłączył film i zdenerwowany popatrzył na nią. – Ale zwykle wystarczyło dać ci spokój. Co ci się teraz stało?

– Nie wiem – powiedziała zawstydzona. – Nie rozumiem...

Uspokoił się. Przynajmniej to uzyskała, że nie odepchnął jej zdenerwowany, nie wstał i nie

powiedział, że idzie spać. Czasem trochę pokory się przydaje. Zamiast tego objął ją i pocałował. Nie namiętnie, ale jakoś tak delikatnie i czule. Mogła być zadowolona, ale zrobiło się jej jedynie mniej smutno.

– Pyszna kolacja – powiedział pojednawczym tonem. – Mogłabyś robić właśnie takie jedzonko, trochę lżejsze. Bo brzuch mi rośnie od tych twoich codziennych obiadów z dwóch dań...

– Nie rośnie ci, nie wiem dlaczego – powiedziała, oddając pocałunek.

To była prawda. Jadł więcej, a nie tył, czego nie mogła zrozumieć. Może to ten stres, od którego wszystko się zaczęło, powodował, że spalał tak jak za czasów, kiedy regularnie uprawiali seks, a Krzysztof chodził na basen.

– To fajny film, prawda? – zapytał.

– Fajny – odpowiedziała. – Wiem, że smutno się skończy. Ten chłopak porzuci te babcie dla jakiejś młodej laski i tyle go będą widziały.

– Może jednak damy szansę scenarzyście? – zapytał.

– Pewnie, włącz z powrotem, ale zobaczysz, że mam rację.

Miała rację. Chłopak wyjechał z młodą dziewczyną, a one zostały, stare i zgorzkniałe. Płakała jak bóbr, to jej się rzadko zdarzało, nawet na najbardziej romantycznym filmie. A Krzysztof już nic nie mówił, tylko obejmował ją i głaskał po głowie.

Tak było w ostatni weekend, wspominała niechętnie, bo mimo wszystko zupełnie ich to do siebie nie zbliżyło. Przeciwnie, proces oddalania się od siebie pędził z prędkością tych galaktyk, które oddalały się od siebie tym szybciej, im dalej się znajdowały. Zapamiętała kiedyś takie prawo fizyki i teraz wydało jej się doskonałą ilustracją ich małżeństwa.

– Co ci jest? – usłyszała pytanie Zuzanny.

Zupełnie zapomniała, że jest w pokoju nauczycielskim, wprawdzie dość pustym o tej porze dnia i siedzi w dodatku w swoim kąciku za szafą, ale nie powinna zwijać się i głośno syczeć z bólu. Od dawna nie rozmawiały. Od czasu jej wizyty u Renaty astrolożki. Wizyty, która prawie doprowadziła ją do hysterii. Chwilę walczyła z pokusą, żeby opowiedzieć o spotkaniu z wróżką, gwałcie w Toskanii, ale zamiast tego zgromiła Zuzannę wzrokiem.

– Brzuch cię boli? – Przyjaciółka nie dawała za wygraną.

– Nie – rzuciła. – Szukam stokrotek na parkiecie...

– Jakich stokrotek? – Zuzanna wydawała się ciągle nie kojarzyć.

– Daj mi spokój. – Wypadło to może trochę za ostro.

– O rany, przepraszam – powiedziała Zuzanna trochę za głośno. Kilka osób się obejrzało, a fizyk Antoni Kiełbicki nawet się uśmiechnął i zapytał, czy może w czymś pomóc.

– Tak, możecie mi pomóc – wyszczała. – Sprawcie, żeby Olka Tarkowska wróciła wcześniej... Użeram się ze swoją klasą i jej.

– O, biedaku. – Zuzanna miała współczującą minę. – Zupełnie zapomniałam...

– Ja niestety nie mogę zapomnieć. – Małgorzata się skrzywiła. Teraz łatwiej będzie zrzucić winę na przeciążenie.

– Ostatnio jesteś jakaś dziwna – powiedziała cicho Zuzanna.

– To dlatego?

– Moje dzieci są miłe i spokojne – zaczęła usprawiedliwiającym tonem. – No, może poza Melchiorem.. Ale jeden Melchior nie jest w stanie mi zepsuć nastroju ani rozkręcić całej klasy. Zwłaszcza że to inteligentny dzieciak..

– Na jego miejscu też bym chciała odreagować, gdyby rodzice nazwali mnie Melchior Baltazar..

– No właśnie... – Kiwnęła głową, ignorując nową falę skurczów.

– A dzieciaki Olki są pyskate, przerywają, przeszkadzają i moje się od nich uczą... Zaczynam mieć dosyć.

Rozległ się dzwonek. Małgorzata wzięła do ręki wcześniej przygotowane dwa dzienniki i powoli wstała z krzesła. Miała ochotę obejrzeć się w lustrze, czy się nie pobrudziła. Zamiast tego przyglądała włosy i ruszyła w stronę drzwi.

– Gosiu! – Zuzanna chwyciła ją za ramię tak mocno, że Małgorzata się potknęła. – Masz krew na rękach... – wyszeptała jej do ucha.

Małgorzata stanęła jak wryta i wytrzeszczyła oczy na koleżankę, która usiłowała zbliżyć swoje wargi do jej uszu najwyraźniej po to, żeby dalej cytować Szekspira.

– Czyś ty zwariowała? – Małgorzata syknęła, wyrywając rękę.

– To nie moja wina, że on umarł. Bo umarł, słyszysz? Ja go nie zamordowałam... Przestań z tym swoim Szekspirem! Nie jestem żadną lady Makbet! Zwariowałaś zupełnie!

– Ale ja... – Zuzanna otworzyła oczy ze zdumienia, patrząc na miotającą się koleżankę.

– Co ty insynuujesz...? – Małgorzata była wściekła. – I to po dzwonku, kiedy wychodzę na lekcje... szarpiesz mnie... cytujesz...

– Masz krew na prawej ręce – Zuzanna powiedziała to półgłosem, odsunęła się od niej i wyszła z pokoju nauczycielskiego.

Spojrzała na prawą dłoń. Na palcu wskazującym była długa, czerwona smuga. Zasnęta i o zmienionym kolorze, ale niewątpliwie krew. Małgorzata rzuciła dzienniki na stół i pobiegła do zlewu. Odkręciła wodę i długo myła ręce, pieniąc mydło i moczając sobie mankiety, czego nie znosiła i unikała jak mogła. W głowie jej szumiało ze wstydu. Czy to możliwe, żeby wyszła z toalety, gdzie zmieniała podpaszkę, i nie umyła rąk? Ona, taka perfekcjonistka, która nie znosiła zagięcia na ubraniu, wzór porządku i czystości, miałaby nie umyć rąk i pić kawę w pokoju nauczycielskim ręką ubabraną krwią? To było do niej niepodobne, niemal zupełnie niemożliwe. Na domiar wszystkiego rdzawa smuga przywarła do skóry i nie zeszła pod wpływem samego mydła. Małgorzata sięgnęła po myjkę i ostrą stroną szorowała palec, aż stwierdziła, że nie został tam ani jeden krwawy punkcik. Zakręciła wodę, dopiero kiedy uznała, że nie ma żadnego śladu. Westchnęła i ponownie wzięła dzienniki. Było już kilka minut po dzwonku. Trzeba będzie przeprosić Zuzannę za tę napaść. Swoją drogą to ona też jest winna. Jak można łapać kogoś za ramię i krzyczeć, że ma krew na ręku. Zupełnie jakby znów oceniała ją przez pryzmat tych swoich Szekspirowskich bohaterów. Zagotowała się ze złości. Wyszła, świadomie nie zamykając pokoju nauczycielskiego. Nie chciało jej się odnosić klucza do sekretariatu kilka minut po dzwonku, ryzykując spotkanie z dyrektorem, którego widoku stanowczo wolała uniknąć. Napięcie, jakie wytworzyło się

między nimi od czasu, kiedy suszyła mu marynarkę, potem podczas wystawy i rozmowy w sekretariacie, było dla niej bardzo trudne.

– Pokój jest zamknięty? – krzyknęła za nią Malwina, która najwyraźniej czegoś zapomniała i teraz wielkimi susami pokonywała schody.

– Nie, ktoś był, kiedy wychodziłam – skłamała.

Już widziała drzwi swojej klasy. Były zamknięte, a mimo to słyszała wrzaski prawie czterdzieścioro dzieci zamkniętych jak czterdziestu rozbójników w sezamie klasy. Minęła drzwi sekretariatu. Te otworzyły się na oścież i stanął w nich Adam Zalewski.

– O – skonfundował się nieco. – Ja właśnie do pani szedłem...

– Coś mnie zatrzymało – powiedziała. – Zwykle się nie spóźniam, nie przedłużam przerwy...

– Pani Małgorzato – przerwał jej. – Chciałbym, żeby pani do mnie przyszła po lekcjach, na kilka minut. Bardzo proszę.

Motyle zaatakowały ze zdwojoną siłą. Serce jej biło mocno, trudno powiedzieć: ze strachu czy z napięcia. Do tego dołączył się ból w podbrzuszu. Siłą woli powstrzymała się, żeby nie kucnąć albo chociaż zgiąć się, co mogło przynieść chwilową ulgę.

– A można wiedzieć, o co chodzi? – zapytała nieco zbyt obcesowo.

– O nic złego – zapewnił ją z uśmiechem. – Tyle że wymaga to kilku minut rozmowy, nie na korytarzu...

– Dobrze – powiedziała, analizując, że nie będzie mogła przeprosić Zuzanny po lekcjach, ponieważ ta wyjdzie do domu, zanim ona skończy rozmawiać z dyrektorem. Będzie musiała do niej zadzwonić albo poczekać do jutra. Motyle przycichły, zamiast tego zaatakowało poczucie winy, które umiejscowione było wyżej, w gardle, i miało smak wstydu.

– A teraz, jeśli pan pozwoli... – Pokazała brodą drzwi do swojej klasy, zza których docierał coraz głośniejszy wrzask.

– Oczywiście... – Dyrektor wycofał się do sekretariatu.

Małgorzata jednym susem dopadła klamki i miała wejść, kiedy usłyszała z góry dźwięk, coś jakby stukot, może bardziej sapnięcie. „Malwina podsłuchiwała” – pomyślała ze złością. Z impetem otworzyła drzwi klasy. Wrzask wylał się na chwilę na korytarz.

– Na miejsca! – wrzasnęła w progu. – Ale już!

Zaskoczone dzieci zastygły. Melchior potulnie zszedł z szafy na tyle szybko, na ile mógł, uważając przy tym, żeby nie stracić kwiatka. Zosia z jej klasy, która do tej pory była potulną dziewczynką, mało odzywającą się na lekcji, a teraz krzyczała, jakby ją obdzierali ze skóry, zamilkła w pół słowa i zeszła z nauczycielskiego biurka. Reszta szybko znalazła się na swoich miejscach.

– Spóźniam się pół minuty, a wy co? – krzyknęła po raz drugi.

W klasie panowała głucha cisza. Usłyszała chlipanie Amelki, najgrzeczniejszej dziewczynki w klasie i najlepszej uczennicy. Zignorowała płacz dziecka i popatrzyła na uczniów, starając się spojrzeć jednocześnie we wszystkie pary oczu.

– A wy co robicie, pytam? – znowu podniosła głos.

– Nic – wymamrotał Jan Kowalski, który w przeciwieństwie do swojego najzwyczajniejszego na

świecie nazwiska był dzieckiem zupełnie niezwykłym, obdarzonym niewiarygodną kreatywnością i wybujałą wyobraźnią. Obecnie siedział w swojej ławce z rączkami na blacie, ale z jego mokrych od potu włosów i zaczerwienionych policzków oraz smug ziemi na koszulce Małgorzata wywnioskowała, że Jan Kowalski biegał lub skakał z doniczką fuksji na głowie.

– Teraz może nic nie robisz, Janie – powiedziała już spokojnie.

– Mogę się jedynie domyślić, co robiłeś, zanim przyszedłem. A Melchior? A ciebie, Zosiu, nie znałam od tej strony... Dzieci wbiły spojrzenia w zeszyty. Amelka przestała chlupać. „Teraz powinnam zarządzić dyktando albo sprawdzian z tabliczki mnożenia” – pomyślała. Dzieci najwyraźniej czekały na swoją karę. Z ich min wywnioskowała jednak, że są zadowolone. W końcu co użyły, to ich.

– Ostatni raz tak się zachowaliście – powiedziała, grożąc im palcem. – Ostatni raz! Otwórzcie książki na czytance o wiosnie...

Czuła się lekka, brzuch jej już nie dokuczał, jedynie za mostkiem czuła delikatne mrowienie.

– Nie będzie kary? – nie wytrzymał Melchior.

– Dla ciebie będzie – powiedziała, uśmiechając się. – Chodź do tablicy, będziesz pisał, co w przyrodzie zmienia się na wiosnę.

* * *

Przedłużyła lekcję. Kiedy rozbrzmiał dzwonek, powstrzymała wstające z ławek dzieciaki gestem i spokojnie kończyła opowiadanie o przedwiosniu. Dzieci posłusznie siedziały na miejscach, aż powiedziała, że to koniec zajęć na dziś. W końcu doceniały to, że nie ukarała ich za niesubordynację. Kiedy pozwoliła im wrzucić zeszyty i książki do plecaków, a następnie powiedzieli sobie „do widzenia”, dodała:

– Wszyscy grzecznie wychodzą. Bez przepychania i popychania. Zostaje Jasiek.

Jan Kowalski drgnął, kiedy usłyszał swoje imię, ale potulnie podszedł do jej biurka.

– Z którego kwiatka wysypałeś ziemię? – spytała.

– Z palmy. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– A dlaczego na głowę? – dopytywała się.

– Bo byłem dziki... – wyjaśnił chłopiec. Wyjęła z torebki grzebień.

– Chodź – powiedziała. – Wyczesz tę ziemię. Nie możesz pójść do domu w takim stanie... A potem umyjesz się w łazience i dopiero potem pójdziesz do świetlicy.

Chłopczyk potulnie kiwnął głową i wziął od niej grzebień. Patrzyła, jak wyczesał nie tylko zaschnięte grudki ziemi, ale wyrywał skołtunione włoski.

– Nie szarp tak. – Przytrzymała mu rękę. – Powyrywasz sobie włosy.

– Odrosną... – Mały miał zaciętą minę. Wreszcie oddał jej grzebień. – A to sprzątnąć? – Wskazał bródką na kupkę piasku na podłodze.

– Poproszę panią woźną. Ona robi to lepiej.

– Ochrzani panią – powiedział Jan Kowalski.

– Jakoś sobie poradzę – odpowiedziała, tłumiąc śmiech. Bardzo lubiła tego niesfornego chłopczyka. –

Pamiętaj, żebyś umył buzię i ręce.

Wyszli razem, odprowadziła go do łazienki i dopiero potem wróciła się do sekretariatu. Nie zamierzała nic mówić woźnej. Zacznie sprzątać, to sama zobaczy piasek. Zapukała do drzwi. Weszła, mimo że nie usłyszała „proszę”. Biurko sekretarki było puste. Zajrzała w głąb do gabinetu dyrektora, ale i tam nikogo nie było. Chwilę zastanowiła się, czy czekać czy sobie pójść. Właśnie zdecydowała, że jednak nie poczeka, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich Adam Zalewski.

– Przepraszam panią, pani Małgorzato – wysapał. – Musiała pani czekać. Herbaty?

– A kto robi, kiedy nie ma sekretarki? – starała się, żeby sarkazm w jej głosie był bardzo dyskretny oraz żeby chociaż trochę zagłuszył fruujące znowu motyle.

– Ja zrobię – powiedział, uśmiechając się. – To proste. Czajnik napełniamy wodą, wkładamy torebki do kubeczków, a potem zalewamy wrzątkiem. Wyjmie pani torebkę, popularnie zwaną szczurem, kiedy uzna za stosowne. Ja po trzech minutach. Zaproponuję pani cukier, a pani odmówi, bo już wiem, że pija pani herbatę bez cukru...

– Przedrzeźnia mnie pan. – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie, ponieważ wyrażam się zrozumiale. – Nie spuszczał z niej wzroku. – Gdybym chciał panią przedrzeźnić, wygłosiłbym wykład o teinie zamkniętej w fizelinie i zanurzonej na czas wyliczony naukowo we wrzątku skupionym w stanie ciekłym, w porcelanowym naczyniu...

– Kubki są ceramiczne... – powiedziała, ale uśmiechnęła się do niego.

– Czyli mogę pani zatem zaproponować herbaty? – zapytał.

– Zwolniłem sekretarkę, bo miałem dość jej niekompetencji. Jutro przyjdzie nowa, ale na czas próbny.

– Wolałabym kawy... – powiedziała, starając się nie okazać zdumienia faktem zwolnienia pani Joli.

– Hm... – Odgarnął włosy z czoła. – To jest możliwe. Albo napije się pani kawy rozpuszczalnej bez mleka, albo da się zaprosić na kawę prawdziwą do najbliższej kawiarni lub takiej, którą pani wskaże. Zaprosił ją do kawiarni. Fakt niewątpliwy. Chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Dobrze, możemy pójść do centrum handlowego. Na parterze jest kawiarnia, któraś z sieciowych... Potem i tak muszę zrobić zakupy, więc... dobrze. – Wyglądał na uszczęśliwionego tym, że przyjęła jego zaproszenie.

– Ale porozmawiać wolałabym tutaj – powiedziała, szybko psując nieco nastrój, chociaż w jej mniemaniu dodała mu jedynie nieco tak zwanego profesjonalizmu.

– Uważam, że pani jest przeciążona prowadzeniem obu klas jednocześnie – zaczął. – Nie chodzi mi o to, że pani nie daje rady, absolutnie, tylko że pani się męczy, a i dla dzieci nie jest to dobre.

– Jak pan zauważył, daję radę – powiedziała ostrożnie.

– Uważam, że powinienem zapewnić pracownikom komfort, a dzieciom jak najlepsze warunki nauki... – ponownie się rozkręcał. – Pani Tarkowskiej nie będzie do końca roku, ponieważ ma jakieś powikłania. Zatrudniłem na jej miejsce nauczycielkę, która uzupełni tę lukę. Jeśli się sprawdzi, może nawet zostanie na stałe...

– Zamiast Oli Tarkowskiej? – zapytała. – To znaczy, nie chcę wchodzić w pana kompetencje...

– Pani Małgorzato. – Ponownie wbił w nią wzrok. – Jest ogromna różnica w poziomie klas podstawowych. Pani jest najlepszym naszym pedagogiem, dlatego tak szukam pani rady...

– Skąd pan wie, jakie są różnice...

– Zadałem sobie trochę trudu i do tej pory analizowałem państwa pracę. Nie tylko w zakresie nauczania początkowego. To dotyczy także nauczycieli innych przedmiotów. Brałem pod uwagę wykształcenie, staż pracy, doszkalanie, opinię dzieci... Przeglądałem zeszyty, analizowałem uczestnictwo w konkursach... Proszę mi wierzyć... dyrektorzyłem, jednym słowem.

Nie odezwała się.

– Jeśli chodzi o nauczanie początkowe, to pani Olga Tarkowska ma najslabsze wyniki. Mało tego, bardzo odstaje od pani i równoległej klasy pani Janiak. Czy dzieci są inne w klasie II C?

– Jeśli o to chodzi, to ja mam wyjątkowe dzieci... – zaczęła.

– Pani Małgosiu, wszystkie dzieci są podobne – w jego tonie zabrzmiało pobłażanie. – Naturalnie, w każdej klasie może zdarzyć się osobnik wybitnie zdolny albo wręcz przeciwnie, absolutnie tępy, ale średnia zawsze wypada tak samo. Dzieci w klasie II C nie umieją zachować podstawowej dyscypliny. Zresztą sama pani to świetnie wie...

– No, z tym akurat się nie zgadzam, ponieważ to dzieci z mojej klasy krzyczały najwięcej. Zapewne pan nawiązuje do dzisiejszego wydarzenia, kiedy się spóźniłam...

– Wizytowałem lekcje pani Tarkowskiej – upierał się. – Nie chodzi mi o jednorazowe przypadki.

– A dlaczego pan mi to wszystko mówi? – zapytała.

– Z dwóch powodów. – Znów uśmiech. – Po pierwsze chciałbym panią uwolnić od nadprogramowych dzieci. Proszę się skupić na swojej klasie. Po drugie... Potrzebuję kogoś do pomocy. Chciałbym, żeby została pani wicedyrektorem.

Nie spodziewała się tego. Zaskoczył ją zupełnie. Nigdy nie rozważała objęcia kierowniczego stanowiska. Myślała, że Krzysztof się do takich funkcji nadaje, że jemu się one należą. Ona miała tylko go wspierać i pilnować, żeby nie stracił szansy. Właśnie – strata szansy. Przypomniał jej się obraz kupiony na nieszczęsnej wystawie. Może to był jakiś znak.

– A dotychczasowy wicedyrektor? – zapytała, licząc się z tym, że Adam Zalewski powie ze zniecierpliwieniem, że to on tu decyduje.

– Dotychczasowy wicedyrektor spędził na zwolnieniach w zeszłym roku prawie dwa miesiące... Nie wyobrażam sobie takiej współpracy.

– A jeśli ja zachoruję? – zapytała.

– To mam nadzieję, że pani wyzdrowieje... – powiedział.

– Zaskoczył mnie pan – powiedziała, dotykając klapy żakietu. Ten gest ją zwykle uspokajał.

Adam Zalewski wstał i podszedł do okna. Okna jego gabinetu wychodziły na szkolne boisko. O tej porze trwały zajęcia wychowania fizycznego dla starszych dzieci.

– Czy może pani tu podejść? – zapytał.

Wstała i podeszła do okna. Stała za jego plecami, czując zapach bardzo dobrej wody toaletowej. Nie takiej typu „jestem macho”, tylko korzennej z kroplą paczuli. Nie pomogło to jej motylom, które spowodowały, że serce przyspieszyło rytm.

– Proszę. – Pokazał palcem boisko, gdzie chłopcy i dziewczynki grali w koszykówkę. – Chłopcy kontra

dziewczynki. Klasa II C z gimnazjum. Obserwowałem pierwszy mecz we wrześniu, przypadkowo. Chłopcy robili z tymi dziewczynkami, co chcieli. Wygrali chyba do zera. Potem o tym zapomniałem i po miesiącu dopiero spojrzałem przez okno. Dziewczyny grały już ambitniej, zmniejszały porażkę. Teraz mamy kwiecień i niech pani zobaczy – walczą zaciekle, a poziom jest wyrównany.

– I czego to dowodzi?

– Niczego, przyznaję się, że chciałem, żeby pani podeszła do okna... Żartuję oczywiście – zastrzegł, widząc jej wyraz twarzy.

– Rozumiem – odzyskała rezon. – Poprzedni wicedyrektor był mężczyzną, a dyrektorka – kobietą. Teraz pan tu rządzi i potrzebuje kobiety dla równowagi.

– Dokładnie tak. – Kiwnął głową. Ciągle pachniał kusząco. – Nie chcę tylko, żeby pani była figurantką. Ma pani mi pomagać i jeśli trzeba, walczyć ze mną. Jak te tu dziewczynki...

– Mimo wszystko muszę się zastanowić – powiedziała.

– Naturalnie. – Kiwnął głową. – Zapewniam, że jeśli pani odmówi, niczego to między nami nie zmieni. Chociaż marzę o tym, żeby pani przyjęła moją propozycję...

„Marzy o tym, żebym przyjęła jego propozycję” – powtórzyła to w myślach kilka razy.

– Kiedy mam dać odpowiedź? – zapytała.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedział. – Do końca tygodnia. W przyszły poniedziałek proszę mi powiedzieć, co pani postanowiła. Chciałbym także zaznaczyć, że wicedyrektor to nie jest honorowa funkcja...

„Przecież nie zapytałam go, ile będę dostawała” – pomyślała z lekką irytacją. Nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze, z drugiej jednak strony to też jest bardzo ważne.

– Idziemy na tę kawę? – zapytał.

– Tak. – Sięgnęła po torebkę i odgarnęła włosy, które opadły jej na czoło.

– Boże, co się pani stało? – zapytał nagle przerażony, wskazując na jej dłoń. – Czy to krew?

Przerażona spojrzała na swoją rękę. Czyżby coś zostało? Tak starannie szorowała ślady, wydarła nieomal te drobinki krwi, które tam były. Czyżby znowu coś zaniedbała? Nie, nie pozostał żaden ślad, ale tak mocno szorowała dłoń myjką, że starła skórę. Zmiana była niewidoczna w ciemnym pomieszczeniu, ale kiedy podeszła do okna, czerwona pręga uwidoczniła się w całej okazałości.

– Nie – powiedziała. – Nie mam krwi na rękach. Może już pojedziemy na tę kawę?

Skinął głową i niewiele mówił podczas jazdy i w kawiarni. Patrzył za to na nią uważnie, jakby analizując każdy kawałek jej twarzy. Nie chciała się do tego przyznać, ale nie umiała zwrócić mu uwagi. Nie mogła poprosić, żeby na nią nie patrzył. Sama wpatrywała się w pianę na kawie. Znowu nabrała się na sieciową kawiarnię. Kawa była niesmaczna, podana w wielkim, papierowym kubasie. Zmusiła się do tego, żeby wypić trzy czwarte. W końcu on płacił i nie chciała, żeby myślał, że jej nie smakuje. Wytrzymała tak niecałe trzydzieści minut, zamartwiając się, czy nie zobaczył ich ktoś ze szkoły. W końcu to nie była zwyczajna sprawa, żeby wsiadać z dykcją do jednego samochodu i gdzieś jechać. Wszyscy wiedzieli, że on mieszka na Ochocie, a ona na Bielanach.

Kiedy skończyli, nie pozwoliła odwieźć się do domu, tylko wymówiła koniecznością zakupów. Kiedy zwrócił jej uwagę, że przecież nie ma samochodu, powiedziała, że to babskie zakupy. Podała mu rękę,

którą on pocałował delikatnie. Poszła, kiedy tylko uznała, że Adam Zalewski odjechał. Była już spóźniona. Niedługo przyjdzie Krzysztof do domu, a wtedy nie będzie mogła zadzwonić do Zuzanny. Nie chciała, żeby mąż zorientował się, że ma jakieś problemy w kontaktach z koleżankami. „Jutro z nią porozmawiam” – postanowiła, prawie biegnąc w stronę domu.

Wiosna 2012

Maj był wyjątkowo zimny. Codziennie rano wkładał kurtkę, licząc na to, że będzie mógł schować do szafy ciepłą podpinkę. Słupek termometru nieubłaganie nie chciał wejść powyżej znaczka „dziesięć stopni”, tak więc Krzysztof z westchnieniem zapinał się szczelnie i wkładał czapkę na głowę. Nie znosił zimna i ciepłych ubrań. A już czapek nienawidził organicznie. W każdej wyglądał źle. W czapkach z daszkiem jak menel, w futrzance – jak stróż z lat siedemdziesiątych, w zwyczajnej – jakby szykował się do obrobienia banku. Małgosia śmiała się, że jest jak kobieta. Podobno kobiety biegają z gołymi głowami właśnie dlatego, że nie znoszą czapek. Uważają, że w żadnej im nie do twarzy.

– Do widzenia! – rzucił w przestrzeń korytarza, szybko zamykając za sobą drzwi.

Odpowiedział mu głuchy pomruk z łazienki świadczący o tym, że Małgosia myje zęby. Ucieszył się, że nie wyjdzie z pastą w ustach, żeby mu o czymś przypomnieć czy pouczyć. Ostatnio wstawał, ubierał się szybko i wychodził, naprędce pochłaniając śniadanie. Początkowo Małgosia wstawała wcześniej i towarzyszyła mu w tych czynnościach. Upierała się, żeby samej przygotowywać kanapki i zaparzać kawę, pytała, z czym mają być tosty, czy może woli jajecznicę. Kiedyś kładł jej zabiegi na karb dbałości, teraz go to denerwowało. Ona nie robiła tego z troski, tylko żeby się dowartościować. Uważała, że on nie zrobi sobie, ani tym bardziej jej, kanapki tak perfekcyjnej, jaką ona by przygotowywała. Nie sprzątnie po sobie tak, żeby nie zostawić najmniejszego okruszka, nie ustawi talerzyków ani kubka we właściwym miejscu w zmywarce. Wreszcie dała się przekonać, że on spieszy się do pracy, gdzie, jak ją zapewniał, kończy bardzo ważny projekt naukowy. Przygotowywała mu kanapkę wieczorem i zostawiała w lodówce. Chciała nastawiać ekspres na poranną godzinę, ale poprosił ją, żeby tego nie robiła. Wolał, jak jej powiedział, wypić kawę w pracy. Uciekał przed nią i wiedział o tym doskonale. Łudził się, że to nie przez Di. Wmawiał sobie, że ona nie ma z tym nic wspólnego. Ale to do niej rano się tak spieszył, żeby wypić z nią poranną kawę kupowaną w papierowym kubku (dla Małgosi nie do pomyślenia) czy też zjeść croissanty z piekarni francuskiej, które podgrzewali sobie w mikrofalach i maczali w kawie, śmiejąc się i całując po każdym kęsie. Ten rytuał dawał mu bardzo dużo radości. Rzadkie dni, kiedy nie mogli spotkać się rano, spisywał na straty, nie mówiąc o pełnych tęsknoty weekendach i wszelkich świątach.

Szybko pokonywał znaną trasę. W piekarni pani na jego widok pakowała dwa rogaliki, a w kawiarni dziewczyna od razu robiła dwie duże kawy, jedną latte, a drugą cappuccino, i podpisywała kubki: ten z latte serduszkami, a drugi uśmiechniętą buzią.

Di otworzyła mu w piżamie, rozczochrana po śnie. Uwielbiał ją taką, zasną, ciepłą, nierzadko z odgnieceniem od poduszki na twarzy. Natychmiast wykorzystywał sytuację, żeby ją wziąć szybko, ona się zwykle nie broniła, dopiero potem szła pod prysznic, a on podgrzewał kawę i rogaliki, żeby były gotowe, kiedy Di wyjdzie z łazienki. Potem szybkie pocałunki, też rytuał, objęcia, życzenia miłego dnia i miłej pracy, umawianie się, czy spotkają się po południu. Zwykle wpadał na kolejne pół godziny, czasem godzinę, żeby ją przytulić albo zwyczajnie pobyć z nią chwilę, a potem każde wracało do swoich zajęć. Tego dnia musiał powiedzieć jej, że nie przyjdzie, ponieważ ma umówione bardzo ważne

spotkanie. Powiedział, że służbowe, a Di nie pytała, co, jak i dlaczego. To była taka miła odmiana, móc coś powiedzieć, nie wywołując lawiny pytań i oceniających komentarzy. Mógł usłyszeć tylko: udanego spotkania, miłego dnia, mam nadzieję, że to nie jest kobieta, ta, z którą się spotykasz. Roześmiał się i powiedział, że owszem, to jest kobieta, ale nie „taka” kobieta, jak Di myśli. Po prostu doktorantka.

– To dla ciebie dobrze, prawda? – powiedziała Di, głaszcząc go po rękę. – Coś tam wspominałeś, że musisz mieć doktorantów.

Wzdrygnął się, jakby usłyszał Małgosię, ale uśmiechnął się do Di i powiedział, że nie, niestety. Doktoranci przydadzą mu się, ale dopiero po habilitacji. Teraz to wręcz kula u nogi, ale nie może odmówić komuś, kto chce robić badania, kto prosi.

– Pewnie, że nie można – powiedziała Di. – Kocham cię za to, że jesteś taki dobry.

– Ja też cię kocham – odpowiedział, bo mówili sobie te słowa już wielokrotnie. – Do jutra.

Poczuł lekkie wyrzuty sumienia, że ją okłamał. Dziwne, w identyczny sposób okłamał Małgorzatę, ale ona zareagowała zupełnie inaczej niż Di. Ocknęła się z apatii, na jaką cierpiała od czasu wycieczki do Toskanii, i powiedziała:

– To bardzo dobrze. Musisz mieć dwóch doktorantów do profesury.

– Po co mi teraz? – zapytał lekko zirytowany. – Tylko kula u nogi i dodatkowy czas poświęcony komuś innemu. Nic nie będę teraz z tego miał.

– A publikacje, których będziesz współautorem? – Ożywienie się zwiększyło. – Albo lepiej, niech zaczną robić badania i pisać, a otworzą przewody, kiedy będziesz już docentem. Wtedy ich doktoraty pójną na twoje konto. Wszystko można wykorzystać.

Oczywiście. Ona mogła wykorzystać wszystko i wszystkich, także nieistniejących doktorantów.

– Dobry pomysł – odpowiedział. – Dziękuję ci.

– Sam na to powinieneś wpaść – wymamrotała i poszła położyć się wcześniej.

Okłamał je obydwie. Małgosię po to, żeby mieć czas dla Di, a Di, żeby nie wiedziała, że umówił się z najlepszą przyjaciółką żony, aby o żonie porozmawiać. Umówił się z Zuzanną w kawiarni. Nie chciała z nim iść na obiad ani nie zaproponowała spotkania w swoim domu. Wydawało mu się to trochę dziwne, ale zapewnił ją, że bardzo mu zależy na tym spotkaniu i oczywiście się dostosuje. Skoro nie mogą iść na obiad, naturalnie, może być kawa. Kiedy przyszedł, Zuzanna już czekała. Trochę sztywna, chciała podać mu rękę na powitanie, ale przyciągnął ją do siebie, uścisnął serdecznie, aż jej rysy rozluźniły się nieco, a ruchy przestały być takie sztywne.

– Co słyhać, Zuzanna? – zagaił, kiedy już zamówili dwie herbaty.

– Właściwie ja chciałabym zapytać, czemu zawdzięczam to spotkanie? – Znów zrobiła się sztywna i odsunęła od krawędzi stolika.

– Chciałem z tobą porozmawiać – powiedział. – Po prostu porozmawiać o Małgosi.

– To zadziwiające – wybuchła nieoczekiwanie – że dorosła kobieta nie umie sama załatwić swoich spraw, tylko wysyła męża z mediacją! Żałuję, że się zgodziłam na to spotkanie! – Był tak zaskoczony, że chcąc ją zatrzymać, potracił cukiernicę. Cukier wysypał się na stolik, herbata zatańczyła w filiżankach.

– Zuzanno – powiedział zaskoczony, po tym jak miła dziewczyna, zapewniając, że „nic nie szkodzi”, uprzętnęła cukier. – Ja nie wiem, o czym ty mówisz...

– Małgosia cię tu przysłała, żebyś ze mną porozmawiał?

– Skąd – zapewnił. – Ona nie ma pojęcia, że się z tobą spotykam, i chciałem cię prosić, żebyś jej nie mówiła.

– Nie ma obawy – powiedziała z ironią. – Nie rozmawiamy z sobą od trzech miesięcy.

Drgnął zaskoczony. Zupełnie się tego nie spodziewał. Chciał spotkać się z Zuzanną, żeby wyjaśniła mu, skąd się wzięły dziwne nastroje Małgorzaty, jej stany apatii na przemian z wiecznymi pretensjami do niego.

– Nie wiedziałem... – powiedział.

– Jak to? – zapytała. – Przecież mówicie sobie wszystko. Jak to możliwe, żebyś nie wiedział?

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać... – zaczął. – Ona bardzo dziwnie ostatnio się zachowuje. Nie mam pojęcia, o co chodzi, i chciałem spytać ciebie.

– A nie możesz spytać jej? Do ciebie też się nie odzywa?

Ostatnio uciekał przed nią, to prawda. Niby nie chciał jej drażnić, a jednocześnie robił to, czego ona nie lubiła. Miała prawo być na niego zła, ale powiedziałyby mu o tym, starałyby się wyegzekwować to, co sobie postanowiła względem niego. A ona nic nie mówiła, a jeśli miała pretensje, to dotyczyły one tego, że ją odsuwa na boczny tor, nie opowiada jak dawniej o pracy. Gdzieś z tyłu głowy kołatało mu także, że tamten dzień w tokańskim hotelu zmienił między nimi wszystko. Tęsknił tak bardzo za Di, że postanowił z tej tęsknoty przelecieć własną żonę, i to tak, jak nie pieprzył ani jej, ani kochanki. Co mu strzeliło wtedy do głowy? Małgosia na początku udała zadowolenie, a potem zachowywała się, jakby zaczęła się go bać. Ta uraza pogłębiała się i prawie się do siebie nie odzywali. Ona nie inicjowała zbliżeń, więc teoretycznie powinien być zadowolony. Nie chciał z nią przecież sypiać, skoro kochał się regularnie z Di. Musiał ją sobie wyobrażać, żeby zaspokoić żonę, kiedy ta miała ochotę na seks. Nie umiał jej odmówić, ale nie mógł także poddawać jej się jak dawniej, jak przez cały czas trwania ich małżeństwa.

– Odzywa się do mnie, tylko... Zmieniła się i nie wiem, o co chodzi – powiedział. – Nie umiem z nią rozmawiać. Każda rozmowa kończy się odpytywaniem mnie i rozliczeniem albo pretensjami, że nie chcę jej czegoś powiedzieć.

– I ja mam ci wyjaśnić, co między tobą a twoją żoną jest nie tak? – Znów ta ironia.

– Przepraszam cię – powiedział. – Naprawdę, Zuzanno, nie chciałem cię urazić. Tylko myślałem, że skoro jesteście, przepraszam... byliście najlepszymi przyjaciółkami, a my dwoje znamy się i lubimy, to myślałem, że może...

Zamilkł, zapętliwszy się w wyjaśnieniach.

– Tyle razy zastanawiałam się, co się z nią stało. Jednego dnia zwierzyła mi się z tego, że oddalacie się od siebie. Potem przestała się odzywać. Myślałam, że to dlatego, że się odsłoniła. Wiesz, ona nie była tak naprawdę moją przyjaciółką. Bliższą koleżanką jedynie...

– Co ty mówisz – zaprotestował. – Przecież spotykaliśmy się...

– Kiedy ostatni raz zadzwoniłeś do Marka? – spytała. – Albo zastanawiałeś się, co też tam u nas słychać...

To prawda. Nie bywali u nich ostatnio, ale nie wiedział o kłótniach między dziewczynami. Zawsze

uważał Woroszyłskich za przyjaciół. Rozluźnienie kontaktów kładł na karb braku czasu, zaganiania. Świat tak przecież pędził do przodu, a on miał tyle obowiązków.

– Ostatecznie pokłóciłyśmy się o bzdurę – powiedziała. – Miała zabrudzoną rękę, powiedziałam jej to, a ona zaczęła krzyczeć, że ją napadam, oceniam i cytuję Szekspira...

– Nie bardzo rozumiem – przyznał się.

– Ja też nie – odpowiedziała. – Ten jej wybuch wtedy był bardzo dziwny. Oczekiwałam, że po lekcjach przyjdzie i powie coś w stylu, że ma tyle na głowie albo że ty ją wkurzasz... Nawet oczekiwałam jakiegoś „przepraszam”. Ale od tego czasu nie odezwała się do mnie ani słowem.

– Nic mi nie mówiła... – przyznał. – Może dlatego jest taka?

– Zanim to się stało, też była podenerwowana. Zwierzyła mi się przecież, że między wami jest coś nie tak.

Gorąco uderzyło mu do głowy. Czyżby zauważyła, że w jego życiu jest inna kobieta? Ale przecież gdyby tak było, powiedziałyby mu to wprost.

– Kiedy tak ci powiedziała?

– Na imprezie u nas. – Zuzanna pokiwała głową, dopijając herbatę. – Trochę szczegółów dorzuciła, ale jak to ona... Nic na zewnątrz.

– Chodziło o moją pracę? – zapytał.

– Krzysztof... – Zuzanna sięgnęła po widelczyk i zaczęła jeść zamówioną szarlotkę. – Ja nie chcę się wtrącać w wasze problemy małżeńskie.

– Ale ja cię o to nie proszę...

– Prosisz. – Oblizywała widelczyk. – Potem się pogodzicie, a ja będę be... Mogę ci tylko powiedzieć, że jej funkcja nie miała na to wpływu. Została wicedyrektorką po tym, jak się pokłóciłyśmy.

Mało nie zadławił się swoim kawałkiem sernika.

– Jest wicedyrektorem?

– O tym też ci nie powiedziała? – Zuzanna wyglądała, jakby zobaczyła ducha. – To chyba między wami jest naprawdę źle...

– Tak, to znaczy nie... – Nie wiedział, co o tym myśleć. – Nie powiedziała mi o czymś takim... Dlaczego?

– Nie do mnie z tym pytaniem...

– Zuzanna – powiedział. – Ja cię jeszcze raz przepraszam...

– Nie musisz przepraszać. Miło było się z tobą spotkać. Raczej nie mamy szans na rodzinne party, więc...

– A nie możesz wyciągnąć do niej ręki na zgodę? – zapytał, czekając na pełne oburzenia wywody o kobiecej godności.

– Próbowałam – odpowiedziała spokojnie. – Jej nominację pan dyrektor ogłosił kilka dni po naszej kłótni. Podeszłam i pogratulowałam jej. Na samym końcu, specjalnie, żeby było bez świadków. Myślałam, że obejmie mnie i coś tam powie. Cokolwiek. A ona nic. Podziękowała grzecznie i obojętnie. Odwróciła się na pięcie... Prawie jej nie widuję.

– Przecież siedzicie w jednym pokoju... – Słuchał tego wszystkiego jak oniemiały.

– Opróżniła biurko i przeniosła się do gabinetu na dole, przy dyrektorskim.. Nie miałam żadnej oficjalnej sprawy do tej pory i nawet tam nie byłam.

– Ja nic nie wiedziałem... – powtarzał w kółko. – Zupełnie nic...

– O wróżce pewnie też ci nie powiedziała? – Miał wrażenie, że Zuzannie jest go autentycznie żal.

– O wróżce? – zapytał słabo.

– Kiedy mi powiedziała, że coś jest między wami nie tak, posłałam ją do mojej znajomej, do astrolożki.

– Poszła?

– Poszła. – Kiwnęła głową. – Ja u niej byłam, kiedy my z Markiem mieliśmy kryzys, i to pomogło. Wcześniej byliśmy na terapii, ale nie pomogła. Dlatego poleciłam tę astrolożkę Małgosi.

– Wróżka... – Był coraz bardziej zdumiony. – Nigdy bym jej nie posądził o coś takiego.

– Była niezadowolona – kontynuowała Zuzanna. – Nie mówiła o szczegółach, a nie pyta się o takie rzeczy, ale powiedziała, że tamta nie udzieliła jej dobrej rady.

– Jakiej rady?

– Małgorzata powiedziała mi, że traci nad tobą władzę czy wpływ, nie pamiętam dokładnie, co powiedziała, ale taka była wymowa. Chciała wiedzieć, co ma zrobić, żeby to odzyskać.

– Władzę nade mną? – Z pewnością nie zapomni tej rozmowy do końca życia.

– Renata powiedziała jej, że nie może tego robić, starać się wszystko kontrolować, nadawać sprawom bieg...

– Wróżka jej tak powiedziała?

– Astrolożka, właśnie. – Zuzanna patrzyła współczująco. On wbity w krzesło nie umiał się odnaleźć w zasłyszanych informacjach. – Krzysztof, ja tego nie wiem od Małgosi. Zapytałam Renatę. Ona nie bardzo mogła mówić... Coś w stylu tajemnicy spowiedzi...

– U wróżki? Spowiedź? – Nic nie rozumiał.

– U astrolożki. – Zuzanna ścigała ostatni okruszek na talerzyku, jakby życie jej od tego zależało. – Przecież nie może powiedzieć o przepowiedni dotyczącej innej osoby. Coś jak ksiądz przy spowiedzi. Takie swobodne skojarzenie... Krzysztof, ja nie mam wiele czasu...

Zuzanna wyraźnie czuła się coraz bardziej niezręcznie i robiła wszystko, żeby zakończyć tę dyskusję.

– Jeśli chwilę poczekaasz, aż zapłacę, to odprowadzę cię... – Miał nadzieję na jeszcze chwilę rozmowy. Poczekała. Przy rachunku zapomniał reszty, potem z kolei wziął wszystkie pieniądze i nie dał miłej dziewczynie napiwku.

– Zastosowała się do tych rad przynajmniej w pracy? – zapytał, kiedy zimne powietrze uderzyło go w twarz.

– Raczej wręcz przeciwnie – odpowiedziała Zuzanna, stając przed furką swojego domu. – Miesiąc po tym zwolniła Malwinę.

– Tę biolożkę? – upewnił się. – Dlaczego?

– Oficjalnie zwolnił ją dyrektor, bo Malwina nie ma nominacji. Ale Małgorzata wiedziała o tym,

a Malwina załaziła jej za skórę...

– Jak to?

– Rozpuszczała plotki o tym, że Małgosia i nowy dyrektor...

– To niemożliwe, żeby Małgorzata zrobiła coś takiego. Ona jest dobra, tylko...

– Tylko co? – Zuzanna otworzyła furtkę. – Nie toleruje sprzeciwu? Kto nie z nią, ten przeciw niej? Idę już, Krzysztof, do domu...

– Oczywiście. – Złapał ją za rękę. – Przepraszam cię i dziękuję.

Zuzanna poczłapała po schodach do domu. Przy drzwiach się odwróciła.

– Ja jej nie atakuję – powiedziała. – Może mnie nie wyrzuci z pracy...

Stał jak porażony jeszcze kilka minut po tym, jak dawna przyjaciółka Małgorzaty zniknęła w drzwiach.

Zima 2012

Siedział nad ankietą z pytaniami dotyczącymi zachowań własnych i jego żony. Odpowiadał cierpliwie na te durne pytania, autorstwa samej Aleksandry. Uprzedziła go, że na część pytań będzie musiał odpowiedzieć na piśmie. Właściwie był zadowolony, ponieważ miał czas na zastanowienie się nad właściwą odpowiedzią. Pytania były dość naiwne, niektóre wręcz śmieszne. Na przykład takie: „Co pan czuł do kochanki?”. Zastanowił się, co właściwie do niej czuł.

Nie znosił tych dni, kiedy musiał zrezygnować ze spotkań z nią. A już zwłaszcza złościło go, kiedy nie mógł jej zobaczyć ani rano, ani po południu. Zdarzało mu się tak o niej myśleć. Że jest kochanką. Nie, nikim więcej, tylko kochanką, ale aż kochanką. Przecież to słowo zawiera w sobie tę najważniejszą część „kocham”. Kiedy nie mógł jej zobaczyć – bolało go całe ciało. Ostatnio było wiele takich dni. Bolesnych, napiętych do granic możliwości, pełnych rezygnacji. Męczyła go myśl, że ona tak tego nie odczuwa. Jej fascynacja nim wyraźnie przygasła. Widywali się w dni robocze, prawie codziennie rano, ale na krótko, i Krzysztof zauważył, że spotkania zaczynają być podszyte rutyną. Jak dawniej przyjmowała go do siebie i zamykała nad nim ciepłe ciało, ale wypuszczała już nie tak niechętnie, nie z westchnieniem, nie kazała się zapewniać, że przecież po południu wróci i spędzą razem jeszcze godzinę lub dwie. Stanowczo musiał coś zrobić, żeby dawna namiętność wróciła. Przecież powinien teraz zdecydować o tym, czy spędzi z tą dziewczyną resztę życia. Może w końcu dojrzał do tego, żeby powiedzieć Małgosi, że już nie może dłużej z nią być, podporządkowywać się jej bez reszty, robić wszystko, czego chce ona. Może przyszedł na to czas. Może zdobędzie się na taki krok. Przecież może być z osobą zupełnie inną i mieć życie także zupełnie inne. Wtedy bezustannie myślał o obydwu. Jedna i druga, ogień i woda. Dwie skrajności. Te porównania nie opuszczały go zresztą nigdy. Małgosia nawet w początkach ich związku nie zadawała pytań. Wolała poznać go przez obserwację. Stawiała w sytuacjach ekstremalnych i patrzyła, jak się zachowa. Męczyło go to oczywiście, ale było wyzwaniem. No i Małgosia... to była kobieta. Nigdy nie była dziewczyną. Prawdopodobnie już w momencie urodzenia się była kobietą, kobietką, ale nigdy dziewczynką. Di za to była wieczną dziewczyną, „jego dziewczynką”, jak lubił do niej mówić. Ona też to lubiła. Mówiła: „Chodź i przytul swoją dziewczynkę”. Nie tylko przytulał, ale kołysał i gładził po włosach. Jak dziecko, córkę, której nie miał.

Kolejne pytanie: „Najtrudniejsza próba przebyta wspólnie z żoną. Proszę opisać”. To było dobre. „Nie macie pojęcia, jak wiele trudnych prób z nią przeżyłem” – zaśmiał się w myślach. Ale gdyby miał wybrać jedną historię, to na pewno tę o jej matce. Rzeczywiście, to mogło się Aleksandrze spodobać. Prawie o tym zapomniał, wśród tylu świeższych i bardziej tragicznych wspomnień, to wyparł ze świadomości.

Przypomniał sobie bez trudu ten dzień, kiedy otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka. Miał wtedy wrócić później. Darowane godziny początkowo zamierzał spędzić u boku Di, ale ona po raz kolejny musiała dopatrzeć sesji zdjęciowej, której była producentką, a potem dopilnować, żeby zdjęcia zostały dobrze wykorzystane. Nie miał siły siedzieć w pracy, chociaż miał wiele zaległości i te dwie godziny pozwoliłyby mu uporać się chociaż z częścią z nich. Próbował nawet zacząć jakieś papierkowe prace,

ale szybko zrezygnował. Głowa go bolała, coś w piersiach dusiło i wszystko w nim krzyczało, że nie chce tej pracy, nie chce wrogo nastawionych pracowników.

Czuł się samotny po śmierci profesora, bardziej niż po śmierci własnego ojca, która bolała go krótko. Ojciec zmarł po dłuższej chorobie, profesor nagle, osierocając Krzysztofa i pozostawiając samego z problemami.

– Małgosiu? – zawołał w głąb korytarza. Spodziewał się jej w domu, wiedział, że w środy kończy wcześniej, czasem odwiedza rodziców po pracy, ale zasadniczo wraca do domu, gdzie obmyśla, jak za pomocą trzydaniowych obiadów i argumentów nie do odrzucenia zmusić Krzysztofa do jeszcze cięższej pracy. Nie było jej w kuchni ani w hallu. Drzwi od sypialni były zamknięte. Postąpił chwilę pod tymi drzwiami, ale ze środka nie przeniknął żaden szmer. „Może śpi?” – zastanawiał się. „Dlatego zamknęła drzwi”. Zastanawiał się, czy wejść i sprawdzić. Jeśli wejdzie i ją zbudzi, może być zła, że nie domyślił się, że chciała spokoju i dlatego odseparowała się od niego. Jeśli chciała sprawdzić, czy jeszcze go obchodzi, wtedy rozgniewa się na niego, że nie wszedł, oskarży, że nic go nie interesuje. Powie, że mogła umierać za tymi zamkniętymi drzwiami, a on nawet nie zajrzał. W myślach zrobił bilans zysków i strat. Zdecydowanie przeważała koncepcja sprawdzenia, czy Małgorzata śpi. Spała. Jak zwykle na prawym boku, z ręką pod głową, wyprostowana. Nie pamiętał, żeby zwijała się w kłębek albo przewracała na brzuch. Z ulgą zamknął drzwi. Poszedł do kuchni, starał się poruszać bezszelestnie. W lodówce na półce zobaczył kotlety, surówkę i ugotowane ziemniaki. Włożył to wszystko do mikrofal, nawet surówkę, a potem zjadł, rozkoszując się samotnością w domu i zapachem codziennej gazety. Potem położył się na kanapie w pokoju, przykrył kocem i natychmiast zasnął. Śniła mu się Di, która ciągnęła go za rękaw i śmiała się, ale co dziwne – nie słyszał jej głosu. Potem zobaczył Małgorzatę na rowerze, która prawie wjechała mu pod koła samochodu. Dziwny sen, zważywszy, że Małgorzata potrafiła wprawdzie jeździć, ale odkąd chłopcy przestali chodzić do szkoły podstawowej, nie była na wycieczce rowerowej. Wielokrotnie namawiał ją, żeby pojechali gdzieś na piknik we dwoje, ale ona zwykle odmawiała. Czasem jeździł jeszcze na krótkie wycieczki sam, ale w końcu oddał swój stary rower Jankowi i zetknął się z tym pojazdem ponownie dopiero wtedy, kiedy omal nie pozbawił życia Diany.

– Dlaczego mnie nie zbudziłeś? – drgnął, kiedy usłyszał głos żony.

– Spałaś – odpowiedział tonem usprawiedliwienia. – Zjadłem i też się zdrzemnąłem.

– Powinieneś mnie zbudzić.

Usiadła w fotelu i zaczęła płakać. Było to tak nieoczekiwane, że w pierwszej chwili nie zapytał, dlaczego płacze.

– Chodzi o to, że zjadłem sam? – spytał zaskoczony. – Możemy zjeść razem kolację...

– Jaką kolację? – Podniosła mokrą twarz. – Czy ty musisz myśleć zawsze tylko o sobie? Czy ty zawsze musisz tylko roztrząsać własne ja...

Pomyślał, że dowiedziała się o Di. Ktoś ich widział i jej powiedział. Co mógłby zrobić? Trzeba zaprzeczyć, powiedzieć, że to koleżanka z pracy, nikt istotny...

– Mama umiera – wyrzuciła z siebie i ponownie schowała twarz w dłoniach. Wstrząsał nią szloch.

– Jak to mama umiera? – zapytał zaskoczony. – Małgosiu, jak to?

– Umiera – szlochała. – Ma jakiegoś raka i umiera...

– Ale jak to? – pytał, jakby nie był lekarzem i nie rozumiał, o czym mówi jego żona. – Od kiedy?

Nie odpowiedziała. Pozwolił jej się wypłakać, głaszcząc ją po plecach i głowie. Wreszcie wstała i poszła do łazienki. Umyła twarz. Wróciła blada i zapuchnięta od płaczu, bez makijażu. Nie naciskał. Czekał, aż zacznie sama opowiadać.

– Mama dowiedziała się dziś, że ma raka. Nieuleczalnego. Lekarze dają jej miesiąc życia.

Zawsze się dziwił, słysząc na filmach, jak „lekarze” na pytanie: „Ile mi jeszcze zostało?” odpowiadają z powagą: „Trzy miesiące”. W życiu tak to przecież nie działa. Bardzo ciężko jest przewidzieć, kiedy życie ucieknie z człowieka. Nawet bardzo chorego. A jego teściowa była osobą zupełnie zdrową, skarżącą się na serce, ale bez żadnych większych dolegliwości.

– Małgosiu – wziął ją za rękę – gdzie ten nowotwór? Czy możesz mi podać jakieś szczegóły?

– Moja matka umiera! – krzyknęła. – Jakie szczegóły cię interesują? O co ci chodzi?! – Przecież miał prawo zapytać. To naturalne. Próbował ją uspokoić.

– Pytam, bo przecież jestem lekarzem...

– Jakim lekarzem? – wciąż mówiła podniesionym głosem. – Jakim niby? Od trupów! A ona jeszcze żyje! Więc odczep się, słyszysz? Zajmij kolacją, bo pewnie tylko to cię interesuje. – Wiedział, że była zdenerwowana, ale nie chciał usprawiedliwiać tego wybuchu. Już nie. Wstał i się ubrał.

– Jadę do twoich rodziców – powiedział spokojnym tonem, ale postarał się, żeby usłyszała w nim urazę. – Dowiem się, jak mogę pomóc.

– Nie chcę, żebyś jechał, słyszysz? – Już nie krzyczała, tylko cicho płakała. – To moja mama...

– Jedź ze mną – zaproponował wciąż spokojnie. – Tylko się ogarnij. Lepiej, żeby nie widziała cię w takim stanie...

– Nie pojedę. – Zasłoniła się rękoma, jakby spodziewała się uderzenia. – Chcę ją zapamiętać żywą!

Wyszedł z domu. Jechał bocznymi drogami, analizując jej wybuch, bezładne słowa pozbawione sensu, z których nie wynikała ani troska o matkę, ani strach przed jej utratą. To, co mówiła, było egoistyczne, złe. Wobec niego i wobec niej. Zadzwoił do teściów z komórki. Nie było bardzo późno, ale nie chciał, żeby położyli się do łóżek. Odebrał teść, cichy, zdominowany człowiek, pozbawiony zupełnie osobowości. Wiedział od Małgorzaty, że Krzysztof do nich jedzie. Potwierdził, że czekają i cieszą się, że wszystko im wyjaśni. Westchnął. On sam chciał wyjaśnień, zadawał sobie w kółko pytanie, jak to jest możliwe, przecież z teściową spotykali się regularnie, przynajmniej Małgorzata. On sam widział ją chyba jakieś sześć tygodni temu. Wyglądała tak jak zwykle, nie była ani chudsza, ani bledsza. Po dawnemu energiczna, na wspólny obiad przyniosła sernik, który ustępował tylko sernikowi Małgosi.

– Czy ty chcesz rozmawiać z mamą? – zapytał teść, kiedy Krzysztof wszedł. – Położyła się jednak do łóżka.

– Przede wszystkim chciałbym dowiedzieć się, o co chodzi. Z Małgosią nie udało mi się porozmawiać. Płacze, histeryzuje...

– Bo ona bardzo Basię kocha. – Pokiwał głową teść. – Nasza córeczka kochana, oczko nasze w głowie... – Zawsze mówił o córce, jakby była małą dziewczynką, a Małgosia nazywała go tatusiem. Z matką nie miała aż tak bliskich relacji.

– Co się stało? – zapytał, kiedy już dostał do ręki obowiązkowy kubek herbaty i ciasteczka owsiane.

– Zjedz ciasteczka – powiedział teść. – Napij się herbatki. Pewnie zmęczony jesteś.

– Tato, proszę cię...

– Mama trochę źle się czuła i poszła do naszej doktor...

– Co to znaczy – źle się czuła? – przerwał mu.

– Była osłabiona – teść bardzo się starał wyrażać precyzyjnie.

– Kilka dni temu rano zakręciło jej się w głowie, kiedy wstawała z łóżka.

– Może ciśnienie – powiedział.

– Tak pomyślałem. – Kiwnął głową, biorąc ciastko grubymi palcami. – Ale wiesz, jaka jest mama. Ona z każdą głupotą lata do doktora. Ciągłe wymyśla jakieś choroby. Od razu kazała mi iść po numerek. No i w skrócie rzecz ujmując – porobili badania i okazało się, że rak...

– A tak nie w skrócie? – Krzysztof mimo drzemki czuł się bardzo zmęczony.

– Kobiece narządy – teść wypowiedział te słowa z pewnym zażenowaniem. – Ma przerzuty wszędzie...

– Kto to stwierdził? Lekarz rodzinny?

– Nie, to już pewne. Onkolog w tym dużym szpitalu.

– Kiedy tam byliście? Przecież to nie jest kwestia jednego spotkania... Będzie operacja? Leczenie?

– Nie, Krzysiu. – Teść westchnął. – Ona ma te przerzuty nawet w kościach i w mózgu. Lekarz wytłumaczył nam, że mógłby zrobić chemię, ale to nie pomoże i w dodatku... – Krzysztof nie wierzył własnym uszom.

– ...w dodatku ona ma bóle i będzie dostawała morfinę... jak narkomanka.

– A mama jak to przyjęła? – zapytał.

– No wiesz. – Teść wyglądał na dezorientowanego. – Nie rozmawialiśmy jeszcze na ten temat. Kazała mi przywieźć do domu Gosiunię i pojechałem do niej do szkoły. Rozmawiały, ale mama kazała mi wyjść. Więc nie wiem, co i jak.

– Ale – zaczął Krzysztof – dlaczego nie zwróciliście się z tym do mnie? Ja bym przecież pomógł, wszędzie zawiózł.

– Ale myśmy, synku, dawali sobie radę. – Teść pokiwał smutno głową. – Ja pewnie powiedziałem, że ona jak zwykle przesadza. I teraz wiesz, to tak, jakby to była moja wina.

– Bzdura. – Oburzył się. – Jak to ojca wina? Przecież nowotwór to niczyja wina. Na pewno nie ojca...

– Gosiunia też tak myśli – powiedział cicho. – Nie chciała ze mną rozmawiać. – Pomyślał, że „Gosiunia” zaprezentowała szczyt egoizmu, skoro nie starała się ojca pocieszyć, tylko pobiegnęła płakać do domu.

– To bzdury, tato – powiedział kategorycznie. – Ona wcale tak nie myśli. Była tylko w szoku.

– Na pewno w szoku. Biedne dziecko, straci matkę. – Wciąż kiwał głową.

– Jak wam pomóc? – Krzysztof otrząsnął się nieco. – Może jednak spróbujemy tej chemii?

– Basia się nie zgadza – powiedział. – Już rozmawiała o tym z doktorem i powiedziała Gosi.

– A Małgorzata nie próbowała jej przekonać?

– Czemu jej nie spytasz? – Teść popatrzył przenikliwie. – Ja mam od Basi polecenie, żeby załatwić

domowe hospicjum.

– Oczywiście – powiedział Krzysztof – ja zaraz jutro...

– Nie ma potrzeby, synku – przerwał mu teść. – Już dzwoniłem, wiem wszystko. Pani doktor przychodzi z rana... Basia się pożegnała z Gosią.

– Jak to pożegnała? – spytał Krzysztof. – Przecież nie wiadomo, jak szybko choroba będzie się rozwijać...

– Doktor powiedział, że miesiąc – upierał się teść. – Basia nie chce już widzieć Gosi. Jasia i Stasia też nie chce. Niech ją zapamiętają żywą.

Krzysztof zastanawiał się, czy teść nie bredzi w szoku. Jak to – mają więcej teściowej nie odwiedzać? Nie przyjść z dziećmi? Jak to jest możliwe, żeby Małgosia nie odwiedziła więcej matki?

– Tato – spróbował. – Co ty w ogóle mówisz? Ja jutro z rana...

– Nie – przerwał mu teść po raz kolejny. – Tak sobie życzy Basia i to jest jak rozkaz. Dla nas wszystkich. Idź już do domu i zajmij się Gosieńką, która straci matkę.

Krzysztof wracał do domu okrężną drogą. Chciał uporządkować myśli, ale nie był w stanie. To nie było normalne zachowanie wstrząśniętej rodziny. To musiał być jakiś szok, absolutne zaskoczenie. Ale zaraz porozmawia z Małgosią i wszystko się wyjaśni. Zajmą się Basią wszyscy razem. Może nawet uda im się przekonać ją do chemioterapii. Może to przedłuży jej życie. Musi tylko się dowiedzieć, jakie są rokowania, rozmiary przerzutów, szanse...

Małgorzata już spała. Zdecydował, że nie zaśnie, zanim z nią nie porozmawia. Próbował ją zbudzić, kilka razy usiłował mówić w nadziei, że ona tylko udaje, że śpi. Wreszcie dał za wygraną. Po raz drugi pościelił sobie na kanapie w pokoju, nie chciał z nią spać. Jako pretekstu użyłby jej zachowania, powiedział, że ona nie chciała z nim rozmawiać, a co dopiero spać. Gdyby miała więcej pretensji, mógł wytoczyć ciężkie działo, mianowicie że wie o jej funkcji i czuje się osobiście urażony tym, że jemu, najbliższej osobie, żona nie powiedziała ani słowa. „Skoro tak – rozmawiał z nią w myślach – to zastanów się, czy ja jestem ci w jakiś sposób bliski”. Ale Małgosia nie pytała, nawet nie zauważyła, że nie było go koło niej w nocy.

Nadeszły dziwne dni. Krzysztof z niedowierzaniem obserwował umieranie matki Małgorzaty. Chociaż „obserwował” to zupełnie nie było właściwe słowo. Lepiej byłoby powiedzieć – nie dane mu było być świadkiem. Po tamtej wieczornej wizycie, podczas której nie spotkał się z teściową, nie widział jej już więcej ani żywej, ani umarłej, ponieważ nie dopuszczono go nawet do kostnicy. Małgorzata także nie widziała już matki. Ciągłe się nad tym zastanawiał i nie dowierzał temu, że można tak zupełnie zgodzić się z wolą starszej kobiety, żeby jej nie odwiedzać i w żaden sposób nie towarzyszyć w chorobie. Dla niego było to niepojęte. On sam nigdy by się na coś takiego nie zgodził w odniesieniu do własnych rodziców, obojętne, czy ojca, czy matki. Jego własna mama zmarła wiele lat temu na serce, bardzo schorowana, po kilku zawałach. Do końca woził ją na badania kardiologiczne, miała wszelkie możliwe zabiegi. Nie mógłby powiedzieć, że cokolwiek przeoczył, nie skorzystał z jakiejś możliwości terapii. Gdyby zachorowała na nowotwór, nie spocząłby, dopóki nie przekonałby jej do konieczności poddawania się chemii, choćby tylko podtrzymującej życie. Może dlatego, że był lekarzem. Mimo braku praktyki klinicznej był mocno osadzony w medycynie i na pewno nie pogodziłby się z umieraniem bliskiej osoby, przy zupełnej obojętności bliskich. Dla niego właśnie w taki sposób teściowa odchodziła.

Otoczona obojętnością. Małgorzata wprawdzie chodziła po domu, powłócząc nogami, i bez przerwy wzdychała. Była zamknięta w sobie albo rozdrażniona i co chwila wybuchała płaczem. Nie gotowała prawie w ogóle, co Krzysztof przyjął z ulgą, ponieważ chętniej stołował się w pracy albo u Di. Jedyną korzyść z umierania teściowej dotyczyła możliwości ponownych spotkań z dziewczyną, której nie powiedział naturalnie, dlaczego nie musi już wracać szybko do domu, tylko znowu ma dla niej czas. Wieczory w domu były jeszcze większą gehenną niż dotychczas. Małgorzata mówiła tylko o tym, że zostanie na świecie „sama”, wszystkim obojętna. On, zaciskając zęby, protestował, pytając, jak może tak mówić, przecież jest w otoczeniu bliskich. Długo nie miał odwagi rozmawiać na temat tej dziwacznej decyzji, ale któregoś dnia nie wytrzymał kolejnego ataku płaczu i powiedział, że w najbliższą niedzielę wybiera się z chłopcami do hospicjum, ponieważ uważa, że powinni pożegnać się z własną babcią.

– Nigdy – powiedziała stanowczo Małgorzata. – Mama sobie tego absolutnie nie życzyła.

– Wiem, że sobie nie życzyła – powiedział. – Ale moim zdaniem takie podejście jest okrutne i dla niej, i dla nas.

– To nie twoja matka – odpowiedziała. – Nie ty będziesz decydował.

Bardzo go zabolaly te słowa. Lubił tę kobietę tak podobną i jednocześnie niepodobną do swojej córki. Nie narzucał się ze swoją sympatią, ale był pewien, że ona ją czuła i odwzajemniała. Z teściową łączyło ich milczące porozumienie, czasami przeciwko Małgorzacie. Teściowa wielokrotnie „mediowała”, kiedy Krzysztofowi wybitnie na czymś zależało, na przykład na edukacji dzieci albo na wsparciu jakiegoś projektu domowego. Nie zawsze te mediacje kończyły się dla Krzysztofa sukcesem, ale doceniał wkład emocjonalny Basi, jak ją nazywał za obopólnym przyzwoleniem. Co więcej, jego mama świetnie czuła się w jej towarzystwie, a gorzej przy własnej synowej, której z wysiłkiem i dla „dobra wnuków” okazywała serdeczność.

– Małgosiu – postanowił nie okazać urazy – to nienormalne. Wygląda to tak, jakbyśmy się nie interesowali.

– Tak sobie życzyła...

– Czasami takie życzenia są wołaniem o pomoc, zainteresowanie, życzliwość... Dlaczego w przypadku Basi miałyby być inaczej?

– Moja matka całe życie była powierzchowna. – Małgorzata wygłaszała te szokujące dla Krzysztofa słowa z niezmaconym spokojem. – Interesowało ją tylko to, jak wygląda, gdzie spędzi wakacje, jakich ma znajomych. Wydaje mi się, że nie chce nikogo widzieć, bo jest bezradna.

Chwilę w zdumieniu analizował słowa, które usłyszał. Wydawało mu się, że Małgosia mimo wszystko jest związana z matką. Odwiedzała ją często, przynajmniej raz w tygodniu, jeździli do teściów na wakacje i obiady, spotykali się we wszystkie święta. Teraz słyszał, że to była tylko fasada ukrywająca, co, no właśnie, co?

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

– Dosłownie – powiedziała. – Ona chce być sama. Skoro tak powiedziała, trzeba to przyjąć do wiadomości.

– Ale ja nie chcę „przyjmować tego do wiadomości” – zaprotestował. – To jest bliska mi osoba. Chcę pomóc, chcę się z nią pożegnać. Chciałbym, żeby moje dzieci umiały żegnać bliskich...

– Powtarzasz jak papuga: chcę, chcę, chciałbym...

Wtedy po raz pierwszy wydawała mu się zupełnie obca. Jakby widział tę kobietę po raz pierwszy w życiu. W ciągu tego ostatniego roku, kiedy niewątpliwie oddalili się od siebie, nigdy nie doznał takiego uczucia obojętności wobec niej.

– A co mam powiedzieć? – odrobinę podwyższył głos. – Że twoja mama tak ma przy umieraniu? Że to wspaniale, że nie trzeba mieć kłopotu i odwiedzać jej w hospicjum?

– Jest dokładnie odwrotnie – powiedziała dobitnie żona. – To my cierpimy, bo bliska nam osoba umiera. Nie wiem, jak można tego nie rozumieć... Przynajmniej tego, że mnie boli.

– Przepraszam cię, ale ja takiego cierpienia zupełnie nie rozumiem. W ogóle mam wrażenie, że przestałem cię rozumieć...

Zastygła na moment, a potem jej twarz wykrzywił grymas nienawiści. Takiej jej też nigdy nie oglądał.

– Z tym się akurat zgadzam – wycedziła. – Nie wiem, gdzie jesteś ciałem i duchem, bo nie ze mną, kiedy ja tego potrzebuję. Poświęciłam dla ciebie i twojej kariery absolutnie wszystko, a ty mnie zaczynasz dręczyć, kiedy moja matka odchodzi z tego świata! Dobry moment sobie wybrałeś...

Nutki hysterii w jej głosie powstrzymały go od dalszych dyskusji. Niczego nie uzyskał, nie wyszarpał z niej argumentami. Rozmawiali jakby o zupełnie innych sprawach. Nie dość, że nie dawała sobie niczego wytłumaczyć, to jeszcze jego oskarżała o brak empatii. Jego, który nie mógł się pogodzić z takim traktowaniem człowieka, jak to właśnie miało miejsce. Wiedział już, że ona nie ustąpi. Postanowił jednak dobitnie wyrazić swój protest, nie próbować jej usprawiedliwiać cierpieniem czy szokiem, nie tym razem.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że oczywiście będzie tak, jak chcesz – powiedział, wstając. – Zawsze jest tak, jak chcesz. Ale ja się głęboko temu sprzeciwiam. Uważam, że to ty okazujesz zupełną bezduszność i w pewnym sensie... okrucieństwo. – Myślał, że wybuchnie płaczem albo zacznie krzyczeć. Ale ona popatrzyła obojętnie.

– Nie chciałbym, żeby chłopcy potraktowali mnie właśnie w taki sposób, kiedy ja zacznę umierać... – powiedział. – A obawiam się, że taka postawa nie jest dla nich najlepszym wzorem...

– Nie obchodzi mnie, co myślisz ani czego chcesz – powiedziała. – Wymagam od ciebie jedynie lojalności. I masz mi ją okazać. – Miał zapytać, co ona rozumie pod pojęciem „lojalność”. Chodzi o to, żeby nadal był jej ślepo oddany, nie miał własnego zdania? A może o to, żeby nie próbował jej opuścić? To też było możliwe, że czuła, że to jego oddalenie może być wstępem do zupełnego rozpadu związku. Nie sypiali ze sobą. Uzyskał to nie bez trudu i do tej pory traktował jako zwycięstwo. Nie był w stanie zaspokajać dwóch kobiet jednocześnie. Ale może to była właśnie jego klęska, może ona będzie dążyła do konfrontacji, zameczy go żądaniami, zrekompensowania jej tych lat, które rzekomo dla niego poświęciła.

– Sama nie okazałaś mi lojalności – powiedział jeszcze. – Dowiedziałem się przypadkiem, że zostałeś wicedyrektorem.

– Podczas rozmowy, którą przeprowadziłeś za moimi plecami z byłą przyjaciółką – odparowała...

– W każdym razie – zdecydował, że to jego słowo będzie ostatnie – bardzo serdecznie ci gratuluję, kochanie, tej prestiżowej funkcji. Jestem z ciebie naprawdę dumny.

Teściowa umarła dokładnie miesiąc później. Co do dnia. Jakby wypełniała zalecenia lekarskie. Teść

zadzwoił i zawiadomił ich, że odeszła we śnie i nie cierpiała. Miał co do tego wielkie wątpliwości. Małgorzata rozplakała się po raz kolejny. Nawet jej nie objął. Nie miał siły. Trudno powiedzieć, czy chciał zmanifestować swoje odczucia wobec żony, czy też obawiał się, że wpadnie w histerię i odrzuci po raz kolejny jego pomoc. Prawie obojętnie patrzył na przygotowania do pogrzebu. Basia umarła w środę. Teść nalegał na pogrzeb w piątek. Podobno nie jest dobrze, kiedy ciało leży przez niedzielę w kostnicy, nie miał pojęcia dlaczego, ale nawet w pracy ktoś mu o tym powiedział, wyrażając zdziwienie, że pogrzeb odbędzie się dopiero po tygodniu. Małgorzata zachowywała się, jakby brała udział w konkursie na pogrzeb roku. Wzięła tygodniowy urlop z pracy i zajęła się przygotowaniami. Żadne kwiaty nie były dla niej dość dobre, mało restauracji spełniało jej oczekiwania co do menu i wystroju wewnątrz. Krzysztof naiwnie przypuszczał, że pogrzeb będzie kameralną uroczystością rodzinną. Bardzo się mylił. Wprawdzie w kościele niewielu ich własnych znajomych oraz jeszcze mniej przyjaciół teściów mogło podziwiać piękną trumnę i kunsztownie ułożone białe storczyki, za to w restauracji był obiad na piętnaście osób, starannie wyselekcjonowanych, ale wśród których nie było na przykład Zuzanny i jej męża, a zamiast tego Krzysztof zobaczył Adama Zalewskiego w czarnym garniturze i granatowym krawacie. Przyjął także od niego wygłoszone grobowym głosem wyrazy współczucia. Dzień poprzedzający uroczystość Małgorzata spędziła w sklepach, gdzie kupiła bardzo ładną czarną sukienkę i elegancki czarny prochowiec oraz kapelusik z woalką. Wyglądała naprawdę pięknie, chociaż według Krzysztofa zupełnie nieodpowiednio, zbyt elegancko i po prostu nie na miejscu. W końcu to był pogrzeb jej matki i nikt od niej perfekcji tego dnia nie wymagał. W restauracji zachowywała się jak organizatorka imprezy. Cicho, dyskretnie, ale bardzo skutecznie kierowała kelnerami, pilnując, aby niczego nikomu nie zabrakło. Do Krzysztofa nie odezwała się prawie słowem. On nawet ją zapytał, czy może usiąść koło niej, przy trumnie, tam, gdzie rodzina. Odpowiedziała, że naturalnie, i podkreśliła, że przecież jest z rodziny. Czuł się śmiesznie, zarówno w kościele, jak i na stypie. Zastanawiała go obecność Adama Zalewskiego. Kiedy zobaczył go w kościele, uznał ten gest za właściwy. Szef okazujący szacunek swojej bezpośredniej podwładnej. Gest solidarności i wsparcia. To było w porządku. Kiedy jednak Zalewski ochoczo zmierzał do restauracji, Krzysztofa to nieco zastanowiło. Dlaczego Małgosia go zaprosiła? Może uznała, że tak wypada. Może powiedział jej, że przyjdzie na pogrzeb, a ona chciała „się zachować”. Mogło tak być. Tylko że na jego miejscu Krzysztof takiego zaproszenia, zarezerwowanego dla najbliższej rodziny i przyjaciół, by nie przyjął. Chyba że właśnie został przyjacielem. Z krytykowanego dyrektora awansował na bliskiego znajomego, kto wie, czy Małgosia nie zwierzała mu się ze swoich problemów. W każdym razie na stypie posadziła go blisko siebie, poznała z teściem i kuzynkami oraz pilnowała, żeby nie zabrakło mu duszonego indyka i sosu borówkowego. On sam, nieco zażenowany, porozmawiał chwilę z Krzysztofem, złożył kondolencje i wyrazy współczucia. Krzysztof naturalnie przyjął je skinięciem głowy, chociaż miał mu ochotę powiedzieć, że jego ulubiona pracownica uznała śmierć matki za coś zbyt brzydkiego, żeby jej towarzyszyć w ostatniej drodze. Nie zrobił tego jednak, co więcej dolewał temu gościowi wina, stanowczo odbierając butelkę Małgosi, która nie wiedzieć czemu chciała tę czynność, zarezerwowaną dla pana domu albo kelnera, przywłaszczyć sobie.

– Straszna tragedia – powiedział do niego Zalewski, dokładając sobie sałatki.

– Słucham? – nie zrozumiał.

– Chciałem powiedzieć, że to straszne tak umrzeć – dokończył niezręcznie.

– A więc wie pan, że teściowa nie życzyła sobie, żebyśmy ją odwiedzali? – zapytał Krzysztof.

– Nie rozumiem... – Zalewski zastygł z widelcem do połowy uniesionym.

– Powiedział pan, że to straszne tak umrzeć – ciągnął Krzysztof.

– Myślałem, że wie pan o tym, że od czasu, kiedy zachorowała, ani ja, ani Małgosia nie widzieliśmy teściowej.

– Nie wiedziałem. – Dyrektor wyglądał na autentycznie zszokowanego. – Miałem na myśli tę straszną chorobę, taką szybką śmierć... Nie wiem...

Krzysztof poklepał go po ramieniu i zrobił minę oznaczającą absolutne zrozumienie i podziękowanie za uwagę. Co miał mu powiedzieć? Śmierć jest tragiczna, kiedy dotyka osoby młodej. Ostatecznie wtedy, kiedy następuje nagle. Człowiek wychodzi rano do pracy i ginie pod kołami samochodu, nie załatwiwszy swoich spraw, nie opłaciwszy rachunków. Śmierć teściowej nie była wcale szybka. Umieranie przez miesiąc to aż nadto, żeby się do śmierci przyzwyczaić, jeśli decyduje o tym kryterium czasu, rozważał. Może dla takich jak Zalewski miesiąc umierania to szybko, pewnie nie wystarczyłoby mu czasu, żeby uporządkować swoje sprawy. Zastanowił się, ile on sam by potrzebował. Zależy, co uznałby za najważniejsze. Kwestie prawne można uregulować w miarę szybko, ale pożegnać się z bliskimi nie umiałby w tak krótkim czasie. Pomyślał o Di. Jak miałby się z nią pożegnać, kiedy nie umiał sobie nawet wyobrazić, że mogłoby jej nie być.

– Krzysiu – teść przerwał mu rozmyślenia – trochę źle się czuję. Czy mógłbyś odwiedzić mnie do domu?

– Naturalnie. – Poderwał się. – Ale co się dzieje? Serce?

– Synu – westchnął teść – ostatni miesiąc był dla mnie bardzo trudny. Teraz, kiedy Basia już leży w grobie, nie muszę udawać, że jestem taki dzielny.

– Oczywiście, tato – powiedział. – Chodź.

Wstali obaj i podeszli do Małgorzaty, która właśnie zajmowała się częstowaniem gości ciastami i krojeniem imponującego tortu. Teść mamrotał coś córce na ucho, z czego on słyszał tylko strzępki w stylu „zrozum, córeczko”, „jestem zmęczony”, „nie, nie trzeba taksówki, bo Krzysio...”. Sam tylko skinął żonie głową, powstrzymując się od pogratulowania jej przyjęcia i skomplementowania tortu. „Szkoda, że nie zamówiła go w kształcie trumny albo nagrobka, mógł być chociaż czarny” – myślał, dygocąc ze złości, która pojawiła się w nim nagle. Jak to możliwe, żeby nie widziała, jaki cyrk zrobiła z pogrzebu własnej matki.

Teść podczas jazdy mówił mało. Wyglądał, jakby chciał zasnąć. Krzysztof też nie nawiązywał rozmowy. Nie chciał męczyć człowieka bezsensownym paplaniem. Wszedł z nim jednak na górę do mieszkania, uparł się, że zaparzy mu herbaty i dopilnuje, żeby położył się i przykrył kocem.

– Wystarczy, synku – powiedział starszy człowiek. – Chciałbym teraz, jeśli pozwolisz, zostać sam. Będę już sam, więc najlepiej przyzwyczajać się od razu.

– Tato, przecież wiesz, że nie jesteś sam.. – protestował Krzysztof.

– Wiem, oczywiście, że tak się mówi, ale teraz naprawdę nie mam siły na takie słowne uprzejmości. Mam tylko prośbę, żeby Gosia tu nie przychodziła, przynajmniej nie dziś.

Krzysztof westchnął. Nie zamierzał wracać do restauracji. To było ponad jego siły. Zamierzał poczekać, aż przyjęcie się skończy, i wtedy przyjechać po nią. Zresztą myślał, że ten czas spędzi z teściem, niejako usprawiedliwiając tym samym swoją nieobecność. Do Di nie zdążyłby pojechać,

choć bardzo tego żałował, ogromnie jej teraz potrzebował. Zaczynał jej potrzebować, nie tylko czerpać przyjemność z obcowania z nią, rozmów, seksu, ale właśnie czekał na to, żeby z nią być.

– Nie wiem, tato – powiedział szczerze. – Jeśli ona postanowi przyjechać, to ja jej nie powstrzymam.

– Napiszę jej w takim razie z komórki, że śpię – odpowiedział mu.

– Ja jej też to napiszę. – Sięgnął po komórkę i zobaczył, że przysłała do niego wiadomość.

– „Wrócę taksówką – przeczytał na głos. – Wcześniej pojedę do ojca”. Tak mi napisała. Sam tato widzi...

– Widzę, że coś jest między wami nie tak – powiedział, kciukiem pisząc coś w telefonie, pewnie wiadomość dla córki. – Możesz mi powiedzieć co?

– Na przykład to, że kompletnie nie zgadzałem się na pozostawienie was, Basi szczególnie, bez pomocy... Nie rozumiem, jak Małgosia mogła się na to zgodzić.

– Ja też nie mogłem zrozumieć, ale Basia powiedziała mi, że tak będzie lepiej. Obawiała się, że Małgosia i tak nie przyjdzie, nie pomoże...

– Jak to? – nie zrozumiał Krzysztof.

– Gosia nie znosi cierpienia, brzydoty, jaką niesie choroba...

– Tato, co ty mówisz... – znużony zaprotestował słabo.

Nie chciał już o tym wszystkim rozmawiać. Wszystko już zostało powiedziane, omówione wielokrotnie, przemielone przez wrogość, protesty i perswazje. On powiedział, co myśli na ten temat. Małgorzata nie rozumiała tego i nie przyjęła. Choćby wysunął jeszcze setkę argumentów, uzyskałby jedynie większą obcość. Nie chciał także omawiać tej sprawy z teściem. Nie miał ochoty mówić mu, że to nie jest w porządku, najpierw obstawać przy opcji zupełnego ignorowania śmierci, a następnie mieć pretensje, że się nie chciało niczego w tym zakresie zmieniać.

– Zostawmy to – powiedział. – Wie ojciec, co sędzę na ten temat. Ale teraz Basia nie żyje i nie ma chyba potrzeby, żeby nad jej grobem rozprawiać o tym wszystkim.

– Tak... – Pokiwał głową teść, zasypiając. – Zostawmy to. Powiedz Gosi, żeby nie przychodziła.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie wrócić do restauracji. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale jeśli miało to zmniejszyć agresję Małgorzaty, to gotów był zacisnąć zęby, zjeść białe arcydzieło sztuki cukierniczej i zabawiać ciotki Małgorzaty cichą, pełną szacunku konwersacją. No i obiecał teściowi, że przekaze córce jego prośbę. Z westchnieniem uruchomił samochód. Restauracja mieściła się niedaleko, mógł nawet zrezygnować z samochodu i pójść piechotą. Tyle samo czasu zajęło mu parkowanie auta. Kiedy podchodził, zobaczył tylko Małgorzatę, wsiadającą do taksówki. Chyba go zobaczyła, ale udała, że nie widzi. Nie zdołał dostrzec, czy w taksówce jest ktoś jeszcze. Myślał oczywiście o Adamie Zalewskim, z niejasnym uczuciem nawet nie tyle zazdrości, ile rezerwy i pewnej dozy oburzenia. Nie podejrzewał Małgosi o romanse, ale zastanawiał się, czy ona się z tym dupkiem nie „przyjaźni” i nie zwierza z tego, że nie sypiają ze sobą i nie potrafią się porozumieć. Wyobraził sobie pewne współczucia spojrzenia, jakie musiał rzucać jej na radach pedagogicznych i podczas omawiania bieżących problemów szkolnictwa. Kto wie, czy nie są na etapie SMS-ów typu: dobrej nocy albo śpij dobrze, bo jutro mamy ciężki dzień. Nie, to nie była zazdrość. Stanowczo nie. Jeszcze raz spróbował zadzwonić do niej, żeby powiedzieć, że właśnie przyjechał, i przekazać jej słowa

ojca, ale nie odebrała. Od razu włączyła się poczta głosowa. Wrócił do domu. Najbardziej ze wszystkiego chciał położyć się i zasnąć obejmowany przez Dianę. Zamiast tego położył się na kanapie, jak zwykle, stało się to już rutyną, i zasnął głęboko. Obudził się po dwudziestej trzeciej. Poczłapał do łazienki, gdzie umył się i przebrał w piżamę. Małgorzata spała w ich wspólnym łóżku w sypialni. Leżała nie na środku, jak ostatnio, ale na swojej części, co więcej, z jej oddechu wywnioskował, że nie śpi, czeka na jego ruch. Może to dobry moment, żeby położyć się koło żony, przytulić ją i pozwolić jej się wypłakać, przeprosić za niejasne winy, zapewnić o miłości. Stał w progu sypialni. Wreszcie zdecydował. Odwrócił się. Nie chciał kłaść się obok niej. Wrócił na kanapę i przykrył się kocem.

Był zadowolony z tego, co napisał. Aleksandra powinna być zadowolona. Może sobie kończyć pracę o nim. Położył się i naciągnął koc na głowę. Zanim zasnął znów ciężkim, pełnym majaków snem, który nie regenerował w najmniejszym stopniu, pomyślał, że może lepiej spałby w białej, wykrochmalonej pościeli. Musi poprosić o taką. Może to pomoże. „Stanowczo – pomyślał, już śniąc – to powinno pomóc”.

Wiosna 2012

Przeczesała włosy i strzepnęła nieistniejący pyłek na krwistoczerwonym żakiecie. Pod nim miała szarą, jedwabną sukienkę. „Wyglądam dobrze” – pomyślała. „Nie – zaprzeczyła sama sobie wyglądam właściwie, odpowiednio i na miejscu. Chociaż dobrze też. Cholernie dobrze”.

– Piękna, po prostu piękna! – wykrzyknął Adam Zalewski, uchylając drzwi do jej pokoju.

– Dziękuję. – Drgnęła.

Czy to było na miejscu? Te komplementy, wchodzenie do jej gabinetu bez pukania? Wszystko można było usprawiedliwić. Dlaczego dyrektor miałby pukać, przecież są w pracy. Dlaczego nie miałby powiedzieć jej komplementu? Przecież są normalnymi ludźmi... Zwłaszcza że bardzo na to czekała...

– Pójdziemy razem na radę czy wolisz sama? – zapytał.

– Wszystko mi jedno – powiedziała, modląc się, żeby poszli tam razem, w końcu są czymś w rodzaju pary – dyrektor i jego zastępczyni. Lepiej będzie stawić czoła dotychczasowym kolegom, którzy stali się podwładnymi, kiedy stoi się z kimś silnym u boku. To nie była pierwsza rada pedagogiczna po jej awansie, ale pierwsza po tym, jak musiała odejść Malwina. Miała wrażenie, że wszyscy oskarżają ją po cichu o jej zwolnienie. Za Olgą Tarkowską nie wstawił się nikt. O Malwinę koledzy i rodzice stoczyli prawdziwą batalię. Rodzice dużo mogą. W tej sprawie niestety nie mogli pomóc uwielbianej przez uczniów pani od przyrody. Najbardziej zapiekli, którzy grozili dyrektorowi, że napiszą o nim w gazetach, musieli ugiąć się przed niezbitymi faktami. A te zostały przedstawione na zebraniu z radą rodziców przez Małgorzatę, która przez dwie godziny nie dała się zbić z tropu i przytaczała argument za argumentem. Po spotkaniu była zmęczona, ale zwycięska. Szara Malwina, z jej szarą rozpaczą, musiała odejść. Ostatnie ich spotkanie nie należało do przyjemnych. Koleżanka wtargnęła do jej gabinetu i usiadła na fotelu dla interesantów.

– Chciałaś się zemścić? – zapytała. Głos miała chrapliwy, wzrok rozbiegany.

– A za co miałabym się mścić na tobie? – Małgorzata prawie jej współczuła, kiedy ta, rozczochrana, wykrzykiwała coś o tym, że są z dyrektorem blisko, że to dlatego Małgorzata stara się jej pozbyć.

– Malwina, proszę cię – Małgorzata użyła identycznego tonu jak w rozmowie z rodzicami. – Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale to nie jest koniec świata. Znajdziesz inną pracę. Przecież nikt nie zwolnił cię za zaniedbania.

– Pozbyłaś się mnie... – bełkotała tamta.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to ja cię broniłam – pochyliła się, z obrzydzeniem czując woń nieświeżości bijącą z przetłuszczonych włosów. – Nie dało rady – wymogi unijne.

Malwina niespokojnie zakręciła się na krześle. Wzięła torebkę i obróciwszy ją do góry dnem, wysypała całą zawartość na stół. Na wypolerowany drewniany blat poleciały chusteczki higieniczne, niektóre mocno zużyte, szminka w wytartym etui, sfatygowany portfel i mnóstwo papierów zabazgranych długopisem. Na koniec wypadła małpka z przezroczystą zawartością oraz stary telefon Samsung.

Malwina zastygła. Najwyraźniej zapomniała, że butelkę z resztką alkoholu trzymała w torebce. Po chwili odzyskała animusz, wrzuciła szybko butelkę do torebki, a potem resztę szpargałów i zaczęła naciskać guziki telefonu.

– Zobacz, zobacz. – Podetknęła mały ekran Małgorzacie pod nos.

– Jak mi nie pomożesz, to pokażę to twojemu mężowi...

Była tak żałosna w taniej próbie szantażu, że Małgorzatę zalała nowa fala współczucia. Zerknęła na ekranik. Mały kwadracik pokazywał zaciemnione zdjęcie, na którym widoczne były dwie sylwetki pochylone ku sobie, ale nawet bardzo podejrzliwy mąż nie mógłby powiedzieć, że te dwie osoby całują się czy przytulają. Wyglądało to na zwyczajną rozmowę między dwojgiem ludzi. Małgorzata z zażenowaniem oddała Malwinie telefon.

– Byliśmy wtedy na kawie – powiedziała. – W publicznym miejscu. Nie wierzyłam, szczerze mówiąc, że ty rozpuszczasz te plotki.

Bzdura, od początku wiedziała, że Malwina śledzi ją i tropi. Musiała zauważyć to napięcie między nią a Adamem, może nawet słyszała kotłujące się motyle albo wyczytała je z twarzy Małgorzaty. Może tylko widziała to, co chciała widzieć. Ale trafiła z plotkami, w których było więcej niż jedno ziarno prawdy.

– Ale chyba nie chciałabyś, żebym pogadała z twoim mężem, co? – Malwina dygotała na całym ciele.

– Malwina, zrozum... – Małgorzata przykryła swoją dłonią rękę koleżanki. – Ja nie jestem twoim wrogiem...

– Ty nie jesteś niczym wrogiem – wysyczała tamta, wyszarpując rękę. – Tylko niszczysz ludzi ot, tak sobie...

– Sama jesteś sobie winna. – Małgorzata wstała. – Gdybyś dostosowała się do wymagań kuratorium, zmodyfikowała nieco to, czego uczysz od lat, tak, żebyśmy dobrze wypadli w ministerstwie...

Malwina też wstała.

– A więc to o to chodzi... Nie pasowałam do twojej wizji w ministerstwie...

Wymaszerowała wtedy z gabinetu, potykając się o własne nogi i trzaskając drzwiami. Po chwili do jej pokoju wszedł Adam Zalewski.

– Można? – zapytał, pukając cicho we framugę.

– Naturalnie – opanowała się natychmiast. – Ty tu jesteś dyrektorem, możesz wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chcesz...

– Co tu się działo? – zapytał, starannie zamykając za sobą drzwi. – Słyszałem, jak krzyczała... Może powinienem zainterweniować, ale uznałem, że poradzisz sobie...

– Poradziłam. – Kiwnęła głową i podeszła do okna. – Bardzo przykra sytuacja...

– Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że powinienem podziękować jej za współpracę... – Jego głos słyszała tuż za sobą. Czuła, że stoi bardzo blisko niej. Poczowała jeszcze, jak delikatnie kładzie rękę na jej ramieniu. Nie była pewna, czy wtedy dotknął włosów. Pewnie jej się zdawało, kiedy przywoływała to wspomnienie.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, stojąc wciąż przed lustrem.

– Małgoniu – powiedział Adam, wsadzając głowę do jej pokoju. – Chodźmy już.

– Tak, tak. – Wzięła do ręki teczkę z materiałami, które zamierzała przedstawić kolegom, i wymazując wspomnienie tamtej rozmowy, wyszła z gabinetu. Adam czekał, obdarzając ją kolejnym spojrzeniem pełnym aprobaty. Modliła się, żeby nie obrzucał jej takimi spojrzeniami na radzie, nie komplementował. Nawet nie robił aluzji do jej płci w taki czy inny sposób. Adam przecież nie wiedział nic o plotkach na ich temat. A Małgorzata nie chciała, żeby się o nich wypowiedział, zanim ona nie zdecyduje, czy wprowadzi do ich znajomości coś bardziej intymnego.

– Witam serdecznie – zaczął dyrektor, kiedy już weszli do sali. – Na początek sprawy bieżące...

Jego głos przebił się przez myśli Małgorzaty, uspokoił ją i zmusił do skupienia. Po dwóch godzinach omawiania rutynowych problemów, zapowiedziana przez Adama, przedstawiła swój plan połączenia szkoły podstawowej i gimnazjum z liceum, częściowo już zaaprobowany przez ministerstwo. Widziała zaskoczenie na niektórych twarzach, dodało jej to skrzydeł. „Ja wam pokażę” – myślała, przedstawiając dane, z których wynikały same korzyści dla ich szkoły. O Malwinie nie padło ani jedno słowo. Także wtedy, kiedy dyrektor zapowiedział, że już następnego dnia zacznie pracę nowa nauczycielka biologii.

– Pozyskaliśmy ją z trudem, oferując bardzo dobre warunki. Magister Grażyna Kmiecik przechodzi do nas z liceum. Liczymy, że znacząco podniesie poziom nauczania przyrody w szkole. Nasze dzieci muszą zajmować punktowane miejsca w ogólnopolskich konkursach, nie tylko brać w nich udział – zakończył.

– Za udział w konkursach wnosi się opłatę od dziecka – zauważyła głośno Zuzanna, a kilka innych nauczycielek „konkursowych” przedmiotów pokiwało głowami.

– Mam na ten cel specjalne fundusze – powiedział dyrektor. – Bardzo proszę, żeby koledzy, którzy do tej pory przygotowywali dzieci do konkursów, nie oszczędzali na tym.

– Do tej pory to rodzice wnosili te opłaty – to znów Zuzanna.

– Pani dyrektor zwróciła mi uwagę na ten problem. – Zalewski kiwnął głową w stronę Małgorzaty. – Uważam za niedopuszczalne, żeby rodziców karać za to, że mają zdolne dzieci. To się właśnie zmienia. Proszę o zachęcanie dzieci do wszelkich takich aktywności. Rodzice nie będą już za to płacili. Podobnie za autokar, który odwiezie wyróżnionych na zawody sportowe czy właśnie na konkursy. To jest teraz w gestii szkoły. Proszę tylko o to, żeby zachęcać dzieci i oczywiście przygotowywać je do tego. Potrzebujemy punktów i zwycięzców. Może nawet ufundujemy jakieś znaczące nagrody, tutaj w szkole...

– Dzieci chętnie się zgłaszają – zauważyła matematyczka. – To jest potrzebne do gimnazjum... Rodzice płacą bez gadania, właśnie z tego powodu.

– Tylko że ostatnio nikt ze szkoły nie zajął znaczącego miejsca w żadnym z konkursów – przerwał jej dyrektor. – A my tego potrzebujemy. Szczególnie proszę koleżanki polonistki i matematyczki o zwiększenie aktywności na tym polu. Z nową magister biologii już rozmawiałem przy okazji oceny jej kwalifikacji.

– To ja poproszę o kilkanaście pozycji książkowych do biblioteki szkolnej. – Zuzanna drgnęła. – Nie da się organizować niczego bez połowy potrzebnych książek... Drugi problem to zamknięta pracownia komputerowa. Mam zdolne dzieci, które nie mają w domu komputerów i internetu. A o dostęp tam nie można się doprosić... Jest zarezerwowany wyłącznie dla kolegów uczących informatyki.

Po sali przebiegł szmer cichych rozmów.

– Jestem zobligowany, żeby dbać o sprzęt, dlatego każdorazowo po zajęciach chowam wszystko i zamykam pracownię... – odezwał się Ryszard Mazur, który uczył dzieci korzystania z komputerów.

– Dlaczego w takim razie ja nie wiem, że jest problem? – zapytał dyrektor. – Albo pani dyrektor? Przecież to da się rozwiązać... Wystarczy powiedzieć.

Zaległa cisza. Nikt nie miał odwagi powiedzieć, że Małgosia wielokrotnie narzekała na brak dostępu do laptopów. Tyle że to było, zanim zmieniła gabinet.

– Bardzo proszę, żeby kolega Mazur przyszedł do mnie i do pani dyrektor jak najszybciej. Znajdziemy rozwiązanie. Ryszard Mazur kiwnął głową.

– Koleżanko – dyrektor zwrócił się bezpośrednio do Zuzanny. – Pani uczennica przed siedmioma laty zajęła pierwsze miejsce w konkursie polonistycznym. Dlaczego od tego czasu nie osiągnęła pani chociaż zbliżonego wyniku?

– To była bardzo zdolna dziewczynka. Obecnie studiuje polonistykę.

– W rocznikach, które teraz uczymy, nie ma podobnie zdolnych dzieci? – Adam Zalewski przejechał wzrokiem po zebranych. Małgorzata wciąż nie zajmowała głosu w dyskusji, ale z pogardą patrzyła, jak dorośli ludzie opuszczają głowy i wbijają wzrok w notatniki. Czowała, że Adam myśli tak samo. Nie musiała wygłaszać tez, że nie są tu po to, aby przetrwać od wakacji do wakacji. Tak funkcjonowali przy poprzedniej dyrekcji, ale teraz ma być zupełnie inaczej. Już ona tego dopilnuje. Adam Zalewski głośno westchnął, zwracając się do Zuzanny. Ona jedna nie opuściła głowy, tylko patrzyła na nich oboje z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Proszę panią w takim razie, żeby napisała pani, co jest potrzebne do realizacji celu. Książki zostaną zakupione. Podobnie inni koledzy powinni napisać zapotrzebowanie na konkretne pomoce naukowe. Proszę to złożyć albo do mnie, albo do pani dyrektor. Do końca tygodnia. – Ponownie odpowiedziała mu cisza.

– Jeszcze raz proszę, aby o wszystkich problemach dyskutować na bieżąco. Wiele kwestii da się rozwiązać.

– Poprzednia pani dyrektor nie interesowała się tym – wymamrotała Zuzanna wśród ciszy.

– Mnie to interesuje. Obecną panią dyrektor... także – uciął dyskusję. – Bardzo państwu dziękuję za to spotkanie. Było bardzo owocne.

Uczestnicy rady w milczeniu pakowali notatki do toreb. Matematyczki cicho rozmawiały, ale z ich min wynikało, że dyskusja dotyczy spraw poruszanych na radzie. Informatyk podszedł do dyrektora i najwyraźniej umawiał się z nim na spotkanie. Małgorzata odgarnęła włosy. Była więcej niż zadowolona. Powoli zbierała także swoje rzeczy. Adam stał kilka metrów od niej. Zachowywał się tak, jak sobie życzyła. Nie zwracał na nią szczególnej uwagi, ale na każdym kroku podkreślał jej funkcję. Czekala, aż wszyscy wyjdą. Nie miała ochoty na rozmowę z żadnym z dawnych kolegów. Od czasu do czasu zerkala, czy nauczyciele wychodzą. Jedni opuszczali salę szybko, inni powoli, rozmawiając. Jedna Zuzanna stała, najwyraźniej w oczekiwaniu. „Czeka na mnie” – pomyślała Małgorzata i z westchnieniem podeszła do dawnej przyjaciółki.

– Wydaje mi się, że czekasz na mnie – powiedziała.

– Tak, czekam. – Zuzanna przypatrywała jej się uważnie. – Bardzo ładnie wyglądasz i świetnie wypadłaś na tej radzie.

– Dziękuję. – Kiwnęła głową. Zachowywała się oficjalnie i z rezerwą. – Przygotuj wszystko, co ci jest

potrzebne do pracy...

– Wiem – przerwała jej Zuzanna. – Bardzo się cieszę, że tacy jesteście otwarci...

– Taka jest teraz moja praca – ucięła, próbując wyjść. – Jeśli pozwolisz, to już pójdę...

– Zaczekaj, Małgosiu. Chciałam cię zapytać o coś innego. Wiedziałaś, że Malwina ma problem z alkoholem? – zapytała szybko Zuzanna.

– Nie miałam pojęcia – odpowiedziała. Przed oczami stanęła jej buteleczka z resztką wódki, która wypadła z podniszczonej torebki podczas tamtej rozmowy. Dopiero wtedy się zorientowała. Wcześniej nie łączyła z alkoholem bladości twarzy Malwiny podczas poniedziałkowych poranków, drżących rąk, kefiru wypijanego naprędce i cichych próśb, żeby w poniedziałki nie dawano jej pierwszych lekcji.

– Jest w szpitalu. Próbowwała chyba zapisać się na śmierć... Praca musiała być dla niej wszystkim... Nikt się wcześniej nie zorientował, że w ten sposób radzi sobie z samotnością.

– Nie oskarżaj mnie, Zuzanna – warknęła.

– Nie oskarżam cię, moja droga. – Zuzanna patrzyła na nią ze zdumieniem. – Ja ci tylko chciałam powiedzieć, co się stało z naszą koleżanką.

– Oczywiście mówisz to zupełnie tak sobie, chcąc poplotkować po radzie...

– Myślałam, że się pogodzimy... – Zuzanna pochyliła głowę, szukając czegoś w torebce. – Źle mi było z tym, że nie rozmawiamy ze sobą.

– Z twojej winy – ton Małgorzaty był nadal ostry. – Zwierzyłam ci się z tamtych spraw, a ty mnie oskarżyłaś...

Zuzanna wyglądała, jakby walczyła o to, czy ma jeszcze raz zacząć tłumaczyć wszystko od początku czy po prostu zamknąć torbę, włożyć płaszcz i wyjść. Wreszcie nabrała powietrza i powiedziała tonem pełnym łagodnej perswazji:

– Miałaś krew na dłoni. Ubrudziłaś się. Po prostu powiedziałam ci o tym. Źle zrozumiałaś, bo... to ty się obwiniasz.

– To nie była moja wina – wycedziła.

– Dobrze. – Zuzanna sięgnęła po płaszcz, który położyła na korytarzowej ławce. – Nie twoja, nie ma problemu, nadal możemy ze sobą nie rozmawiać...

– Jeśli jeszcze raz...

Oglądała się na boki, czy ktoś ich nie słyszy. Ale wszyscy, łącznie z Adamem opuścili salę. Dygotała ze złości. Nie na Zuzannę, na siebie. Powierzyła jej swoją tajemnicę, zwierzyła z wątpliwości, a ta, którą w końcu uważała za przyjaciółkę, wykorzystuje to przeciwko niej.

– Czy to groźba? – W tonie Zuzanny był smutek. – Dlatego zwolniłaś Malwinę? Bo powiedziała coś, co cię uraziło?

– To dyrektor ją zwolnił...

– Nie obrażaj mojej inteligencji. – Zuzanna zaczęła kierować się w stronę wyjścia. – Ja idę do domu. Bo mam dom...

– Co to ma znaczyć? – Pobiegnęła za nią, zatrzymując za sobą drzwi i nie troszcząc się o to, kto zamknie je na klucz.

– To, co słyszysz... – Zuzanna nie zwalniała i nie oglądała się za siebie. W biegu wkładała prochowiec. – Nie powiedziałaś Krzysztofowi o swojej funkcji. Dlaczego?

– To nie twoja sprawa! – wykrzyknęła, nie bacząc, że szkolna woźna mogła je słyszeć. – Skąd wiesz? Szpiegujesz mnie?

– To Krzysztof chciał ze mną rozmawiać. – Zuzanna stanęła gwałtownie. – Radzę ci dobrze, jako twoja była przyjaciółka – zabieraj się stąd i idź do domu, do męża i synów, o których zdaje się niewiele wiesz...

– Jak śmiesz?! Jak...?!

– ...ściągnij z siebie ten szkarłat i zrób mężowi laskę, może to cię otrzeźwi!

– Zuzanna! – krzyknęła Małgorzata. – Zuzanna, co to ma znaczyć?!

Ale ta jej nie słuchała. Biegiem pokonywała ostatni korytarz prowadzący do wyjścia. Małgorzata chciała wybiec za nią, ale przypomniała sobie, że w swoim gabinecie ma płaszcz. Było za zimno, żeby zostawić go w pracy.

– Zuzanna! – krzyknęła jeszcze raz. – Poczekaj na mnie! Musimy porozmawiać!

Dawna przyjaciółka nie odwróciła nawet głowy. Małgorzata z westchnieniem wróciła do sali, w której odbyła się rada. Woźna zamiatała kurz z parkietu. Na widok swojej szefowej wymamrotała ciche: „Dzień dobry, pani dyrektor” i wróciła do swojej pracy.

– Zamknie pani salę, tak? – zapytała.

– Naturalnie, pani dyrektor. – Woźna miała spuchnięte nogi i żyłki prześwitujące pod cielistymi rajstopami. – Kiedy tylko skończę.

– Do widzenia – wymamrotała i wróciła na dolny korytarz, gdzie były gabinety dyrektorskie. Weszła do siebie. Miała zamiar szybko wziąć prochowiec i wrócić do domu, gdzie w spokoju mogłaby się zastanowić nad tym, co usłyszała od Zuzanny. Musiała także porozmawiać z Krzysztofem, to znaczy zastanowić się, czy z nim porozmawiać czy tylko wykrzyczeć, że jest zdrajcą, że zrobił coś tak nielojalnego za jej plecami. Chciała dokładnie przeanalizować ewentualną rozmowę, zanim do niej dojdzie. Może nawet pojechałaby do niego, do tej cholernej pracy, przez którą wszystko zaczęło się sypać. „Pewnie będzie zaskoczony – myślała – ale się ucieszy”. Kilka razy mówił, że nie przychodzi do niego, a ona protestowała, że praca to nie jest miejsce spotkań męża i żony. Od tego jest przecież dom. Teraz jednak postanowiła pójść. Może wyciągnie go do kina, a potem porozmawiają.

– Małgoniu... – głos Adama przebił się przez jej myśli. Musiał wejść do gabinetu za nią. Nie słyszała go. Odwróciła się gwałtownie. Stał bardzo blisko.

– Tak, słucham? – powiedziała.

– Chciałem ci pogratulować... – Uśmiechnął się. – Fantastyczne przedstawienie tematu... jesteś naprawdę niezwykła. Kompetentna, zrównowazona, piękna...

– Dziękuję – powiedziała z wysiłkiem i cofnęła się o krok.

– Czy coś się stało? – zapytał z troską, widząc, że prawie płacze.

– Za dużo napięcia – wyjaśniła. – Przecież to moi dawni koledzy...

– Chodzi o magister Zuzannę...? Powiedz tylko słowo...

„Powiedz tylko słowo, a będziesz uzdrowiona dusza moja” – zakołatało jej w myślach.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Jest bardzo dobrym pedagogiem. A po zwolnieniu Malwiny stosunki są bardzo napięte...

– Chyba nikt cię nie łączy z tą sprawą? – zapytał. „Jaki on naiwny” – pomyślała.

– Ona jest w szpitalu, chciała... próbowała... więc to taki naturalny odruch...

– Próbowała zrobić sobie krzywdę? – zapytał z niedowierzaniem.

Opanowała się nieco i sięgnęła po swój piękny fioletowy płaszcz z ciężkiego jedwabiu. Krzysztof jej go kupił w zeszłym roku. Byli na spacerze i zobaczyli ten płaszcz na wystawie. Widząc zachwyt w jej oczach, natychmiast wszedł i kupił go, mimo że nie należał do najtańszych. Odrzuciła wspomnienie. Od dawna nie chodzili razem po zakupy.

– W pewnym sensie tak – odpowiedziała. – Jest alkoholiczką.

– Nie miałem pojęcia. – Widać było, że ta informacja wywarła na nim wrażenie.

– Nikt nie wiedział. – Wzruszyła ramionami. – Ale jak to z nimi bywa... Posypała się, kiedy straciła grunt pod nogami. – Podszedł do niej i łagodnym ruchem odebrał płaszcz.

– Pozwól, że pomogę – powiedział.

Posłusznie pozwoliła się ubrać. Patrzył na nią z uśmiechem.

– Odprowadzę cię do samochodu – powiedział.

Kiwnęła głową. Podszedł do niej szybko i objął, przyciskając do siebie. Poczuła jego brodę na swoich włosach. Szarpnęła się odruchowo, a on puścił ją natychmiast.

– Wychodzimy? – powiedziała jakby nigdy nic, chociaż serce zadygotało jej w piersi.

– Oczywiście. – On też zachowywał się, jakby przed chwilą nie byli blisko.

Szła obok niego, trzymając się w pewnej odległości. Rozmawiali nawet o czymś, ale Małgorzata nie pamiętała, czego ta rozmowa dotyczyła. Wsiadając do samochodu, przypomniała sobie słowa Zuzanny. Zdecydowała, że wróci do domu, nie pojedzie do Krzysztofa, nie zrobi mu żadnej niespodzianki, nawet pewnie z nim nie będzie rozmawiała. Nie dziś. Dopiero wtedy, kiedy wszystko sobie ułoży wedle swoich wcześniejszych planów, kiedy zapanuje nad swoim żalem, napięciem, jakie towarzyszy jej spotkaniom z Adamem i całą sytuacją związaną z nową funkcją, stosunkami w pracy i Zuzanną.

„Kazała mi zrobić mężowi laskę” – przypomniała sobie nagle. „Pewnie powinnam”, trzęsącymi się z niepokoju rękoma kręciła kierownicą. „Tylko że on najwyraźniej nie ma ochoty, żebym mu to zrobiła. Za to ten drugi najwyraźniej nie miałby nic przeciwko temu”.

O mało nie wjechała w potężną toyotę usiłującą włączyć się do ruchu. Zaklęła w duchu i włączyła radio. Piosenka, którą właśnie nadawano, była banalna, pozbawiona linii melodycznej i okraszona zwrotami typu: weź mnie na jedną noc, ja ci siebie dam, jestem twój na wieki... Z niesmakiem przełączyła na kanał z muzyką poważną. Mozart uspokoił ją nieco. Kiedy parkowała pod domem, marzyła tylko o tym, żeby się przebrać i położyć chociaż na chwilę. Zасыpiając, otulona miękkim kocem, pomyślała po pierwsze, że Krzysztof musi na kolację zadowolić się kanapkami. Druga myśl dotyczyła Adama Zalewskiego. Złapała się na tym, że ona sama wolałaby znaleźć się w łóżku właśnie z nim.

Zima 2012

„Kiedy wszystko zaczęło się psuć?” – zastanawiał się. Chyba wtedy, kiedy umarł Sujecki. Śmierć mentora spowodowała ogromne spustoszenie w świecie Krzysztofa. Z początku nic nie zapowiadało, że profesor odejdzie z tego świata tak wcześnie. Zmiana gabinetów wreszcie się dokonała. Przenosiny odbyły się dość uroczyście – do uzyskanej przez Krzysztofa klitki, do tej pory służącej jako pomieszczenie na niepotrzebne szpargały. Osobiście wyjął w administracji jakieś środki na remont pomieszczenia i zakup biurka oraz krzesła. Półki kupił sam w IKEA jako prezent od siebie i po kryjomu przed Małgosią je złożył, a potem zamontował w nowym pokoju profesora. Starszy pan był wzruszony. Pracował jak dawniej pełną parą ze studentami, a w wolnych chwilach porządkował swoje sprawy. Po dwóch miesiącach przeglądania papierów i przenoszenia segregatorów z miejsca na miejsce zasiadł w nowej klitce, która wprawdzie była znacznie mniejsza od gabinetu, który zajmował do tej pory, ale samodzielna. Profesor mógł dalej oddawać się pracy naukowej, którą tak sobie wysoko cenił, i poprawiać sprawdziany studentów w ciszy i skupieniu. Szanował nową pozycję Krzysztofa, wycofał się do pozycji byłego szefa, pełnego szacunku, ale bez żadnych praw. Nie pozwalał nawet sekretarce przynieść sobie kawy, tylko sam sobie nalewał wrzątek z czajnika, który dostał od zespołu z okazji przenosin. Nie wtrącał się do pracy Krzysztofa, nie ingerował i sprawiał wrażenie, że nie pamięta już, jakie obowiązki łączą się z zajmowanym niedawno przeciwieństwem stanowiskiem. Krzysztof próbował kilka razy zasięgnąć rady w tej czy innej kwestii, ale Sujecki grzecznie, ale stanowczo podkreślał, że teraz jest tylko zwykłym pracownikiem. Może to miało związek z zepsutymi preparatami, które znalazły się na sali ćwiczeń, a potem jeden z nich musiał zostać po kryjomu odesłany rodzinie. Cała historia miała posmak skandalu, gdyby cokolwiek dostałoby się do prasy, kilka osób straciłoby stanowisko. Pierwszy z pracy wyleciałby z hukiem właśnie on. Naturalnie pociągnąłby za sobą swojego zastępcę, a ten zapewne dyrektora placówki opieki społecznej. Nie wiadomo także, czy i dziekan zachowałby swoje stanowisko. Pewnie tylko dlatego nic z zakładu nie wyciekło. Krzysztof obawiał się, czy któryś ze studentów, anonimowo naturalnie, nie zawiadomi prasy. Żaden z nich nie mógł wiedzieć o tym, że po zwłoki mężczyzny, uważanego za pozbawionego wszelkich krewnych, zgłosi się rodzina zza oceanu, a ciało wypreparowane formaliną zostanie po cichu przewiezione z powrotem do placówki opiekuńczej, gdzie zostanie wydane rodzinie w zamkniętej trumnie z dołączonym sfałszowanym zaświadczeniem o ekshumacji. Nikt ze studentów nie mógł usłyszeć o czymś tak potwornym. Ale któryś co bardziej wrażliwy mógł donieść, że ciała są pokryte pleśnią. Nic takiego się nie stało. Cios nadszedł z zupełnie innej strony. Któraś ze studentek powiedziała matce dziennikarce, że jej asystent molestuje studentki. Krzysztofowi było to bardzo na rękę. Kudelski nie tylko był pozbawionym wszelkich zasad draniem, ale także typem obrzydliwym, który wykorzystywał swoją pozycję do obrażania młodych ludzi. Wstydliva sprawa, którą latami tolerował Sujecki, wyszła w końcu na jaw, ponieważ matka tej studentki zadzwoniła do dziekana, grożąc ujawnieniem sprawy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby matka nie powiedziała czegoś jeszcze. Mianowicie że profesor Sujecki choruje na gruźlicę. To oczywiście nie było prawdą. Profesor rzeczywiście przebył gruźlicę, kilka lat wcześniej. Zaraził się od swojej żony, która była ftyzjatrą, ta

z kolei zaraziła się od pacjentki. Dość szybko profesorowa odkryła zakażenie i zastosowała kurację. Nikt jednak nie pomyślał, że jej własny mąż mógł także być chory. Choroba rozwijała się przez długi czas bezobjawowo, dopiero kiedy Sujecki zaczął cierpieć na chroniczne zmęczenie, wykonał zdjęcie płuc, które ujawniło typowe zmiany. Niczego nie ukrywał ani przed dziekanem, ani współpracownikami. Był na zwolnieniu lekarskim przez cały miesiąc, tyle wytrzymał z dala od ukochanej pracy. Jego studenci zostali powiadomieni i również się przebadali. Krzysztof także zrobił badania, podobnie wszyscy w zakładzie. Na szczęście nikt się nie zaraził. Z punktu widzenia lekarskiego sprawa była absolutnie czysta. Z punktu widzenia moralnego i ogólnoludzkiego także. Dlaczego jedna ze studentek poczuła się zagrożona gruźlicą, tego Krzysztof nie mógł za nic zrozumieć. Podobnie tego, że dziekan uległ szantażowi jej matki i poprosił profesora o przejście na emeryturę. Dla starego nauczyciela akademickiego to był cios. Po rozmowie z dziekanem postarzał się o kilka lat. Krzysztof umówił się na rozmowę z szefem, ale ten dość obcesowo go potraktował, strasząc przez telefon, że zwolni i jego. Ale on się nie poddawał, co by z niego był za kierownik, gdyby nie walczył o swój zespół. Wreszcie udało mu się pokonać szczerłą zaporę sekretariatu i dostał termin audiencji.

– Panie profesorze – argumentował, podczas kiedy zdenerwowany dziekan bębnił palcami chirurga o blat stołu – profesor Sujecki pracuje wyłącznie jako asystent. Jest to wyjątkowo wartościowy pracownik. Nawet nie pamiętając jego zasług jako kierownika...

– Nie muszę się przed panem tłumaczyć z decyzji rady – przerwał mu. – Zresztą był pan na tej radzie i słyszał argumenty.

– Słyszałem, owszem. – Krzysztof postanowił wrócić z tarczą. – Ale są one, proszę wybaczyć, pozbawione wszelkiego sensu. Przecież chyba nikomu z rady nie trzeba tłumaczyć, że profesor Sujecki nie jest gruźlikiem.

– Tego akurat nikt z rady nie kwestionował. – Dziekan był zdenerwowany.

– Proszę mi pozwolić przekonać profesora, aby napisał odwołanie, i poprzeć je na radzie. Do tego czasu profesor może być na zwolnieniu lub urlopie.

– Nie mogę tego zrobić – dziekan upierał się przy swoim.

– Ale zwolnienie zasłużonego kierownika katedry, a przy tym wielkiego naukowca, wychowawcę pokoleń...

– Kolego – dziekan wstał z miejsca – po co pan tu przyszedł? Naprawdę nie wie pan, o co chodzi?

– Naprawdę nie wiem – Krzysztof podwyższył ton. – Ponieważ nie podejrzewam, żeby tak szanowana instytucja jak nasza ugięła się pod szantażem dziennikarki...

– Tak szacowna instytucja jak nasza nie może pozwolić sobie na taki skandal...

– Ależ ja rzeczywiście niczego nie rozumiem... – Krzysztof także wstał. – Nawet jeśli taki artykuł ukazałby się w gazecie, to ośmieszy się jedynie jego autorka. Nie mówiąc o tym, jakie córka tej pani będzie miała z tego tytułu nieprzyjemności.

– Otóż nie. – Dziekan ponownie usiadł. – Dziennikarka opíše wyczyny pańskiego zastępcy i przy okazji potencjalną gruźlicę profesora. Oczywiście mogę się wypowiedzieć i stwierdzić, że z tą gruźlicą to bzdura. Ale musiałbym powiedzieć także, że nikt na naszej uczelni nie molestuje studentek. A tu akurat znajdują się liczni świadkowie... Mógłbym powiedzieć, że gruźlica to bzdura, ale molestowanie to fakt. Tyle że profesor tolerował to latami, a pan od czasu, kiedy ma stanowisko...

Krzysztof stał oniemiały.

– Kończąc dyskusję z panem, chciałbym podkreślić, że pana kolega zgodził się odejść z pracy dobrowolnie, pod warunkiem że odejdzie także profesor Sujecki. W przeciwnym wypadku poinformowałby o... kwestii zwłok. Wtedy poleciałby i pan i obawiam się, że i ja. Szczerzej już nie mogę z panem rozmawiać.

– Czy profesor wie o tym wszystkim?

– Naturalnie. Co więcej, doskonale to rozumie. Tylko pan wykazuje się naiwnością graniczącą z głupotą...

Sprawa była przesądzona. Właściwie powinien być zadowolony. Jemu nic nie groziło. Człowiek, który go nienawidził i szkodził mu, został usunięty ze stanowiska. Profesor zapłacił za jego nieudolność. Nikt go nie winił. Ani zespół, ani sam Sujecki. Nawet Kudelski, poza rutynowymi inwektywami, zachował się w miarę spokojnie. Bez demonstracji spakował swój dobytek i wyniósł się cichcem z zakładu. Otrzymał stanowisko w Ministerstwie Zdrowia, był z siebie bardzo zadowolony, chociaż nie omieszkął telefonicznie zawiadomić Krzysztofa, że dotacje na Akademię Medyczną będą ostatnie na jego liście priorytetów. Tym akurat Krzysztof się nie przejmował zupełnie. Podejrzewał, że Kudelski nie ma żadnego wpływu na gospodarowanie ministerialnymi finansami. Jednak cała sprawa bardzo dużo go kosztowała. Czuł, że poniósł porażkę jako szef.

Kiedy próbował opowiedzieć Małgosi o tym, co zaszło, ta wzruszyła ramionami i powiedziała coś, czego Krzysztof nie rozumiał, mianowicie że wszystko ma swój cel i środki. Zapytał ją, co miała na myśli, a ona powiedziała:

– Uważam, że profesor powinien odejść. Dlaczego nie mógł pogodzić się ze swoim wiekiem i po prostu pójść na emeryturę?

– Bo to, Małgosiu, nie był piekarz – odpowiedział. – Z całym szacunkiem dla piekarzy...

– Takie są przepisy – powiedziała. – Osiągnął wiek emerytalny, a ty objąłeś jego stanowisko. Powinien odejść.

– Przecież odszedł. – Żałował, że poruszył ten temat. – Nie wtrącał się... Pracował tylko ze studentami. Potrzebuję go.

– A po co ci jest on potrzebny? – Zdziwiła się. – Jesteś nieprzeciętnie zdolnym naukowcem. Sam możesz osiągnąć więcej.

A myślał, że ona nie jest w stanie wprawić go w zdumienie. Tyle razy mówił, że zawdzięcza stanowisko profesorowi, że bez jego poparcia rada nie powierzyłaby katedry komuś bez habilitacji.

– Pomagał mi przy każdym badaniu. Pierwszy czytał pracę. Jego wskazówki były zawsze bezcenne.

– Mówisz jak student. – Popatrzyła na niego zimnym wzrokiem. – Weź się wreszcie w garść! Pokaż, że masz jaja! Może jesteś niezadowolony ze zwolnienia swojego zastępcy? Jego też ci będzie brakowało?

– To akurat dar losu... – powiedział zdumiony, że ona w ten sposób zwraca się do niego.

– Żaden dar losu – odparowała. – Los ci niczego sam nie da. Zapamiętaj to sobie.

Wyszła z kuchni, trzasnąwszy drzwiami, i zamknęła się w sypialni.

Nie rozmawiali więcej na ten temat. Przedstawił sprawę Di. Słuchała uważnie. On niczego nie pomijał. Przecież była cudownym człowiekiem. Czekał, aż zdejmie z niego całą odpowiedzialność,

przedstawi jasno, jak to ona, że przecież nie mógł niczego zrobić. Ona jednak wzdrygnęła się i spojrzała na niego zdumiona.

– Tolerowaliście w pracy oblecha, który terroryzował studentki?

– Zaraz terroryzował... – Podniósł się nieco w pościeli. To było jedno z nielicznych popołudni, kiedy mógł być z nią do samego wieczora. W domu powiedział, że ma bardzo prestiżowe wykłady. Małgorzata jedynie obojętnie skinęła głową. Rano znalazł przygotowany garnitur, uprasowaną koszulę i odpowiedni krawat. Ubrał się tak cudacznie, nie chcąc plątać się w dodatkowych kłamstwach, że wykłady są owszem prestiżowe, ale może je wygłosić w dzinsach i swetrze. Di skomentowała jego strój. Ją też okłamał, że miał bardzo ważne spotkanie na uczelni. Bardzo starannie zdejmowała z niego to świąteczne ubranie, odwieszając na wieszak, żeby się nie pogniotło. Był jej wdzięczny, przecież nie mógł powiedzieć, że żona zaczęłaby coś podejrzywać, gdyby wrócił w wymiętej marynarce i spodniach.

– Poddajesz się tym trendom? Wszystkie jesteście molestowane? – Próbował obrócić jej oburzenie w żart. Wstała i zaczęła się ubierać.

– Dlaczego się ubierasz? – zapytał z żalem w głosie. – Mogę zostać jeszcze nawet dwie godziny. Moglibyśmy...

Stała tyłem do niego i wkładała po kolei wszelkie elementy garderoby. Kiedy była kompletnie ubrana, usiadła na brzegu łóżka.

– Chyba powinieneś już iść – powiedziała.

– Ale nie muszę... – zaczął.

– Wolałabym, żebyś sobie poszedł...

– Nigdy nie powiedziałeś mi, jak wyobrażasz sobie naszą przyszłość – powiedziała.

– Przecież wiesz, że chciałbym być z tobą... – Próbował wziąć ją za rękę, ale się odsunęła.

– Wiem, że twoja żona jest chora – zaczęła. – Ale ja tak nie mogę dłużej. Kocham cię, ale, proszę, zostaw mnie w spokoju. Nie było nam pisane...

Zerwał się z łóżka.

– Co się stało? – powiedział to może zbyt gwałtownie. – Dlaczego teraz? Dlaczego mnie odrzucasz? – Przestraszyła się. Skuliła ramiona.

– Od dawna robisz rzeczy, których ja nie akceptuję. – Nie patrzyła na niego, kiedy to mówiła. – Ja nie mogę tak żyć.

– Czego ty nie akceptujesz w moim życiu? Czego?

– Choćby tego, że mnie do tego życia nie wpuszczasz...

– Ale Di, kochanie, jesteś ze mną w najintymniejszych momentach...

Założyła ręce na piersi, skrzyżowała nogi. Wyglądała jak zbuntowana baletnica. Lubił patrzeć, kiedy tak stała. Ale teraz ten gest wyrażał obcość.

– Chodzi ci o łóżko? O to, że zawsze mnie masz, kiedy chcesz?

– Przecież wiesz, że to nie tak... Nie traktuję cię jak kochanki, jak przygody... – Pokręciła głową, robiąc jednocześnie krok w tył.

– Jestem twoją kochanką. Nie mam z tym problemów. Jestem jak tysiące innych kochanek żonatych

facetów. Nie wstydzę się tego. Tyle że już nie chcę...

– Ale przecież wiesz, że nie mogę zostawić żony...

– Bo jest chora psychicznie, wiem.. – Kiwała głową. – Ja cię nie proszę, żebyś zostawił żonę... Nigdy cię o to prosiłam, chociaż miałam nadzieję, że to zrobisz...

– Nie mogę...

– Posłuchaj mnie. – Uniosła brodę do góry. – Ja chcę, żebyś mnie zostawił. W spokoju. Wyjdź teraz i więcej nie wracaj. Ja nie pasuję do twojego naukowego świata, w którym robi się świństwa. Masz władzę i nie umiesz jej wykorzystać do zrobienia czegoś dobrego.

– Di...

– Wyjdź i więcej nie wracaj!

Ubrał się posłusznie, rzucając jej spojrzenia pełne żalu. Obserwowała go uważnie z zaciętą miną. Próbował jeszcze dowiedzieć się, co ją tak zdenerwowało. Powiedział nawet „przepraszam”. W domu zawsze działało. Małgosia lubiła to słowo wypowiedane z pokorą w głosie. Powtórzył kilka razy, że nie wie, czym ją tak uraził, ale naprawdę nie chciał. Przy wyjściu odwrócił się jeszcze raz. Próbował ją objąć. Powiedział: „Chodź tu do mnie”, ale nie ruszyła się na krok. Poszedł sobie. Do domu, którego już nie lubił, do którego nie musiał wracać jeszcze przez kilka godzin, do żony, która zamykała przed nim drzwi. Wracał do Di kilka razy. Tylko raz z nim rozmawiała. Chociaż tyle, mimo że nie wpuściła go do środka. Mówiła coś o marnowaniu szansy, stratach, zegarze biologicznym, wreszcie o kimś, kto, jak powiedziała, jest uczciwy.

– Czy ja byłem wobec ciebie nieuczciwy? – zapytał słabo.

– Jesteś nieuczciwy w ogóle – powiedziała. – Mam koleżankę, której siostra studiuje u ciebie. Sama zaczęła o tobie rozmawiać. Krzysztof, ty, zdaje się, masz problem z uczciwością jako taką.

– Di, błagam, przecież...

– To nasza ostatnia rozmowa...

Dotrzymała słowa. Nie otwierała drzwi, kazała mu oddać klucze. Co z tego, że dorobił własne, przecież nie chciałby jej przestraszyć, wchodząc do domu pod jej nieobecność. Dlaczego powiedziała, że on jest nieuczciwy? Co jej powiedziała siostra koleżanki? Może że ma żonę, która pracuje jako nauczycielka, a nie jest ubezwłasnowolnioną wariatką, której ze względu na synów nie może oddać do zakładu zamkniętego. A może tamta powiedziała swoją wersję o Kudelskim? O koszmarze ze zwłokami nie mogła na szczęście wiedzieć. Chyba informacje o żonie tak ją zdenerwowały. Właśnie tak jej powiedział. Że Małgosia jest chora psychicznie, ma na przemian depresję i manię. W okresach depresji chce się zabić. W czasie manii wchodzi na dach, bo wydaje jej się, że umie latać. Była pełna współczucia. Błękitne oczy miała rozszerzone. Patrzyła na niego z mieszanką miłości i współczucia. Dobrze to wymyślił...

Wiadomość o tym, że profesor nie żyje, przyniosła sekretarka. Weszła do gabinetu i powiedziała:

– Panie doktorze, dzwoniła pani Sujecka. Nasz profesor miał zawał...

Zerwał się z miejsca i chciał jechać natychmiast do szpitala. Zaczął wydawać polecenia. Przede wszystkim trzeba było zawołać Kasię Markowską. Za chwilę miały zacząć się zajęcia. Profesora nie było. On chciał wyjść. Dwoma grupami musieli zająć się koledzy. Na domiar wszystkiego w tym dniu

właśnie miało zostać przeprowadzone kolokwium. To dodatkowa trudność, ale to nic, przecież i tym mogli zająć się jego zastępczyni i kolega na porannej zmianie.

– Dlaczego pani stoi? – zapytał ze złością. – Proszę pójść po doktor Markowską...

Sekretarka stała jednak w miejscu i patrzyła na czubki butów. Zrozumiał. Wiedział, zanim zdecydowała się powiedzieć, że już nie trzeba. Jest po wszystkim. Kiedy zabierało go pogotowie, już nie oddychał. Lekarz, dawny student, poznał swojego nauczyciela. Pewnie tylko dlatego nie odstąpił od reanimacji. Robił, co mógł, żeby dojechać do szpitala z chorym, który mógłby jeszcze trafić na kardiochirurgię. Reanimacja trwała ponad godzinę. Próbowano wszystkiego. Na próżno. Sujecki umarł. Nie przeżył upokorzenia związanego z odsunięciem go od pracy.

– Pan profesor umarł? – Krzysztof zachowywał się, jakby nie rozumiał, czym jest rozległy zawał ściany przednio-dolnej.

– Krzysiek, idź do domu – przekonywała Kasia.

Krzysztof czuł się jak automat. Kasia Markowska kilkakrotnie wchodziła do jego gabinetu i próbowała ustalić, jak się mają w tej sytuacji zachować, albo chociażby wysłać Krzysztofa do domu. Wytrzeźwiał dopiero, kiedy Kasia zażądała numeru telefonu do Małgosi. Stwierdziła, że do niej zadzwoni, żeby przyjechała po męża. Obudził się na chwilę i wszystko ustalili. Kolokwium zostało przesunięte, nekrolog zamówiony, wszyscy ważni powiadomieni o śmierci Sujeckiego. Informacja o dacie i godzinie pogrzebu miała się ukazać na stronie internetowej i tablicy ogłoszeń, kiedy tylko będzie znana. Wyszedł wreszcie na wiosenne słońce. Poszedł do Łazienek, na spacer. Nie chciał wracać do domu. Do Di już nie mógł pójść. Tęsknił za nią straszliwie. Chodził po parku, aż zmarzył na kość. W końcu poszedł na przystanek tramwajowy. Podjechał nowoczesny pojazd, do którego Krzysztof wszedł, ciesząc się, że zawiezie go w pobliże domu Di. Nie, nie zamierzał do niej wchodzić. Chciał tylko zobaczyć, czy nie świeci się w jej oknie światło. Może nawet mignie jej cień. Albo nawet sama wyjrzy przez okno. Lubiła przecież wyglądać przez okno. Miała mały stolik w kuchni przy samym oknie. Przy śniadaniu zerkąła i komentowała, jakich ludzi tam widzi. Bawiła się w psychologa. Zgadywała, czy są szczęśliwi czy nie, czy dobrze zaczęli dzień.

– Prosiłam cię, żebyś nie przychodził. – Drgnął, kiedy usłyszał jej głos.

Stał dokładnie pod jej oknami, na ulicy. Nie pamiętał, kiedy wysiadł z tramwaju, kiedy doszedł do znajomej ulicy. Spojrzał na nią. Była w domowych ubraniach, crocsach na nogach, narzuciła jedynie na siebie kurtkę. Musiała go spostrzec i zejść do niego na dół.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Już mówiłam, już prosiłam...

– Wiem, Di, ale coś się stało... – Miała spytać, co takiego, ale się powstrzymała.

– Nie przychodź tu więcej – powtórzyła i weszła do swojej bramy.

– Profesor umarł! – krzyknął za nią, ale ona już chyba skręciła i zamknęła za sobą drzwi. Jakiś chłopak chyłkiem przeszedł obok niego. Musiał słyszeć, co Krzysztof powiedział. Poczł się okropnie. Żałosny, stary dureń. Po co tam szedł? Spojrzał na zegarek. Było bardzo późno. Nie pamiętał prawie, co robił w ciągu dnia, jedynie to ostre, wiosenne powietrze. Wrócił do domu. Liczył na awanturę, pretensje, pytania, gdzie był. W domu panowała cisza. Małgosia siedziała na fotelu i czytała jakieś czasopismo. Spojrzała na niego znad kolorowych fotek. Pomyślał, że byłoby ironią losu, gdyby jego żona oglądała

zdjęcia przygotowywane przez kochankę. Małgosia tym czasem zmarszczyła brwi.

– Wyglądasz, jakbyś śmierć spotkał – powiedziała.

– Spotkałem – wyszeptał. – Sujecki umarł.

Zaczął płakać jak dziecko, siedząc w kurtce i butach na brzegu tapczanu. Ona miała usta otwarte ze zdumienia, wyglądała, jakby ją coś bardzo przestraszyło.

– Popęłnił samobójstwo? – zapytała schrypniętym głosem.

– Nie musiał – odpowiedział. – Wyrzucono go z pracy po donosie i dostał zawału...

– Przecież zawał się leczy. – Wyglądała, jakby zobaczyła upiora.

– Wiem, że go nie lubiłaś – zaczął. – Ale dla mnie był jak ojciec...

– Wiem – powiedziała ostro. – Jak ojciec. Jak on mógł... umrzeć?

Odsunął się od niej. O co jej mogło znowu chodzić.

– Czy ty choć raz mogłabyś stanąć po mojej stronie? – krzyknął.

– Umarł ktoś mi bliski! Potrzebuję wsparcia! A ty wygłaszasz jakieś absurdalne tezy!

Awantura byłaby oczyszczająca. Może nawet wróciliby do siebie. Chciał seksu. Najbardziej Di, ale pragnął też Małgosi. Tu i teraz. Ona jednak zamknęła się tradycyjnie w pokoju. Zapukał wściekły do tych drzwi. Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Leżała skulona w pozycji embrionalnej i płakała.

– Wyjdź stąd! – krzyknęła. – Wyjdź!

– Małgosiu... – Postanowił, że nie da się wyrzucić. – Proszę cię... Ja tylko chciałem...

– Wyjdź! Słyszysz?! – Podniosła twarz zalaną łzami.

Wyszedł. Resztę wieczoru spędził, telefonując do dawnych kolegów. Zawiadamiał ich o śmierci nauczyciela, wspominali razem Sujeckiego. Zza drzwi sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

– Panie Krzysztofie... – Aleksandra wkroczyła do pokoju w asyście lekarza, pielęgniarki i jego dwóch synów. – Gotowy do rozmowy?

– Oczywiście – powiedział, wracając do rzeczywistości. – Cześć, chłopcy...

Lato 2012

Była u kresu wytrzymałości. Wstawała rano, myła się, ubierała po dawnemu, mijając Krzysztofa, jakby nie istniał. Nie robiła mu śniadań, zresztą on od niej tego nie oczekiwał. Przyjmowała do wiadomości, że robił sobie sam kanapki albo jadał na mieście. Było jej to obojętne. Obiad w domu zawsze jakiś był. Przecież w każdej chwili mogli wrócić chłopcy i zażądać zupy i kotletów. Poza tym Krzysztof wracał z pracy i odgrzewał sobie to, co było akurat w lodówce. Ciągłe pytał, czy ma zrobić zakupy, mówił coś o dźwiganiu, czego prawie nie słyszała. Zaprzeczała zawsze.

– Nie ma potrzeby. Przecież Jaśka już z nami nie ma. Ty prawie nie jesz, ja też prawie nie jem. Właściwie tylko Staszek został... – mówiła.

Tyle że nie zauważyła, że Stanisław na dobrą sprawę wyprowadził się z domu. Rzadko przychodził, nigdy, żeby posiedzieć, raczej zanocować. Pewnie nie pomagało to, że była zupełnie nieobecna. Krzysztof do synów miał stosunek od zawsze męski, czyli nie trząsał się nad nimi, i od czasu, kiedy poszli na studia, twierdził, że to dorośli mężczyźni i najlepiej byłoby, gdyby zaczęli być samodzielni. Jej początkowo nie mieściło się to w głowie. Wiedziała, jaki jest jeden i drugi. Może to i dobrzy chłopcy, może dobrze ich wychowali, ale dzieci trzeba kontrolować. Nie zaszkodzi pomóc im albo losowi, mówiła, kiedy Krzysztof pytał, dlaczego ciągle wydzwania do jednego i drugiego, proponując przepierkę albo obiady. Od tygodni tego nie robiła. Miała wytłumaczenie: śmierć matki. Ścisłej choroba i śmierć. Czy to dlatego chłopcy przestali przychodzić do domu? Jan był indywidualistą, ale Stanisław powinien być w domu. Zawsze byli blisko. Teraz wyraźnie uciekał. Od niej i domu. Nie mogła tego zrozumieć. Dlaczego nie chciał z nimi być, z nią i Krzysztofem? Czy wyczuwał tę obcość, jaka wyrosła między nimi, ten mur niechęci? „Nawet jeśli, co to miało do rzeczy” – myślała, odpalając samochód. Spojrzała nieprzytomnie przed siebie. Znowu nie pamiętała, w jaki sposób się znalazła w samochodzie. „Jakbym spała, zamiast żyć” – pomyślała. Spojrzała w lusterko. Była umalowana. Uczesana, ubrana jak zwykle starannie. Jeśli chodzi o ubrania, to szykowała je sobie poprzedniego dnia, inaczej nie umiała rano odnaleźć w szafie tego, co chciała. W szkole musiała wyglądać perfekcyjnie, bardzo jej na tym zależało. Nikt absolutnie nie mógł dowiedzieć się, co ona przeżywa. Chociaż nie zależało jej na czyichś opiniach. Nawet szept, że nie nosi żałoby po matce, jej nie obchodziły, ale jednocześnie nie zniosłaby, gdyby ktoś powiedział, że się zaniedbała albo, co gorsza, zapuściła. W imię tych założeń depilowała nogi jak dawniej, mimo że z Krzysztofem nie sypiali od dawna. Robiła to naprawdę dla siebie, żeby poczuć się jak dawniej, kiedy była panią sytuacji i to ona decydowała, kiedy odda się mężowi. „Właściwie to ja wcale nie chcę, żeby on był ze mną” – myślała, zawracając na ruchliwej ulicy. „Moglibyśmy się rozstać...”. Zakręciła kółkiem kierownicy, nie zwracając uwagi, że opel za nią musiał gwałtownie zahamować, inaczej jej manewr skończyłby się zderzeniem. Zignorowała trąbienie kierowcy i obraźliwe gesty. Zupełnie jej to nie interesowało, co by się mogło stać, gdyby miała stłuczkę. Może nawet to by ją otrzeźwiło, a przynajmniej ożywiło, a tak pojechała dalej, nakazując sobie nie mylić już drogi.

– Mam cię gdzieś – mruknęła głośno w stronę kierowcy, który skręcił w boczną ulicę. – Jedź ostrożnie, kochana...

Dawniej mówiła do siebie podczas jazdy, oczywiście wtedy, kiedy była sama. Przypomniało się jej to teraz. Prowadziła monologi ze sobą albo dialogi z Krzysztofem. Śmiała się, że w ten sposób przygotowywała się do prawdziwej z nim rozmowy, jak do lekcji ze swoimi uczniami. Jej dzieci, także je zaniedbała. Dawniej przygotowywała się bardzo starannie do lekcji, mimo że tematy powtarzały się rok w rok. Teraz głównie improwizowała. Na lekcjach się to nie odbijało. W końcu miała wieloletnie doświadczenie pedagogiczne. Nie zwracała tylko jak dawniej uwagi na potrzeby i problemy uczniów. Zwykle wiedziała bardzo dobrze, który z jej wychowanków ma dobry dzień, jakie problemy są w domu. Pierwsza zorientowała się, że rodzice małego Ksawka się rozwodzą. Mały wyraźnie się zmienił, popłakiwał po kątach, a na lekcjach był nieobecny. Spotkała się natychmiast z jego matką. Ta głupia kobieta bredziła coś o umarłym uczuciu i o tym, że jej mąż ma kogoś. Przemówiła jej do rozsądku. Kazała natychmiast przyjąć męża z powrotem do domu. Przecież obiecał porzucić kochankę, argumentowała. Nie chciał rozstania. To złe rozwiązanie dla Ksawka. Kładła jej to do głowy przez godzinę. Wreszcie wśród powodzi łez matka dziecka jej podziękowała. Potem powoli chłopczyk odzyskał poprzednią witalność. Dlaczego pomyślała nagle o Ksawku? Zmarszczyła brwi. A tak, skojarzyło jej się z rozwodem. Czy umiałaby odejść od Krzysztofa? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Kiedy go wybrała i powiedziała rodzicom, że to właśnie ten, jednocześnie przypieczętowała decyzję o tym, że będą ze sobą na zawsze. Cokolwiek by się stało. Dlatego tyle się wahała. Nie akceptowała tego, że nie chce pracować jako lekarz. Nie mieściło jej się w głowie, że można być takim samolubnym człowiekiem i nie myśleć perspektywnie. Wiedziała, że jako klinicysta Krzysztof osiągnąłby bardzo dużo. Doktorat nie zająłby mu siedmiu lat, tylko dwa. Miałby specjalizację i pozycję w jakiejś klinice. Może zostałby profesorem w wieku czterdziestu lat? Nie rozumiała, jak można odrzucać taką szansę. I to wybierając co... trupy? Nie chciała tego pojąć. Jeśli ją kocha, to zrezygnuje z tych mrzonek, myślała wtedy. Ale powiedział, żeby przestała go namawiać. To ona miała zmienić zdanie. Tyle razy powtarzał, że ją kocha, zrobi dla niej wszystko, ale żeby w tej jednej sprawie pozwoliła mu być sobą. Tylko w tej jednej sprawie mu ustąpiła. Potem robił to, co ona chciała. Pilnowała tego. Wiedziała, co jest dla niego dobre, i pilnowała, żeby podejmował właściwe decyzje. On to akceptował, ponieważ wiedział, że ona robi to z miłości do niego, z troski. Śmiała się i mówił, że to żona wie, co jest dla niego dobre. Boże, jak ona go kochała. Liczył się dla niej tylko on, zawsze on. Nie przyznała się nikomu do tego, że wcześniej była dziewczicą. Miała wprawdzie jakichś „chłopaków”, ale szybko ich odstawiała. Szkoda jej było tracić czas z mężczyznami, do których nic nie czuła, nawet sympatii. Bała się, że nie umie kochać. Powiedział to jej taki jeden Sławek. „Ty, Gośka, nie umiesz kochać...”. „Umiem – odpowiedziała mu wtedy – tylko do ciebie nic nie czuję...”.

Nie znosiła zdrobnienia Gośka. Niektóre koleżanki tak do niej mówiły. Te dalsze oczywiście. Rodzicom zdarzało się mówić Gonia, Gosieńka, ale rzadko. Krzysztof już pierwszy raz zwrócił się do niej: Małgosiu. To jej się podobało. Cały jej się podobał. Pierwszy raz zafalowało jej coś w brzuchu. Jakby coś fruwało. Zwierzyła się koleżance. „To motyle w brzuchu – powiedziała tamta – jesteś zakochana”. I dodała, że jej zazdrości. Motyle w brzuchu. Wtedy było miło je mieć. Teraz paliły jak ogień. Latały po jej wnętrznościach i nie chciały odlecieć. Nie, Adam Zalewski wcale jej się nie podobał. Coś ją tylko do niego ciągnęło. Myślała, że to wdzięczność. W końcu to dzięki niemu została wicedyrektorem. Przecież wybrał ją nie tylko ze względu na jej kompetencje. Musiał dostrzec w niej coś więcej. Przecież mu się opierała. Była nawet niegrzeczna, zwłaszcza na początku ich znajomości. Potem

go sprawdzała. Czy wytrzyma jej ironię i kpiny, nawet drobne niesubordynacje. Kiedy została wicedyrektorem, zbliżyli się do siebie. Motyle wtedy fruwały na całego. Jedno jej spojrzenie, a Adam Zalewski wleciałby do jej brzucha na rydwanie z motyli i rozpanoszyłby się na całego. Ale ona miała misję. Uratować męża przed nim samym i doprowadzić go do sukcesu. Miał być przecież królem tej swojej uczelni. Wreszcie na szczycie, jako członek jakiejś elity, a nie szeregowy pracownik. Ile można być młodym, dobrze rokującym? Do czterdziestki, do pięćdziesiątki? Tyle razy mu to mówiła i dodawała, że ona go wesprze. A teraz te motyle.

– Proszę pani! – usłyszała za sobą. Odkręciła uchyloną ledwie szybę.

– Słucham, o co chodzi? – spytała szorstko.

– Czy pani źle się czuje? – zapytała tleniona blondynka, zaglądając ciekawie do wnętrza samochodu.

– Czuję się świetnie – odpowiedziała zdziwiona.

– Przepraszam. – Tamta zamachała rękoma. – Stoi tu pani przed skrzyżowaniem już kilka minut. Wiem, że to boczna droga i nikogo nie ma, ale mnie się trochę spieszy...

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu pani nie zatrąbiła – powiedziała szorstko. – Nie musi się pani tłumaczyć. Racja jest po pani stronie.

– Przepraszam – stropiła się tamta. – Pomyślałam, że pani może zemdląca, a ja sobie siedzę w samochodzie jak ta trąba... – Małgorzata uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Niech pani nie przeprasza – powiedziała. – To ja przepraszam i odjeżdżam.

Była prawie pod szkołą. Zaparkowała starannie i wyszła z samochodu. Wolnym krokiem szła w stronę budynku, najpierw przekraczając masywną bramę, potem małą furtkę, wreszcie ciasne wejście do szkoły. Zwykle wchodziła od tyłu, przejściem dla nauczycieli, które prowadziło prosto do pokoju nauczycielskiego. Teraz kroczyła korytarzem, stukając obcasami, mijając rozkrzyczane dzieci, odpowiadając machinalnie na pozdrowienia.

– Małgosiu, przyszłaś... – To Adam Zalewski wyszedł z sekretariatu i pobiegł do niej, jakby wiedział, że ona wejdzie do tej cholernej szkoły, jakby na nią czekał.

– Naturalnie, że jestem – powiedziała nieuważnie i weszła do sekretariatu, omiatając spojrzeniem nową sekretarkę, która poza wątpliwymi kompetencjami odznaczała się pospolitą, nieco nachalną urodą i obfitym biustem, wypychającym tanie akryłowe sweterki, jakie z upodobaniem nosiła.

– Czy ja mam zrobić pani herbaty? – zapytała dziewczyna na jej widok i zrobiła się czerwona jak pomidor.

Kilka razy zwracała się do Małgorzaty niegramatycznie i ta z irytacją dawała jej do zrozumienia, że nie życzy sobie na stanowisku sekretarki osoby, która nie umie mówić prawidłowo po polsku.

– Nie musi mi pani robić herbaty – odpowiedziała jej. – Ale gdyby pani zechciała, to poproszę czarną, mocną.

– Oczywiście, pani dyrektor – cicho powiedziała tamta. Adam Zalewski zamknął za sobą drzwi.

– Małgosiu – zaczął. – Musimy...

– Adam – powiedziała spokojnie – niczego nie musimy. A ja przyszłam tutaj do pracy... Rozejrzał się nerwowo.

– Naturalnie, kochanie – odpowiedział. – Ja po prostu tęskniłem...

Spojrzała niespokojnie na boki, jakby spodziewała się obserwatorów czy podsłuchu w ścianie.

– Nie mów tak do mnie w pracy...

– Ale nikt nas tu... – zaczął, ale zamilkł, kiedy sekretarka weszła z tacą, na której stały filiżanka, czajniczek z gorącą wodą i wystającą nitką z dyndającym napisem „Herbata swojska” oraz cukierniczka i talerzyk z ciasteczkami.

– Czy dla pana dyrektora też herbatki, czy tylko filiżankę, a może kawki? – spytała dziewczyna jednym tchem.

– Dla pana dyrektora nic – odparła Małgorzata.

– Owszem, poproszę jeszcze jedną filiżankę – powiedział w tym samym czasie.

Dziewczyna się zawahała. Szybko jednak wyszła, obrzucając dyrektora pełnym podziwu spojrzeniem.

– Co ty wyprawiasz, Małgosiu? – Adam znalazł się tuż przy niej.

– Odsuń się – syknęła. – Ta cycata flądra zaraz tu wejdzie z filiżanką dla ciebie...

Odskoczył jak oparzony i stanął przy przeciwległej ścianie na chwilę przed tym, kiedy sekretarka wniosła drugą filiżankę. Począł, kiedy dziewczyna ponownie zamknęła za sobą drzwi.

– Będą plotki – syknęła, widząc, że znów się do niej zbliża.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiedział, ale stanął w pewnej odległości od jej biurka. – Nie zrobię nic, czego nie będziesz akceptowała.

– Świetnie – powiedziała. – Zapomnijmy o tym, co się stało. Daj mi pracować.

– Ja nie zapomnę – powiedział i złapał ją za rękę.

Motyle zaatakowały ze zdwojoną siłą. Opanowała się i wyrwała dłoń.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała cichym głosem. Był w nim wyłącznie chłód. – Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę...

– Małgosiu... – jego ton był pełen zdziwienia i prośby.

– Nic między nami nie może być, rozumiesz? – Trzymała twarz tuż przy jego twarzy. – Jesteś tylko żalonym dupkiem...

– To, co jest między nami... – Usiłował ją objąć, ale odskoczyła i odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Nic nie ma między nami, słyszysz? Nic... – Najlepiej, jak umiała, wykrzywiła w ironii usta.

– Może mi powiesz, że tamten wieczór nic dla ciebie nie znaczył?

Przypomniała sobie tamten wieczór. Żalodne zaloty, podchody, które powinny skończyć się niezobowiązującym seksem. Wyznania jak z wiejskiej dyskoteki w latach osiemdziesiątych, usiłowanie tańczenia z nią w objęciach. Czowała zażenowanie. Motyle też to czuły i przycichły, a ona mogła spokojnie go odrzucić, wymawiając się migreną, żalobą i koniecznością zatelefonowania do młodszego syna.

– Tamten wieczór uświadomił mi twoją śmieszność. Tylko tyle dla mnie znaczył. Nic między nami nie będzie. Za głupi na to jesteś i za prosty.

Stał blady, z opuszczonymi rękoma. Miał ten sam głupkowaty wyraz twarzy, jaki zirytował ją przy pierwszym spotkaniu.

– Oczywiście złożę wypowiedzenie – powiedziała. – Nie martw się...

– Kocham cię – powiedział.

Zrobiło jej się niedobrze. Motyle podeszły do gardła. „Oddychaj spokojnie – nakazała sobie – oddychaj”.

– Ale ja ciebie nie kocham – powiedziała. – Nawet mi się nie podobasz. Wyjdź stąd. Na razie to mój gabinet.

Kiedy wyszedł, pędem rzuciła się w stronę łazienki i zwymiotowała do sedesu żółcią.

– Kocham tylko Krzysztofa – powiedziała, spuszczać wodę.

* * *

– Nie teraz, Zuzanna – powiedziała, patrząc na stojącą przed gabinetem koleżankę.

Ledwo widziała na oczy. Wymiotowała jeszcze kilka razy, ignorując stukanie do drzwi. Wreszcie nie miała już co zwracać. Wyszła, przepłukała usta i spojrzała na siebie w lustrze. Twarz wydała się jej przykurzona. Popatrzyła jednak na kobietę stojącą przed jej gabinetem i pomyślała, że musi zebrać w sobie siły.

– Kiedy? – zapytała krótko Zuzanna, odgarniając włosy.

Małgorzata pomyślała, że Zuzanna nie wygląda dobrze. Twarz miała zszarzałą, oczy podkrążone. Uczesana była w byle jaki kok, a jej strój świadczył o tym, że nie dbała o to, co na siebie wkłada.

– Mam dużo pracy – powiedziała wymijająco. – W dodatku złapałam jakąś infekcję... Przepraszam cię, ale muszę iść...

– Dokąd musisz iść? – napięcie w głosie byłej przyjaciółki było ledwie wyczuwalne, ale Małgorzata spojrzała na nią badawczo.

Zobaczyła na jej twarzy determinację. Znała ten wyraz. Oznaczał, że Zuzanna nie odejdzie.

– Słuchaj, Zuzanna. – Opanowała się. – Mam zaraz spotkanie z kimś z ministerstwa... potem lekcje. Dziś z tobą nie porozmawiam, ale możesz iść do dyrektora, jeśli to sprawa służbowa, albo zostawić, co tam masz, w sekretariacie...

Stały na korytarzu. Małgorzata starała się ją ominąć, ale Zuzanna tarasowała jej swobodne przejście. Małgorzata musiałaby ją jeszcze raz poprosić o przesunięcie się albo odsunąć ręką, ale dziwnie nie chciała jej dotknąć.

– Dobrze, zostawię wymówienie w sekretariacie – powiedziała nieoczekiwanie. – Do widzenia...

– Ale... – Teraz Małgorzata była zaskoczona. – Czeka! W takim razie musimy porozmawiać...

Trzęsącą się ręką odgarnęła włosy. Sytuacja się odwróciła. Teraz to Zuzanna chciała wyjść, a Małgorzata trzymała ją za rękaw.

– Puść mnie przede wszystkim – wycodziła Zuzanna. – To w końcu jak z twoim cennym czasem, masz go dla mnie czy nie?

– Oczywiście. – Z Małgorzaty nagle uszło całe powietrze. Znow zrobiło się jej niedobrze. – Daj mi tylko chwilę, a odwołam tę osobę z ministerstwa...

Zuzanna kiwnęła głową. Małgorzata weszła do siebie i schowała twarz w dłoniach. Nie było oczywiście żadnej osoby z ministerstwa. Miała się spotkać z kimś z urzędu marszałkowskiego w sprawie

dotacji. Tyle że ten ktoś zachorował i kilka godzin wcześniej odwołał spotkanie. Nie chciała rozmawiać z Zuzanną. Nie miały o czym. Nie mogłaby poruszyć z nią żadnego z wątków osobistych, nie umiałyby powiedzieć o Krzysztofie, o fatalnym w skutkach wyjeździe do Toskanii. Za wszelką cenę chciała ukryć niezrozumiałe dla niej do końca uczucie do Adama Zalewskiego, którym w głębi duszy pogardzała, więc pogardzała także sobą, ponieważ nie mogła uwolnić się od tego dziwaczного przywiązania. Obawiała się, że Zuzanna zechce z nią o tym rozmawiać, może spostrzegła, że chodzi o dyrektora, że to przez niego tak się od siebie odsunęły. A może niczego nie zauważyła, tylko chce tłumaczyć powody swojej rezygnacji. Zresztą cóż za idiotyczny pomysł. Małgorzata będzie ją namawiać, żeby nie odchodziła. Przecież była przyjaciółką uwielbiała swoją pracę, kochała uczyć dzieci. Może był jakiś kryzys spowodowany ciągłym dbaniem o poziom, windowaniem wymagań, ale przecież Zuzanna nie bała się dyrekcji, nigdy nie poddawała się szantażom emocjonalnym, robiła swoje w pracy i była z tego dumna. Stanowczo trzeba jej to wybić z głowy, myślała, otwierając ponownie drzwi i zapraszając Zuzannę do środka.

– Już odwołałam spotkanie – powiedziała lekko. – Możemy rozmawiać swobodnie. Zuzanna, co ci w ogóle przyszło do głowy?

– Zmienia się pracę w życiu, nie ma w tym nic dziwnego – powiedziała tamta, patrząc w bok.

– Ale przecież kochasz to, co robisz... – zaczęła Małgorzata. – Czy ty przechodzisz do jakiejś innej szkoły?

Nagle poczuła się zupełnie swobodnie. Napięcie zniknęło, głowę miała jasną, a przed sobą określony cel – nie dopuścić, żeby koleżanka popełniła fatalny dla wszystkich błąd.

– Zabawne... – Zuzanna pochyliła się do przodu ku Małgorzacie. – Kiedyś byliśmy tak blisko, że wiedziałabyś o tym, czy mam inną pracę na oku. Teraz nie masz pojęcia, prawda?

– Znow możemy być blisko – powiedziała Małgorzata, uśmiechając się.

Chciała w to wierzyć, potrzebowała Zuzanny, poczuła, że mogą odbudować dawne relacje. Wystarczy przecież się postarać, przecież nic takiego się nie stało. Nie pokłóciły się, nie padły żadne przykre słowa, nie ma przeszkód, żeby znow były blisko, żeby tamta jak gdyby nigdy nic znow wkroczyła w jej życie. Może nawet zwierzy jej się z problemów z Krzysztofem. Na pewno zacznie od opowieści o tamtej wróżce, która ją tak wystraszyła. Właśnie, od tego trzeba zacząć. To przez tę astrolożkę, czy kim tam była ta kobieta, odsunęła się od Zuzanny. Ale na szczęście teraz będzie można to naprawić. Małgorzata tego chciała. A skoro ona czegoś pragnęła, to osiągała swój cel.

– Nie mam pojęcia, po co to mówisz – odpowiedziała jej Zuzanna. – Sama w to nie wierzysz... Zresztą nie przyszłam po to, żebyś mnie przekonywała.

Małgorzata wyprostowała się na siedzeniu. Należało teraz zmienić strategię. Zuzanna była inteligentna. Na pewno nie posunęłaby się do szantażu składaniem wymówienia. Musiała to dokładnie przemyśleć. Inna sprawa, ile ją to kosztowało. Na pewno nieprzespane noce, sądząc po podkrążonych oczach i nieporządnym stroju. Trzeba inaczej z nią rozmawiać. Teraz trzeba poprosić.

– Co mogę zrobić, żebyś została? – zapytała.

– Nic – odpowiedziała Zuzanna. – Zresztą zrobiłaś tyle, żeby podważyć moje kompetencje, że nie wiem, dlaczego miałabyś nagle chcieć, żebym dalej tu uczyła.

– Zuzanna, ja nie podważałam... – Była przyjaciółką machnęła ręką.

– Tak – powiedziała. – Nie podważałaś, nie miałaś zastrzeżeń, nie napisałaś tego pisma, w którym sugerowałaś, żeby dotacje na konkursy przenieść na inne cele z uwagi na ciągły brak wykwalifikowanej kadry...

Nie miała pojęcia, jak do Zuzanny mogło dotrzeć pismo, które widziała tylko ona, Adam oraz jacyś kuratorzyjni urzędnicy. Musi znaleźć tego, przez kogo to pismo wyciekło. Znajdzie i ukarze za nieojalność. Teraz trzeba zaprzeczyć w rozmowie, że to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Zuzanno. – Roześmiała się. – To rutynowe pisma. Piszemy takich na tony i one niczego nie wnoszą, zapełniają tylko segregatory kuratorskie. Zresztą nie było tam nic przeciwko tobie... Wierz mi...

– Tylko że ja od dawna na ciebie patrzę, Małgosiu, i zastanawiam się, co się z tobą dzieje... Nie mogę ci uwierzyć, ponieważ jesteś zupełnie inną osobą niż ta Gośka, którą znałam... Tą, która była normalną babą, lubiła pogadać o dzieciach, swoich i tych szkolnych, ciuchach, przepisach...

– No, wiesz, może to kwestia braku czasu... – zaczęła ponownie.

Zuzanna pokręciła głową.

– Tak się mówi, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – powiedziała. – Zawsze myślałam, że to tylko takie powiedzonko.

– Nic się nie zmieniło...

– Nie obrażaj mojej inteligencji. – Zuzanna potarła czoło dłonią. Małgorzata zauważyła, że była przyjaciółka nie ma zrobionych paznokci, a skóra na jej dłoniach jest szorstka i się łuszczy. Ona zawsze, niezależnie od nastroju czy problemów z Krzysztofem, miała starannie wypielęgnowane ręce. Położyła je przed Zuzanną na blacie.

– Chodźmy może gdzieś napić się kawy albo może zabiorę cię do kosmetyczki...

– Nie wierzę... – Zuzanna otworzyła usta. – Chodzi ci o moje ręce? Że się zaniedbałam? Jakie to ma znaczenie? Widzę, że ty nic nie rozumiesz...

Małgorzata powoli zaczynała tracić cierpliwość.

– Zuzanna, chcesz odejść, w porządku... – powiedziała twardo. – Uważam, że robisz błąd, i nie rozumiem twojej decyzji. Chcesz o tym pogadać – też okej, ale chyba nie chcesz rozmawiać. Chcesz podwyżkę? Przecież wiesz, że to nie prywatna firma, ale mogę dać ci nagrodę...

Była przyjaciółka powoli wstała.

– Nie pozwoliłaś mi powiedzieć, o co chodzi, ponieważ zawsze zakładasz, że ty lepiej wiesz, co inni mają na myśli... Nie chodzi mi ani o podwyżkę, ani o to, żebyś mnie prosiła o cokolwiek. Chciałam ci powiedzieć, że to przez ciebie odchodzę. Nie mogę z tobą dłużej pracować... Nie akceptuję tego, co zrobiłaś Malwinie, twoich... podchodów z dyrektorem, które może i byłyby twoją prywatną...

– Nic nie ma między mną a dyrektorem! – Małgorzata wstała tak gwałtownie, że na podłogę upadła jej komórka. Nie schyliła się po nią. – Rozumiesz? Nic!

– Ależ rozumiem. – Zuzanna cofnęła się o krok. – Nie mam zamiaru cię osądzać, tylko wasza... współpraca spowodowała wiele szkód...

– Wyjdź stąd! – Małgorzata była kompletnie wyprowadzona z równowagi. – Przyjmuję twoje wymówienie. Mam nadzieję, że nie będę musiała cię już oglądać... Ja i Krzysztof...

– Oczywiście, nie będziesz musiała. Za chwilę będzie koniec roku szkolnego, potem wakacje. Od września musisz znaleźć inną polonistkę. Jak widzisz, jestem fair...

Małgorzata roześmiała się szyderczo. Dobrze, mogą się mijać przez dwa tygodnie na korytarzu. Potem nie będzie musiała na nią patrzeć. Reszta nauczycieli to potulne baranki, które nie wychylają się z obawy o utratę pracy.

– Jeszcze jedno... – Teraz Zuzanna wyglądała na zupełnie spokojną. – Właśnie à propos twojego Krzysztofa...

– Co cię obchodzi...? – Małgorzata pomyślała, że za chwilę wpadnie do pokoju sekretarka zaniepokojona krzykami albo, co gorsze, Adam Zalewski. Postanowiła nieco ściszyć ton, chociaż miała ochotę krzyczeć z całych sił, wyrzесzczеć tej niewdzięcznej kobiecie wszystkie własne żale i pretensje.

– Nic by mnie nie obchodził romans twojego męża, gdyby nie to, że zaangażowany jest w to mój syn...
– Zuzanna kontynuowała spokojnie przemowę. – Nie mam wpływu na wybory Pawła, muszę zaakceptować osobę, z którą się spotyka. Twój mąż wciąż nachodzi tę dziewczynę i nie może zrozumieć chyba, że to koniec...

Nic nie rozumiała. O czym Zuzanna mogła mówić?

– Mój mąż ma romans? – Podniosła telefon i wpatrzyła się w ekran.

– Z tego, co wiem, to miał romans – rzeczowo odpowiedziała Zuzanna. – Tyle że ona teraz jest z Pawłem i planują ślub, a twój mąż nie chce przyjąć tego do wiadomości...

– Czemu ty mi to mówisz? – zapytała.

– Żebyś skoncentrowała się na swoich sprawach, zamiast niszczyć ludziom życie... mam na myśli na przykład Malwinę, mnie...

Małgorzata wyjęła grzebień z torebki, po chwili włożyła go z powrotem i poszukała chusteczek. Wyjęła jedną i wytarła nos, chociaż był zupełnie suchy. Na białym materiale chusteczki pojawiły się beżowe smugi fluidu. „Będę musiała zetrzeć to wszystko i pomalować się jeszcze raz” – pomyślała.

– Już ci kiedyś mówiłam, żebyś zrobiła mu laskę, zamiast rzucać się w ramiona tego palanta... Przecież wiem, że mieliście... mąż ma kochankę, ty masz młodszego...

– Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedziała, nie precyzując, czy chodzi o to, co Zuzanna powiedziała wtedy, czy też o to, co usłyszała w obecnej chwili. – Gdzie mogę ją znaleźć?

– Mam ci podać jej adres? – zapytała. – Nie wiem po co... porozmawiaj z mężem.

– Oczywiście – powiedziała. – Porozmawiam i załatwię to. Twój Paweł może być spokojny. Krzysztof nie będzie się już spotykał z tą... tą... dziewczyną. Tylko chcę wiedzieć, gdzie ona mieszka. Może pójde tam i spotkam Krzysztofa...

– Nie znam adresu. To na Ochocie, vis-à-vis dworca. Budynek z Coffee Heaven na parterze. Mieszka dokładnie nad lokalem, wchodzi się od tyłu. Tak powiedział Paweł. Zrozum, Małgorzata, ona będzie moją synową... Paweł się zakochał, mają wyznaczoną datę ślubu... Ona jest starsza, mam wrażenie, że to szybko się skończy, ale... Zresztą niepotrzebnie ci mówię o takich szczegółach...

– Podobna do mnie? – zapytała.

– Skąd! – odpowiedziała szczerze Zuzanna. – Wysoka blondynka z krótkimi włosami... Twoje przeciwieństwo... Ratuj swoje małżeństwo, Małgosiu... Ja muszę stanąć po stronie dziecka...

– Tak, oczywiście – powiedziała jak we śnie. – Trochę przechodzona synowa, skoro zadaje się z żonatym facetem. Kto wie, ilu ich miała wcześniej... Rozumiem, że Pawłowi to nie przeszkadza... Wam też pewnie nie... Jest bogata?

Zuzanna podeszła do drzwi. Położyła rękę na klamce.

– Cieszę się, że ci powiedziałam.. – powiedziała. – Bardzo się cieszę...

Małgorzata wysypała zawartość torebki na stół. Szukała pudru i szminki. Znalazła jedno i drugie w bocznej kieszeni, czyli dokładnie tam, gdzie powinny być. Spośród drobiazgów na stole wyłuskała paczkę chusteczek do demakijażu. Podeszła do lustra i przez dwadzieścia minut pracowała starannie nad swoją twarzą. Najpierw zmyła stary makijaż, następnie pokryła twarz pudrem, narysowała perfekcyjne, cienkie kreski na powiekach, a potem wyszczotkowała tuszem rzęsy. Po namyśle dołożyła nieco różu na policzki i brzoskwiniowy cień na powieki. Krytycznie oceniła swoje dzieło.

„Wyglądam jak zwykle bardzo dobrze, tylko nieco blado, ale to zupełnie nie szkodzi” – pomyślała. Wzięła żakiet, starannie zamotała szyfonowy szal na szyi i weszła do sekretariatu.

– Wychodzę – powiedziała do sekretarki. – Dziś już nie wrócę.

– Ale... – Tamta uniosła głowę znad komputera. – Pani dyrektor ma jeszcze dwie lekcje...

– Proszę odwołać – powiedziała.

W drzwiach stanął Adam Zalewski. Patrzył na nią z uwagą. Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Panie dyrektorze – zwróciła się do niego – wychodzę...

– Podobno ma pani jeszcze lekcje – odpowiedział, nie zmieniając pozycji.

„Nic mnie to nie obchodzi” – odpowiedziała mu w myślach. „Ty palancie, jak śmiesz tak do mnie mówić...”.

– Znajdzie pan zastępstwo. – Nie zwalniała kroku. – Może sam się pan pofatyguje i przeprowadzi lekcję... Do tej pory nie miał pan chyba okazji pracować z dziećmi... Najwyższy czas...

– Małgosiu. – Nie wytrzymał dyrektor. – Co się stało?

Sekretarka schyliła głowę i wpatrzyła się w komputer. Nie było wątpliwości, że chłonie każde słowo.

– Do widzenia, do jutra – powiedziała, wychodząc, mimo że była pewna, że następnego dnia raczej nie dotrze do szkoły.

– Jeśli teraz wyjdiesz... – zaczął ponownie, po czym podszedł do niej i złapał ją za ramię. Odwrócił do siebie i próbował spojrzeć jej w twarz.

– Niech pan mnie puści, panie dyrektorze – powiedziała na wpół sennie, na wpół stanowczo. – Niech pan tu nie robi cyrku...

Puścił ją natychmiast, a ona wyszła z sekretariatu, ignorując dzwonek i Janka Kowalskiego czepiającego się jej rękawa. Nie słyszała nawet, co ten dzieciak do niej mówił. Wyszła ze szkoły i spokojnym krokiem podeszła do samochodu. Uruchamiając silnik, myślała tylko o tym, gdzie zaparkuje, ile czasu zajmie jej rozmowa z kochanką Krzysztofa. Przecież miała jeszcze zakupy do zrobienia, obiecała Staškowi, że jeśli przyjdzie na kolację, to dostanie pierogi z truskawkami, więc musiała kupić gdzieś dobre truskawki i ulepić pierogi. W razie czego odwoła Staśka i powie mu, żeby przyszedł następnego dnia, a sama może porozmawia z Krzysztofem. Wszystko zależy od tego, jak potoczy się rozmowa z tą... osobą.

Zima 2012

Cisza narastała i Krzysztof zaczynał czuć się niezręcznie. Mimo wszystko postanowił, że on pierwszy się nie odezwie. Aleksandra siedziała jak zwykle, czujnie obserwując jego samego i jego synów, ale nie odzywała się słowem. Udawała, że jej nie ma, a w każdym razie, nawet jeśli jest, to tak, jakby jej nie było. Wcześniej podkreślała, że będzie tylko bezstronnym obserwatorem. Jasiek patrzył w przestrzeń, ponad okno. Minę miał zupełnie obojętną. „Po tym chłopaku nigdy nie było widać uczuć” – pomyślał Krzysztof. Robił, co chciał, a żadne nakazy czy zakazy właściwie go nie obowiązywały. Co innego Stasię. On był zawsze bardzo wrażliwy, niepodobny do któregośkolwiek ze swoich rodziców. Niepodobny także do starszego brata i z tego powodu trzymający się na uboczu klasy, nawet rodziny. Tyle że twarz Stasia pokazywała, że jest na skraju wyczerpania. Krzysztofowi zrobiło się go żal. Może trzeba było poprosić o widzenie wyłącznie z Jankiem?

– Będziemy tak siedzieć? – przerwał milczenie Jasiek. – Mam dużo zajęć...

– Cześć, chłopcy – powtórzył. – Dziękuję, że przyszliście...

– Nie, to my dziękujemy, że nas zaprosiłeś... – powiedział Jasiek bardzo uprzejmym tonem. Patrzył przy tym Krzysztofowi prosto w oczy. Krzysztof odwrócił wzrok.

– Jasiek, przestań – odezwał się milczący dotąd drugi syn.

– Dlaczego mam przestać? I co ja niby zacynam? – Jasiek szarpał nerwowo włosy.

– Chłopcy... – zaczął Krzysztof.

Aleksandra poprawiła się na krześle. Na razie postanowiła nie interweniować.

– Sytuacja jest trudna... – powiedział cicho Stasię, zerkając na ojca.

– A kto ją utrudnił? – odpowiedział mu brat. – Mnie się wydaje, że ten tutaj...

– Synu, proszę cię... – Krzysztof wyciągnął rękę w kierunku starszego syna.

– Nie jesteś już moim ojcem. Nie jestem twoim synem – powiedział Jan spokojnie. Miał ręce zaciśnięte w pięści. Na czole pionową zmarszczkę. Wyglądał, jakby szykował się do walki. Krzysztof przyjął pozycję obronną. Wtulił głowę w ramiona. Zaczął mówić cichym, proszącym głosem.

– Rozumiem, że jesteś wzburzony, ale...

– Nie jestem wzburzony – przerwał mu. Starszy syn wciąż używał rzeczowego i spokojnego tonu. Nie otwierał tylko zaciśniętych pięści. – Przez te miesiące, wiesz, było trochę czasu na to, żeby się uspokoić...

– Tato, my nie możemy zrozumieć... – odezwał się Staś.

– Zamknij się – warknął Jasiek.

– Ależ możecie, przy odpowiednich nakładach pracy – Aleksandra odezwała się ze swojego stanowiska. – Możecie nawet odbudować relacje...

– Może pani podziękujemy za tę fachową pomoc i poprosimy, żeby się pani nie wtrącała – powiedział

Jasiek równie spokojnie jak przedtem. – Rozumiem, że pani nie może wyjść, ale może pani się nie odzywać, kiedy nie pytają, co?

– Nie mów tak do pani psycholog – powiedział Krzysztof.

– Będę mówił, jak mi się podoba. Albo mogę wyjść.

– Jasiek. – Staś położył rękę na ramieniu brata. – Daj spokój. Ja też jestem zły...

– Nie, kolego. – Strącił jego rękę. – Ty nie jesteś na niego zły. Jesteś przerażony i smutny oraz absolutnie gotowy do tego, żeby się rzucić w ramiona tatusia. Na szczęście ja jestem na niego zły.

– Ale to nie powód, żeby obrażać kobietę, która nie ma tu nic... – zaczął Krzysztof.

– Proszę się mną nie zajmować i nie przejmować – odpowiedziała Aleksandra. – Rzeczywiście nie powinnam się odzywać. Chyba że poprosicie mnie o mediację.

– Ale wyjść pani nie może? – zapytał Staś.

Pytanie zadane przez spokojniejszego brata zaskoczyło wszystkich.

– Nie mogę – odpowiedziała. – Chyba że panowie wolicie, żeby przy rozmowie był ktoś inny, na przykład lekarz, ochroniarz... Tyle że będzie trzeba jeszcze raz...

– To już niech pani siedzi, tylko nic nie mówi – przerwał jej Jasiek. – Nie przyszedłem tutaj mediować ani niczego rozumieć. Może sobie pani mówić, co chce, ale fakty są następujące. Tatuś miał kochankę, bo mu się żona znudziła. Doprowadził tym starą żonę do obłądu. Potem coś poszło nie tak i tatuś postanowił rozstać się z tym światem.

Krzysztof się nie odzywał.

– Tysiące ludzi ma kochanki – kontynuował starszy syn. – Tylko że te kochanki nie tracą życia, kochankowie się nie zabijają, a żony nie wariują...

– Jasiek – przerwał mu młodszy. – Ustalaliśmy, że nie będziemy...

Aleksandra niespokojnie poruszyła się na krześle. Krzysztof jeszcze głębiej wcisnął głowę w ramiona. Opuścił też wzrok.

– Wiem, że ustalaliśmy, że pogadamy wyłącznie o tym, jak on dalej to widzi. – Jasiek rozprostował rękę. – Ale jak go zobaczyłem takiego czyściutkiego i zadowolonego z siebie...

– Nie jestem z siebie zadowolony – powiedział gorzko Krzysztof.

– Daruj sobie. – Starszy wyprężył palce, jakby chciał udusić ojca. – Zaraz zaczniesz pieprzyć o zawróceniu czasu i tym podobnych bzdurach.

– Gdybym mógł...

– Ale nie możesz – przerwał mu Stanisław. – Interesuje nas, kiedy stąd wyjdiesz i czy zajmiesz się mamą.

– Jeśli można się wtrącić... – zaczęła Aleksandra. – W świetle ostatnich wydarzeń... Sądzę, że wasz ojciec zostanie wypisany w ciągu kilku dni.

– Jakich wydarzeń? – zapytał Krzysztof.

– Zabroniono nam o tym mówić – powiedział Jasiek. – Podpisałem oświadczenie.

– Nie możemy rozmawiać z tobą o mamie... – głos młodszego syna był zachrypnięty z emocji.

– Proszę o tym nie mówić – ton Aleksandry zabrzmiał ostrzegawczo.

– Bo co, proszę pani? – zapytał z zainteresowaniem Jasiek. – Wsadzicie mnie do więzienia jak matkę czy do czubków jak ojca? Chyba to wszystko jedno zresztą...

– Żona jest w więzieniu? – zapytał z niedowierzaniem Krzysztof. – Co ona tam robi?

Jasiek zaśmiał się histerycznie, a Stanisław zerwał z krzesła. Aleksandra nacisnęła guzik pilota, który miała w ręku. W okamgnieniu do pokoju weszło dwóch rosyjskich pielęgniarzy.

– Panowie wychodzą – powiedziała stanowczym tonem.

Krzysztof przestraszył się, że pielęgniarze wywloką jego synów na zewnątrz. Widział to na jednym filmie i chciał teraz zaprotestować, ale synowie wstali posłusznie i odwrócili się do niego plecami. Jasiek uniósł wyprostowane dłonie w geście „nie mam nic do ukrycia, nie jestem agresywny” albo „sam wyjdę”, jak kto woli. Na usta cisnęło mu się tysiące pytań, a jednak zastanawiał się, co dokładnie znaczy takie uniesienie rąk, jakie przed chwilą zaobserwował u starszego syna. Żeby chociaż ten gest był skierowany w jego stronę, ale nie, Jasiek obdarował nim pielęgniarzy. Wychodzili, a on miał nogi wrośnięte w ziemię, język skołowaciały i nic nie mówił.

– Liczymy na to, że wyrobisz mamie papiery psychiatryczne – powiedział szybko Stanisław. – Mama nie może trafić na stałe do więzienia.

Znów chciał coś powiedzieć i nie mógł. Zrobiło mu się czarno przed oczami. Aleksandra oddaliła się gwałtownie. Jej twarz się wykrzywiła. Potem zamieniła się w twarz Di, bladą, wystraszoną i smutną. Jeszcze później obok niej stanęła Małgosia. Nie słyszał, co krzyczała, ale Di też zaczęła krzyczeć. Potem zobaczył pustkę. Miał nadzieję, że umarł.

Lato 2012

Biegła, potykając się o własne nogi, zachłystując płaczem. Wypatrywała wśród rzędów kamienic tej właściwej. W końcu znalazła adres, który podała jej Zuzanna, ale nie bez trudu. Samo centrum miasta, kamienice jednak stare, nie wiadomo, która klatka schodowa prowadzi do domu tamtej. Płacz i trzęsące się ręce utrudniały trzeźwą ocenę. Znalazła wreszcie drzwi, których szukała. Ktoś wydrapał na nich napis: „Tylko Jolka”. Zawahała się przez chwilę. Listy lokatorów oczywiście nie było, zresztą Małgorzata nie znała przecież imienia tamtej ani nazwiska, ale gotowa była naciskać każdy guzik dopóty, dopóki ktoś jej nie wpuści do środka. Powiodło się za drugim razem. Weszła po ciemnych schodach. Teraz musi naciskać po kolei guzik dzwonka i pytać o młodą blondynkę. Może nie będzie musiała niepokoić mieszkańców aż po ostatnie piąte piętro? Oby tylko ta lafirynda mieszkała niżej. Ta sama starsza pani, która wpuściła Małgorzatę do środka, czekała w otwartych drzwiach.

– Pani kogo szuka? – zapytała, ułatwiając Małgorzacie zadanie.

– Ja... – zaczęła, pilnując, żeby już nie płakać. – Szukam młodej dziewczyny, blondynki...

– Jak się nazywa? – Staruszka przeszła ją świdrującym spojrzeniem.

– Nie wiem, prawdę mówiąc – przyznała się. – Mam tylko opis. Wiem, że mieszka sama...

Starsza pani spojrzała na nią z niechęcią.

– Niepotrzebnie wpuszczałam, niepotrzebnie – powiedziała. Potem szybko zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

– Niech pani poczeka... – Małgorzata zaczęła uderzać pięścią w zamknięte drzwi.

– Zadzwoń na milicję! – dobiegło zza zamkniętych drzwi.

Małgorzata się przestraszyła. Ta kobieta rzeczywiście gotowa to zrobić. Oparła się o ścianę. Z kieszeni wyjęła chusteczkę i wytarła oczy, omijając rzęsy w obawie przed tym, że staranny jeszcze kilka godzin temu makijaż rozmaże się na jej twarzy. Zaczęła równo oddychać. „Wdech, wydech, wdech, wydech” – nakazywała sobie, pokonując powoli schody. Stała na półpięterku w kompletnej ciemności, zastanawiając się, co robić. Naprzeciwko niej otworzyły się drzwi. Smuga światła z przedpokoju na chwilę oślepiła ją. W progu stało dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec, i z zaciekawieniem wpatrywało się w Małgorzatę.

– Czemu pani waliła do Niewiadomskiej? – zapytała dziewczynka. – To wariatka. Na pewno już dzwoniła na policję.

– Są w domu wasi rodzice? – zapytała Małgorzata szeptem.

– Nie ma i nie możemy otwierać obcym – powiedziała wyższa dziewczynka, na oko siedmioletnia. – Gdyby pani chciała napić się wody albo co... to nie możemy dać. Bo ja odejdę nalać, a pani porwie Dawida. Albo ukradnie kurtki z przedpokoju.

– Głupia jesteś – zganił dziewczynkę pucołowaty okularnik.

– Przecież otworzyliśmy. Poza tym to nie Cyganka...

– Dziękuję za wodę. Kurtek też wam nie zabiorę. Powiedzcie mi, czy tu mieszka taka wysoka dziewczyna, blondynka – powiedziała szybko Małgorzata, bojąc się, że mały albo jego siostra w każdej chwili zatrzaśnie jej drzwi przed nosem.

– Mieszka, ale to nie jest dziewczyna – powiedział chłopiec.

– A kto? – nie zrozumiała Małgorzata.

– No... pani... – powiedziała dziewczynka.

– Tak. – Potrząsnęła głową, przypominając sobie, że trzydziestolatka to dla dzieci osoba w średnim wieku. – Ja szukam właśnie tej pani. Gdzie ona mieszka?

– Pod dwunastką – powiedział chłopak. – Jest w domu. Od rana. Dzisiaj nie wychodziła w ogóle z domu.

No, nie wychodziła. – Kiwnęła głową dziewczynka.

– Zamknijcie drzwi i nie otwierajcie, tak jak proszą wasi rodzice – powiedziała Małgorzata, ruszając w górę schodami.

Dzieci wciąż stały w progu i chichotały, pokazując ją palcem. Małgorzata modliła się, żeby pani mieszkająca pod dwunastką była osobą, której ona szuka. Zawahała się chwilę pod obitymi metalem, brzydkimi drzwiami i zadzwoniła. Drzwi otworzyły się po dłuższej chwili i w drzwiach stanęła wysoka, przeraźliwie chuda blondynka.

Małgorzata myślała, że kochanka Krzysztofa będzie podobna do niej, tylko młodsza. Patrzyła zdumionymi oczami na tę brzydulę, nie mogąc uwierzyć, że dla kogoś takiego mąż chciał ją zostawić. A może wcale nie chciał...

– Ja do pani przyszedłam... – powiedziała w odpowiedzi na wyczekujące spojrzenie.

– Kim pani jest? – zapytała chuda.

– Jestem żoną Krzysztofa... – powstrzymała się od płaczu i zacisnęła w pięści trzęsące się ręce.

– A czego pani chce? – blondynka powiedziała to tonem pełnym przestachu i skrzyżowała ręce na piersiach w obronnym geście. Wciąż stała w progu własnego mieszkania.

– Będziemy tak tu stały? – zapytała Małgorzata, odzyskując normalny ton. – Może mogłabym wejść? Chciałabym porozmawiać...

– Ja nie mam obowiązku z panią rozmawiać... – Chuda była przestraszona. – Czy Krzysztof wie, że pani tu jest?

– Nie, nie wie – zapewniła ją, myśląc, że dziewczynę uspokoi, ale tamta najwyraźniej zdenerwowała się jeszcze bardziej. – Chciałabym panią prosić o chwilę rozmowy. Proszę mnie wpuścić.

Dziewczyna się zawahała. Po chwili odsunęła się, robiąc Małgorzacie przejście. Weszły do zalanego światłem pokoju. Na środku stało duże biurko pełne kolorowych zdjęć i innych szpargałów oraz otwarty laptop.

– Napije się pani czegoś? – zapytała dziewczyna.

Wyglądała bardzo młodo. Małgorzata przyjrzała się jej. Chudziutka, spowita w jakieś luźne swetry i szaty, na nogach te ohydne plastikowe buty, które noszą młode dziewczyny, nie bacząc na to, że elegancko kobieta wygląda jedynie w szpilkach. Słowem, zupełnie nieinteresująca osoba.

– Gdyby pani mogła poczęstować mnie szklanką wody, byłabym bardzo wdzięczna – powiedziała.

Dziewczyna zniknęła w małej kuchence, a Małgorzata rozejrzała się po pokoju. Dostrzegła wielką szafę oraz tapczan. „Pewnie tu się gzili” – pomyślała. W mieszkaniu nie było chyba oddzielnej sypialni. Rozpięła płaszcz. Po namyśle zdjęła go i usiadła na tej kanapie twarzą w stronę kuchni.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy tamta podała jej szklankę wody. W środku dostrzegła pływającą cytrynę i listek mięty.

– Zanim pani coś powie, chciałabym zapewnić panią, że to od dawna skończone. – Dziewczyna nerwowo splatała palce. Małgorzata zauważyła, że tamta ma ręce jak kościotrup.

– Odniosłam wrażenie, że chyba nie – odpowiedziała, odzyskując nieco panowanie nad sobą. – Skoro mój mąż ciągle do pani przychodzi.

– Prosiłam go, żeby tu nie przychodził – powiedziała. – Wielokrotnie prosiłam.. O czym pani chce rozmawiać? Mogę panią przeprosić. Nie wiedziałam.. Przysięgam.

– O czym pani nie wiedziała? – zapytała Małgorzata. – Że on ma żonę i dwóch synów? Przedstawiał się jako kawaler? Wdowiec? Rozwodnik?

Dziewczyna spuściła głowę. Małgorzata poczuła się śmiesznie. Nie przemyślała sobie tego spotkania. Zadziałała impulsywnie. Kiedy Zuzanna powiedziała jej o niej, przybiegła natychmiast. Liczyła na spotkanie, na konfrontację. Tylko że teraz, widząc tę nieciekawą kobietę, zastanawiała się, co właściwie mogłaby jej powiedzieć.

– To już skończone – powiedziała tamta. – Dawno temu. To prawda, że on mnie ciągle nachodzi, ale ostatnio ja i mój narzeczony..

– Tak się właśnie dowiedziałam o pani istnieniu – Małgorzata przerwała jej. – Paweł, pani narzeczony, to syn mojej przyjaciółki... koleżanki z pracy...

– Ach, tak... – Tamta pokiwała głową. – Proszę pani, ja...

– Niech mi pani powie tylko jedną rzecz – przerwała jej Małgorzata. – Czy pani odradzała mu pracę? – Dziewczyna uniosła brwi w geście zdumienia.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedziała.

– A co tu jest do rozumienia? – Małgorzata wiedziała, że nie wyjdzie, póki nie uzyska odpowiedzi na to pytanie. – Czy to przez te... spotkania z panią on nie zrobił habilitacji i stracił stanowisko?

Chuda wstała i nerwowo zaczęła chodzić po małym pokoju. Małgorzata ścisnęła w ręku szklankę z wodą, wpatrując się to w pływającą cytrynę, to w zdenerwowaną kochankę swojego męża.

– Czy odradzała mu pani drogę naukową, namawiała do rezygnacji? – powtórzyła.

– Mało rozmawialiśmy o jego pracy... – Chuda trzymała w ręku kubek z najwyraźniej zimną herbatą. – Ja nigdy bym nie wpływała na żadne jego decyzje... Nie wiem, o co pani mnie pyta...

– Spodziewała się pani, że będę pytała o szczegóły waszego... związku? O to, jak często to robiliście, gdzie... To mnie nie interesuje. Chcę tylko wiedzieć, czy przez panią on wycofał się z habilitacji.

Dziewczyna usiadła na krześle naprzeciwko Małgorzaty.

– Proszę pani – zaczęła. – Wiem tylko tyle, że miał ogromne problemy w pracy. Nie mówił mi dokładnie, ale to miało związek ze śmiercią tego profesora...

– Nie – Małgorzata zaprzeczyła. – To nie miało z tym nic wspólnego...

– Jak pani uważa – zgodziła się tamta bez przekonania i otuliła szczelniej swetrem. Rzeczywiście wieczór był chłodny, a drzwi balkonowe otwarte na oścież. Małgorzacie też zrobiło się zimno.

– Był jeszcze ten człowiek, który molestował studentki... – powiedziała. – On na szczęście odszedł, ale powiedział coś w ministerstwie i zrobił się skandal. Krzysztof musiał odejść z pracy.

– Dlaczego pani go nie przekonywała, żeby nie marnował kariery? – zapytała. – Skoro miała pani na niego pewien wpływ?

Chuda potarła kościstymi palcami powieki. Małgorzata zauważyła, że nie była umalowana. Mimo to wyglądała świeżo i delikatnie.

– Nie znam się na tym, co robił, ale on mi dużo opowiadał i odniosłam wrażenie, że... on nie chciał tych stanowisk. Chciał zrezygnować od razu, kiedy zaczęły się problemy z tymi... zwłokami.

– O tym pani powiedział? – Małgorzata była zdumiona. – Że nie chciał tego stanowiska? On o tym marzył! To mu się należało. Stamtąd już miał prostą drogę do zostania dziekanem, rektorem! Cała rodzina podporządkowała się temu! Wszyscy poświęciliśmy się dla niego, żeby on... z panią...

– Czy mogłaby pani już pójść? – powtórzyła tamta. – Mam wrażenie, że ta rozmowa prowadzi donikąd...

Małgorzata wstała. Włożyła wolno płaszcz. Trzęsącymi się rękoma sięgnęła po torebkę.

– A dlaczego pani go zostawiła? – zapytała ją jeszcze. – Może to było przyczyną, że się załamał...

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Śmiech nie był serdeczny ani szczery, raczej z gatunku tych, które mają pokryć skrajne zdenerwowanie.

– Jest pani niesamowita... – powiedziała. – Zawsze zastanawiałam się, jaka pani naprawdę jest...

– I jaka jestem? – zapytała ją Małgorzata. Też jej się chciało śmiać. Nagle poczuła się lekko.

– Zostawiłam go, bo odkryłam, że kłamie – powiedziała. – Mówił, że pani jest chora psychicznie, ubezwłasnowolniona... Że on jest pani opiekunem prawnym i nie może od pani odejść. Było mi go strasznie żal. Tyle lat z kobietą, a jednocześnie zupełnie samotny... Nigdy nie związałabym się z żonatym mężczyzną. Paweł, który był jeszcze wtedy moim przyjacielem, zobaczył Krzysztofa, kiedy wychodził ode mnie, i od słowa do słowa... Zostawiłam go wtedy. Okłamał mnie.

– Powiedział pani, że jestem chora psychicznie? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziła. – Paweł mi powiedział, że jest pani najzupełniej normalna, uczy dzieci w szkole i ma pani kierownicze stanowisko. Krzysztof próbował zaprzeczać, ale postraszyłam konfrontacją z Pawłem...

– Powiedział, że jestem chora? – Nie mogła uwierzyć. – Chora psychicznie? Wyjęła telefon komórkowy z torebki. Podeszła do dziewczyny.

– Rzeczywiście już pójdę. Mogę zadzwonić po taksówkę? – zapytała.

– Oczywiście... – Odwróciła się z wyraźną ulgą. – Mam tu gdzieś nawet kartę rabatową, mogę pani dać...

Uderzyła ją w głowę od tyłu. W sam czubek. Kantem telefonu. Tamta znieruchomiała na chwilę, a potem się odwróciła. Na twarz ściekała jej krew. Zasłoniła się ręką. Małgorzata podniosła rękę

i ponownie uderzyła ją w tę bezmyślną twarz, patrząc jakby z oddalenia, jak tamta upada na ziemię. Kucnęła nad nieruchomą dziewczyną i przyjrzała jej się dokładnie. Potem najmocniej, jak umiała, uderzyła jeszcze raz. Z boku. Niebieskie oczy patrzyły pusto przed siebie, kiedy wstała, żeby włożyć płaszcz i wyjść.

– Nie jestem chora psychicznie – powiedziała Małgorzata do nieruchomego ciała. – Jestem zupełnie zdrowa.

Schowała telefon pobrudzony krwią dziewczyny i wolno wyszła z mieszkania. Minęła drzwi dwójki rodzeństwa, a potem starszej kobiety, która groziła jej „milicją”, i wyszła na ulicę. Wieczór rzeczywiście był chłodny. Owinęła się szalem.

Zima 2012

– Będzie mógł pan opuścić szpital – powiedziała Aleksandra, wkraczając do jego pokoju bez zapowiedzi.

Wstał z łóżka uradowany i spojrzał na nią z nadzieją. Właściwie nie było się z czego cieszyć ani do kogo wracać. Synowie nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Małgosia przebywała w areszcie. Di nie żyła. Musi skoncentrować się teraz na tym, żeby pomóc żonie. Wynajmie najlepszego adwokata, razem ustalą jakąś linię obrony. Przecież musiała wtedy być niepoczytalna. Nikt normalny nie zabija. Musiała działać w stanie najwyższego wzburzenia.

– Dlaczego tyle czasu tutaj przebywałem? – zapytał. – Mogłem jej pomóc przez ten czas...

Aleksandra poprawiła okulary. Pierwszy raz widział ją z rozpuszczonymi włosami. Miał rację, w takiej fryzurze wyglądała najlepiej.

– Początkowo był pan głównym podejrzanym – wyjaśniła. – Przecież to pana nasienie znaleziono w denatce podczas sekcji zwłok. Poza tym próbował pan popełnić samobójstwo.

– A teraz może mi pani powiedzieć, dlaczego zrobiliście całą tę szopkę? Z zamykaniem mnie w szpitalu psychiatrycznym, gdzie nie miałem pojęcia, co robi moja żona oraz w jakim stanie są synowie... Aleksandra westchnęła.

– Będzie mi pana brakowało – powiedziała. – Poza tym bardzo zachęcam do korzystania z pomocy psychologicznej także po tym, kiedy wyjdzie pan ze szpitala. Zwłaszcza wtedy. – Nachyliła się nad nim znacząco.

– Raczej nie – powiedział szczerze.

– Mimo wszystko namawiałabym pana... – Zmarszczyła brwi. – Żeby nie skończyło się tak jak ostatnio...

Usiadł ponownie na krześle.

– Myśli pani, że jestem teraz w gorszym stanie niż wtedy, kiedy przyszedłem?

– Jestem tego pewna – powiedziała. – Wtedy jeszcze działały emocje. Koncentrowaliśmy się na podniesieniu panu nastroju, analizie psychologicznej. Teraz... Wraca pan do zdrowia psychicznego, ale to, co tu osiągnęliśmy, jest bardzo kruche. W każdej chwili w obliczu problemów może się pan załamać...

– Nie ma obawy – przerwał jej. – Ja już nie mam czym się załamywać. Wszystko już się stało... – Wyciągnęła papiery z teczki i usiadła. „A więc przyszła jeszcze na terapię” – pomyślał Krzysztof i uśmiechnął się do siebie.

– Mamy jeszcze dzisiejszy dzień dla siebie – powiedziała. – Chciałam panu podpowiedzieć, jak może pan pomóc żonie. Jako psycholog, naturalnie...

– Wynajmę adwokata – ponownie jej przerwał. – Może on będzie miał kontakt z własnym psychologiem...

– Czuję się wobec pana zobowiązana – kontynuowała, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Nawet

pan nie zgadnie dlaczego...

– Ależ... – O mało się nie uśmiechnął. – Z łatwością zgadnę. Po pierwsze posądzała mnie pani o zbrodnię i ma wyrzuty sumienia, że pani wstępna analiza psychologiczna nie znalazła potwierdzenia. Z drugiej strony napisała pani wspianą pracę, pewnie doktorską, i jest mi nieskończenie wdzięczna.

– Chyba powinniśmy zamienić się miejscami – powiedziała, nieudolnie maskując zdziwienie.

– Absolutnie nie pretenduję do roli psychologa. – Zamachał rękami. Chciał, żeby ponownie weszli w swoje role. On znów mógł być bezbronnym pacjentem, a ona specjalistką od duszy ludzkiej.

– Gdyby nie pani, pani Aleksandro...

Uśmiechnęła się.

– Lubię skrót Aleksa – powiedziała, nie patrząc na niego. – Możemy już rozmawiać mniej oficjalnie. – Wyprostował się na krześle. Popatrzył na nią z powagą i uważnie.

– Co mi pani zatem radzi, Alekso? – zapytał.

– Najpierw niech pan spróbuje porozmawiać z żoną – zaczęła. – Żona nie odzywa się do nikogo, odkąd trafiła do aresztu. Nie nawiązuje żadnego kontaktu. Nawet z synami. Żaden z psychiatrów niczego nie uzyskał. Jeden raz tylko wypowiedziała jedno słowo. „Strata”. Powtórzyła je nawet kilka razy. I to był koniec.

– Ale przecież powiedziała pani, że żona przyznała się do winy...

– Tak, na policji, gdzie poszła kilka godzin po tym, jak zabiła tę nieszczęsną dziewczynę. Przyznała się i... zamilkła.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego posądzono o tę sprawę mnie, skoro żona przyznała się do winy...

Aleksandra najwyraźniej wahała się, czy posiadana przez nią wiedza może zostać ujawniona.

– Nie wiadomo, dlaczego pańska żona zgłosiła się na policję kilka godzin po dokonaniu zabójstwa. Nie wiadomo, gdzie przebywała.

– A co to ma wspólnego ze mną? – Zdenerwowany poprawił ubranie.

– Nasienie – powiedziała. – Mógł pan sam to zrobić wcześniej... A żona pod wpływem szoku wzięła winę na siebie...

– Przecież to jak z powieści – powiedział. – I to kiepskiej.

Uśmiechnęła się. Krzesło ponownie zachybotało.

– Nie znam pana żony, ale z pana opisu wynikało, że była wobec pana pełna poświęceń. A pana ledwie odratowano. Może jednak wyrzuty sumienia...

– Spożywa posiłki? Ma jakieś kłopoty w tym areszcie? – zmienił temat. Nie było sensu kolejny raz tego wałkować. I tak będzie pewnie rozmawiał z adwokatem jeszcze wiele razy na ten temat.

– Odżywia się regularnie. – Aleksa pokiwała głową. – Nawet dba o siebie. Myje się, czesze... Tylko z nikim nie rozmawia.

– Nie wiem, czy porozmawia ze mną... – Pokręcił głową.

– Ja też tego nie wiem... – powiedziała. – Wydaje się, że właśnie z panem nie będzie chciała rozmawiać. W końcu zabiła przez pana. Pana kochankę...

– Ale?

Aleksa pokiwała głową.

– Czasem jest odwrotnie – powiedziała. – Może nie mówi, ponieważ czuje wstyd. A do pana żywi inne uczucia. Może nienawiść? Jeśli pana nienawidzi, może zacząć oskarżać pana, zaatakować nawet...

– To będzie lepsze dla niej?

– Na pewno lepsze niż stan, w jakim jest teraz. Zastanawia mnie to słowo: „strata”. Czy pan wie, co to oznacza?

– Może chodziło jej o to, że zabijając Dianę, straciła dzieci, własne życie? – powiedział, mając przed oczami tamten obraz, który kupili na wernisazu. – Przecież nic już nie będzie takie samo...

Nie powie tej psycholożce, że wie, co Małgosia miała na myśli. Przypomniał sobie ich rozmowę sprzed kilku miesięcy, kiedy mówiła, że najgorsze dla niej byłoby stracić wiarę w to, co było dla niej ważne. Wskazywała wtedy na obraz. Przecież uparła się, żeby kupić właśnie ten. Odkryła, że ją oszukał, zawiódł zaufanie. Straciła go bezpowrotnie razem z jego potencjalnym sukcesem. Dlatego poszła do domu Diany. Poszukać winy w niej. On przecież nigdy nie mógł być winien. Z nim nawet nie chciała porozmawiać.

– Może – powiedziała Aleksandra. – Ja mam jednak wrażenie, że chodzi o coś innego. Jakiś symbol. Może o tę kuzynkę, która zginęła w wypadku samochodowym? – zasugerowała.

– A wie pani, że to bardzo możliwe. – Pokiwał głową nad tą ewidentną bzdurą. – Może to jej się przypomniało. Tamta dziewczyna też była bardzo młoda i straciła życie.

– Może pan od tego zacząć rozmowę. Może żona zechce ją kontynuować...

– Kiedy będę mógł wyjść ze szpitala? – zapytał.

– Pojutrze – powiedziała. – Już rozmawiałam ze wszystkimi. Napisałam opinię, że nie zagraża pan sobie. Pan profesor i lekarz prowadzący zgodzili się na wypis. Będzie pan mógł wrócić... no cóż, do siebie – zakończyła niezręcznie.

„A co to jest u siebie?” – zastanowił się. Miał inne plany. Zmieni wszystko, wyjedzie z tego miasta. Nic go tu nie trzyma. Musi uciec od wspomnień, od tego wszystkiego, co się stało. Nawet od Małgosi, jeśli nie zdoła jej pomóc i zamknie ją w zakładzie albo w więzieniu. On wciąż miał możliwości. Pewnie nie zobaczy już synów ani teścia. Trudno. Przychodzi moment, kiedy za błędy się płaci. Może zacznie pracę na innej uczelni. Jako asystent. Sprzeda mieszkanie, zażąda spłaty swojej części działki. Wystarczy na nowe życie. Znajdzie dobrego adwokata. To niemożliwe, żeby jakikolwiek sąd skazał Małgosię. Niepoczytalne osoby się leczy. Był tego pewien. Nie mógł doczekać się momentu, kiedy będzie mógł opuścić te stare mury i osoby, które były przecież tak „życzliwe”. Musi sprawdzić jeszcze parę szczegółów. Rodzina Di. Czy oni mogą wytoczyć Małgosi proces cywilny? Mogą zażądać rekompensaty pieniężnej? Musi zapytać adwokata. Najpierw musi znaleźć znakomitego fachowca, który wybroni Małgosię. Tamtej już nic nie przywróci życia.

Grzebał w dawno wypartych wspomnieniach. Tamten dzień... Wrócił do domu. Nie był wtedy u Di, nie spacerował pod jej oknami. Przecież nie chciała, odrzuciła go ostatecznie. Rozmawiał dzień wcześniej z Pawłem, synem Zuzanny. Jak on się zmienił, wydorósł. Co mu wtedy Paweł powiedział? Że kocha ją i powie wszystko Małgosi, jeśli Krzysztof nie zostawi w spokoju jego narzeczonej. Co miał zrobić? Powiedział, że się zgadza, że już nie będzie więcej jej niepokoił. Tego dnia nie poszedł pospacerować

pod jej oknami. A nazajutrz wyrzucili go z pracy. Dziekan odkrył zaniedbania, brak preparatów, ciągłe zastępstwa. Donieśli studenci. Kasia Markowska go pogrążyła. Może nieudolnie go broniła. Potwierdziła zarzuty. Miała zanotowane wszystkie godziny nadliczbowe. Także jego wcześniejsze wyjścia. Krótka męska rozmowa.

– Proszę oszczędzić wstydu nam i sobie – powiedział dziekan.

– Już napisałem wypowiedzenie – powiedział i położył papier przed dziekanem. – Do widzenia.

– Jeszcze jedno. – Szef zatrzymał go na chwilę. – Przeprowadziłem śledztwo w sprawie tamtego telefonu.. Mówię to panu, bo to dotyczy właśnie pana...

– Słucham? – Szumiało mu w głowie. Nie rozumiał, co ten człowiek miał na myśli.

– Telefon od dziennikarki, której córka była molestowana przez doktora Kudelskiego...

– Dowiedział się pan, która to studentka? – zapytał, zastanawiając się, jakie to ma teraz znaczenie.

– Nie – odpowiedział profesor. – Mój brat pracuje w policji. Zidentyfikował dla mnie ten numer.

– Tak? – Krzysztof nadal nie rozumiał.

– To numer szkoły podstawowej na Bielanych. Sekretariat... Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, że ja wiem...

Dziekan patrzył na niego z pogardą. Krzysztof oniemiał. Zrozumiał znaczenie słów „jak obuchem w głowę”. Nie pamiętał, jak wyszedł z sekretariatu, w jaki sposób doszedł do domu. Chyba gdzieś chodził przez godzinę, może dłużej. Tyle razy próbował sobie przypomnieć, gdzie wtedy był. Pamięta, że myślał o żonie. Znał ją przecież tak dobrze. Od lat, a jednak nie przyszłoby mu do głowy, że jest zdolna do takiej podłości. Chociaż może to nie podłość, może ona chciała dobrze, tylko wszystko obróciło się przeciwko niemu. Jego żona... zawsze taka lojalna i oddana. Chciała mu pomóc i odsunąć wroga. Tylko że przy okazji zabiła przyjaciela, a potem zrujnowała jego samego. Bał się, że konfrontacja z nią będzie bardzo bolesna. Co mogli sobie powiedzieć? Co ona mogła mu powiedzieć? Pewnie, że jest jej przykro albo, co bardziej prawdopodobne, że zrobiła to dla niego. Postanowił, że ją uprzedzi. Żeby mogła przygotować sobie te gładkie słowa, jakie wyrzucała z siebie z szybkością karabinu maszynowego. Nie otumani go już, ale przynajmniej da jej szansę. Sięgnął po komórkę. Ten moment pamiętał. Nie odebrała. Nagrał jej wiadomość.

„Właśnie odszedłem z pracy. Zrobiłem to, żeby uniknąć skandalu. Napisałem też podanie o zamknięcie przewodu habilitacyjnego. A, i jeszcze jedno... Wiem, że to ty dzwoniłaś do dziekana...”.

Nie dzwoniła przez kilka godzin. Pewnie była w łóżku z dyrektorem, myślał obojętnie, sprawdzając godzinę. Dom był pusty. Chłopców już od dawna w nim nie było. Zadzwoiła dopiero przed wieczorem. Odebrał.

– Zabiłam właśnie twoją kochankę – powiedziała.

– Co zrobiłaś? – zapytał nieprzytomnie. Wszelkie zarzuty, jakie sobie przygotował, decyzję o wyprowadzce i rozwodzie, którą miał jej oznajmić, nagle wszystko wyparowało mu z głowy.

– Zabiłam twoją kochankę. Zuzanna mi powiedziała, gdzie mieszka. Poszłam tam i zabiłam ją – powiedziała i się rozłączyła.

Wybiegł z domu. Próbował zadzwonić po taksówkę, ale nie mógł przypomnieć sobie żadnego z numerów. Wreszcie wypatrył jakąś czekającą na równoległej ulicy i zamówił samochód z tej samej

korporacji. Kilka minut oczekiwania dłużyło mu się nieskończenie. Podał adres taksówkarzowi. Poprosił, żeby ten wyłączył radio. Kierowca obrzucił go spojrzeniem pełnym niechęci i przekręcił staroświecką gałkę. Taksówka była stara i brudna. Krzysztofowi zbierało się na mdłości.

– Jak jechać? – zapytał taksówkarz. – Ma pan jakąś ulubioną trasę?

– Proszę jechać najkrótszą możliwą – odpowiedział. – O tej porze nie powinno być korków.

Wysiadł przed domem Di i rozejrzał się wokoło. Tyle razy tu przychodził, z nadzieją, z miłością, potem z rozpaczą. Teraz czuł jedynie strach. Co Małgosia zrobiła? Otworzył sobie dorobionymi kluczami. Całe szczęście, że je zatrzymał. Najciszej, jak mógł, pokonał cztery piętra schodów. Na szczęście nie spotkał nikogo. Cicho przekręcił gałkę u drzwi. Otworzyły się ze skrzypieniem. W mieszkaniu było zupełnie ciemno i bardzo zimno. Zapalił małe światło w przedpokoju, żeby zobaczyć cokolwiek. Leżała w pozie embrionalnej na dywanie w pokoju. Jęczała cicho i trzymała się za głowę. Wokoło było pełno krwi. W tle ziały otwarte drzwi balkonowe.

– Mój Boże, kochanie... – Znalazł się przy niej.

– Twoja żona... – powiedziała cicho. – Ty draniu...

– Nic nie mów – powiedział, badając puls i starając się zorientować w rozmiarze ran na jej głowie. – Zaraz zadzwonię po pogotowie...

– Zadzwon po Pawła... Numer w komórce... – powiedziała przerywanym głosem. Szczękała zębami, musiała stracić dużo krwi. – I wynoś się...

Ostatnie słowa wypowiedziała ledwie słyszalnym szeptem. Pomyślał wtedy, że ona umiera. Z rozmiarów krwawienia wywnioskował, że musiała stracić jej bardzo dużo. Tętno miała przerywane, ciśnienia nie mógł zmierzyć, ale z pewnością było bardzo niskie. Głaskał ją po twarzy.

– Zadzwoniłem po pogotowie – skłamał.

– Paweł... – jęczała.

„Dlaczego ona w takiej chwili nie szukała mnie?” – myślał, patrząc, jak Aleksandra porządkuje papiery. Psycholożka paplała coś, czego nie słyszał, pochłonięty wspomnieniami ostatnich chwil Diany.

Może dlatego zamiast zadzwonić po pogotowie, zacisnął ręce na jej szyi. Na krótko. Ale wystarczyło. Przestała się ruszać prawie natychmiast. Była ciepła, kiedy się z nią kochał. Mimo paralizującego zimna w pokoju, mimo lęku o siebie i Małgosię, kochał się z Di ostatni raz. Potem wrócił do domu i zażył tabletki. Rachunki zapłacił już wcześniej.